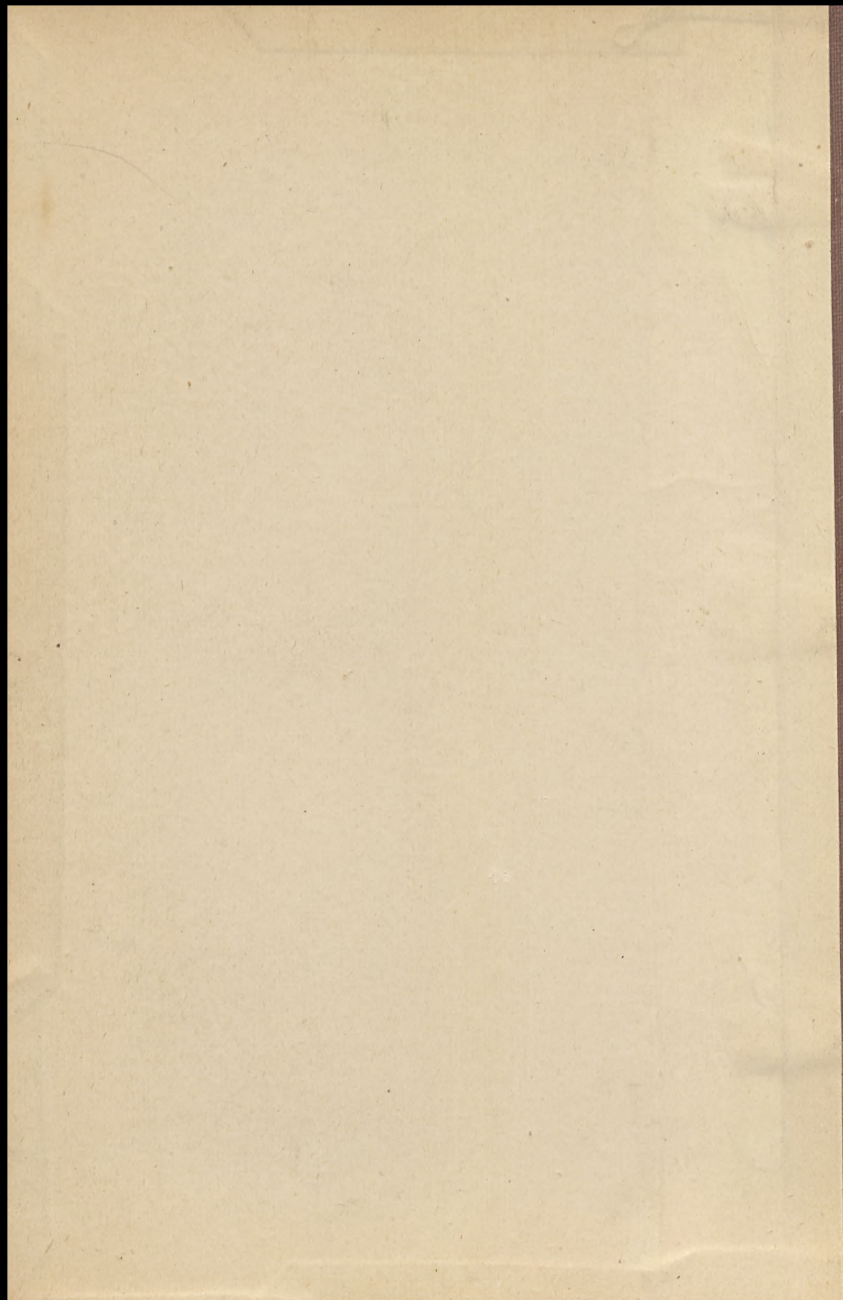


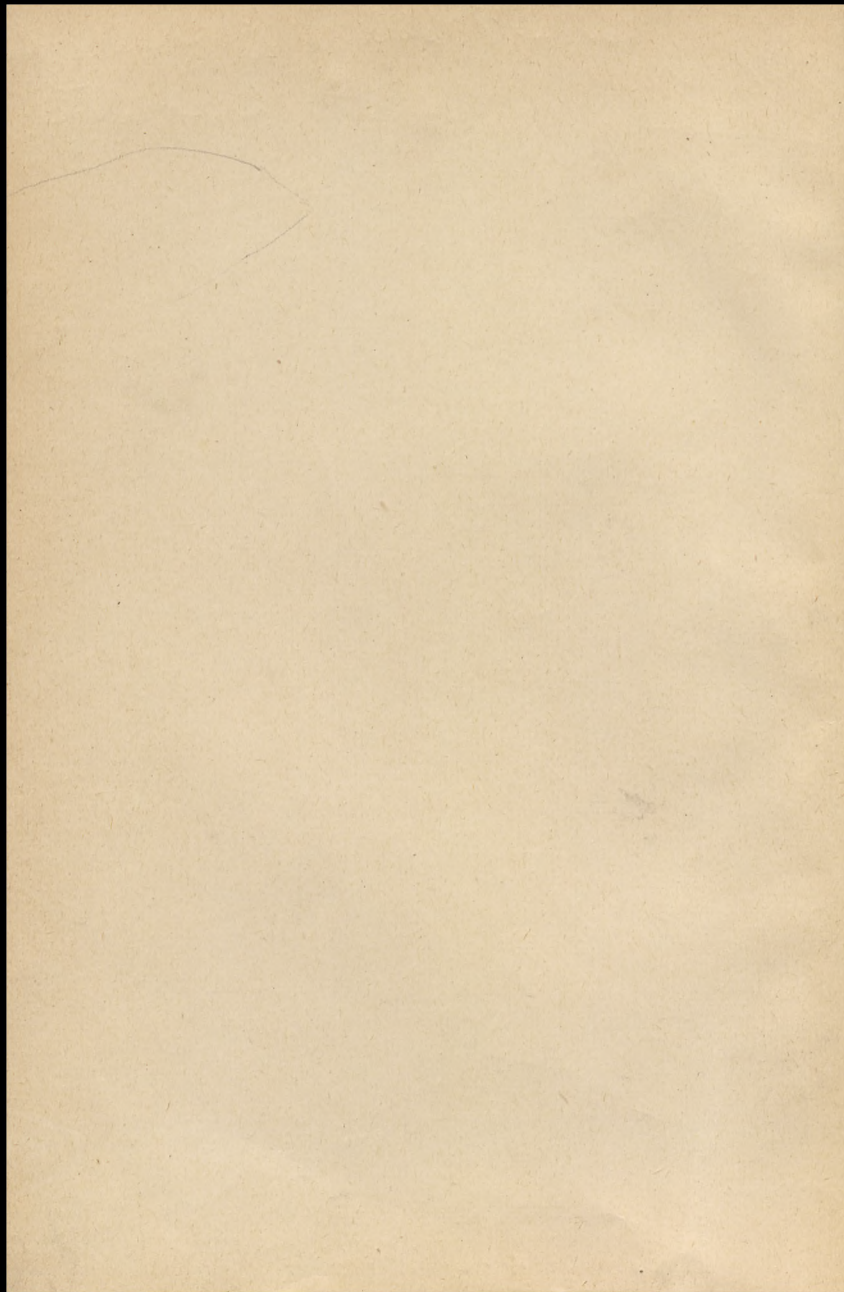
MATHY

S'L



XV-5 I. 1. 218. 260 - Kiocele
- 2 otzię

172





№ 0377

I. 1. 218, 260

JOHN GALSWORTHY

ŚWIĘTY

(SAINTS PROGRESS)

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA
PRZEŁOŻYŁA

STELLA LANDAUOWA

WARSZAWA — 1933

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”,

Biblioteka Narodowa
Warszawa



3000101438871



I. 1. 218. 260



Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska“, Warszawa, Szpitalna 12.

1979K 415 / 27

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Taki dzień budził w sercu radość. Czerwiec wywiesił wszystkie swe odświętne chorągwie; słońce i maki rozlśniły się ognście; białe motyle wlatywały w górę, zataczając wesołe kręgi, a pszczoły uwijały się na kielichach lwich pyszczków. Lipy zaczynały się już okrywać kwieciami. Wysokie białe lilje na ogrodowych grzędach rosły już na wyścigi z polnemi ostrózkami, białe i czerwone róże stały w pełnym rozkwicie, ukazując swe złote serduszka w ujęciu nastroszonych płatków. Lieciuchny wietrzyk poruszał powietrzem, a cichy szmer i brzęk i bzykanie rozbrzmiewało i milkło naprzemian nad głową Edwarda Pierzona, powracającego z samotnej przechadzki do Opactwa Tintern.

Przybył dopiero dziś rano do Kestrel, siedziby swego brata Roberta, położonej nad brzegiem rzeki Wye. Po drodze zatrzymał się w Bath i zdołał się już częściowo opalić w ten szczególny sposób, właściwy ludziom, którzy zbyt długo przebywają w Londynie. Kiedy tak szedł długą, obsadzoną gęsto drzewami aleją, popłynęła ku niemu melodia zagranego od niechcienia walca. Uśmiechnął się, usłyszawszy dźwięki fortepianu, gdyż muzyka była jego największą namiętnością. Ciemne, przyprószone siwizną włosy odczesane miał od zgrzanego czoła, które wachlował słomkowym kapeluszem.

Czoło, choć niezbyt szerokie, było jednak najszerszą częścią tej wąskiej, pociągłej twarzy, wydłużonej jeszcze przez krótką, spiczastą bródkę. Twarz taką mógłby namalować Van Dyck, twarz, której każdy rys był poważny i łagodny z wyjątkiem lśniących, szarych oczu, okolonych siecią małych zmarszczek. Patrzyły na świat z pod płowych rzęs z dziwnym wyrazem, jakby nie widziały, co się przed nimi znajduje. Szedł szybkim krokiem, choć był zmęczony i zgrzany; wysoki, prosty, szczupły, nosił popielatą szatę kapłańską. Na czarnej kamizelce z kaszmiru kołysał się mały złoty krzyż.

Ponad domem brata, którego ogród biegł skośnie wdół aż po tor kolejowy i rzekę, wybudowano osobno wielki pawilon. Pierson stał w miejscu, w którym aleja się rozwidlała; radował się tonami walca i chłodnym podmuchem wiatru, igrającego w klonach i brzozech. Człowiek pięćdziesięcioletni, obdarzony poczuciem piękna, urodzony i wychowany na wsi, musi bardzo boleśnie tęsknić za otoczeniem, w jakim wyrósł, jeżeli przez długi czas przebywa nieprzerwanie w Londynie. To też popołudnie, spędzone w starem Opactwie, było dla niego niemal, że czemś świętem. Utonął wszystkimi zmysłami w przesyconej słońcem zieleni piętrzącego się przed nim lasu; śledził pajęczki i małe, błyszczące żuki, muchołówki i wróble w bluszczu; dotykał mchów i porostów, patrzył w oczy kwiatkom i marzył, niewiedomo o czym. Jastrząb szybował w górze, wysoko nad lasem — Edward Pierson uleciał z nim razem w błękity. Miał wrażenie, jakby wykąpał swą duszę, jakby z niej zmył szare londyńskie troski.

Już od roku pracował zupełnie sam na swojej parafji, gdyż jego wikary zaciągnął się do wojska, jako kapelan. Był to jego pierwszy wypoczynek od dwóch lat, od czasu wybuchu wojny, a zarazem pierwsza jego wizyta

w domu brata. Spojrzał wdół na ogród i wgórę na rosnące wzdłuż alei drzewa. Bob znalazł wspaniałe schronienie po ćwierćwieczu, spędzonym na Ceylonie. Drogi stary Bob! Uśmiechnął się na myśl o bracie, którego opalona twarz i rozwichrzone bokobrody przypominały trochę bengalskiego tygrysa. To najlepszy chłop pod słońcem! Tak, znalazł w istocie idealny dom dla Thirzy i dla siebie. Edward Pierson westchnął.

I on miał kiedyś idealny dom, idealną żonę; rana, zadana przez jej śmierć piętnaście lat temu, zawsze jeszcze krwawiła. Żadna z córek, ani Gracja, ani Noel nie była podobna do żony. Gracja przypominała raczej jego własną matkę, a jasne włosy i wielkie szare oczy Noel przywodziły mu na myśl kuzynkę Leile, która — biedactwo! — zmarnowała swe życie i teraz podobno zarabia na utrzymanie śpiewem w południowej Afryce. Mój Boże! Jaka to była śliczna dziewczyna!

Przynecony nieustającą melodją walca dotarł do drzwi salonu. Wisiała tam kretonowa firanka. Usłyszał szelest posuwistych kroków i ujrzał swą córkę Noel, tańczącą powolnie w takt muzyki w ramionach młodego oficera w mundurze. Płynęli wciąż wkoło i wkoło, czasem posuwali się wtył, czasem wbok dziwnymi krokami, które widocznie musiały wejść niedawno w modę, nie znał ich bowiem zupełnie. Przy fortepianie siedziała siostrzenica jego, Ewa, z przekornym uśmiechem na rumianej twarzyczce. Edward Pierson patrzył na swą młodą córkę. Oczy jej były nawpół przymknięte, policzki blade. Jasne, całkiem krótko ścięte włosy układały się w loki wokół smukłej, krągłej szyi. Była napozór zupełnie chłodna; tem ogniściej płonął młodzieniec, w którego ramionach płynęła przez pokój. Piękny to był chłopak, o twarzy słonecznej i rumianej, błękitnych oczach i delikatnym złotym meszku na górnej wardze. Edward Pierson pomyślał: „Ładna para!“

Przemknęło mu przez myśl wspomnienie: ujrzał siebie i Leilę tańczących podczas dawno minionych majowych uroczystości sportowych w Cambridge. Leila obchodziła wtedy siedemnaste urodziny, tak, że musiała być o rok młodsza od Nolli. A to był zapewne ów młody człowiek, o którym mu córka pisała w listach z ostatnich trzech tygodni. Czy oni wogóle nie zamierzali przerwać tańca?

Podszedł bliżej, tak, że musieli go zobaczyć i rzekł:
— Czy nie jesteś bardzo zgrzana, Nolli?

Rzuciła mu całusa. Młody człowiek drgnął i zmieszał się, a Ewa zawołała:

— To zakład, wuju; kto wytrzyma dłużej, oni — czy ja.

Pierson rzekł łagodnie:

— Zakład? Ależ dzieci!

Noel szepnęła przez ramię:

— Nie szkodzi, tatusiu! — A młody człowiek wysapał: — Założyła się o jedno ze swoich szczeniąt, ja postawiłem moje szczeniátko przeciw jej pieskowi!

Pierson usiadł odurzony nieco sennem brzdąkaniem na fortepianie, powolnem kołowaniem tańczących i zmrużonemi, zamglonemi oczyma swej młodej córki, która patrzyła na niego przez ramię, ilekroć go mijiała w tańcu. Siedział z uśmiechem na ustach. Nolli dorastała! Teraz, od czasu kiedy Gracja wyszła zamąż, czuł ciężącą na nim odpowiedzialność. Ach, gdyby jego droga żona żyła! Uśmiech zamarł mu na ustach, na twarz wystąpił nagle wyraz wielkiego zmęczenia. Walki moralne i fizyczne, jakie musiał staczać ustawicznie w ciągu ostatnich piętnastu lat, przygniatały go czasem do ziemi. Każdy inny mężczyzna na jego miejscu byłby się powtórnie ożenił, ale jemu wydawało się to zawsze świętokradztwem. Kościół zezwalał wprawdzie na powtórne małżeństwo, jednak wedle przekonań Piersona prawdziwy związek trwał na wieki.

Przyglądał się młodziutkiej córce z uczuciem zadowolenia i niepokoju. Czyż to mogło jej wyjść na dobre? Wydawali się oboje bardzo szczęśliwi i tyle było w młodych stworzeniach uczuć, których nie mógł zrozumieć. Noel, taka tkliwa, taka rozmarzona, czasem robiła wrażenie, jakby ją jakiś djabeł opętał. Edward Pierson przypisywał owe żywiołowe wybuchy temu, że straciła matkę jako małe dziecko. Gracja bowiem, starsza zaledwie o dwa lata, nie mogła zastąpić jej matki. To zadanie przypadło w udziale ojcu, a Pierson zdawał sobie niejasno sprawę, że mu się to niezupełnie udało.

Siedział i patrzył na nią z żartobliwym zatroskaniem. Nagle rzekła tym swoim delikatnym głosem, który nadawał każdemu słowu lekko pogardliwe brzmienie:

— Teraz mam dość! — Usiadła obok niego, sięgnęła po jego kapelusz i zaczęła się nim wachlować.

Ewa uderzyła triumfalny akord:

— Hurra! Wygrałam!

Młody człowiek wyszeptał:

— Mówię ci, Noel, bylibyśmy jeszcze wytrzymali!

— Wiem, ale tatuś zaczynał się nudzić, prawda, kochany? To jest Cyryl Morland.

Pierson uścisnął dłoń młodego człowieka.

— Tatusiu już ci się nos opalił!

— Wiem, drogie dziecko.

— Mogę ci dać świetną białą maść! Musisz się nią nasmarować na noc. Wujaszek i ciotka używają jej oboje.

— Nolli!

— No tak, Ewa tak twierdzi. Jeżeli idziesz się kąpać, Cyrylu, to uważaj na ten wir!

Młody człowiek, patrząc na nią z nieukrywanym podziwem, mruknął:

— Dobrze! — I wyszedł.

Noel odprowadziła go oczyma. Po chwili Ewa przerwała milczenie:

— Jeżeli chcesz się kąpać przed herbatą, Nolli, to pośpiesz się.

— All right. Czy było ładnie w Opactwie, tatusiu?

— Cudownie. Było to, jak wielka, potężna muzyka.

— Tatuś tłumaczy zawsze wszystko na muzykę. Powinieneś widzieć Opactwo w świetle księżyca; wtedy dopiero wygląda bosko. All right, Ewo. Już idę. — Nie wstała jednak, a kiedy Ewa wyszła z pokoju, wzięła ojca pieścizotliwie pod ramię i szepnęła:

— Jak ci się podoba Cyryl, tatusiu?

— Drogie dziecko, cóż ja mogę powiedzieć? Ładny z niego zdaje się chłopak.

— All right, tatusiu. Nie wysilaj się! Ślicznie tu, prawda? — Wstała, przeciągnęła się lekko i odeszła. Z główką, otoczoną krótkimi lokami, robiła wrażenie bardzo wysokiego dziecka.

Pierson, patrząc jak znika za firanką, pomyślał: — Co to za urocze stworzenie! — Wstał także, ale zamiast iść za nią, podszedł do fortepianu i zaczął grać preludjum i Fugę Mendelсона E-moll. Miał doskonale uderzenie, a gra jego przepojona była jakąś rozmarzoną namiętnością. W muzyce znajdował ujście dla rozterek, żalów i tęsknot; drogę wyjścia, która go nigdy nie zawodziła.

W Cambridge miał zamiar studjować muzykę, jako swój przyszły zawód, ale tradycja rodzinna przeznaczyła go do przyjęcia święceń kapłańskich; porwał go też panujący wtedy w kościele anglikańskim nowy prąd, dążący do odrodzenia emocjonalnej wiary. Rozporządzał zawsze własnymi dochodami. Kilka pierwszych lat wykonywania zawodu przepędził najszcześliwiej w parafji, położonej w East-End. Wprawiało go w zachwyt przeświadczenie, że ma nietylko sposobność, ale także

możność niesienia pomocy biednym. Sam był człowiekiem prostym, więc prosty lud parafji zawładnął jego sercem. Jednak po ożenku z Agnes Heriot otrzymał własne probostwo na pograniczu East i West i pozostał tam nawet po jego śmierci, której omal nie przypłacił życiem. Lepiej było trwać dalej w miejscu, gdzie praca i całe otoczenie przypominało mu kobietę, której nie chciał w nowym związku zapomnieć. Zdawał sobie jednak sprawę, że praca nie dawała mu już takiego zadowolenia, jak za życia żony i w czasach młodości. Wątpliwe było, czy Pierson po dwudziestu sześciu latach pracy kapłańskiej zdawał sobie obecnie sprawę z tego, w co właściwie wierzył. Wszystko zostało dawno opisane i ustalone przez tysiące jego własnych twierdzeń. Umacniać się na nowo w wierze, sięgać na nowo jej dna — równałoby się usunięciu fundamentów z pod stojącego jeszcze gmachu. Niektórzy ludzie mają skłonność do pograżania się w czemś nieokreślonym, w czemś, dla czego każde wyznanie wiary jest jednako nieodpowiednie. A jednak Edwardowi Piersonowi bezwątpienia bardziej odpowiadały dogmaty kościoła anglikańskiego, aniżeli religja Zaratustry. Subtelne zmiany i ograniczenia, jakim te dogmaty uległy pod wpływem czasu i wiedzy, nie wywoływały w jego duszy poczucia niestałości i zdrady. Wrażliwy, współczujący, wojowniczy tylko w najgłębszej głębi serca, unikał instynktownie dyskusyj, poruszających tematy drażliwe dla niego, czy dla innych. A ponieważ od człowieka, który nie opierał swego światopoglądu na rozumie, najmniej można było żądać racjonalnego uzasadnienia czegokolwiek, więc narzęczała mu się tylko rzadka sposobność zgłębiania jakiejś rzeczy do dna. Tak, jak w starem Opactwie uleciał w nieskończoność razem z jastrzębiem. zuczka mi i zielenią, tak i teraz przy fortepianie dźwięki, które sam tworzył, porwały go w odmętę uczuciowości. Nie

zdawał sobie przytem sprawy, że jest w jednym ze swych najbardziej religijnych nastrojów.

— Czy nie przyjdiesz na herbatę, Edwardzie?

Kobieta, stojąca za nim w sukni koloru bzu, miała jedną z tych twarzy, które zachowują na zawsze wyraz niewinności, choć właścicielkom ich jako matkom przypadła w udziale dokładna znajomość życia. W czasach cierpień i obaw, jak obecne czasy wielkiej wojny, Thirza Pierson była osobą nieocenioną. Nie rozwodziła się nigdy nad żadnymi kosmicznymi zagadnieniami, umiała jednak potwierdzić istnienie pewnych praw kosmicznych, jak na przykład, że choć cały świat objęty jest wojną, istnieje przecież taka rzecz jak pokój; że choć wszystkim matkom zabijają synów, istnieje przecież macierzyństwo; że w czasach, kiedy każdy żyje przyszłością, istnieje mimo wszystko teraźniejszość. Spokój, serdeczność i pewna rzeczowość zachowania, lśniące, jakby wilgotne oczy wytrzymały próbę dwudziesto-trzechletniego pobytu na plantacjach herbaty w gorącej części Ceylonu; wytrzymały próbę współżycia z Bobem Piersonem; wytrzymały próbę wiecznej obawy o dwóch synów na froncie i zwierzeń prawie wszystkich istot ludzkich, jakie napotykała na swej drodze. Nic nie zdołało jej wytrącić z równowagi. Była jak obraz przedstawiający „Dobroć“, pędzla jakiegoś staroego mistrza, odrestaurowany przez Kate Greenaway. Nigdy nie szła życiu na spotkanie, ale gdy zdarzyło się, że stanęła z niem oko w oko, umiała sobie doskonale poradzić. W tem leżała tajemnica jej siły i dlatego to obecność jej działała zawsze na Piersona kojąco. Wstał i poszedł z nią razem przez trawnik w kierunku wysokiego drzewa, które rośło na krańcu ogrodu.

— Jak sądzisz, Edwardzie, czy Noel dobrze wygląda?

— Bardzo pięknie. A ten młody człowiek, Thirzo?

— Tak, obawiam się, że jest w niej po uszy zakochany.

Usłyszawszy okrzyk niezadowolenia, jaki mu się mimowoli wyrwał, ujęła go pod rękę swem miękkim okrągłym ramieniem:

— Biedaczek, pójdzie niedługo na front.

— Czy mówiła co z tobą?

— On mówił ze mną. Nolli ani słowa.

— Dziwne dziecko z tej Nolli, Thirzo.

— Nolli jest słodka, ale czasem trochę szalona.

Pierson westchnął. Pod drzewem, gdzie przygotowano wszystko do herbaty, „trochę szalona“ osoba siedziała na huśtawce. — Jaka ona śliczna! — pomyślał i westchnął ponownie. Usłyszał głos brata wysoki i chrypliwy, jakby nadpsuty przez klimat Ceylonu:

— Niepoprawny marzyciel z ciebie, Ted! Zjedliśmy ci już wszystkie maliny. Daj mu trochę marmolady, Ewo; musi umierać z głodu! Fu! Co za skwar! Chodź moja droga, nalej mu herbaty! Hallo Cyryl! Dobra była kąpiel? Na Boga, chciałbym sam mieć mokrą głowę! Siadajże, tam, obok Nolli; ona się będzie huśtała i odganiała od ciebie muchy!

— Wujaszku, daj mi papierosa!

— Co? Twój ojciec nie...

— To tylko, żeby odegnać muchy. Pozwolisz, tatu-siu, prawda?

— Jeżeli to konieczne, moja droga.

Noel pokazała zęby w uśmiechu. Oczy jej błyszczały wilgotnym blaskiem z poza długich rzęs.

— Nie jest konieczne, ale zato bardzo przyjemne.

— Aha — rzekł Bob Pierson. — Toś ty taka, Nolli?

Noel potrząsnęła przecząco głową. W tej chwili wydawała się ojcu dziwnie dorosła, dziwnie zrównoważona, kiedy się tak huśtała nad głową młodego chłopca,



siedzącego u jej nóg, na którego pogodnej twarzy malowało się jedno wielkie uwielbienie. — Ona już nie jest dzieckiem! — pomyślał. — Moja droga Nolle!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Przebudzony przez to codzielną powtarzającą się okrucieństwo, jakim jest przyniesienie gorącej wody do mycia, Edward Pierson leżał w pokoju o kretonowych firankach i myślał, że jest w Londynie. Pszczoła, szukając miodu w kwiatkach, stojących w wazonie na parapecie okna, i zapach polnych róż rozwiały to złudzenie. Rozsunął firanki, przyklęknął na ławce i wychylił głowę przez okno. Poranne powietrze było odurzająco słodkie. Mgła otulała rzekę i niebieskie za nią lasy. Dwie pliszki spacerowały po błyszczącej w słońcu rosie. — Dziękuję Ci, Boże, za tyle piękna! — pomyślał. — Biedni ci chłopcy na froncie! — Klęczał, oparłszy łokcie o parapet i zaczął odmawiać pacierz. Przepęłniało go teraz to samo uczucie, które nakazywało mu dbać o upiększenie swego kościoła, używać kościelnych strojów, dobrej muzyki i kadzideł. Bóg objawiał się w pięknie tego świata, tak samo, jak i w swym kościele. Można Go było czcić w gaju bukowym, pięknym ogrodzie, na wysokiej górze, nad brzegiem lśniącej rzeki. Bóg był w szmerze liści, brzęku pszczoły, w rosie na trawie, w zapachu kwiatów. Bóg był we wszystkim! Pierson szepem dodał do swej codziennej modlitwy następujące zdanie: — Dziękuję Ci, o Panie, za moje zmysły. Utrzymaj je w nas wszystkich, aby były wrażliwe i wdzięczne

za piękno. — Pozostał przez chwilę bez ruchu, opanowany jakimś dziwnym uczuciem szczęśliwej tęskności, graniczącej z melancholją. Wielkie piękno robiło zawsze na nim takie wrażenie. Tak mało tego piękna można było ogarnąć — a nigdy nie można się było dosyć niemacieszyć. Któż to powiedział mu niedawno: — Umiłowanie piękna jest właściwie tylko instynktem płciowym, którego nic, prócz zupełnego połączenia, nie zadowoli. — Ach tak, Jerzy — mąż Gracji. Jerzy Laird! Mała zmarszczka zarysowała się między jego brwiami, jakby poczuł ukłucie ciernia. Biedny Jerzy! Ale właściwie wszyscy lekarze wyznają w głębi duszy materjalizm, choć mogą to być wspaniali ludzie. Świetny chłop, ten Jerzy, zapracowuje się na śmierć tam we Farncji. Nie można ich wszystkich brać zbyt poważnie. Zerwał gałązkę głogu i poniósł ją do nosa błyszczącego jeszcze od białej maści, której mu Noel nakazała używać. Wdychał słodką woń tych małych szorstkich listeczków i uczył nagle dotkliwy ból w sercu. Odrzucił gałązkę i cofnął się. Precz z tęsknotą, precz z melancholją; w tak piękny poranek jak dziś, szkoda każdej chwili spędzonej w domu.

Była niedziela. Nie musiał mimo to odprawiać trzykrotnie mszy i nie musiał wygłosić przynajmniej jednego kazania. Ten dzień wypoczynku miał być tym razem również i dla niego prawdziwym świętem. Wyprowadzało go to prawie z równowagi. Przez zbyt długi czas czuł się, jak koń dorożkarski, któryby padł na ziemię, gdyby go ktoś odprzągnął od dyszla. Zaczął się ubierać z determinacją i nie był jeszcze całkiem gotów, kiedy usłyszał pukanie do drzwi i głos Nollie:

— Czy mogę wejść, tatusiu?

W jasnoniebieskiej sukni z różą „Gloire de Dijon“ wpiętą w miejscu, skąd wykwiatała jej lekko opalona na

bronzowy ton szyja, robiła na ojcu wrażenie uosobienia świeżości.

— Oto list od Gracji. Jerzy został odesłany do domu chory. Leży w naszym mieszkaniu. Gracja wzięła urlop ze szpitala, aby móc przyjechać do domu i pielęgnować go.

Pierson przeczytał list. — Biedny Jerzy.

— Kiedy mi pozwolisz zostać pielęgniarką, tatusiu?

— Musisz poczekać, aż skończysz osiemnaście lat.

— Mogłabym z łatwością powiedzieć, że już skończyłam osiemnaście lat. Brakuje mi tylko miesiąca, a wyglądam i tak na więcej.

Pierson uśmiechnął się.

— Czy nie?

— Moznaby ci przypisać każdy wiek od piętnastu do dwudziestu pięciu lat stosownie do tego, jak się zachowujesz.

— Chciałabym być możliwie jaknajbliżej frontu.

Trzymała głowę w ten sposób, że słońce ujmowało złocistą aureolą jej twarzyczkę nieco szeroką, zbyt szeroką może na linii czoła, nad którym jasno brązowe włosy układały się w miękkich falach. Nos miała krótki i niezdecydowany, owal policzków krągły jeszcze, jak u dziecka, cerę woskowo białą i lekkie cienie pod oczyma. Ale wargi jej, słodkie bardzo, choć kapryśne, a nade wszystko szare oczy wielkie, rozmarzone i pełne życia — wskazywały, że kaczątka przedzierzgnęło się już w łabędzia. Nie mógł jej sobie wyobrazić w stroju pielęgniarki.

— To coś całkiem nowego, nieprawdaż, Nolli?

— Obie siostry Cyryla Morlanda są w polu. On sam też niedługo wyruszy. Wszyscy idą.

— Gracja nie była jeszcze na froncie. Nauka pielęgniarstwa trwa długo.

— Jedna przyczyna więcej, żeby nareszcie zacząć.

Wstała, spojrziała na niego, spojrziała na swoje ręce, chciała coś powiedzieć, ale milczała. Lekki rumieniec wystąpił na jej policzki. Wkońcu zapytała, aby podtrzymać rozmowę:

— Czy idziesz do kościoła? Zapewniam cię, że warto słyszeć, jak wuj Bob czyta Biblię, szczególnie gdy się zgubi w tekście. Nie, nie wkładaj jeszcze surduta, proszę cię. Masz czas włożyć go przed wyjściem do kościoła. Nie chcę, żebyś go teraz wkładał!

Pierson posłusznie zrezygnował ze surduta.

— Widzisz, za to dostaniesz moją różę. A twój nos wygląda dziś stanowczo przystojniej.

Pocałowała go w nos i wpięła mu różę do butonierki. — Zrobione. Chodźmy! — Poszli na dół trzymając się pod rękę. Pierson wyczuwał, że przyszła z zamiarem powiedzenia czegoś, czego mu nie powiedziała.

2.

Ponieważ Bob Pierson był najzamożniejszy w całej gminie, więc on właśnie czytał głosem wysokim i sapiącym teksty z Biblii, przyczem nigdy nie starczało mu oddechu do końca zdania. Wszyscy zebrani w kościele byli do tego przyzwyczajeni i nie widzieli w tem niczego dziwnego; Bob Pierson był typowym szlachcicem wiejskim; to też musiał wetknąć wszędzie swoje trzy grosze. Niepokoił właściwie tylko własną rodzinę. Noel w drugim rzędzie ławek, patrzyła z poważną miną na profil ojca, siedzącego w pierwszej ławce i myślała: — Biedny tatuś! oczy mu poprostu z głowy wychodzą! O, tatusiu! Uśmiechnij się prędyutko, bo ci to jeszcze zaszkodzi. — Obok niej młody Morland w mundurze, sztywny i smukły, myślał: — Ona nie myśli o mnie. — Właśnie w tej chwili poczuł, że jej mały paluszek zahaczył o jego ma-

ły palec. Edward Pierson myślał: — Drogi stary Bob! — A obok niego Thirza myślała: — Biedny, drogi Ted! Jak to dobrze dla niego, że sobie raz gruntownie odpocznie. Muszę go dobrze odżywiać — jest za chudy. — Ewa myślała: — Och, tato, litości — ale Bob Pierson pomyślał: — Dobra nasza! jeszcze tylko trzy linijki! — Mały paluszek Noel oderwał się od ręki młodego Morlanda, oczy jej poszukały jego oczu i zajaśniały blaskiem, który nie gasł przez cały czas śpiewów i modlitw. Wkońcu szmer pełen szacunku rozszedł się po kościele. Zebrani zajęli miejsca. Człowiek w komży wszedł na kazalnicę.

— Nie przyszedłem do was ze słowami pokoju, tylko z mieczem.

Pierson podniósł wzrok. Przejęło go uczucie głębokiego spokoju. Miłe światło było w tym kościele. Bzykanie ciężkiej, wiejskiej muchy nadawało ciszy zupełnie inne zabarwienie. Żadna myśl krytyczna nie budziła się w nim, żadne podniecenie. — Teraz posłucham czegoś, co mi dobrze zrobi — myślał. — To piękny tekst; kiedyż to miałem ostatni raz na ten temat kazanie? — Odwrócony nieco od reszty słuchaczy, nie widział niczego poza miłym obliczem kapłana, przemawiającego z ponad ozdobionej rzeźbami, dębowej kazalnicy; od tak dawna nie słuchał kazania, od tak dawna nie miał wakacyj! Słowa płynęły ku niemu, padały na jego czoło, starały się dotrzeć do głębi, napotykały na przeszkodę i przebrzmiewały. — Dobrze, proste kazanie! — myślał. — Mam wrażenie, że nie mam już tej bezpośredniości; nie umiem...

— Nie myślcie, drodzy bracia, — brzmiały monotonne, a poważne słowa kazania, — iż drogi Pan nasz mówiąc, że przynosi nam miecz, myślał o prawdziwym mieczu. Niewątpliwie miał na myśli miecz ducha, jasny miecz ducha, który przez wszystkie wieki torował sobie

drogę poprzez więzy krępujące ludzi, a ukute przez ich własne zachcianki, ukute przez ludzi dla innych ludzi, by dogodzić swym ambicjom, czego najjawniejszym przykładem jest napaść srogiego nieprzyjaciela na mały kraj sąsiedni, który nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Drodzy bracia, my wszyscy możemy przynieść miecze. — Broda Piersona podniosła się gwałtownym ruchem w górę. — Wszyscy możemy przynieść miecze, — pomyślał, — miecze — nie spałem chyba — napewno nie! — Ale musimy mieć przeświadczenie, że nasze miecze są jasne; jasne nadzieją i jasne wiarą, żebyśmy mogli widzieć, jak lśnią żywym blaskiem, torując nam poprzez cielesne żądze doczesnego życia drogę do Królestwa Bożego, w którym jedynie znajdziemy pokój, zupełny pokój. Módlmy się.

Pierson nie zamknął oczu, otworzył je, upadając na kolana. W ławce za nim Noel i młody Morland uklękli także. Każde z nich zakryło twarz jedną dłonią; ale jego lewa ręka i jej prawa spoczywały obok siebie. Modlili się nieco dłużej niż inni, a kiedy się podnieśli z klęczek, śpiewali hymn głośniejsze od innych.

3.

Żadnej gazety nie było w niedzielę w Kestrel — nawet lokalna gazeta, która od tak dawna i z taką wytrwałością starała się przyczynić nagłówkami do wygrania wojny, nie wychodziła w niedzielę. Żadne nowiny o uśmierconych ludziach nie ożywiały ciszy gorącego czerwcowego popołudnia i sennego nastroju, jaki ogarniał wszystkich po niedzielnym śniadaniu ciotki Thirzy. Niektórzy spali, niektórym wydawało się że nie śpią... Tylko Noel i młody Morland szli w górę przez las ku polanie, zarosłej wrzosem i janowcem, położonej wysoko u stóp tak zwanych Kestrelskich Skał. Z ust tych

dwojga młodych nie padło jeszcze żadne słowo o miłości. Dotychczas tylko spojrzenia i dotknięcia były wyrazem ich rosnącego pociągu ku sobie.

Młody Morland kolegował w szkole i na uniwersytecie z dwoma chłopcami Piersonów, którzy byli teraz na froncie. Nie miał własnego domu, gdyż rodzice jego umarli. Nie była to też jego pierwsza wizyta w Kestrel. Kiedy przyjechał trzy tygodnie temu, aby tu spędzić ostatni urlop przed wyruszeniem na front, i kiedy ujrzał dziewczynę, siedzącą w małym powoziku przed stacją, zrozumiał, że los jego jest przesądzony. Ale któż mógł wiedzieć, kiedy się Noel zakochała? Przymuszczałnie cała jej istota była nastawiona na to uczucie. Ostatnie dwa lata spędziła na jednej z tych pierwszorzędných doksztalających pensyj, które mimo bardzo rozsądnego programu nauki, a może właśnie z powodu tego, pobudzają zawsze pewne skryte zainteresowanie dla płci odmiennej. Wiadomo, że nawet najpoważniejsze usiłowania nie zdołają w zupełności zagłuszyć instynktu, zwłaszcza wtedy, gdy instynkt ten pobudzony jest do żywego na widok znikania wszystkich młodych mężczyzn w paszczy Molocha — militaryzmu. Myśli Noel i jej szkolnych koleżanek obracały się wciąż dokoła spraw, które w czasach przedwojennych, w czasach pokoju i przeróżnych możliwości, mogły być uważane za rzeczy drugorzędnego znaczenia. Miłość, Małżeństwo i Macierzyństwo, wiekūste przeznaczenia kobiety, dla tych młodych istot stawały pod znakiem zapytania. Nic więc dziwnego, że starały się osiągnąć to, co im się wymykało z rąk.

Kiedy młody Morland zaczął za nią wodzić oczyma, zdradzając w ten sposób, co się w nim dzieje, Noel była zadowolona. Uczucie zadowolenia przerodziło się w lekkie podniecenie. Z podnieczonej stała się rozmarzona... A potem na tydzień przed przyjazdem ojca ona sama

zaczęła skrycie wodzić oczyma za młodym człowiekiem; stała się kapryśna i trochę okrutna. Gdyby się tu znalazł inny młody człowiek, któremoby można okazywać względy! — ale nie było żadnego; zaczęła się więc przybliżać do brązowego setera wuja Boba. Cyryl Morland był w rozpacz. Przez ostatnie trzy dni djabeł, którego się jej ojciec obawiał, opanował ją w zupełności. A potem, jednego wieczora, kiedy wracali we dwoje do domu przez świeżo skoszone łąki, rzuciła mu skośne spojrzenie. Wyszeptał — O Noel! co ja ci złego zrobiłem? — Chwyliła go za rękę i uścisnęła ją mocno. Co za zmiana! Co za cudowna przemiana od tej chwili!...

Młody Morland piał się przez las w milczeniu i myślał: — Dziś zbiorę się na odwagę i powiem wszystko. — Noel też szła w górę milcząc i myśląc: — Pocałuję go, jeżeli mnie pocałuje. — Drżała z oczekiwania, a jednocześnie czuła w sobie dziwną omdlałość. Wielki kapeluszeł ocieniał jej twarz; nie patrzyła na niego. Promienie słońca przedzierały się przez każdą szparkę w liściu i ożywiały cudownie zieleń pnącego się w górę lasu; lśniły na liściach buków, dębów i brzoź; padały na ziemię, tworząc małe strumyki światła; malowały jasne plamy na pniach drzew i na trawie, na mchach, na paprociach; motyle goniły się w tem słońcu, szal życia opanował tysiące mrówek, komarów i muszek. Cały las zdawał się zaklęty czarem, jak gdyby słońce było szczęśliwym duchem, który wstąpił w las, aby w nim zamieszkać. W połowie drogi, w miejscu, skąd mogli przez rzędzące drzewa widzieć w głębokiej dali połyskującą powierzchnię rzeki, usiadła na grubym pniaku bukowym, a młody Morland przystanął i patrzył na nią. Czemu właśnie taka twarz, a nie inna, ten głos a nie inny pobudza nasze serce do żywszego bicia? Dlaczego dotknięcie jednej dłoni wywołuje rozkosz, a dotknięcie innej nie wywołuje niczego? Przyklęknął i przycisnął

usta do jej stopy. Oczy jej rozbłysły; wstała jednak i pobięła dalej — nie spodziewała się, że pocałuje ją w nogę. Słyszała, że goni za nią i przystanęła, oparłszy się o pień brzozy. Dopadł jej i, nie wyrzekłszy słowa, przycisnął wargi do jej warg. Nadeszła dla nich ta chwila życia, której żadne słowo nie zdoła określić. Znaleźli swe zaczarowane miejsce i nie ruszali się z niego. Siedzieli, objąwszy się ramionami, a szczęśliwy duch lasu patrzył na nich. Nic tak nie pobudza szybkiego rozwoju miłości, jak wojna. To, co w normalnych czasach trwałoby sześć miesięcy, stało się tu w przeciągu trzech tygodni. Szybko minęła godzina. Wkońcu Noel rzekła:

— Muszę pomówić z tatusiem, Cyrylu. Miałam zamiar powiedzieć mu coś dziś rano, ale myślałam, że lepiej będzie poczekać, bo nuż ty się nie odezwiesz?

Morland odparł: — Och, Noel!

Podczas tej rozmowy na górze imię jej powracało mu stale na usta. Minęła druga, krótka godzina; Morland rzekł:

— Zwaruję chyba, jeśli się nie pobierzemy, nim wyruszę!

— Jak długo trzeba jeszcze czekać?

— Króciutko, jeżeli się pośpieszymy. Mam sześć dni urlopu, a może komendant da mi jeszcze jeden tydzień, jeżeli mu powiem, że się żenię.

— Biedny tatuś. Pocałuj mnie jeszcze, — długo.

Kiedy „długi“ pocałunek się skończył, rzekła:

— Więc będę mogła pojechać z tobą i być blisko ciebie, aż wyruszysz? Och, Cyrylu!

— Och, Noel!

— Może nie będziesz musiał wyruszyć tak prędko. Nie idź, jeżeli się tylko da!

— Jeżeli się tylko da, kochanie; ale to niemożliwe.

— Pewnie, że niemożliwe. Ja wiem.

Młody Morland szarpnął się za włosy.

— Każdy jest teraz w tej samej sytuacji, ale to nie może trwać wieki. A teraz, skoro jesteśmy zaręczeni, możemy być razem przez cały czas, aż dostanę pozwolenie na małżeństwo. A potem...

— Tatuś nie będzie zadowolony, że się nie pobierzemy w kościele, ale mnie to wszystko jedno!

Młody Morland patrzył na jej zamknięte oczy i na długie rzęsy, sięgające do policzków i myślał: — Mój Boże! Jakież jestem szczęśliwy!

Jeszcze jedna, krótka godzina minęła, nim Noel uwolniła się z jego uścisku.

— Musimy teraz iść, Cyrylu. Pocałuj mnie raz jeszcze.

Zbliżała się pora obiadowa, kiedy pobiegli wdół.

Edward Pierson, powracający właśnie z wieczornego nabożeństwa, podczas którego czytał tekst z biblij, ujrzał ich zdaleka i zacisnął wargi. Niepokoila go ich długa nieobecność! Jak powinien był postąpić? Czuł się dziwnie obcy i nieporadny wobec marzeń młodej miłości. Kiedy tego samego wieczora otworzył drzwi swojego pokoju, ujrzał Noel, siedzącą w szlafroku na oknie. Zalewał ją całą blask księżycy.

— Nie zapalaj światła, tatusiu, chcę ci coś powiedzieć.

Wzięła do ręki mały, złoty krzyż, wiszący na jego kamizelce i zaczęła się nim bawić.

— Jestem zaręczona z Cyrylem; chcemy się pobrać w tym tygodniu.

Słowa te były dla Edwarda Piersona, jak uderzenie obuchem. Nie zważając na jego okrzyk mówiła śpiesznie dalej:

— Widzisz, my się musimy pobrać; Cyryl może lada dzień wyruszyć w pole.

Pomimo swego bolesnego zmieszania musiał przy-

znać, że słowa jej nie były pozbawione racji. Rzekł jednak:

— Moja droga, jesteś jeszcze dzieckiem. Małżeństwo jest jedną z najpoważniejszych rzeczy w życiu; znasz go dopiero trzy tygodnie.

— Wiem to wszystko, tatusiu — głos jej brzmiał tak niedorzecznie spokojnie. — Ale nie możemy sobie pozwolić na czekanie. Widzisz, on może nigdy nie wrócić, a wtedy straciłabym go na zawsze.

— Ależ Noel, gdyby miał nigdy nie wrócić, to będzie dla ciebie o wiele gorzej.

Wypuściła z ręki krzyżyk, chwyciła go za rękę i przycisnęła ją do serca. Głos jej ciągle jeszcze brzmiał spokojnie.

— Nie, tatusiu, o wiele lepiej. Myślisz, że nie umiem sobie zdać sprawy z moich uczuć, ale tak nie jest.

Pierson - człowiek zmiękł, serce Piersona - kapłana stwardniało.

— Nolli, prawdziwe małżeństwo, to związek dusz; a do tego potrzeba czasu. Trzeba czasu, aby się przekonać, czy macie te same upodobania i myśli, czy macie te same uczucia.

— Tak, wiem o tem; ale my je mamy.

— Nie można się poznać w ciągu trzech tygodni — nie wyrażaj się z taką pewnością.

— Ale nie żyjemy przecież w zwykłych czasach, prawda? Ludzie muszą się teraz śpieszyć ze wszystkim. O, tatusiu! Bądź dobry! Mama zrozumiałaby mnie na pewno i pozwoliłaby!

Pierson wysunął rękę z jej dłoni; zaboląły go te słowa: przypominały mu stratę, przypominały mu, że nie umiał należycie zastąpić córkom matki.

— Posłuchaj, Nolli! — rzekł. — Mimo, że już tyle lat minęło od chwili, gdy od nas odeszła, jestem zawsze tak samo samotny, gdyż właściwie byliśmy jednym. Je-

żeli wyjdiesz za tego młodego człowieka, nie zdając sobie lepiej sprawy ze swych uczuć, niż to jest możliwe po tak krótkim czasie, możesz tego gorzko pożałować. Może się okazać, że to była tylko pusta namiętność. Z drugiej zaś strony, jeżeli mu się coś stanie, nim będziecie mogli zacząć prawdziwe małżeńskie życie, będziesz miała o wiele silniejsze uczucie żalu i straty aniżeli, jeśli jako narzeczeni poczekacie do końca wojny. Prócz tego, moje dziecko, jesteś jeszcze o wiele za młoda.

Siedziała tak nieruchomo, że spojrzał na nią zaniepokojony.

— Ale ja muszę!

Zagryzł wargi i rzekł surowo:

— Nie możesz, Nolli.

Wstała i zanim zdolał ją zatrzymać, wybiegła z pokoju. Skoro tylko zamknęła drzwi za sobą, cały jego gniew uleciał, ustępując miejsca zatroskaniu. Biedne dziecko! Cóż tu począć z tem samowolnem pisklęciem, co się ledwie wykluło z jaja, a jużby chciało popróbować własnych skrzydełek? Myśl, że leży pewnie teraz w swoim pokoju zrozpaczona i może płacząca — nie dawała mu spokoju. Wyszedł na korytarz i zapukał do jej drzwi. Nie otrzymał odpowiedzi i wszedł. W ciemnym pokoju jaśniał pas księżycowego światła i w tej poświacie ujrzał ją leżącą na łóżku z twarzą zwróconą do poduszki. Podeszedł cicho do niej i położył rękę na jej głowie. Nie poruszyła się. Zaczął głaskać jej włosy i rzekł:

— Droga Nolli, nie miałem zamiaru cię martwić. Gdybym był twoją matką, wiedziałbym napewno, jak ci to wszystko wytłumaczyć i jak cię przekonać, ale jestem przecież tylko starym, nieporadnym tatusiem.

Obróciła się i przysiadła ze skrzyżowanemi nogami

na łóżku. Widział, jak oczy jej błyszczały. Nie rzekła słowa, jakby wiedziała, że siła jej leży w milczeniu.

Z rozpaczą w głosie powiedział:

— Musisz mi pozwolić pomówić o tem z twoją ciotką. Ona ma dużo zdrowego rozumu.

— Dobrze.

Pochylił się nad nią i ucałował jej gorące czoło.

— Dobranoc, drogie dziecko, nie płacz! Przyrzeknij, że nie będziesz!

Skinęła potakująco głową i podniosła twarzyczkę. Poczul na czole dotknięcie jej gorących warg. Odszedł pocieszony nieco.

Lecz Noel siedziała dalej na łóżku, oplótłszy rękoma kolana, zasluchana w ciszę nocy i w pustkę. Każda minuta stracona bezpowrotnie — każda minuta z tego krótkiego, krótkiego czasu, który mogła przecież spędzić razem z nim!

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pierson przebudził się po niespokojnie przespanej nocy. Śniło mu się, że wędruje po niebie, jak zatracona dusza.

Kiedy wrócił do swego pokoju wczorajszego wieczora, musiał ciągle myśleć o tem, jak niepotrzebnie powiedział: — Nie płacz, Nolli! — Uświadomił sobie bowiem z niepokojem, że nie zbierało jej się wcale na płacz. O nie; uczucie, które ją opanowało, nie miało nic wspólnego ze łzami. Widział ją ciągle przed sobą, siedzącą na łóżku w niepewnym świetle, sztywną i zagadkową, jak chińska figurka. Czuł ciągle jeszcze dotknięcie jej rozpalonych warg. Gwałtowny, dziewczęcy wybuch łez byłby jej ulżył i byłby dla niego rękojmią na przyszłość. Miał niemile przekonanie, że jego odmowa była dla niej tak bez znaczenia, jakby jej wcale nie wypowiedział. A ponieważ nie mógł o tej porze nocy pójść do fortepianu i grać, więc padł wkońcu na kolana i modlił się długo, prosząc Boga, aby mu wskazał, jak ma postąpić. Modlitwa jednak nie została wysłuchana.

Przy śniadaniu winowajcy zachowywali się nader skromnie. Niktby nie przypuszczał, że godzinę temu siedzeli nad rzeką oplótnięty ramionami, zapatrzeni w uciekające fale, rozmawiając niewiele, gdyż wargi ich zbyt były zajęte. Pierson poszedł z bratową do pokoju,

gdzie co rano układała kwiaty. Przyglądał się jej przez chwilę, jak odłączała pnące róże od bratków i bławatki od ogrodowego groszku, zanim rzekł:

— Mam wielkie zmartwienie, Thirzo. Nollie przyszła do mnie wczoraj wieczorem. Wyobraź sobie! Chca się pobrać — ci młodzi!

Thirza, która umiała brać życie takim, jakim było, nie okazała zbytniego wzruszenia. Policzki jej tylko zabarwiły się żywszym rumieńcem i oczy bardziej się zaokrągliły. Wzięła do ręki gałązkę rezedy i rzekła ze spokojem:

— Co mówisz, mój drogi?

— Pomyśl Thirzo — to dziecko! Mój Boże, przecież to dopiero rok, czy dwa lata temu, jak siadała mi na kolanach i muskała mnie po twarzy włosami.

Thirza nie przerywała układania kwiatów.

— Noel jest starsza, niż przypuszczasz, Edwardzie. Jest nad wiek dojrzała. A prawdziwe małżeńskie życie zaczęłoby się dla nich dopiero później — o ileby się wogóle zaczęło.

Pierson był nieomal przerażony. Słowa bratowej były w jego pojęciu wprost karygodnie lekkomyślne.

— Ale, ale — wyjąkał, — sam związek, Thirzo! Któż może wiedzieć, co się stanie, nim oni się znów zejdą!

Spojrzała na jego rozedrganą twarz i rzekła łagodnie:

— Rozumiem, Edwardzie; obawiam się jednak, że w obecnych czasach Noel mogłaby zrobić coś nieobliczalnego, jeżeli im nie dasz pozwolenia. Mówiłam ci już raz, że jest czasem zupełnie szalona.

— Noel będzie mi posłuszna.

— Nie wiem! Jest teraz takie mnóstwo wojennych małżeństw.

Pierson odwrócił się.

— Według mnie te małżeństwa są okropne. Czemże

właściwie one są? Poprostu chwilowem zaspokojeniem namiętności. Moznaby się doskonale bez nich obejść.

— Są przedewszystkiem zapewnieniem pensji — rzekła Thirza spokojnie.

— Thirzo, to, co mówisz, jest cyniczne; a pozatem nie ma nic wspólnego z tym wypadkiem. Nie mogę znieść myśli o tem, że moja mała Nolli ma się tak oddać cała dla jednej krótkiej chwili, która może być końcem wszystkiego, albo może się okazać początkiem nieszczęśliwego małżeństwa. Co to za chłopak? Czem on jest? Nie wiem o nim nic. Jakże mogę mu ją dać — to przecież niemożliwe! Jeżeli będą zaręczeni przez jakiś czas, jeżeli go poznam bliżej — wtedy, może; nawet mimo młodości. Ale tak, w roznamiętnieniu, na leb na szyję — to nie jest w porządku, to nie jest przyzwoicie. Nie mogę pojąć — doprawdy nie mogę pojąć, jak takie młode dziecko może tego pragnąć. Cała rzecz w tem, że moja mała, biedna Nolli nie zdaje sobie sprawy z tego, o co mnie prosi. Nie zna istoty małżeństwa, nie umie jeszcze zrozumieć jego świętości. Ach, gdyby żyła jej matka! Pomów z nią, Thirzo; ty potrafisz powiedzieć jej niejedno, czego ja nie umiem.

Thirza patrzyła za nim jak odchodził. Pomimo kapłańskiej szaty, a może właśnie z powodu niej, wydawał jej się podobny do małego dziecka, które przyszło do niej pokazać bolący palec. Skończyła układać kwiaty i wyszła, aby poszukać bratanicy. Nie musiała iść daleko; Noel stała w hallu, czekając na nią najwidoczniej. Wyszły razem w aleję.

Dziewczyna zaczęła odrazu:

— Szkoda słów, ciociu. Cyryl stara się już o pozwolenie na małżeństwo.

— O! więc zdecydowaliście się już?

— Tak.

— Czy uważasz, że postępujecie wobec mnie lojalnie,

Nolli? Czy myślisz, że byłabym go zaprosiła, gdybym była przypuszczala, że coś takiego się stanie?

Noel uśmiechnęła się tylko.

— Czy masz choćby słabe wyobrażenie, czem jest właściwie małżeństwo?

Noel skinęła potakująco głową.

— Doprawdy?

— Ależ naturalnie. Gracja jest zamężna, a oprócz tego w szkole...

— Twój ojciec jest temu bardzo przeciwny. Będzie to dla niego ciężkie przejście. To prawdziwie święty człowiek, nie powinnaś mu sprawiać zmartwienia. Czy nie mogłabyś przynajmniej poczekać, aż Cyryl dostanie następnny urlop?

— Widzisz, ciociu, on go może już nigdy nie dostać.

Słowa te musiały znaleźć oddźwięk w sercu kobiety, której chłopcy też byli na froncie i mogli też więcej nie powrócić na urlop. Spojrzała na bratanicę z nawpół świadomem zrozumieniem tego buntu życia, zagrożonego przez śmierć, buntu młodości, na którą czyhało zniszczenie. Noel miała zęby zaciśnięte i rozchyłone wargi; patrzyła nieruchomo przed siebie.

— Tatus nie powinien nam stać na przeszkodzie. Starzy ludzie nie muszą walczyć i nie muszą się dać zabijać, nie powinni więc nam przeszkadzać, kiedy chcemy coś mieć z życia. Oni już użyli dobrego w swoim czasie.

Tyle było słuszności w tem małym przemówieniu, że Thirza odparła:

— Prawda. Może on sobie z tego nie zdaje należycie sprawy.

— Chcę sobie zapewnić Cyryla, ciociu. Chcę przeżyć z nim wszystko co się da, jak długo jeszcze mam tę możliwość. Nie wiem, czy żądam za wiele. Pomyśl, że mogę go nigdy więcej w życiu nie zobaczyć.

Thirza wsunęła rękę pod ramię dziewczęcia.

— Rozumiem, — rzekła, — ale, Nolli, przypuścimy, że kiedy wszystko minie i będziemy znowu mogli żyć i oddychać normalnie, uświadomisz sobie, żeś popełniła błąd?

Noel potrząsnęła przecząco głową:

— Nie popełnię błędu.

— Wszyscy tak myślimy, moja droga. Ale tysiące błędów popełniają właśnie ludzie, którym się tak samo nie śni o tem, jak tobie teraz; a potem robi się z tego okropna sprawa. Dla ciebie byłaby szczególnie okropna, twój ojciec wierzy święcie w nierozzerwalność małżeństwa.

— Tatuś jest kochany; ale nie zawsze zgadzam się na to wszystko, w co on wierzy. Pozatem nie popełniam omyłki; kocham Cyryla całym sercem.

Thirza przycisnęła ją do siebie.

— Nie wolno ci popełniać błędu. Zbyt cię kochamy, Nolli. Chciałabym, żeby Gracja była tu z nami.

— Gracja byłaby po mojej stronie, — rzekła Noel. — Ona wie, co znaczy wojna. Tyś też powinna mnie zrozumieć, ciociu. Jestem pewna, żebyś się nigdy nie sprzeciwiała, gdyby Rex albo Harry chcieli się ożenić. A oni nie są wcale starsi od Cyryla. Musisz zrozumieć, cioteczko, co dla mnie znaczy uczucie, że należymy do siebie zupełnie, zanim się to wszystko dla niego zacznie i — i może skończy. Tatuś nie zdaje sobie z tego sprawy. Wiem, że jest serdecznie dobry, ale — zapomniiał już.

— Moja droga, mam wrażenie, że pamięta zbyt dobrze. Kochał twoją matkę do szaleństwa.

Noel zacisnęła pięści.

— Doprawdy? A ja tak samo kocham Cyryla, a on mnie. Nie upieralibyśmy się przy głupstwach — ale to jest — jest konieczne. Pomów z Cyrylem, ciociu; wtedy

z pewnością zrozumiesz. Oto i on, tylko nie zatrzymuj go długo, bo mi go potrzeba, ach ciociu, tak bardzo mi go potrzeba!

Odwróciła się i wślizgnęła znowu do domu. Thirza zrozumiała, że została podstępnie sprowadzona do tego młodego człowieka, który stał z rękoma skrzyżowanymi, jak Napoleon przed bitwą. Uśmiechnęła się i rzekła: — A więc wywiodłeś mnie w pole, Cyrylu!

Nawet kiedy mówiła te słowa, zdawała sobie sprawę z ogromnej zmiany, jaka zaszła w tym opalonym, błękitnookim, beztroskim, butnym chłopcu od dnia, kiedy trzy tygodnie temu zajechał do nich w małym powoziku. Wziął ją pod rękę, tak samo, jak Nolli i pociągnął ją za sobą na małą, drewnianą ławeczkę, na której najwidoczniej kazano mu na nią czekać.

— Widzi Pani, — rzekł, — Noel nie jest zwykłą dziewczyną i nie żyjemy w zwykłych czasach, prawda? Noel jest jedną z tych dziewcząt, dla których człowiek dałby się pokrajać w kawałki. Jeżeli teraz wyjadę z przeświadczeniem, że mogłem się z nią ożenić i nie zrobiłem tego, stracę wogóle cały zapal. Wierzę naturalnie, że wrócę, ale niejednemu się zdarza, że mu się noga powinie, a to przecież okrutne zabraniać nam brać z życia co się da, dopóki się jeszcze da. Poza to mam pieniądze i te należałyby w każdym razie do niej. Więc niechże pani będzie dobra i pomoże nam, dobrze?

Objął jej kibić ramieniem zupełnie, jakby był jej synem. Serce Thirzy, stęsknione tak boleśnie za własnymi chłopcami, zabiło żywiej dla niego.

— Widzi pani, nie znam pana Piersona, ale robi na mnie wrażenie szalenie łagodnego i miłego człowieka. Jestem pewny, że nie miałby nic przeciw temu, gdyby mnie przejrzał do głębi. Nie robimy wielkich historyj z niebezpieczeństwa śmierci i z innych rzeczy, ale uważamy, że należy nam się coś z życia, póki żyjemy. Mogę

mu święcie przysiąc na co chce, że nigdy nie zmienię się wobec Nolli, a ona zrobi to samo. O, proszę pani, niech pani będzie dobra, niech pani wstawi się za mną, ale prędko! Mamy jeszcze tylko kilka dni czasu!

— Ależ drogi chłopcze, — rzekła Thirza niepewnie, — czy uważasz, że to uczciwe postępowanie wobec takiego dziecka, jak Noel?

— Uważam, że tak. Pani nie rozumie. Noel musi ała dojrzeć. Dojrzała naprawdę — przez ten ostatni tydzień. Jest właściwie w tym samym wieku, co ja, a ja mam dwadzieścia dwa lata. A pani wie, że przyszłość musi — i będzie — należała do młodych ludzi; ludzie będą robili wszystko o wiele wcześniej. Poco udawać, że świat jest taki, jakim był niegdyś, poco ta ostrożność, poco to wszystko? Jeżeli padnę, to myślę, że mam prawo ożenić się z nią przedtem; jeżeli wrócę, to cóż szkodzi, że się pobierzemy teraz?

— Znacie się dopiero dwadzieścia jeden dni, Cyrylu.

— O nie. Dwadzieścia jeden lat. Każdy dzień jest rokiem — kiedy... Ach! Mrs. Pierson, to przecież nie jest w pani stylu? Pani zwykle nie szuka dziury w całym?

Usłyszawszy tę sprytną uwagę, Thirza położyła dłoń na rękę, która jeszcze ciągle obejmowała jej kibić i przycisnęła ją mocniej do siebie.

— No dobrze, mój drogi — rzekła łagodnie, — zobaczmy, co się da zrobić.

Cyryl Morland pocałował ją w policzek.

— Będę panią błogosławił do końca życia, — rzekł. — Pani wie, że nie mam nikogo na świecie, prócz moich dwu sióstr.

Oczy Thirzy zwilgotniały. Wydali jej się dwojgiem małych dzieci zbłąkanych w lesie.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Gracja Laird w stroju pielęgniarki siedziała w jadalni w domu ojca przy starym placu, położonym między wschodnią a zachodnią częścią Londynu i pisała telegram. „Wielebny Edward Pierson, Kestrel, Tintern, Monmouthshire. Jerzy ciężko chory. Przyjedź, jeżeli możesz. Gracja“. Oddała telegram służącej, zdjęła płaszcz i usiadła na chwilę. Miała za sobą całonocną podróż po całym dniu pracy i przyjechała dopiero przed chwilą. Zastała męża między życiem a śmiercią. Różniła się bardzo od Noel; nie była taka wysoka, ale silniej zbudowana, włosy miała kasztanowate, oczy piwne, czoło szerokie. Poważna jej twarz miała przeduchowiony, wiecznie pytający wyraz i zdradzała wyjątkową szczerość. Skończyła właśnie dwadzieścia lat. Była zamężna od roku, ale z mężem spędziła jedynie sześć tygodni. Nie mieli narazie nawet własnego mieszkania. Odpoczęła pięć minut, poczem energicznym ruchem przesunęła ręką po twarzy, odrzuciła głowę wtył i poszła na górę do pokoju, w którym leżał mąż. Był nieprzytomny; mogła więc tylko siedzieć przy nim i patrzeć na niego. — Jeżeli umrze — myślała — znienawidzę Boga za jego okrucieństwo. Miałam Jerzego przez sześć tygodni, inni ludzie żyją razem sześćdziesiąt lat. — Nie odwracała wzroku od jego twarzy krótkiej i szerokiej z wypukłem,

mądrym czołem. Opalił się. Oczy miał zamknięte; ciemne rzęsy leżały na śmiertelnie żółtych policzkach. Szerokie czoło zarośnięte było dość nisko gęstymi włosami. Przez uchylone wargi widać było mocne, białe zęby. Nosił mały, przyszczyżony wąsik; silnie zarysowana broda zaczęła już zarastać. Pyjama rozsunęła mu się na piersiach. Gracja zapięła ją. Dziwnie cicho było w pokoju, jak na Londyn, przy otwartem szeroko oknie. Ach, żeby móc w jakiś sposób przełamać tę ciężką martwość, która ogarnęła nie tylko Jerzego, ale i ją, i świat cały! Jakże okrutna była ta senność — teraz, kiedy mogła stracić go na zawsze za kilka godzin, czy dni! Przypomniała sobie ostatnie pożegnanie z mężem. Nie było bardzo serdeczne, przyszło zbyt nagle po jednej z tych sprzeczek, które miewali od czasu do czasu i przy których nie nauczyli się jeszcze podtrzymywać z wdziękiem swych różniących się zapatrywań. Jerzy utrzymywał, że niema życia pozagrobowego, a ona utrzymywała, że ono istnieje. Rozgorączkowali i zniecierpliwili się oboje. Nawet w dorożce, w drodze do pociągu prowadzili dalej tę nieszczęsną dyskusję i pocałowali się na pożegnanie wargami gorącymi jeszcze od walki! Od tego czasu, jakby w poczuciu skruchy zaczęła się skłaniać ku jego pogładowi; a teraz, kiedy miał może rozwiązać to zagadnienie — kiedy się miał przekonać o prawdzie, instynkt podszeptował jej, że jeżeli on umrze, nie zobaczy go nigdy więcej. Okrutne było, że właśnie w takiej chwili, jak ta, cała jej wiara stopniała.

Położyła dłoń na jego ręce. Była ciepła i wydawała się silna, mimo nieruchomości i bezwładu. Jerzy miał w sobie tyle żywotności, był taki krzepki, taki pełen życia, taki energiczny; wydawało się wprost niemożliwe, by los spletał mu takiego figła. Starła się uprzytomnić sobie nieustraszone spojrzenie jego jasnych stalowych oczu, jego głęboki, dziwnie wibrujący głos, który nie

miał w sobie śladu zarozumiałstwa, czy nieszczerości. Ręka jej zakradła się do jego serca; zaczęła je powoli, delikatnie nacierać. On, jako lekarz i ona, jako pielęgniarka tyle razy patrzyli na śmierć w ostatnich dwóch latach! A jednak miała w tej chwili wrażenie, jakby jeszcze nigdy nie widziała śmierci, jakby te młode twarze, blade i zgaszone, które oglądała w szpitalnych salach, były tylko widowiskiem. Śmierć ukaże jej się po raz pierwszy, jeżeli w tej twarzy, którą kocha, zgaśnie na zawsze światło i barwa, ruch i wyraz.

Trzmiel wpadł przez okno od strony parku i latał po pokoju, brzęcząc ospale. Zachłysnęła się cichym szlochem...

2.

Pierson otrzymał telegram w południe po powrocie z samotnej przechadzki i po rozmowie z Thirzą. Musiało być bardzo źle, jeżeli Gracja — taka samodzielna — prosiła o przybycie. Zaczął się odrazu przygotowywać do wyjazdu najbliższym pociągiem. Noel wyszła, nikt nie wiedział, dokąd. Z ciężkiem sercem napisał do niej te słowa:

„Najdroższe Dziecko,

Jadę do Gracji; biedny Jerzy jest niebezpiecznie chory. Jeżeli sprawa weźmie zły obrót, powinnaś być przy siostrze. Zatelegrafuję Ci jutro wczesnym rankiem. Pozostawiam Cię pod opieką ciotki, drogie dziecko. Bądź rozsądna i cierpliwa. Niech Cię Bóg ma w swej opiece.

Twój oddany

Ojciec“.

Był sam w przedziale trzeciej klasy. Wychylił się z okna i patrzył na ruiny Opactwa położone po drugiej stronie rzeki, dopóki mu nie zniknęły z oczu. Ci starzy mnisi nie żyli z pewnością w wieku tak smutnym, jak

obecny. Musieli w zaciśnięciu pędzić spokojne życie, w czasach kiedy Kościół był pełen potęgi i piękna, w czasach kiedy ludzie składali życie w ofierze za wiarę i wznosili wiekopomne świątynie ku chwale Bożej! Co za zmiana wobec dni dzisiejszych, dni gorączkowego pośpiechu, wiedzy, handlu, materialnych korzyści i tej straszliwej wojny! Starał się czytać gazetę, ale pełna była okropności i nienawiści. — Kiedy się to skończy? — pomyślał. A pociąg odpowiadał zgrzytem rytmicznych podrzutów: — Nigdy, nigdy.

W Chepston wsiadł do przedziału żołnierz z kobietą o bardzo czerwonej twarzy i dziwnych, zapłakanych oczach; włosy miała w nieładzie, wargi poranione, jakby je zagryzała do krwi. Żołnierz robił też wrażenie znękanego i zrozpaczonego. Usiedli daleko od siebie na ławce naprzeciwko. Pierson czuł, że im przeszkadza, usiłował więc ukryć się za gazetą. Po chwili spojrzął w ich stronę. Żołnierz zdjął marynarkę i czapkę i wychylał się przez okno; kobieta siedziała dalej na brzegu ławki, pociągała nosem i wycierała twarz. Odpowiedziała wrogimi oczyma na spojrzenie Piersona, wstała i pociągnęła męża za rękaw.

— Siadaj. Nie wychylaj się tak.

Żołnierz rzucił się z powrotem na ławkę i spojrzął na Piersona:

— Pokłóciłem się trochę z żoną — rzekł przyjaźnie. — To mi działa na nerwy. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Przeżyła atak lotniczy — i od tego czasu całkiem jej się nerwy popsuły, prawda, stara? A mnie to zaraz wszystko idzie do głowy. Byłem ranny w głowę, wie pan, tracę szybko cierpliwość. Jeszcze coś złego zrobię, jeżeli ona ciągle będzie taka.

Pierson spojrzął na kobietę, ale oczy jej były jeszcze wrogie. Żołnierz podał mu paczkę papierosów. — Niech pan weźmie, sir, — powiedział. Pierson wziął papiero-

sa, a ponieważ czuł, że żołnierz chce, żeby coś powiedział, rzekł cicho:

— Wszyscy doznajemy przykrości od ludzi, których kochamy. Im bardziej kogoś kochamy, tem bardziej sobie wszystko bierzemy do serca, prawda? Miałem sam wielkie zmartwienie z moją córką wczoraj wieczór.

— Juści — rzekł żołnierz. — Co racja to racja. Zaraz się pogodzimy z żoną. Chodźże, stara.

Pierson za gazetą usłyszał odgłosy pojednania — wyrzuty, że ktoś kogoś zaprosił na kieliszek, całusy, przyjacielskie klapsy, wymówki. Kiedy w Bristol wysiadali, żołnierz uścisnął mu mocno rękę, ale kobieta ciągle jeszcze patrzyła na niego z nienawiścią. Pierson pomyślał sennie: — Wojna! Każdemu się daje we znaki. — Do przedziału włoczyło się mnóstwo żołnierzy. Przez resztę drogi starał się zajmować jaknajmniej miejsca.

Kiedy w końcu przybył do domu, spotkał się z Gracją w hallu.

— Stan ciągle taki sam. Lekarz mówi, że za kilka godzin będzie się już wiedziało. Jakiś ty kochany, żeś przyjechał. Musisz być zmęczony, taki upał. Źle się stało, zem ci zepsuła wakacje.

— Drogie dziecko! Jakże możesz — Czy mam pójść do niego na górę?

Jerzy Laird leżał ciągle jeszcze nieprzytomny. Pierson stał i patrzył na niego pełen współczucia. Jako duszpasterz był dobrze obeznany z chorobą i umiarem. Doświadczył też już sam, jak bezwzględna jest śmierć. Śmierć! Najpospolitsza rzecz na świecie — teraz pospolitsza, niż życie! Ten młody lekarz musiał widzieć niejednego umierającego w ciągu ostatnich dwu lat i niejednego zapewne uratował od śmierci; a teraz leżał powalony, niezdolny ruszyć palcem, by ocalić samego siebie. Pierson spojrział na córkę; co za silna, obiecująca para młodych istot! Otoczył ją ramieniem i po-

prowadził na kanapę, skąd mogła widzieć swego chorego męża.

— Jeżeli on umrze, tatusiu — szepnęła.

— To umrze za Ojczyznę, kochanie, tak samo, jak nasi żołnierze.

— Wiem, ale to nie jest żadne pocieszenie. Siedziałam tu i patrzyłam na niego cały dzień; myślałam, że ludzie będą potem tak samo źli — może gorsi. Świat się w niczem nie zmieni.

— Musimy wierzyć, że będzie inaczej. Pomódl się, Gracjo.

Gracja zaprzeczyła ruchem głowy.

— Gdybym mogła wierzyć, że świat — gdybym mogła w cośkolwiek wierzyć! Nie mam już siły, tatusiu; nie wierzę nawet w przyszłe życie. Jeżeli Jerzy umrze, nie spotkamy się już nigdy.

Pierson patrzył na nią bez słowa, przerażony.

Gracja ciągnęła dalej:

— Kiedyśmy ostatni raz rozmawiali ze sobą — gniewałam się na Jerzego, bo się śmiał z mojej wiary; teraz, kiedy mi doprawdy trzeba tej wiary, czuję, że on miał rację.

Pierson rzekł z drzeniem w głosie:

— Nie, nie, drogie dziecko; jesteś poprostu wyczerpana. Bóg w swem miłosierdziu odda ci wiarę.

— Niema Boga, tatusiu.

— Dziecko najdroższe, co ty mówisz?

— Niema Boga, któryby mógł nam pomóc. Czuję to. Gdyby istniał Bóg, któryby brał udział w naszym życiu, któryby mógł zmienić cośkolwiek bez naszej woli, któryby znał nasze uczynki i dbał o nie — nie pozwoliłby, żeby świat szedł takim torem.

— Ależ, drogie dziecko, Jego zamiary są niezbadane. Nie wolno nam mówić, że nie powinien czynić tego, czy owego, nie powinniśmy dociekać do jakich zdąża celów.

— W takim razie nie może nam się na nic przydać. W takim razie wychodzi na jedno, czy istnieje, czy nie. Poco mam się modlić do Boga, który ma tylko własne cele na oku? Wiem, że Jerzy nie powinien umrzeć. Jeżeli istnieje Bóg, który może przyjść z pomocą, to śmierć Jerzego będzie prostą podłością. Jeżeli istnieje Bóg, który może przyjść z pomocą, to śmierć małych dzieci, śmierć milionów tych biednych chłopców jest podłością. Wolę myśleć, że niema wcale Boga, niż, że istnieje bezsilny, albo zły Bóg.

Ojciec jej zakrył nagle oczy rękoma. Podeszła bliżej i objęła go ramieniem.

— Tatusiu drogi, wybacz. Nie chciałam cię urazić.

Pierson przycisnął jej główkę do swego ramienia i powiedział zgaszonym głosem:

— Jak myślisz, Gracjo, co by się było ze mną stało, gdybym był stracił wiarę, gdy twoja matka umarła? Nigdy nie straciłem wiary. Da Bóg, nigdy jej nie utracę!

Gracja szepnęła:

— Jerzy nie życzyłby sobie, bym udawała że wierzę — chciałby z pewnością, żebym była uczciwa. Jeżeli nie będę uczciwa, nie będę zasługiwała na to, by żył. Nie mam wiary i nie mogę się modlić!

— Kochanie moje, jesteś wycieńczona.

— Nie, tatusiu. — Podniosła głowę z jego ramienia, oplótła kolana rękoma i zapatrzyła się prosto przed siebie. — Tylko sami możemy sobie pomóc; a ja mogę tylko w ten sposób znosić to wszystko, że się buntuję.

Pierson siedział w milczeniu. Usta jego drżały. Czuł, że cokolwiek powie, nie będzie miało dla niej w tej chwili znaczenia. Twarz chorego była teraz ledwie widoczna w mroku. Gracja podeszła do łóżka. Stała tam długo, nie odwracając wzroku od męża.

— Idź, tatusiu, i połóż się; lekarz przyjdzie znowu

o jedenastej. Zawołam cię, jeżeli cię będę potrzebowała. Położę się trochę przy nim.

Pierson pocałował ją i wyszedł. Wiedział, że największą ulgą dla niej będzie położyć się teraz przy mężu. Poszedł do małego pustego pokoju, w którym mieszkał od śmierci żony. Zdjął buty i zaczął chodzić tam i zpowrotem. Ogarnęło go uczucie druzgocącego osamotnienia. Obie córki w takim strapieniu, a on nie mógł im w niczem pomóc! Miał wrażenie, że życie wyrzuciło go zupełnie poza nawias! Był zmieszany, bezradny, miał zamęt w głowie. Jeżeli Gracja kocha Jerzego, to nie sprzeniewierzy się z pewnością Bogu, cokolwiek powie. Ale nagle uświadomił sobie, ile herezji mieści w sobie ta myśl i stanął nieruchomo przy otwartym oknie.

Miłość ziemską — miłość niebiańska; czy było między nimi jakieś podobieństwo?

W odpowiedzi liście drzew parkowych zaszemrały obojętnie; a w oddali sprzedawca gazet zaczął, jak co noc, wykrzykiwać pod niebo wieści o najnowszych morderstwach.

3.

Tej nocy Jerzy Laird przebył szczęśliwie przesilenie, a następnego dnia zrana lekarz orzekł, że niebezpieczeństwo minęło. Miał wspaniały organizm, a po ojcu Szkocie odziedziczył naturę wojownika. Powrócił do życia bardzo osłabiony, ale łaknący wyzdrowienia. Pierwsze jego słowa były:

— Byłem już prawie po drugiej stronie, Gracjo!

Bardzo wysoki skalny zrąb, a na krawędzi zawieszono jego ciało, chwiejące się nad przepaścią; jeszcze jeden cal, jeden mały ułamek cala, a runie wdół. Djabło dziwne uczucie, ale nie tak okropne, jakby było w rzeczywistym życiu. Wiedział, że gdy straci do

reszty równowagę, ogarnie go odrazu nieość, że prze-
rażliwe uczucie spadania w otchłań zostanie mu za-
oszczędzone. A więc tak się rzeczy miały z tymi
biednymi chłopakami, których widział umierających
w przeciągu ostatnich dwu lat! Na szczęście na sa-
mym końcu nie było się dość żywym, żeby sobie zda-
wać sprawę ze wszystkiego, od czego się odchodzi, nie
było się dość żywym, by cierpieć. Gdyby był w stanie
uświadomić sobie obecność swej młodej żony, uśwido-
mić sobie, że patrzy w jej rysy, dotyka jej po raz ostat-
ni — przechodziłby piekielne męki; gdyby był dość przy-
tomny, by wiedzieć, że słońce świeci, by słyszeć odgło-
sy życia z otaczającego go świata, by wyczuć miękkość
łóżka na którem leżał — cierpiałby wprost straszliwie
na myśl, że musi to wszystko stracić! Życie było czemś
zbyt wspaniałem, by się dać z niego wyrwać w pełni
sił, przez nieszczęsną pomyłkę natury, przez nieszczęsną
podłość ludzką — gdyż przyczyną jego śmierci, tak sa-
mo, jak milionów innych przedwczesnych zgonów by-
łaby jedynie głupota i brutalność ludzka! Mógł się już
teraz uśmiechać do pochylonej nad nim twarzyczki
Gracji, ale ostatnie doświadczenie dołało oliwy do
ognia, który zawsze tlił się w jego duszy lekarza —
ognia gniewu na ludzi, tego nawpół wyemancypowane-
go, małego plemienia. No, teraz będzie miał przynaj-
mniej kilka dni wypoczynku od tego karnawału śmier-
ci! Leżał i upajał swe powracające do życia zmysły wi-
dokiem żony. Pięknie jej było w stroju pielęgniarki.
Doświadczonem okiem ocenił, że była dobrą siłą —
stanowczą i spokojną.

Jerzy Laird miał lat trzydzieści. Z początkiem wojny
praktykował w East-End i zgłosił się natychmiast do
służby w wojsku. Przez pierwsze dziewięć miesięcy był
tam, gdzie śmierć najbardziej szalała. Powrócił do do-
mu nietyle dzięki uprzejmości przełożonych, ile z po-

wodu infekcji ręki. Podczas tego urlopu ożenił się z Gracją. Znał Piersonów już od dłuższego czasu, a ponieważ uświadomił sobie teraz, jak kruche jest życie, postanowił ożenić się z nią przy pierwszej sposobności. Teścia swego lubił i poważał, choć przyłączyło się do tego uczucie pośrednie między pogardą a litością. Połączenie autorytatywności z pokorą, kapłana z marzyicielem, mnicha z artystą, mistyka z człowiekiem czynu — to wszystko interesowało go w Piersonie, ale często budziło zniecierpliwienie i zdziwienie. Miał sam zupełnie odmienny światopogląd i mało dobrodusznego zaciekawienia dla samej tylko dziwaczności rzeczy dziwnych. Ilekroć rozmawiali ze sobą, zawsze po chwili cisnęły mu się na usta słowa: — Jeżeli nie możemy zaufać naszemu rozumowi i naszym zmysłom tyle, ile są warte — to może mi z łaski swojej powiesz, sir, czemu wogóle możemy zaufać? Jakże możemy w pewnych sprawach posługiwać się wyłącznie umysłem i zmysłami, a w innych eliminować je zupełnie? — Pewnego razu, podczas jednej z tych dyskusyj, które często graniczyły ze sprzeczką, Jerzy wypowiedział się szczegółowo.

— Przyznaję — rzekł — że na dnie wszystkiego leży wielka tajemnica, że nie będziemy nigdy wiedzieli niczego pewnego o powstaniu życia i prawach rządzących Wszechświatem. Ale dlaczego mamy z tego powodu wyłączyć nagle cały nasz aparat myślowy i zaprzeczyć dowodom naszego rozumu — na przykład w stosunku do Chrystusa, albo do zagadnienia przyszłego życia, albo do naszych praw moralnych? Jeżeli chcesz, żebym wszedł do świątyni pełnej drobnych tajemnic i zostawił rozum i zmysły przed progiem — jak mahometanin buty — nie wystarczy żebyś mi powiedział po prostu: — Oto świątynia! Wejdz! — Musisz mi pokazać drzwi; a tego nie potrafisz! A powiem ci, sir, dlaczego. Dlatego, że w twoim mózgu jest mały zwój, któ-

rego niema w moim, albo brak jednego zwoju, który jest u mnie. Nic, prócz tego nie przydziela nas do tych dwu zasadniczych grup ludzi, z których jedni wierzą, a drudzy nie. O, tak! Wiem, że tego nie przyznasz, bo to czyni twą religję naturalną, a nie, jak ją określasz, n a d n a t u r a l n ą. Ale zapewniam cię, sir, że różnica nie polega na niczem więcej. Patrzysz w górę, albo patrzysz wdół — a nigdy prosto przed siebie. Widzisz, sir, a ja patrzę właśnie przed siebie.

Dnia tego Pierson czuł się bardzo znużony, więc choć należałoby koniecznie odpowiedzieć na tę napaść, nie czuł się na siłach zareagować. Nie mógł zebrać myśli. Odwrócił się w bok i oparł policzek na dłoni, jakby chciał ukryć swą chwilową bezbronność. Kilka dni później powiedział:

— Teraz mogę odpowiedzieć na twoje pytania, Jerzy. Myślę, że potrafię cię przekonać!

Laird odpowiedział:

— Proszę, sir, słucham.

— Zaczynasz swoje dowodzenia od tego, że uważasz ludzki rozum za ostateczny probierz wszystkich spraw. Jakiem to prawem? Przypuśćmy, że jesteś mrówką. Uważałbyś wtedy swój mrówczy rozum za ostatni probierz, nieprawdaż? A czy to byłoby prawdą? — Lekki uśmieszek nie schodził z jego warg, okolonych małą, poważną bródką.

Jerzy Laird uśmiechnął się również.

— To, co mówisz, wydaje się słuszne, sir, — odparł — ale. zrozum, że nie uważam ludzkiego rozumu za ostateczny probierz w jakimś absolutnem znaczeniu. Twierdzą tylko, że jest najwyższym probierzem, jakim my możemy się posługiwać; i że poza tym probierzem wszystko jest całkiem ciemne i nieznanne.

— A więc objawienie nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

— Żadnego, sir.

— W takim razie nie dojdziemy do porozumienia, Jerzy.

— Myślę, że nie dojdziemy. Kiedy z tobą mówię, sir, mam zawsze wrażenie, że walczę z człowiekiem, który ma jedną rękę związaną na plecach.

— A ja znów mam wrażenie, że dyskutuję z człowiekiem, ślepym od urodzenia.

A mimo to dyskutowali niejedną raz jeszcze od tego czasu; ale zawsze na twarzach ich pojawiał się ten dziwny uśmiezek; poważali się jednak wzajemnie i Pierson nie sprzeciwiał się małżeństwu córki z tym heretykiem, gdyż wiedział, że Jerzy jest szlachetnym i godnym zaufania człowiekiem. Ślub odbył się, nim ręka Laird'a się wygoiła, tak, że młodzi przeżyli jeszcze jeden miodowy miesiąc, nim Jerzy powrócił do Francji, a Gracja do swego szpitala w Manchester. Od tego czasu spędzili razem jedynie dwa tygodnie w lutym.

Po południu Jerzy poprosił o buljon, wypił go i rzekł:

— Muszę coś powiedzieć twemu ojcu.

Ostrzeżona bladeścią jego uśmiechniętych ust, Gracja odparła:

— Powiedz mnie najpierw, Jerzy.

— Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę, Graci? a więc — niema niczego po drugiej stronie. Widziałem sam; otchłań czarna jak smoła.

Grację przebiegł dreszcz.

— Wiem. Powiedziałaś to ojcu w nocy, kiedyś leżał nieprzytomny.

Uściskał jej rękę i rzekł:

— Ja mu też chcę powiedzieć.

— Tatusi powie, że w takim razie życie nie ma celu.

— A ja twierdzę, że ma wtedy jeszcze większą wartość, Graci. Jak my je cudownie umiemy marnować — my, małpo-anioly. Kiedyż nareszcie staniemy się l u d ź

mi? Ty i ja, Graci, będziemy walczyć o przyzwoite życie dla każdego. I nie damy sobie dmuchać w kaszę! Nachyl się! Dobrze jest dotknąć cię znowu; wszystko jest dobre. Zasną teraz...

4.

Po rannym biuletynie lekarza Pierson odetchnął z ulgą, ale jednocześnie musiał przejść ciężką walkę duchową. Co miał zatelegrafować do Noel? Pragnął ją widzieć w domu, zdala od pokusy tego niedorzecznego małżeństwa. Czyż mógł jednak przemilczeć poprawę zdrowia Jerzego? Czy toby było uczciwe? W końcu wysłał telegram następującej treści:

„Jerzy uratowany, ale bardzo słaby. Przyjeźdź“.

Poobiednią pocztą przyszedł list od Thirzy:

„Miałam dwie długie rozmowy z Noel i z Cyrylem. Jest niepodobieństwem zmusić ich do ustępstwa. Moim zdaniem, drogi Edwardzie, popelnisz błąd, jeżeli im się będziesz stanowczo sprzeciwiał. Bardzo możliwe, że on nie wyruszy tak prędko, jak przypuszczamy. Czy nie uważasz, że byłoby dobrze pozwolić im dać na zapowiedzi? To przeciągnęłoby tymczasem sprawę o trzy tygodnie, a może, gdy nie będą razem, dadzą na siebie wpłynąć, aby ślub odłożyć. Obawiam się, że Ci nic innego nie pozostaje, gdyż czuję, że na wypadek twojej odmowy uciekną i wezmą ślub w pierwszym lepszym urzędzie“.

Pierson wziął list ze sobą do parku i pogrążył się w bolesnych rozmyślaniach. Kiedy człowiek piastuje przez szereg lat stanowisko, które mu nadaje pewien moralny autorytet — przyzwyczajają się do wydawania sądów. Osądził postępowanie Noel, jako zbyt porywcze i pozbawione moralnego opanowania. Upór właściwy jego naturze umacniał go w prerogatywach ojca i dusz-

pasterza. Rozczarował się co do Thirzy. Nie zdawała sobie najwidoczniej sprawy z całej nieodwołalności, z całej powagi tego przedwczesnego małżeństwa. Uważała je za sprawę o wiele lżejszą, niż była w istocie. Za sprawę, którą można było zdać na wolę losu i liczyć na to, że gdyby los okazał się nieprzychylny, zawsze się jeszcze znajdzie jakaś furтка. Ale on nie widział żadnej drogi wyjścia. Spojrzał w niebo, jakby tam szukał pomocy. Dzień był tak piękny; gorzko było zadać ból dziecku, nawet dla jej dobra. Jakby jej matka postąpiła? Napewno Agnes odczułaby tak samo, jak on, głęboką powagę małżeństwa.

Siedział w słońcu i starał się zwalczyć wszelkimi siłami miękkość swego serca. Musiał czynić, co uważał za właściwe, bez względu na następstwa. Poszedł więc do domu i napisał, że nie może się zgodzić na małżeństwo i życzy sobie, żeby Noel przyjechała natychmiast.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

1.

A tymczasem tego samego popołudnia, o tej samej godzinie Noel siedziała nad brzegiem rzeki, splótszy ciasno ramiona na piersiach, a obok niej Cyryl Morland z rozpaczą w oczach miał w ręce telegram: „Zgłosić się dziś wieczór. Pułk wyrusza jutro“.

I cóż za pociecha, że przez ostatnie dwa lata miliony takich telegramów czytano ze ściśniętem sercem! Cóż za ukojenie, że co dzień mgła smutku przesłania słońce setkom par; że cała radość życia wsiąka w piach rozpaczy!

— Ile mamy czasu, Cyrylu?

— Zamówilem sobie wóz w gospodzie; wystarczy, jeżeli wyjadę o północy. Spakowałem się już, żeby mieć więcej czasu.

— Spędźmy go więc razem. Chodźmy gdzieś. Mam trochę czekolady.

Morland odpowiedział zgnębionym głosem:

— Mogę posłać wóz po moje rzeczy i kazać mu czekać na mnie przy gospodzie, jeżeli chcesz później wszystkich pożegnać w moim imieniu. Możemy iść wzdłuż toru, w ten sposób nie spotkamy nikogo.

I poszli w jasnym słońcu, trzymając się za ręce. Po-

między nimi biegła lśniaca szyna. Około szóstej stanęli przed Opactwem.

— Wsiądźmy do łódki — rzekła Noel. — Możemy tu wrócić, kiedy wszędzie księżyc. Znam drogę, nawet gdyby brama była zamknięta.

Wynajęli łódkę, przepłynęli na drugi brzeg pod drzewo i usiedli blisko przy sobie na tylnej ławeczce łodzi. Piętrzący się za nimi las odbijał się w wodzie i barwił ją ciemną zielenią. Mówili mało. Od czasu do czasu padało jakieś miłosne słowo, od czasu do czasu pokazywali sobie rybę, ptaka, czy ważkę. Głównym tematem rozmowy zakochanych bywają plany na przyszłość — na cóż się to mogło zdać w ich położeniu? Pragnienie sparaliżowało ich myśli. Tulili się tylko coraz bardziej do siebie, ręce ich splatały się, wargi co chwila spotykały w pocałunku. Na twarzy Noel zastygł wyraz dziwnego bezwładu — jakby wyczekiwała czegoś — jakby się spodziewała, że coś się stanie! Zjedli czekoladę. Słońce zaszło, rosa zaczęła padać; rzeka zmieniła barwę, stała się bielsza, niebo zbladło, przybrało kolor ametystu; cienie wydłużały się i rozpląwały powoli w mroku. Było już po dziewiątej; wodny szczur wylazł z nory, biała sowa przeleciała nad rzeką w kierunku Opactwa. Księżyc ukazał się już na niebie, ale nie świecił jeszcze. Nie widzieli w tem wszystkim piękna — byli zbyt młodzi, zbyt namiętni, zbyt nieszczęśliwi.

Noel rzekła:

— Skoro księżyc stanie nad temi drzewami, pójdziemy. Będzie prawie ciemno.

Czekali, patrząc na księżyc; pełzał z nieskończoną powolnością wyżej i wyżej, nabierając z każdą minutą więcej blasku.

— Teraz — rzekła Noel. Morland chwycił za wiosła. Przeprawili się na drugi brzeg. Wyszli z łodzi, Noel pro-

wadziła go koło opuszczonej chatki do szopy, której pochyły dach przylegał do zewnętrznego muru Opactwa.

— Tędy możemy przejść — szepnęła.

Wdrapali się na górę i stanęli po drugiej stronie na małym podwórku zarosłym trawą. W czarnym cieniu wysokich murów szli dalej do podwórca położonego głębiej.

— Która godzina? — spytała Noel.

— Pół do jedenastej.

— Już! Siądźmy tu w ciemności i zaczekajmy na księżyc.

Usiedli przytuleni do siebie. W twarzy Noel ciągle jeszcze był wyraz wyczekiwania, a Morland siedział posłusznie z ręką na jej sercu; własne serce biło mu jak szalone. Siedzieli cichutko, jak myszki, a księżyc piał się wgórze. Pierwsza niepewna poświata padła na szczyt wysokiego muru, potem spłynęła powoli wdół i nabierała blasku, oświeciła porosty i trawę; potem popęzła niżej, rozświetlając srebrzyście czerń nad ich głowami. Noel pociągnęła go za rękaw i szepnęła: — Patrz! — Biała sowa przepłynęła cicho, jak płatek śniegu nad ich głowami i utonęła w tem niezemijskim świetle, jakby leciała na księżyc. I w tej chwili właśnie rąbek księżycy wyrzwał z za muru, niby wąskie pasemko srebrzystego złota. Rósł, przybierał kształt lśniącego, rozłożonego wachlarza, rósł dalej, aż stanął na niebie pełny i okrągły, koloru bladego miodu.

— Nasz! — szepnęła Noel.

2.

Noel stała na brzegu drogi i nasłuchiwała, aż turkot powozu umilkł w kotlinie. Nie płakała, przetarła tylko twarz rękoma i zaczęła iść ku domowi, trzymając się cienia drzew. Ileż to lat jej przybyło przez ostatnie sześć godzin od chwili kiedy nadszedł telegram! Pod-

czas tej godzinnej drogi, przystawała kilkakrotnie w miejscu oświetlonym jasno blaskiem księżyca, wyciągała z zanadru małą fotografię, całowała ją i chowała z powrotem na sercu, nie bacząc, że w miejscu tak gorącym każdy obrazek musi się zniszczyć. Świadomość, że oddała się miłości bez zastrzeżeń, nie wywoływała w niej najłżejszego uczucia skruchy. Była jej jedynym ukojeniem wobec rozpaczliwej samotności tej nocy, podtrzymywała ją i przepełniała uczuciem dumy. Szła naprzód ze wzniesioną głową, jakby odniosła zwycięstwo nad Losem. Należał do niej na zawsze, cokolwiekby się stać mogło. Nie myślała nawet o tem, co powie, kiedy wróci do domu. Weszła w aleję; szła ciągle jakby we śnie. Wuj stał przed bramą; słyszała jego utyskiwania. Wyszła z cienia drzew, przystąpiła prosto do niego, spojrzała w jego zatroskaną twarz i rzekła spokojnie:

— Cyryl prosił mnie, żebym was wszystkich pożegnała w jego imieniu. Dobranoc!

— Ależ słuchaj, Nollie — ty...

Minęła go. Szła do swego pokoju. Tam przed drzwiami stała ciotka i chciała ją pocałować. Cofnęła się.

— Nie, ciociu. Nie dziś! — Prześlizgnęła się koło niej i zamknęła drzwi na klucz.

Bob i Thirza Pierson spotkali się w swoim własnym pokoju i spojrzeli na siebie pytająco. Kamień spadł im z serca na widok bratanicy, powracającej zdrowo i cało do domu; ale teraz uczucie ulgi zostało zamącone innymi wrażeniami. Bob Pierson wypowiedział się pierwszy:

— Uf! Myślałem już, że trzeba będzie przeszukać rzekę. Co te dziewczęta wyrabiają!

— To wojna, Bob.

— Nie podobał mi się wyraz jej twarzy. Nie wiem dlaczego, ale nie podobał mi się.

Thirza odniosła to samo wrażenie, ale nie chciała tego przyznać, w obawie, by Bob nie brał sobie tej spra-

wy zbyt do serca. Bob tak się lubił wszystkim przejmować i tyle robił o byle co hałasu.

Powiedziała więc tylko:

— Biedne dzieci! Przypuszczam, że to będzie ulgą dla Edwarda.

— Kocham Nolli! — rzekł nagle Bob Pierson. — Jest taka uczuciowa. A niech to djabli wezmą, martwi mnie ta cała sprawa. Młody Morland da sobie prędzej radę, będzie teraz przecież w ciągłym podnieceniu, choć nie chciałbym odchodzić od Nolli, gdybym jeszcze raz był młody. Dzięki Bogu, że żaden z naszych chłopców nie jest zaręczony. Na Boga! Gdy pomyślę, że oni są tam w polu, a ja tu siedzę, tracę poprostu głowę. A politycy wszystkich krajów umieją tylko mleć plewy — to jest bezczelność!

Thirza spojrzała na niego z niepokojem.

— I bez obiadu! — rzekł nagle. — Jak myślisz, co oni robili?

— Trzymali się za ręce, biedaki! Czy wiesz, która godzina, Bob? Dochodzi pierwsza.

— No, niema co mówić, miałem paskudny wieczór. Idź do łóżka, moja droga. Będiesz jutro, jak ścięta.

Usnął niebawem, ale Thirza długo czuwała. Nie martwiła się, bo nie miała do tego skłonności, ale przed oczyma stała jej ciągle twarzyczka Noel, blada, zmęczona, pełna namiętności, zatopiona we wspomnieniach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

1.

Noel przybyła do domu ojca następnego dnia pod wieczór. Cekał na nią list w hallu. Rozdarła kopertę i przeczytała:

„Moje najdroższe Kochanie,

„Zajechałem szczęśliwie i piszę do Ciebie odrazu, aby Ci donieść, że jedziemy na Londyn i odjeżdżamy prawdopodobnie koło 9-tej z Charing Cross. Będę Cię w każdym razie wyczekiwał, na wypadek, gdybyś zdążyła. Myślę bez przerwy o Tobie i o ubiegłej nocy. Och! Noel!

Twój całem sercem

C.“

Spojrzała na zegarek, który nosiła na ręce jak każda mała patriotka. Po siódmej! Jeżeli nie odejdzie odrazu, Gracja i ojciec zatrzymają ją.

— Weź moje rzeczy na górę, Dina. Głowa mnie boli po podróży. Muszę się przejść. Możliwe, że wrócę dopiero po dziewiątej. Pozdrów wszystkich odemnie.

— Ale proszę panienki, jakże to...

Noel już nie było. Szła w kierunku Charing Cross. Chcąc zabić czas, wstąpiła do kawiarni na kawę z bułką — skromny posiłek, któryby był z pewnością jedynem

pożywieniem zakochanych, gdyby ludzie nie karmili ich przemocą innymi potrawami. Jedzenie wydawało jej się czemś niedorzecznem. Siedziała pośrodku całego rojowiska ludzi, jedzących w ohydny sposób. Restauracja zbudowana była na wzór modnych więzień — wokół otwartej platformy biegły szeregiem łozę. Powietrze przesycone było zapachem potraw, brzękiem talerzy i muzyką orkiestry. Wszędzie pełno było ludzi w mundurach. Noel oglądała jednego za drugim, aby się przekonać, czy nie zobaczy wśród nich przypadkiem tego żołnierza, który dla niej był ucieleśnieniem życia i całej brytyjskiej armji. O pół do 9-tej wyszła i torowała sobie mozolnie drogę poprzez tłum, rozglądając się ciągle jeszcze wśród mundurów za tym, za którym tęskniła. Składało się zapewne szczęśliwie, że w jej twarzy i ruchach było coś wzruszającego dla każdego, kto na nią spojrzał. Na stacji podeszła do starego tragarza, wcisnęła mu ku jego zdumieniu szylinga do ręki i poprosiła go, aby się dowiedział, z którego miejsca odjeżdża pułk Morlanda. Wrócił po chwili i rzekł:

— Niech panienka pozwoli za mną.

Noel poszła. Portjer był trochę kulawy, miał siwe bokobrody. Słaby odbłask podobieństwa do wuja Boba był może przyczyną, że Noel zwróciła się właśnie do niego.

— Czy to brat idzie na front?

Noel skinęła głową.

— Ach! Okropna ta wojna. Nie będę się martwić, jak się skończy. Patrzymy tu ciągle na odjazdy i przyjazdy; niejedną smutną rzecz się widzi. A tyle mają odwagi ci chłopcy! Nigdy nie mogę patrzeć na zegar, żeby nie myśleć: — Jak ty się wleciesz, zegarku! Chciałbym cię nastawić na dzień, kiedy ci chłopcy powrócą. Kiedy wnoszę do wagonu kufer, myślę: — Jeszcze jeden jedzie do piekła. Bo to naprawdę piekło, z tego wszyst-

kiego co slysze, panienko. Sam mam syna na froncie. Tedy maja przejść! Niech panienka stoi spokojnie i pilnuje, to panienka będzie mogła pogadać z nim parę minut, gdy załatwi się ze swymi ludźmi. Nie ruszyłbym się stąd na miejscu panienki. Oni podejda prosciutko do panienki — nie może panienki tu nie zobaczyć. — Spojrzał na jej twarzyczkę i pomyślał: — Dziwne, ilu braci idzie w pole. Biedna panienczka! A przytem taka mała dama. I tak świetnie panuje nad sobą. Ciężki los! — Chciał jej koniecznie powiedzieć coś pocieszającego, więc wymamrotał: — Nie mogłaby panienka znaleźć lepszego miejsca, aby się z nim pożegnać. Dobranoc panience; czy mogę jeszcze czemś służyć?

— Nie, to wszystko. Bardzo panu dziękuję.

Obejrzał się raz czy dwa razy za błękitno odzianą, nieruchomą postacią. Zostawił ją na małej oazie koło stosu pustych baniek do mleka na samym końcu peronu. Nie było tam nikogo, prócz kilku cywilów, wyciekających zapewne podobnie, jak ona. Tor był narazie pusty. Nie czuła się ani samotna w szarym ogromie stacji, w rozgwarze i w zgiełku, ani też nie zdawała sobie sprawy z obecności innych czekających. Zbyt pochłonięta była myślą, że zobaczy i dotknie go znowu. Pusty pociąg wjechał tyłem na peron i zatrzymał się. Wagony zastukały, uderzając kolejno o siebie. Pociąg cofnął się znowu i stanął. Noel skierowała wzrok ku sklepionej bramie peronu. Przejęło ją drzenie, jakby pułk wysłał przed siebie rytm swego marszu.

Nie widziała jeszcze dotychczas odjazdu wojskowego pociągu. W wyobraźni zamajaczyli jej żołnierze, marszerujący w pięknie uformowanym szyku, rozwiane sztandary, warczące bębny. Nagle, na samym końcu peronu ujrzała bronzową, falującą masę. Z masy wysunęło się cienkie, bronzowe pasemko w jej kierunku; żadnego dźwięku muzyki, żadnych rozwianych chorągwi. Miała

ochotę biec nadół, do barjery, ale przypomniała sobie radę portjera i stanęła na miejscu, zaciskając mocno ręce. Wąskie pasemko urosło do rozmiarów rzeki, rozlało się szeroko, jak morze, prawie jej już dotykając. W rozgwarze głosów mijał ją tłum ludzi opalonych, ciężko obciążonych; ze wszystkich stron sterczały karabiny; natężyła wzrok, patrząc uważnie w tę uciekającą rzekę, jakby patrzyła w wędrujący las, szukając jednego drzewa. Kręciło jej się w głowie z natężenia, z tego wysiłku, by pochwycić dźwięk jego głosu wśród zgiełku tych wszystkich różnych, codziennych beztroskich głosów. Niektórzy, widząc ją, mlaskali językiem, niektórzy mijali ją w milczeniu, niektórzy patrzyli jej w twarz badawczo, jakby się chcieli przekonać, czy była tą, której szukali. Zgiełkliwa rzeka wlewała się bez przerwy do pociągu i coraz świeże fale napływały na peron. Czekala jeszcze ciągle nieruchomo, choć ogarnął ją okropny strach. Jakże on będzie ją mógł odszukać, lub ona jego? Ujrzała, że reszta czekających znalazła swoich żołnierzy. Ogarnęła ją z trudem opanowana ochota, by pobiec w górę i wdół peronu; czekała jednak dalej. I nagle zobaczyła go, idącego powoli ku niej z dwoma młodymi oficerami, tuż koło wagonów. Stała bez ruchu z oczyma utkwionymi w jego twarzy; przeszli koło niej; o mało nie krzyknęła głośno. Ale w tej samej chwili odwrócił się, odłączył się od dwu towarzyszy i podszedł prosto ku niej. Zobaczył ją jeszcze, nim ona go zauważyła. Był bardzo zgrzany i między błękitnymi oczyma rysowała się mała zmarszczka; zacisnął twardo szczęki. Stali i patrzyli na siebie trzymając się mocno za ręce; wszystkie wzruszenia ubiegłej nocy zafalowały w nich znowu, tak że wypowiedzieć słowo znaczyło stracić w zupełności panowanie nad sobą. Bańki do mleka tworzyły pewnego rodzaju osłonę; stali tak blisko siebie, że nikt nie mógł

widzieć ich twarzy. Noel pierwsza odzyskała mowę; z jej drżących warg wybiegły słowa, delikatne, jak zazwyczaj:

— Pisz do mnie ile tylko będziesz mógł, Cyrylu. Zaciągnę się zaraz jako pielęgniarzka. A kiedy dostaniesz pierwszy urlop, przyjadę do ciebie — nie zapominaj o tem!

— Zapomnieć! Posuń się trochę wtył, kochanie. Tu nas nie mogą zobaczyć. Pocałuj mnie! — Posunęła się wtył, podniosła twarz ku niemu tak, że nie musiał się nachylać i położyła wargi na jego ustach. Potem, czując, że jest bliska omdlenia i że może spaść pomiędzy kokenki, cofnęła usta i podsunęła czoło pod jego wargi. Szepnęła:

— Czy poszło wszystko gładko, kiedyś wczoraj wróciła?

— Tak; pożegnałam ich w twojem imieniu.

— Oh, Noel. Tak się bałam — nie powinienem był — nie powinienem...

— Tak, tak; nic nie może mi cię teraz zabrać.

— Jesteś doprawdy dzielna, dzielniejsza ode mnie.

Rozległ się przeciągły gwizd. Morland chwycił ją konwulsyjnie za rękę:

— Żegnaj, moja mała żoneczko! Nie martw się. Żegnaj! Muszę iść. Niech cię Bóg ma w swej opiece, Noel!

— Kocham cię!

Patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę, potem wysunęła rękę z jego dłoni, stanęła w cieniu baniek, wyprostowana; odprowadziła go wzrokiem, aż znikł w pociągu.

Każde okno w wagonie zatłoczone było brązowymi postaciami i czerwono-brązowymi twarzami; ręce posyłały pozdrowienia w nieokreślonym kierunku, głosy nawoływały niewiadomo kogo, od czasu do czasu ktoś wołał: hurra! Jakiś żołnierz wychylił się daleko z okna i zaczął śpiewać: — If Auld Acquaintance, — Ale Noel

stała zupełnie spokojnie w cieniu baniek do mleka, z zaciśniętymi wargami, z rękoma zaciśniętymi w twarde pięści; a młody Morland patrzył na nią ze swego okna...

2.

Sama nie wiedziała, jakim cudem znalazła się na ławce na Trafalgar Square. Łzy przesłoniły jej mgłą tłum, przewalający się po ulicach w ten letni wieczór. Oczy jej śledziły mechanicznie światła reflektorów, ćwiartujące niebo mlecznymi drogami, zda się bez celu. Wszystko wokoło było cudownie piękne, niebo było ciemne, granatowe, księżycowa poświata srebrzyła wieżę św. Marcina i budziła wielkie bloki kamienne do jakiegoś tajemniczego, zakłętego życia. Nawet lwy ożyły i patrzyły w dal ponad zalaną światłem księżycą pustynię, po której poruszały się małe ludzkie postacie, niewarte nawet jednego skinienia łapą. Siedziała, okrutnie zboleła, jakby tęsknota wszystkich opuszczonych serc w mieście zbiegła się w jej piersi. Dzisiejszej nocy odczuwała ją sto tysięcy razy silniej; ubiegłej nocy bowiem odurzało ją nowe uczucie triumfalnego spełnienia miłości. A teraz miała wrażenie, jakby ją życie postawiło w kącie olbrzymiego, głuchego pokoju, zagasiwszy płomień radości, zamknąwszy drzwi na klucz. Krótkie, suche łkanie wyrwało się z jej piersi.

Łąka pełna siana. Cyryl z koszulą rozchyłoną u szyi, ładuje siano na wóz i patrzy na nią, zgarniającą grabiami od niechcienia nieliczne pozostałe źdźbła. Lśniącą rzeką, łódka zaciągnięta na płytki brzeg, a nad nimi w szybkim locie jaskółki! I ten długi taniec, kiedy czuła jego rękę między łopatkami! Wspomnienia tak słodkie i tak szarpiące, że o mało nie zapłakała wgłos. Ujrzała znowu ciemny, trawą zarosły podwórzec Opactwa, i białą sowę, lecącą nad nimi. Biała sowa! Pewnie unosi się

tam i dziś, choć na trawie pod nią niema już kochanków! W wyobraźni Noel, Cyryl był teraz jedynie brązowym atomem w tej kłębiącej się brązowej ludzkiej powodzi, płynącej do olbrzymiego brązowego morza. Nie umiała go sobie inaczej wyobrazić. Wspomnienie okrutnych chwil na peronie, kiedy szukała i szukała w maszerującym lesie jednego drzewa, stało jej ustawicznie przed oczyma, jakby wypalone ogniem. Zgubiła Cyryla, nie była w stanie go odszukać pośród rojowiska tysięcy innych postaci. Pomyślała nagle: — A on — on stracił mnie także; nigdy nie widział mnie w domu. Nigdy nie widział mnie w Londynie; nie będzie sobie mógł mnie wyobrazić! Istnieje tylko przeszłość, tylko przeszłość — dla nas obojga. Czy jest jeszcze na świecie ktoś równie nieszczęśliwy? — Odgłos miasta — turkot kół, mijające kroki, gwizdy, rozmowy, śmiech — zdawały się odpowiadać z obojętnością: — Nikt. — Spojrzała na zegarek; miał fosforyzujące wskazówki tak samo, jak zegarek Cyryla. Zielonkawe światło wskazywało pół do jedenastej. Wstała przerażona. Pomyśla, że zabłądziła, że ją przejechano, lub jakieś inne głupstwo! Nie mogła znaleźć wolnej taksówki, zaczęła więc iść piechotą, niepewna drogi w nocy. Wkońcu zatrzymała policjanta i zapytała:

— Przepraszam pana, któredy zajdę do Bloomsbury; nie mogę znaleźć taksówki. — Człowiek popatrzył na nią i namyślał się chwilę; potem rzekł:

— Czekają teraz przed teatrem — i znowu na nią popatrzył. W końcu coś ruszyło się w jego mechanizmie myślowym:

— Idę właśnie w tę stronę, panienko. Jeżeli panienka chce, może panienka iść ze mną. — Noel przyłączyła się do niego.

— Ulice nie wyglądają tak, jak powinny — rzekł po-

licjant. — Te ciemności i wojna zawracają dziewczętom w głowie — ani panienka nie uwierzy, ile ich jest teraz na ulicach. To wszystko, ma się rozumieć, przez żołnierzy.

Noel uczuła palący rumieniec na policzkach.

— Panienka pewnie nie zauważyła — ciągnął dalej policjant — jaka to zabawna historja ta wojna. Nigdy nie widziałem tak wesołych i zapchanych ulic, jak teraz w nocy. Zabawa odchodzi całą noc. Nie wiem doprawdy, jak się wszystko ułoży, kiedy nastanie pokój. Przypuszczam, że tam, gdzie panienka mieszka, jest dość spokojnie?

— Tak — odparła Noel — zupełnie spokojnie.

— Niema żołnierzy w Bloomsbury. Czy panienka ma kogoś w wojsku?

Noel skinęła głową.

— Ach! Ciężkie teraz czasy dla pań. Zeppeliny, — bracia i wszyscy inni we Francji — to szarpie nerwy. Sam straciłem brata i mam syna na froncie. Matka strasznie się niepokoi o niego. Nie mogę sobie wyobrazić, co będziemy później myśleć o tem wszystkim. Ci Hunnowie — to nędzna zgraja.

Noel spojrzała na niego; był to wysoki człowiek, przyzwyczajony i spokojny, o twarzy budzącej zaufanie, jednej z tych, które tak często spotykamy u londyńskiej policji.

— Bardzo mi przykro, że pan kogoś stracił — rzekła. — Ja nie straciłam nikogo, jak dotąd.

— Miejmy nadzieję, że panienka wogóle nikogo nie straci. Obecne czasy uczą nas współczucia dla bliźnich, a to coś znaczy. Zauważyłem wielką zmianę w ludziach, o których niktby nie pomyślał, że mogą komukolwiek współczuć. A jednak widziałem i złe sprawy; my, policjanci mamy dość sposobności. Angielskie żony obcokrajowców, Bogu ducha winni drobni piekarze, Niemcy i Austriacy i różni inni: dla tych to okrutne czasy.

Ja sobie zawsze myślę, że to przecież ich nieszczęście, a nie ich wina; a sposób w jaki się z nimi obchodzą — poprostu wstydzi się człowiek czasem, że jest Anglikiem. A najgorsze są kobiety. Mówilem dopiero wczoraj w nocy mojej żonie, powiedziałem jej: — I oni uważają się za chrześcijan, — powiedziałem, — ale z tem całym miłosierdziem, które mają w sobie, mogliby równie dobrze być Hunnami. — Nie mogła tego uznać. I ona nie mogła! — Dobrze, a więc czemu rzucają bomby? — mówi mi. — Co! — mówię do niej — to angielskie żony i piekarze rzucają bomby? Nie bądź głupia, — powiedziałem. — Oni są tak samo niewinni, jak my. Niewinni zawsze zostają ukarani za winnych. — Ale oni są wszyscy szpiegami, — mówi do mnie. — Mój Boże, — powiedziałem — wstydz się, stara! Doprawdy! w twoim wieku! — Ale tak właśnie jest. Nie sposób przemówić kobiecie do rozsądku. Wszystko przez czytanie gazet... Często muszę myśleć, że to kobiety je piszą — przepraszam panienkę bardzo — ale doprawdy, tyle hysterji, tyle nienawiści — to przechodzi ludzkie pojęcie. Czy u panienki w domu też tyle szczucia?

Noel zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, widzi pan, mój ojciec jest proboszczem.

— Ach! — rzekł policjant. W spojrzeniu, jakie na nią rzucił, widać było wzmożony szacunek.

— Naturalnie, — ciągnął dalej, — po sprawiedliwości człowiek musi potępiać tych Hunnów; niektóre ich postęпки przekraczały wszelkie granice. A jednak myślę sobie zawsze — naturalnie nie mówię takich rzeczy na głos, nie człowiekowi nie przyjdzie z tego, że ściągnie na siebie ogólne potępienie — ale sam często sobie myślę: Weźcie tak każdego z osobna, a zobaczycie, że są tacy sami, jak my. Zostali tylko źle wychowani, idą zawsze kupą i to wyrobiło w nich tyle okrucieństwa. Widziałem

niejeden tłum w moim zawodzie i mam o nim jak najgorsze wyobrażenie. Tłum to najdziksza, najbardziej niszczycielska rzecz na świecie. Tłum jest, jak szalona kobieta z opaską na oczach, a nie można sobie wyobrazić czegoś bardziej niebezpiecznego. Ci Niemcy, zdaje się, zawsze idą tłumem. Słuchają co im każe ich cesarz Wiluś i cała ta krwiożercza zgraja, i nigdy nie zastanowią się nad tem wszystkim sami.

— Przypuszczam, żeby ich rozstrzelano, gdyby się zastanawiali.

— Ano tak — rzekł policjant z namysłem. — Doprowadzili bezwątpienia dyscyplinę bardzo daleko. Jeżeli panienka chce znać moje zdanie — zniżył głos, tak że szept jego ginął prawie w rzemieniu, wiążącym czapkę — niebawem i my nie zostaniemy za nimi w tyle. Te wszystkie rzeczy, których musimy teraz bronić, to już doprawdy nie żarty. Bronić miasta przed światłem, ulic przed ciemnością, obcokrajowców, sklepów obcokrajowców, Belgów, brytyjskich żon, żołnierzy przeciw kobietom, kobiet przeciw żołnierzom, Partji Pokoju, koni przeciw okrucieństwu i od czasu do czasu jakiego ministra kolonialnego; a teraz mamy na dodatek jeszcze tych, co odmawiają służby wojskowej. Niech panienka pomyśli — nie podnieśli nam nawet naszej pensji; niema wojennych dodatków dla policji. Według mnie jest tylko jeden dodatni wynik wojny: włamywaczy niema. Dobrze, ale poczekamy tylko trochę, a zaraz będzie ich, jak grzybów po deszczu, jakem Harris.

— Pan musi prowadzić nadzwyczaj denerwujące życie — rzekła Noel.

Policjant spojrział na nią bokiem, nie zniżając twarzy, tak, jak to tylko policjant potrafi i rzekł po-błażliwie:

— Widzi panienka, myśmy do tego już przyzwyczajeni. Niema nic denerwującego w tem, do czego się

człowiek przyzwyczajai. Ci w okopach podobno mówią to samo. Niech panienka weźmie na przykład naszych marynarzy, nawet ci, co wyszli cało z katastrofy storpedowanego okrętu, na drugi dzień zgłaszają się znowu. I z tego właśnie Niemcy nie zdają sobie sprawy! Anglja w czasie wojny! Nie, panienko, człowiek myśli dużo podczas służby; głowa pracuje, choćby człowiek nie chciał — a im więcej myślę, tem jaśniej widzę, że w ludziach tkwi duch wojowniczy. Tylko, że my nie robimy z tego wielkich historyj, jak cesarz Wiluś. Ale niech się panienka przypatrzy takiemu małemu, niemieckiemu sklepikarzowi, jednemu z tych, którym zbombardowali domy — niech się panienka tylko przyjrzy, jak taki patrzy na te sprawy — z jakim obrzydzeniem. Wystarczy spojrzeć na jego twarz, żeby widzieć, jak głęboko się w to wgryzł. Niech się panienka przyjrzy któremuś z naszych żołnierzy o kulach, z kroplami potu na czole i wyteżonemi oczyma, kuśtykającemu drogą — to da paniencie pojęcie o zaciętości! Żal mi tych „pokojowców“, doprawdy, żal mi ich; nie zdają sobie sprawy, przeciw czemu idą. Przypuszczam, że panienka życzyłaby sobie czasem być mężczyzną? Ja czasem bardzobym chciał być w okopach. Najgorsze w moim zawodzie jest, że nie wolno mi być ludzkim stworzeniem — nie w pełnem znaczeniu tego słowa. Nie wolno ci się unieść, nie wolno ci pić, nie wolno ci gadać; ciężkie życie! No, tu już panienka jest w domu. Następna przecznica na prawo. Dobranoc i dziękuję za pogawędkę.

Noel wyciągnęła rękę. — Dobranoc! — rzekła. Policjant mile dotknięty, a zakłopotany ujął niezgrabnie podaną dłoń.

— Dobranoc paniencie — rzekł ponownie. — Widzę, że panienka ma zmartwienie. Życzę paniencie z serca, żeby się wszystko obróciło na dobre.

Noel uścisnęła serdecznie olbrzymią rękę; łązy stanęły

jej w oczach, odwróciła się szybko w kierunku domu. Ujrzała ojca. Twarz jego wyrażała zmęczenie i niepokój; szedł niepewnie, jak człowiek, który coś zgubił.

— Nolli — zawołał. — Dzięki Bogu! — W głosie jego brzmiała bezgraniczna ulga. — Dziecko drogie, gdzieś ty była?

— Wszystko w porządku, tatusiu. Cyryl właśnie odjechał na front. Pożegnałam go na stacji Charing Cross.

Pierson objął ją ramieniem. Weszli do domu, nie mówiąc słowa...

3.

Przy burcie okrętu stał Cyryl Morland, odsunięty od współtowarzyszy podróży o jakie dwie stopy, gdyż nie mógł wywalczyć więcej miejsca dla siebie — i patrzył na Calais, nierealne jak senna zjawia, nabierające z każdą chwilą coraz więcej blasku i życia w południowym skwarze. Mógł już słyszeć nawołujące z oddali armaty — głos otwierającego się przed nim, nowego życia. Dźwięk ten przejął drżeniem jego duszę, która zatracala się w uroku subtelnych, czarownych wspomnień, w nieodstępnej wizji Noel na tle trawy, zalanej księżycową poświatą pod ciemnym murem Opactwa. Ta chwila przejścia z dziwów w nowy dziw była zbyt silnem przeżyciem dla młodego chłopca, nieprzyzwyczajonego do wnicania w głębię własnego istnienia. Stał, patrząc ogłupiałym wzrokiem na Calais, podczas gdy grzmoty nowego życia waliły w jego namiętny, księżycowy sen.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Po wzruszeniach ostatnich trzech dni Pierson zbudził się z uczuciem, jakiego doznaje załoga okrętu, przybijającego do brzegu. Takie uczucie ulgi jest objawem naturalnym, bywa jednak z reguły zwodnicze; wypadki bowiem są nietylko rodzicami przyszłości, ale także dziećmi przeszłości. Wydawało mu się, że powróciły dawne dobre czasy. Był w domu z obydwoma swemi córkami, przytem mógł wypoczywać — wakacje jego bowiem kończyły się dopiero za dziesięć dni. Teraz kiedy Jerzy miał się tak dobrze, Gracja z pewnością wróci do równowagi; teraz, kiedy Cyryl Morland odjechał, Noel wyleczy się z pewnością z tej młodzieńczej gorączki miłosnej. Może za dzień, dwa, o ileby się stan Jerzego nadal polepszał, mógłby pojechać gdzieś z Noel na ostatni tydzień urlopu. Tymczasem zaś mógł wypocząć równie dobrze w tym starym domu, który gromadził w sobie tyle szczęśliwych i bolesnych wspomnień, a towarzystwo jego dziewcząt będzie bezwątpienia równie miłe w domu, jak bywało podczas wakacyjnych wycieczek do Walji, czy Irlandji. Bardzo przyjemny był ten pierwszy ranek zupełnego próżnowania, spędzony już to przy fortepianie, już to przy jakichś błahych zajęciach w zacisznym saloniku, gdzie nic się nie zmieniło od śmierci żony. Nikt nie wiedział, że wrócił do Londynu; nie wi-

dział jeszcze nawet córek, gdyż Noel nie zeszła na śniadanie, a Gracja była przy Jerzym.

W przeciągu następnych dwóch dni doszedł powoli do przekonania, że dzieli ich przecież jeszcze jakaś zaporą. Nie chciał tego uznać, a mimo to w głosie córek, w ich ruchach była jakaś zmiana, — raczej brak czegoś, co dawniej było, niż obecność czegoś nowego. Miał wrażenie, jakby mu każda z nich mówiła: — Kochamy cię, ale nie dopuszczamy cię do naszych tajemnic i nie chcemy byś je znał, gdyż popsułbyś nam wszystko. — Nie obawiały się go, ale odsuwały go bezwiednie od siebie, aby mu przeszkodzić w stłumieniu czy odmienieniu czegoś, co im było bardzo drogie. Kochały ojca bardzo, ale rozwój ich poszedł zupełnie innemi torami. Im bardziej wzrastało ich przywiązanie do niego, tem usilniej wystrzegały się, by to uczucie nie wpływało na ich wzajemny stosunek. Na twarzy Noel malowała się bezradność i duma, co wruszało i gniewało go zarazem. Czemże właściwie zawinił, dlaczego stracił jej zaufanie? Z pewnością musiała uznać, jak zrozumiały i słuszny był jego sprzeciw! Zdobył się na wielki wysiłek, aby jej dać do poznania swoje współczucie. Ale odpowiedziała tylko: — Nie mogę mówić o Cyrylu, tatusiu; poprostu nie mogę! — Pierson, który sam z wielkim trudem ujawniał swoje uczucia, musiał pogodzić się z jej powściągliwością.

Inaczej miała się rzecz z Gracją. Wiedział, że czeka go nieunikniona rozprawa — walka między nim, a jej mężem. Charakterystyczne bowiem dla Piersona było, że widział przyczynę utraty jej wiary we wpływie Jerzego, a nie przypisywał tej zmiany własnym spontanicznym myślom i uczuciom córki. Bał się rozprawy, a jednak jej wyczekiwał z niecierpliwością. Rozmowa miała miejsce na trzeci dzień. Laird wstał już z łóżka i leżał na tej samej kanapie, na której niedawno Pierson mu-

siał wysłuchać od Gracji spowiedzi niewiary. Nie rozmawiał właściwie jeszcze z zięciem, dotychczas bowiem wsuwał tylko głowę do pokoju, aby powiedzieć „dzień dobry“. Młody lekarz miał tego rodzaju powierzchowność, że wogóle mizernie nie mógł wyglądać. Sprzeciwiała się temu budowa jego twarzy z silnie zarysowanymi szczękami i masywnymi kośćmi policzkowymi; mimo to widać było wyraźnie, że przeszedł ciężką walkę. Pierson uczuł na jego widok lekki skurcz w sercu.

— No, Jerzy, — rzekł — napędziłeś nam porządnego strachu. Dziękuję Bogu za Jego miłosierdzie. — To tak często przez Piersona powtarzane zdanie podziało, jak mimowolne wyzwanie. Laird podniósł na niego oczy z wyrazem dobrodusznej ironji.

— A więc doprawdy myślisz, że Pan Bóg jest miłosierny?

— Nie będziemy przecież teraz dyskutowali, Jerzy; nie jesteś jeszcze dość silny.

— Przeciwnie, sprawi mi to szaloną przyjemność.

Pierson spojrział na Grację i rzekł łagodnie:

— Miłosierdzie Boże jest bezgraniczne, sam jesteś o tem przekonany.

Laird spojrział również na Grację, nim odparł:

— Boskie miłosierdzie jest zapewne tak wielkie, jak miłosierdzie ludzkie. Wojna wykazuje najlepiej rozmiary tego miłosierdzia, sir.

Pierson zarumienił się.

— Nie rozumiem cię dobrze — rzekł niemile dotknięty. — Jakże możesz mówić takie rzeczy skoro sam omal nie... Odmawiam dalszej dyskusji, Jerzy, stanowczo odmawiam.

Laird wyciągnął rękę do żony, która podeszła i stanęła przy nim, ujmując jego dłoń w mocnym uścisku.

— Ja jednak będę dyskutował. Duszą mnie poprostu niewypowiedziane słowa. Wzywam cię, sir, byś mi wy-

kazał, czy ktokolwiek dorósł do niesamolubnej li-
tości w jakimkolwiek przejawie. Miłość macierzyńska
się nie liczy. Matka i dziecko są przecież jednym.

Dziwny, specyficzny uśmiech pojawił się już na obu
ich twarzach.

— Mój drogi Jerzy, czyż człowiek nie jest najwspa-
nialszym tworem Bożym, a miłosierdzie najwspanialszą
cnotą człowieka?

— Zupełnie nie. Jeżeli przyjmiemy, że czas geolo-
giczny trwa 24 godzin, to istnienie ludzkie na ziemi nie
przekracza okresu dwu sekund; po kilku dalszych se-
kundach, kiedy mróz zmiecie człowieka ze świata, czas
geologiczny będzie trwał tak długo, póki ziemia nie zde-
rzy się z jakimś innym ciałem niebieskiem i nie stanie
się z powrotem mgławicą. Pan Bóg nie nadwerężył się
zbyt, prawda? 2 sekundy na 24 godzin i człowiek ma
być jego wybranym tworem? A co do tego, żeby miło-
sierdzie było najwspanialszą cnotą człowieka, jest to
tylko modne powiedzenie. Najwspanialszą zaletą czło-
wieka jest jego zmysł proporcji i dzięki temu tylko
utrzymuje się on przy życiu; a miłosierdzie konsekwent-
nie przeprowadzone do końca zabiłoby go niechybnie.
Miłosierdzie jest rodzajem luksusu, czy też ubocznego
produktu.

— Jerzy! Niema muzyki w twojej duszy; gdybyś ty
tylko mógł wiedzieć, jak małą rzeczą jest w i e d z a!

— A więc pokaż mi większą, sir!

— Wiara.

— W co?

— W to, co zostało nam objawione.

— Ach! Znowu ta sama historja! Przez kogo — jak?

— Przez Boga samego — za pośrednictwem Pana
naszego!

Słaby rumieniec zabarwił poźółkle policzki Jerzego,
oczy pojaśniały.

— Chrystus — rzekł, — o ile istniał, o czem niektórzy ludzie, jak ci wiadomo, wątpią, był bardzo pięknym charakterem; ale byli i inni. Żądać od nas w dzisiejszych czasach, abyśmy wierzyli w jego nadnaturalność czy boskość, to znaczy żądać od nas, abyśmy poszli w świat z zawiązanymi oczyma. I to jest właśnie to, czego ty żądasz, prawda?

Pierson spojrział ponownie na córkę. Stała zupełnie spokojnie z oczyma utkwionemi w twarz męża. Czuł podświadomie, że wszystkie słowa jej chorego męża wypowiedziane były z myślą o niej. Gniew w nim wezbrał i coś, — jakby rozpacz.

— Nie umiem tłumaczyć — rzekł z trudnością. — Są rzeczy, których ci nie mogę wyjaśnić, ponieważ jesteś uparcie ślepy na wszystko, w co ja wierzę. Jak myślisz, o co walczymy w tej wielkiej wojnie, jeśli nie o przywrócenie wiary w Miłość, jako przewodnią zasadę życia?

Laird potrząsnął przecząco głową.

— Walczymy o przywrócenie zagrożonej równowagi.

— Równowagi sił?

— Wielkie nieba! — nie! Równowagi filozofji!

Pierson uśmiechnął się.

— To brzmi bardzo mądrze, Jerzy. Ale znów cię niestety nie rozumiem.

— Walczymy o przywrócenie równowagi pomiędzy powiedzeniami: „Siła jest prawem“, a „Prawo jest siłą“. Oba są tylko do połowy prawdą, ale pierwsze zaczynało zyskiwać przewagę nad drugim. Wszystko inne to obłuda. A propos, sir. Twój kościół jest nieugięty w karaniu przestępców. A gdzież się tu podziewa miłosierdzie? Albo sam Bóg nie jest miłosierny, albo też kościół nie wierzy w Boga.

— Słuszna kara nie wyklucza miłosierdzia, Jerzy.

— W n a t u r z e wyklucza.

— Ach — natura, Jerzy. Zawsze ta natura. Bóg stoi ponad naturą.

— A więc czemu pozostawia jej swobodę? Ileżto miłosierdzia okazuje natura człowiekowi, który trochę za nadto lubi wódkę, lub kobiety? Kara, jaka go spotyka, równa się dokładnie jego niewstrzeżliwości; może się modlić do Boga, ile tylko zechce, — dopóki nie zmieni trybu życia, nie uzyska miłosierdzia. A nawet gdy zmieni tryb życia, i tak nie uzyska miłosierdzia; uzyskuje poprostu od natury należne mu wynagrodzenie. My Anglicy, którzyśmy zaniedbali umysł i wychowanie — ileżto miłosierdzia uzyskaliśmy w tej wojnie? Miłosierdzie, to ozdoba stworzona przez ludzi, choro-
roba, luksus — można je nazwać, jak się chce, wedle woli. Pozatem, nie mam nic przeciw miłosierdziu. Przeciwnie, jestem jego zwolennikiem.

Raz jeszcze Pierson spojrzął na córkę. Wyraz jej twarzy zabolął go — owo ciche skupienie, z jakim chłoneła każde słowo męża, rozbudzone, dociekające spojrzenie jej oczu. Zwrócił się ku drzwiom, mówiąc:

— To nie może być zdrowe dla ciebie, Jerzy. — Widział, jak Gracja położyła rękę na czole męża i pomyślał zazdrośnie: — Jak uchronię moje biedne dziecko od niewiary? Czy dwadzieścia lat pieczołowitej opieki ma pójść na marne pod wpływem tego modnego ducha?

Na dole, w gabinecie, przyszedł mu na myśl słowa: — Święty, święty, święty, miłosierny i wszechmocny! — Podszedł do małego fortepianu stojącego w rogu pokoju i zaczął grać hymn, zaczynający się od tych słów. Grał go cichutko na klawiszach przyjaznego instrumentu, z którym się nie rozstawał od lat trzydziestu, od czasów spędzonych w College; i śpiewał przytem cichutko zmęczonym głosem. Usłyszał jakiś szelest i podniósł wzrok. Do pokoju weszła Gracja. Położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

— Wiem, że cię to boli, tatusiu. Ale musimy sobie sami szukać drogi, prawda? Przez cały czas, kiedyś mówił z Jerzym, czułam, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, że to ja właśnie się zmieniłam. To nie są jego myśli, tylko myśli do których ja doszłam samodzielnie. Chciałabym żebyś zrozumiał, że mam swój własny umysł, tatusiu.

Pierson spojrział na nią ze zdziwieniem:

— Rozumie się, że masz własny umysł.

Gracja zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, tyś myślał, że mój umysł należy do ciebie; a teraz myślisz, że należy do Jerzego. Ale on jest mój własny. Przypomnij sobie, kiedyś ty był w moim wieku, czy wszystkie twoje usiłowania nie szły wtedy w tym kierunku, aby dotrzeć do własnej prawdy, nie do tej, którą wyznawał twój ojciec?

Pierson nie odpowiedział. Nie mógł sobie przypomnieć, jak to było. Zdawało mu się, że rozgarnia kijem zwał zeszlórocznych liści, wywołując suchy szelest i niejasne wrażenie czegoś nierzeczywistego. Czy szukał prawdy? Bezspornie tak, ale nie doprowadził tem do niczego. Cała wiedza była jak dym! Intuicyjna, emocjonalna wiara jest jedyną prawdą — jedyną rzeczywistością!

— Ach, Gracjo — rzekł, — szukaj, jeżeli musisz, ale gdzie znajdziesz w końcu oparcie? Za głęboka to dla nas studnia. Powrócisz do Boga, moje dziecko, gdy będziesz zmęczona; w Nim jedynie jest spokój.

— Nie pragnę spokoju. Niektórzy ludzie szukają przez całe życie i umierają, szukając. Czemużbym ja tak żyć nie miała?

— Będiesz bardzo nieszczęśliwa, moje dziecko.

— Jeżeli będę nieszczęśliwa, tatusiu, to dlatego, że cały świat jest nieszczęśliwy. Nie przypuszczam jednak,

żeby tak być musiało. Zdaje mi się, że całe zło pochodzi stąd, że ludzie nie chcą patrzeć sprawom prosto w oczy.

— Czy myślisz, że ja nie chcę patrzeć sprawom prosto w oczy?

Gracja skinęła potakująco głową.

— Jeżeli to czynię, to dlatego, że nie widzę innej drogi do szczęścia.

— Czy jesteś szczęśliwy, tatusiu?

— O tyle, o ile mi na to pozwala moje usposobienie.

Brak mi waszej matki. Jeżeli stracę ciebie i Noel...

— O, to się nigdy nie stanie!

Pierson uśmiechnął się.

— Moja droga, — rzekł. — Zdaje mi się, że się to już stało.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Jakiś żartowniś wypisał kredą wyraz „Pokój“ na trzech sąsiadujących bramach w małej uliczce naprzeciw Buckingham Palace.

Napis ten przyciągnął oczy Jimmy Forta, kiedy utykając powracał do domu z przydługiej dyskusji w klubie. Lekki uśmiech wykrzywił jego wąskie, gładko wygolone wargi. Był jednym z tych Anglików, którzy nigdzie miejsca nie zagrzeją; młodość swą spędzają w różnych częściach świata, wśród najróżnorodniejszych konfliktów. Opalony, szczupły, prosty, jak trzcina, twardy, jak stal, cały jakby wycięty z pnia hikory, miał czaszkę i proste czoło wojownika. Należał do typu Anglików, którzy w przeciągu jednego, czy dwu pokoleń stają się typowymi Amerykanami lub typowymi mieszkańcami kolonij; a jednak każdy musiał w Jimmy Fort'cie poznać odrazu Anglika. Choć dobiegał już czterdziestki, w rysach jego było jeszcze coś chłopięcego, jakaś dziecięca szczerłość, rycerskość i zdolność do uniesień, a jego małe, spokojne, szare oczy patrzyły w życie z przekornym humorem. Nosił jeszcze mundur, choć w wojsku już z niego zrezygnowano, przyszedłszy do przekonania, że się na nic nie przyda. Postrzał nogi bowiem, który przez dziewięć miesięcy starano się uzdrowić, okazał się nieuleczalny; pracował więc teraz w ministerstwie wojny, gdzie zajmował się końmi, na których się znał. Zajęcie

to nie odpowiadało mu, gdyż zbyt długo żył z najróżnorodniejszymi ludźmi, którzy nie byli ani Anglikami, ani urzędnikami, obecne więc środowisko działało mu na nerwy. W istocie życie, jakie teraz prowadził, nudziło go niemożliwie, wołałby sto razy powrócić do Francji. Dlatego też wyraz „Pokój“ wydawał mu się szczególnie dokuczliwy. Zaszedłszy do domu zrzucił mundur; nie wyzbył się bowiem dotąd głęboko zakorzenionej niechęci do tego sztywnego stereotypowego stroju; wyciągnął fajkę, napelniał ją i usiadł przy oknie.

Światło księżyca nie mogło ochłodzić rozgrzanego miasta, które zdawało się pogrążone w niezdrowym śnie — siedem milionów śpiących ludzi w milionie domostw. Słysząc było niezamierające nigdy odgłosy. Ciasna uliczka wionęła stęchłymi wyziewami, choć lekki wietrzyk starał się osłodzić powietrze. — Niech djabli wezmą wojnę — pomyślał. — Ileżbym dał za to, żeby spać dziś pod gołym niebem, a nie w tem przeklętym mieście! — Ci, którzy spali bez dachu nad głową, nie bacząc na prawa moralności, spędzili z pewnością tę noc przyjemniej; nie spadła na nich mianowicie ani kropla rosy, tak, jak żadna rosa nie chłodziła w sercu Jimmy Forta palącej udręki i nieustającej myśli: — Ta wojna! Przeklęta wojna! — W nieskończonych rzędach małych, szarych domów, w olbrzymich karawanserajach, w pałacach bogaczy, w willach i w domach czynszowych najbiedniejszych dzielnic; w urzędach publicznych, we fabrykach i na stacjach kolejowych, gdzie praca trwała nieprzerwanie całą noc; w długich szpitalach, gdzie chorzy leżeli rzędami; w obozach internowanych; w barakach, w przytułkach — nie było jednej głowy, któraby we śnie, czy na jawie mogła się oswobodzić od myśli: — Ta przeklęta wojna. — Wzrok Jimmy Forta zatrzymał się na wieży, górującej, jak senna zjawa nad dachami. Ach! Jedynie kościoły, pozbawione ludz-

kiej duszy, mogły być nieświadome! Ale cała reszta nawet sen nie zdoła ukoić. Tu matka wyszepta imię syna; tam znów kupiec będzie śnił, chrapiąc, że tonie, obładowany złotem; jakaś żona obróci się na łóżku, aby wyciągnąć ramiona — w próżnię; a ranny żołnierz zbudzi się ze snu w okopach z kroplami potu na czole; sprzedawca gazet na poddaszu zawoła przez sen ochryłym głosem. Tysiące ludzi pozbawionych swych ukochanych rzucają się zapewne niespokojnie, starając się stłumić westchnienia; tysiące zrujnowanych patrzy przerażonym wzrokiem w czarną przyszłość. Tysiące gospodyń ślęczą nad rachunkami; tysiące żołnierzy śpią jak kłody — gdyż jutro czeka ich śmierć; a tysiące dzieci śnią o nich; tysiące prostytutek leżą w odrętwieniu dziwiąc się kolejom swego życia; tysiące dziennikarzy śpią snem sprawiedliwych. A ponad nimi wszystkimi w księżycowej poświacie myśl — ta przeklęta wojna — zawisła, jak złowróźbny kruk, łopocący skrzydłami.

— Gdyby Chrystus rzeczywiście istniał, — wpadło mu na myśl, — sięgnąłby po ten księżyc i szedłby od domu do domu po całej Europie, pisząc słowo „Pokój“ na każdych drzwiach. Ale Chrystus nie istnieje, natomiast istnieje Hindenburg i Harmsworth! — Na myśl o nich przypomniał sobie walkę byków, którą widział kiedyś w południowej Afryce. Wydawało mu się, że słyszy znowu tętent kopyt, chrapliwe ryki i chrzęst masywnych czaszek, że widzi znowu, jak rozjuszony zwierzęta z maulami, krwią nabiegłymi oczyma odskakują od siebie i nacierają ponownie. Wyciągnął z kieszeni list i odczytał go raz jeszcze przy świetle księżyca:

„15, Camelot Mansions

„St. John's Wood.

„Drogi Panie Fort,

„Dziś wieczór, przeglądając stare listy, znalazłam adres pańskiego Klubu. Czy wiedział Pan o tem, że je-

stem w Londynie? Opuściłam Steenbok pięć lat temu, po śmierci męża. Od tego czasu przeszłam bardzo dużo. W czasie walk przeciw Niemcom pracowałam w południowej Afryce jako pielęgniarka, ale powróciłam już przed rokiem, aby się tu czemś zająć. Bardzobym się cieszyła, gdybyśmy się mogli zobaczyć, o ile Pan przypadkiem jest w Anglii. Pracuję w wojskowym szpitalu w mojej dzielnicy, ale wieczory mam przeważnie wolne. Czy pamięta Pan jeszcze tę noc księżycową w czasie winobrania? Londyńskie noce nie są bynajmniej tak wonne! Lizoform! Och, ta wojna!

Zasylałam dużo serdecznych pozdrowień

Leila Lynch“.

— Przeszłam bardzo dużo! — O ile sobie mógł przypomnieć, Leila Lynch zawsze przeżywała bardzo wiele. Uśmiechnął się na wspomnienie werandy starego duńskiego domu w High Constanca i kobiety, siedzącej tam pod białym kwieciami jakiegoś słodko pachnącego pnącza; pięknej kobiety, z oczyma, które umiały czarować, kobiety w której sieci byłby się niechybnie zaplątał, gdyby nie był się na czas ulotnił! Dziesięć lat minęło i oto pojawiła się znowu, przywodząc z sobą świeży powiew minionych dni. Wchłaniał w siebie zapach małego listu. Że też każdy musiał przemycić w liście wiadomość o swym wojennym zatrudnieniu! Jeżeliby jej odpowiedział, napisałby z pewnością: „Od czasu jak kułeję, pracuję w ministerstwie wojny w sprawach dotyczących koni i bardzo się przy tem nudzę!“ Leila Lynch! Kobiety nie młodnieją z biegiem czasu, a przytem podejrzewał, że była starsza od niego. Pozostało mu jednak przyjemne wspomnienie jej białych ramion i zgięcia szyi, kiedy odwracała głowę, by rzucić komuś spojrzenie wielkich szarych oczu. Cała znajomość trwała zaledwie pięć dni — ale zdołali dużo pomieścić w tych

pięciu dniach, jak to często bywa w podróży po obcych krajach. Epizod ten był, jak owe zielone, niebezpieczne, zarosłe mchem bagna, jakie często spotyka się podczas polowania na bekasy; wstąpić na takie miejsce — znaczy zapaść się w ziemię conajmniej po szyję. No, teraz nie groziło żadne niebezpieczeństwo, skoro mąż jej umarł — biedak! W obecnej chwili, kiedy każdy poświęcał czas wyłącznie służbie dla kraju, byłoby bardzo przyjemnie spędzić kilka godzin w jej towarzystwie i nabrać w ten sposób nowych sił do pracy. — Jakimi oszustami jesteśmy wszyscy — pomyślał. — Gdyby tak ktoś brał na serjo to, co wyczyta w gazetach i w przemówieniach, mógłby uwierzyć, że nikt nie myśli o niczem innym, tylko w jaki sposób dać się zabić dla dobra przyszłości! Upijamy się słowami. Ciekaw jestem, z jakimi minami zbudzimy się pewnego pięknego poranka, kiedy zobaczymy, że rozsloneczniony pokój zagląda do naszych okien! Ach, żebyśmy już tylko doczekali się tego; gdybyż nam już było wolno cieszyć się znowu życiem! — Spojrzał na księżyc. Tonął już i rozpływał się w półmrokach świtu. W pierwszych brzaskach dnia widać było wozy z wodą i zamiataczy ulic; pod okapami dachów zaświergotały wróble. W szarzącym mroku miasto ukazywało dziwnie obce oblicze. Z zamkniętymi okiennicami wydawało się opuszczone, jak Babilon. Jimmy Fort wytrząsnął tytoń z fajki i poszedł spać.

2.

Leila Lynch, powracając ze służby w szpitalu, postanowiła odbyć godzinną przechadzkę, zanim pójdzie do domu. Miała dwie sale pod opieką i z reguły brała tylko dyżuryienne; jakieś drobne wydarzenie spowodowało, że wyznaczono jej tę nadprogramową służbę. Po 18 godzinach w szpitalu wyglądała natural-

nie bardzo źle, a może właśnie przez to najkorzystniej. Policzki jej były blade, koło oczu ukazywały się drobne zmarszczki, zwykle niewidoczne. Twarz ta kojarzyła w sobie w zadziwiający sposób miękkość z hartem. Oczy, nieco pełne wargi i blade policzki były z natury łagodne, ale wyraz ich zaostrzało opanowanie wewnętrzne, jakie wytwarza się w kobietach, które w życiu są zdane na własne siły i — świadome swej piękności — pragną ją utrzymać wbrew niszczącym usiłowaniom Czasu. Było też dużo przeciwieństw w jej postaci, gdyż gorset nadawał jej miękko modelowanym kształtom zbyt ostre linje. Idąc w półmroku przez opustoszałe ulice w długim, niebieskim, niezapiętym płaszczu, wykręciła kapelusza na palcu tak, że poranny wietrzyk mógł swobodnie wicherzyć jej jasno brązowe, lekko przyfarbowane włosy. Choć nie mogła na siebie popatrzeć, była zadowolona ze swego wyglądu, kiedy tak mijała falującym krokiem samotne drzewa i domy. Szkoda tylko, że nikt jej nie mógł podziwiać podczas godzinnej blisko przechadzki po Regent Parku, gdy tak szła, pogrążona w rozmyślaniach i śledziła z radością barwy powracające na świat, jakby były przeznaczone wyłącznie dla niej.

Leila Lynch była zdecydowanie swoistym typem, a życie jej było pod pewnemi względami bardzo interesujące. Jako młoda dziewczyna rozgrzewała niejedno serce, nie mówiąc już o sercu swego kuzyna Edwarda Piersona. Jako osiemnastoletnia panna wyszła z szalonej miłości za młodego przystojnego urzędnika cywilnego w Indjach, nazwiskiem Fane. Po dwunastu miesiącach miłość obojga wypaliła się docna. Potem zaczął się pięcioletni okres zgryźliwości, nudów, wzrastającego cynizmu, przerywany coraz częstszymi wyjazdami wypoczynkowemi do Simla i do domu, dla poratowania zdrowia, zagrożonego przez gorący klimat. Wszystko to skończyło się naturalnie nową szaloną miłością do oficera strzelców Lyn-

cha. Nastąpił rozwód i powtórne zamążpójście, następnie wojna boerska, w której Lynch został ciężko ranny. Leila udała się do niego i pielęgnowała go tak długo, póki nie powrócił choć w połowie do dawnego, krzepkiego zdrowia; jako dwudziestoosmioletnia kobieta zaczęła z nim nowe życie na farmie, położonej w głębi południowej Afryki. Tak przeszło dalszych dziesięć lat, spędzonych poczęści na samotnej farmie, poczęści w starym duńskim domu w High Constanca. Lynch nie był złym człowiekiem, ale jak większość żołnierzy starej Armji, nie posiadał ani krzty poczucia estetycznego. A na nieszczęście Leili bywały w jej życiu momenty, w których poczucie estetyczne wydawało jej się rzeczą niezbędną. Starła się pokonać tę swoją słabość — i drugą słabość — zbyt wielką przyjemność, jaką jej sprawiała adoracja mężczyzn. Mimo to jednak zdarzały się okresy, w których jej usiłowania nie były zbyt owocne. Znajomość z Jimmy Fortem datowała się właśnie z takiego okresu, i już wtedy, gdy nagle odjechał do Anglji, miała dla niego dużo serdeczności. Jeszcze teraz wspominała go z przyjemnością. Zanim jeszcze Lynch umarł, owe „okresy“ przerwała na czas dłuższy fala powracającego uczucia dla chorego człowieka, z którym związała swe życie wśród romantycznych okoliczności rozwodu. Lynch nie nadawał się naturalnie na farmera tak, że po jego śmierci nie zostało jej nic, prócz własnego, stałego dochodu stu pięćdziesięciu funtów rocznie. Fakt, że w przyszłości zdana była na to, aby jako trzydziestoosmioletnia kobieta zarabiać prawie że na całe swoje utrzymanie, zatrwożył ją tylko na chwilę, była bowiem prawdziwie dzielnym człowiekiem. Miała wrażenie, jak wiele osób, które bawią się w amatorskie przedstawienia, że posiada talent aktorski; po dłuższych trudach doszła jednak do przekonania, że jedynie jej głos i świetnie zachowane nogi znajdowały uznanie w oczach

krytycznych dyrektorów teatrów i publiczności południowej Afryki. W ciągu trzech lat pełnych przygód starała się stawić czoła losowi, wykorzystując te dwie zalety pod przybranem nazwiskiem. Przy tem wszystkiem potrafiła zachować pewną kulturalną wytworność obejścia, a sposób jej życia był o wiele uczciwszy, niżby go sobie umiała stworzyć niejedna bardziej od niej dystygowana dama w jej położeniu. Nigdy przynajmniej nie rozwodziła się żałośnie nad „smutną zmianą warunków materialnych“, a jeśli nawet jej życie w tym okresie było trochę rozwiązłe i mieściło w sobie conajmniej trzy epizody miłosne, było ono jednak bezsprzecznie bardzo ludzkie.

Dzielnie przyjmowała uśmiechy i niepowodzenia losu, umiała się zawsze zabawić i nauczyła się współczuć z twardą dola bliźnich. Po pewnym czasie poczuła się jednak śmiertelnie zmęczona. Kiedy wojna wybuchła, Leila przypomniała sobie, że była dobrą pielęgniarką; wróciła do swego dawnego nazwiska i zmieniła zawód. Dla kobiety która lubiła się podobać mężczyznom i być przez nich podziwianą, zajęcie pielęgniarki podczas wojny posiadało pewien urok; teraz jeszcze po dwóch latach sprawiało jej przyjemność, gdy pozostający pod jej opieką żołnierze odwracali głowę, aby patrzeć na nią, kiedy przechodziła koło ich łóżek. Twarda szkoła życia nauczyła ją jednak zupełnego panowania nad sobą, a choć nawet teterycy i purytanie ulegali jej urokowi, wiedzieli dobrze, że ma lat czterdzieści trzy. Żołnierze lubili ją wszyscy, praca szpitalna sprawiała jej mało kłopotu. Wojna nie wywoływała w niej zbyt głębokich refleksyj, wyznawała bowiem nieskomplikowany patryjotyzm, powszechny w klasie społecznej, z jakiej pochodziła. Ojciec jej był marynarzem, pierwszy mąż urzędnikiem, drugi żołnierzem; żadne abstrakcyjne rozmyślania nie komplikowały w niej zagadnień wojny. Ojczyzna przedewszyst-

kiem! A choć przez owe dwa lata pielęgnowała tyle młodych pokaleczonych ciał, uważała to poprostu za swą codzienną pracę i obdarzała współczuciem każdego żołnierza z osobna, nie zaprzatając sobie głowy jakimś ogólnem uczuciem żalu nad niepotrzebną zagładą tylu istot ludzkich. Tak, pracowała doprawdy ciężko, spełniała, „co do niej należało“; ale od jakiegoś czasu czuła, że budzi się w niej znowu ta dawna nieuchwytna tęsknota za „życiem“, za radością, za czemś więcej, niż bierny podziw, którym ją darzyli jej żołnierze. Owe stare listy — sam fakt, że je przeglądała, był niechybną oznaką tych nieuchwytnych pragnień. Spotęgowały w niej uczucia żalu, że Życie omijało jej drogę, choć była jeszcze ponętną kobietą. Tyle lat spędziła poza Anglią i taka była zapracowana od chwili powrotu, że niewiele zostało nici, do którychby mogła nawiązać. Dwa listy z pośród tej małej spuścizny przeszłości, tak bardzo różne, rozbudziły w niej sentymentalne pragnienia:

„Droga Pani gwiazdzistych kwiatów,

Exiturus (sic) te saluto. Poczta morska zawiezie Ci te słowa pożegnania. Jeżeli mam być szczery, to muszę wyznać, że mi strasznie przykro odjeżdżać z południowej Afryki. Zpośród wszystkich wspomnień, wspomnienie ostatnich dni będzie najtrwalsze. Winobranie w Constance'y i Pani śpiewająca: „Gdybym być mogła rosą srebrzystą“. Jeśli kiedykolwiek Pani i mąż Jej wybieriecie się do Anglii, proszę mi dać znać, a będę się starał odwdziaczyć tam choćby w części za najszcześniejsze pięć dni, jakie spędziłem u Państwa.

Szczerze Pani oddany
Jimmy Fort“.

W pamięci została jej twarz bardzo opalona, wysoka, smukła postać i jakaś bijąca z niej rycerskość. Jakże wyglądał teraz pó dziesięciu latach? Posiwały, żonaty,

z kupą dzieci? Jak okropną rzeczą jest czas! A mały, żółty liścik kuzyna Edwarda. Mój Boże! Pisał go dwadzieścia sześć lat temu, zanim został proboszczem, zanim się ożenił. Świetny tancerz, prawdziwie muzykalny, dziwak, miły chłopak, serdecznie oddany, strasznie wrażliwy, a jednak płonął w nim jakiś ukryty ogień.

„Droga Leilo,

„Po naszym ostatnim tańcu odszedłem. Nie mogłem wrócić na salę. Udałem się wdół ku rzece i szedłem wdluż brzegu. Cudownie było, na wszystkim leżały szare opary mgły, drzewa szeptały, a krowy wyglądały, jak święte; szedłem i myślałem o Tobie. Jakiś wieśniak wziął mnie za warjata, widząc mój wieczorowy strój. Droga Leilo, taka piękna byłaś wczoraj i tak cudnie się z tobą tańczyło. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczona i że Cię będę mógł niedługo zobaczyć.”

Twój kochający Cię kuzyn
Edward Pierson“.

A potem odszedł i został proboszczem i ożenił się i był od piętnastu lat wdowcem. Pamiętała, że żona jego umarła na krótko zanim ona sama odjechała do południowej Afryki w tym pełnym upokorzeń okresie jej życia, kiedy rozwodem tak bardzo wzburzyła rodzinę. Biedny Edward, doprawdy najmilszy z jej kuzynów! Właściwie jedyny, z którym miałyby się ochotę zobaczyć. Musiał być dziś bardzo stary, bardzo dobry, bardzo n a m i e j s c u!

Leila okrążyła już prawie cały Regent Park szerokim łukiem. Słońce zaczęło się ukazywać z za domów, nie słychać było jednak jeszcze żadnego odgłosu ulicznego ruchu. Pochyliła się nad grzędą heliotropów i długo i z rozkoszą wchłaniała w siebie zapach kwiatów. Nie mogła się powstrzymać od zerwania jednej gałązki i wdy-

chania jej woni. Zbudziła się w niej nagle tęsknota za miłością i targała każdym jej nerwem. Stała tak chwilę drżąca, z oczyma nawpół zmrużonemi, trzymając ciągle przy twarzy bladoliljowy nawpół rozkwitły kwiat. Potem rzuciła okiem na zegarek w branzoletce i zaczęła śpiesznie iść w kierunku domu, aby się położyć, gdyż była już czwarta, a w południe miała znów objąć dyżur. Ach ta wojna! Była zmęczona. Gdyby się to wszystko już raz skończyło, gdyby już znów wolno było żyć!...

Gdzieś w stronie Twickenham tonął księżyc; gdzieś w stronie Kentish Town słońce wzbijało się w górę, zaturkotały koła, a siedem milionów śpiących w milionie domów zbudziło się z rannego snu do tej samej myśli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Edward Pierson jedząc z roztargnieniem śniadanie, otworzył list zaadresowany pismem, którego nie mógł rozpoznać.

Szpital Wojskowy
Mullberry Road, St. John's Wood
N. W.

„Drogi kuzynie Edwardzie,

„Czy przypominasz sobie mnie jeszcze, czy też zatonęłam już zupełnie w cieniach nocy? Byłam kiedyś Leilą Pierson, i często zastanawiam się nad tem, jak teraz wyglądasz i jak wyglądają twoje córki. Jestem tu już od roku, zajęta pracą dla naszych rannych, a rok temu byłam pielęgniarką w południowej Afryce. Mąż mój umarł pięć lat temu. Choć nie spotkaliśmy się od wieków — nie mam wcale odwagi liczyć tych lat — pragnęłabym Cię bardzo zobaczyć. Czy nie zecheiałbyś przyjść któregoś dnia, by obejrzeć mój szpital? Mam dwie sale pod nadzorem; nasi żołnierze są szalenie mili.

Twoja zapomniana, ale mimo to szczerze oddana Ci
Kuzynka

Leila Lynch.

„P. S. Wpadł mi w ręce mały liścik, któryś mi przed laty napisał; nasunął mi wspomnienia dawnych dni“.

Nie! Nie zapomniał. Miał żywe wspomnienie we własnym domu. Spojrzał na Noel, siedzącą naprzeciw. Jakież podobne miała oczy! — Ciekawym, jak Leila dziś wygląda — pomyślał. — Trzeba być miłosiernym. Ten człowiek umarł. Od dwóch lat pielęgnuje rannych. Musiała się bardzo zmienić. I ja chciałbym ją naturalnie zobaczyć. Pójdę do niej. — Spojrzał ponownie na Noel. Dopiero wczoraj wznowiła swą prośbę, by jej pozwolił uczyć się pielęgniarstwa.

— Pójdę dziś obejrzeć pewien szpital, Nolli — rzekł. — Jeżeli sobie tego życzysz, mogę zasięgnąć informacji. Obawiam się, że będziesz musiała zacząć od zmywania naczyń.

— Wiem o tem. Zgodzę się chętnie na każdą robotę, byle zacząć.

— A więc dobrze. Postaram się załatwić ci to. — Powrócił znów do swego śniadania.

Głos Noel wyrwał go z zamyślenia.

— Czy bardzo odczuwasz wojnę, tatusiu? Czy cię boli tu? — Położyła rękę na sercu. — Może nie, bo ty przecież żyjesz napół w innym świecie, prawda?

Słowa: — Niech Bóg zabroni, — cisnęły mu się na usta; nie wypowiedział ich; dotknięty i zaskoczony odłożył łyżkę. Cóż to dziecko mogło przez to rozumieć?

Nie odczuwał wojny! Uśmiechnął się.

— Wierzę, że mam możność być ludziom czasami pomocnym, Nolli — rzekł i uświadomił sobie, że dał odpowiedź na własne myśli, nie na słowa córki. Skończył szybko śniadanie i wyszedł w pośpiechu. Poszedł naprzelaj przez plac, minął dwie tłumne ulice, kierując się ku wschodniej części miasta do swego kościoła. Na tle zamieszania i ruchu tych ulic jego czarno odziana postać i poważna twarz z vandyck'owską brodą robiła dziwnie obce wrażenie, niby żywa pozostałość minionej

cywilizacji. Wszedł do kościoła bocznem wejściem. Pięć dni zaledwie nie był tu, ale ten krótki czas tak wypełniły różne wzruszenia, że pusty, tak dobrze znany gmach wydał mu się obcy. Przyszedł tu zupełnie bezwiednie, szukając jakiegoś oparcia, jakiejś wytycznej w nagłej zmianie, jaka zaszła w stosunku córek do niego. Stał przy orle z białego brązu i wlepił wzrok w chór. Nowe śpiewniki były koniecznie potrzebne, — żeby tylko nie zapomniał ich zamówić! Oczyma poszukał witrażu, który ufundował dla uczczenia pamięci żony. Słońce stało jeszcze za wysoko, nie mogło więc wpadać przez szyby; snopem skośnych promieni rozzłościło dół witrażu, aż zajaśniał ciemną czerwienią. — W innym świecie! — Dziwnych wyrażań używała Noel. Wzrok jego natknął się na lśniące w mroku organy; poszedł na górę i zaczął uderzać ciche, powiązane ze sobą akordy. Skończył i spojrzał wdół. Przestrzeń zamknięta strzelistymi murami i wysokim, sklepionym dachem, tonąca stale w półmroku, przerwany gdzieś bladą plamą kolorowych szkielek, kwiatów, metalu i ciemnego drzewa — oddana jego pieczy, była ojczyzną jego i ostateczną ucieczką.

Nic nie poruszało się tam w dole — a jednak — czyż cisza nie była pełna tajemniczego życia, czyż zamknięte murami powietrze nie było przepojone dziwnym drżeniem, jakby wisiały w niem jeszcze dźwięki muzyki i szmer modlących się, błogosławiących głosów? Czyż cała ta przestrzeń nie była przepelniona obecnością świętości? Za oknami katarynka wygrywała swe melodie, jakiś wóz z turkotem toczył się po ulicznym bruku, woźnica nawoływał na konie; w oddali grzmiały armaty — były to odgłosy ćwiczeń wojennych; stukot kół niezliczonych wozów tworzył sieć splatających się dźwięków. Ale te odgłosy z zewnętrznego świata zmieniały się tu w ściszone szmery; cisza jedynie i półmrok były rze-

czywistością dla Piersona — malej, czarno odzianej postaci, gubiącej się w tej olbrzymiej, pustej przestrzeni.

Kiedy wyszedł z kościoła, było jeszcze za wcześnie, aby pójść do szpitala Leili; zamówił więc nowe śpiewniki i wstąpił do domu jednej ze swoich parafjanek, której syn zginął we Francji. Znalazł ją w kuchni; była to starsza kobieta; zarabiała na życie jako posługaczka. Wytarła dla proboszcza krzesło.

— Właśnie gotowałam sobie herbatę, sir.

— Filiżanka herbaty to świetna rzecz, Mrs. Soles.

Pierson usiadł, aby jej nie onieśmielać.

— Tak, ale wywołuje zgagę; piję teraz osiem do dziesięciu filiżanek dziennie. I do tego bardzo mocną. Nie mogę się obejść bez tego. Panienki, chwalić Boga, zdrowe, sir?

— Dziękuję, zdrowe. Panna Noel zaczyna się uczyć pielęgniarstwa.

— Boże wielki! Taka młodziutka; ale wszystkie młode panny teraz coś robią. Mam siostrzenicę, pracuje przy amunicji, zarabia ładny grosz. Co to chciałam powiedzieć — nie przychodzę teraz do kościoła. Od czasu jak mój syn został zabity, nie mam serca pójść gdziekolwiek — nie byłam w kinie przez trzy miesiące. Zaczynam płakać, jak się tylko wzruszę.

— Rozumiem. Ale w kościele znaleźlibyście spokój duszy.

Mrs. Soles potrząsnęła głową, mały skręcony węzełek bezbarwnych włosów chwiał się to w tę, to w ową stronę.

— Nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek — rzekła. — Wolę siedzieć tu i pracować. Mój syn był dla mnie prawdziwym synem. Jedyna rzecz, jaka mi jeszcze przynosi ulgę, to herbata. Mogę panu zrobić w tej chwili świeżą filiżankę, sir.

— Dziękuję pani, Mrs. Soles, ale muszę już iść dalej. Powinniśmy się wszyscy cieszyć, że zobaczymy swoich

ukochanych w lepszym świecie. A za kilka dni zobaczę panią chyba w kościele, prawda?

Mrs. Soles przeniosła ciężar swej osoby z jednej obutej w pantofel nogi na drugą.

— Ano, miejmy nadzieję — rzekła. — Ale nie wiem, kiedy będę miała odwagę. Dowidzenia, sir, dziękuję pięknie za wizytę.

Pierson udał się w dalszą drogę z leciutkim uśmiechem na ustach. Biedna, dziwaczna stara kobiecina! — nie była wprawdzie starsza od niego, ale wydawała mu się staruszką — rozłączona tak ze swym synem — jak tyle, tyle innych matek; i jaka dobra była przytem, jaka cierpliwa! Przyszła mu na myśl melodia jakiegoś hymnu. Palce jego poruszały się w powietrzu, jakby przyciskając klawisze, podczas gdy czekał na autobus, mający go zawieźć do St. John's Wood. Gdy tak stał, tyśiące ludzi przechodziło koło niego. Nie widział ich jednak, zatopiony w myślach o hymnie, córkach i miłosierdziu boskiem. Na platformie autobusu, który wreszcie nadjechał, wyglądał, jak człowiek samotny i odcięty od reszty świata, choć sąsiad jego był tak zażywny, że nie zostawił mu prawie miejsca na ławce. Wsiadł na Lord's Cricket Ground i zapytał o drogę jakiejś pani w stroju pielęgniarki.

— Możeby pan zechciał pójść ze mną — rzekła — właśnie tam idę.

— O! Może pani zna przypadkiem niejaką Mrs. Lynch, pielęgniarkę.

— Jestem Mrs. Lynch. Mój Boże, przecież to Edward Pierson!

Spojrzał na jej twarz, której się dotychczas jeszcze nie przyjrzał.

— Leila! — zawołał.

— Tak, Leila! To bardzo ładnie, żeś przyszedł, Edwardzie!

Stali tak na ulicy, szukając w swych twarzach śladów minionej młodości, aż Leila rzekła cicho:

— Mimo brody, poznałabym cię wszędzie! — Myślała jednak: — Biedny Edward! Jest doprawdy stary i wygląda, jak mnich!

A Pierson w odpowiedzi rzekł równie cicho:

— Zmieniłaś się bardzo niewiele, Leilo! Nie widzieliśmy się od czasu narodzin mojej młodszej córki. Jest trochę do ciebie podobna. — Myślał jednak: — Moja Nolli! O tyle świeższa... Biedna Leila!

Udali się dalej, rozmawiając o jego córkach, aż doszli do szpitala.

— Jeżelibyś chciał poczekać tu na mnie chwilę, mogłabym cię oprowadzić po moich salach.

Zostawiła go w pustym hallu. Czekał, trzymając w ręce kapelusz, dotykając drugą swego złotego krzyża; wróciła jednak szybko. Na jej widok Pierson uczuł w sercu falę cieplejszego uczucia. Jak wiele uroku dawały kobietom trudy miłosierdzia! Wyglądała tak inaczej, o tyle łagodniej w białym pielęgniarskim czepku i białym fartuszką na niebieskawej sukni.

Na widok zmiany, jaka odzwierciadliła się w jego twarzy, serce Leili zabiło również cieplej, właśnie w miejscu, gdzie kończył się biały fartuszek. Rzuciła mu ukradkiem skośne spojrzenie, podczas gdy szli na salę chorych, gdzie dawniej mieścił się bilard.

— Moi żołnierze są szalenie mili, — rzekła, — lubią, gdy się z nimi rozmawia.

Światło padało przez oszklony dach na sześć łóżek, stojących szeregiem pod zieloną, ponurą ścianą — na przeciw sześciu łóżek, stojących pod drugą zieloną, ponurą ścianą — a z każdego łóżka zwracała się ku nim twarz — młoda twarz, pozbawiona prawie zupełnie wyrazu. Jakaś pielęgniarka na samym końcu sali obejrzała się na nich, nie przerywając pracy. Widok sali szpi-

talnej nie był wtedy dla nikogo nowością, a tembardziej nie dla Piersona. Był czemś tak codziennem, że nie miał właściwie żadnego znaczenia. Zatrzymał się przy pierwszym łóżku, a Leila stanęła obok. Żołnierz uśmiechał się, gdy ona mówiła do niego, a nie uśmiechał się, gdy Pierson mówił i to też nie było dla niego niczem nowem. Szli tak od łóżka do łóżka, osiągając zupełnie ten sam skutek, aż w pewnej chwili Leilę odwołano. Usiadł przy łóżku młodego żołnierza o długiej, bardzo wąskiej głowie i twarzy i grubo zabandażowanem ramieniu. Pierson dotknął z czcią opatrunku i zapytał:

— No, mój drogi chłopcze, czy jeszcze bardzo boli?

— Szrapnelowa rana, — odpowiedział żołnierz. —

Mięso poszarpane do kości.

— Ale duch wyszedł cało, jak widzę!

Młody żołnierz rzucił mu dziwne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: — Mniej więcej. — Gdzieś przy ostatnim łóżku gramofon zaczął grać: „Boże chroń tatusia w polu“.

— Lubi pan muzykę?

— Owszem, czas szybciej mija.

— Czas się wam pewnie bardzo dłuży w szpitalu?

— Ano tak; czasem się nudzi. Takie już szpitalne życie. Widzi pan, byłem już raz ranny. Ale zawsze lepiej, jak w polu. Ta ręka już pewnie na nic. Nie martwię się; zostanę zwolniony.

— Macie tu dobre pielęgniarki.

— Tak; lubię Mrs. Lynch; najmiłsza ze wszystkich.

— To moja kuzynka.

— Widziałem, że weszliście razem. Widzę tu wszystko. I myślę też dużo. Czas szybciej mija, kiedy się myśli.

— Czy wolno wam palić?

— O tak; pozwalają nam.

— Może pan spróbuje mojego papierosa?

Młody żołnierz uśmiechnął się po raz pierwszy.

— Dziękuję. Mam pełno własnych.

Przechodząca pielęgniarka uśmiechnęła się do Piersona:

— To jeden z naszych zblazowanych. Drugi raz jest u nas, prawda, Simson?

Pierson spojrział na młodego człowieka, na jego długą wąską twarz, w której jedna z ocienionych jasną rzęsą powiek opadała nieco na oko. Twarz ta uzbrojona była w jakąś zdecydowaną wszechwiedzę. Gramofon wydał kilka chrapliwych dźwięków i zaczął grać „Sidi Brahim“. Pielęgniarka poszła dalej.

— Seedy Abram — rzekł młody żołnierz. — Francuzi to śpiewają. Jeden podchwytuje u drugiego, wie pan.

— Aha, — szepnął Pierson. — Bardzo ładna melodia. — Zaczął palcami wystukiwać takt na kołdrze, gdyż nie znał tej melodji. Coś poruszyło się w twarzy młodego człowieka, jakby ktoś uniósł nieco ciężkiej zasłony.

— Francja nie jest najgorsza. — rzekł nagle — granaty i to wszystko razem nie jest najgorsze. Ale nie mogą znieść błota. Moc rannych ginie w błocie; topią się, nie mogą wstać i duszą się. — Zdrowa ręka poruszyła się niespokojnie. — Sam raz o mało nie utonąłem. Ledwie utrzymałem się na powierzchni.

Pierson otrząsnął się:

— Bogu dzięki!

— Tak. To było niemiłe. Opowiedziałem raz o tem Mrs. Lynch w gorączce. To miła pani; już niejeden z naszych przeszedł przez jej ręce. Z tem błotem nie jest w porządku, wie pan. — Zdrowa ręka wykonała znów niespokojny ruch, podczas gdy gramofon zaintonował: „Chłopcy w brunatnych mundurach“. Ruch tej ręki

wzruszył Piersona do głębi. Wstał, dotknął obandażowanego ramienia i rzekł:

— Dowidzenia. Mam nadzieję, że pan będzie wkrótce zupełnie zdrow.

Wargi młodego żołnierza zadrgały w bladym uśmiechu; starał się podnieść opuszczoną powiekę.

— Dowidzenia, sir. Dziękuję.

Pierson wrócił do hallu. Przez otwarte drzwi słońce wpadało do środka potokiem światła. Pchnięty nieopanowanym impulsem stanął w świetlnej plamie i czuł ciepło, rozgrzewające go do pasa. Błoto! Jakież brzydkie było życie! Życie i Śmierć! Jedno i drugie brzydkie! Biedni chłopcy! Biedni chłopcy!

Usłyszał za sobą głos:

— A, tu jesteś, Edwardzie! Czy chciałbyś obejrzeć drugą salę, czy wolisz, żebym ci pokazała kuchnię?

Pierson ujął ze wzruszeniem jej rękę.

— Spełniasz szlachetne zadanie, Leilo. Chciałem cię spytać, czy jest możliwe, aby Nolli uczyła się tu pielęgniarstwa? Chciałaby zaraz rozpocząć. Idzie o to, że chłopak, który jej się podoba, poszedł właśnie na front.

— Ach! — szepnęła Leila, a oczy jej stały się bardzo łagodne. — Biedne dziecko! Potrzebna nam będzie jeszcze jedna siła na przyszły tydzień. Zobaczę, czy mogłaby przyjść odrazu. Pomówię z naszą przełożoną i dam ci wieczorem znać.

Uścisnęła mocno jego dłoń.

— Drogi Edwardzie, tak się cieszę, że cię znowu widzę. Jesteś pierwszy z naszej rodziny, którego widzę po szesnastu latach. Bardzobym się cieszyła, gdybyś dziś przyszedł do mnie z Nolli na kolację — ma się rozumieć nie będzie wiele do jedzenia! Mam małe mieszkanko. Będzie też niejaki kapitan Fort, bardzo miły człowiek.

Pierson przyjął zaproszenie i myślał odchodząc: —

Kochana Leila! Wierzę, że była w tem ręka Opatrzności. Trzeba jej współczucia. Chciałaby zapomnieć o swej przeszłości. Jakie kobiety są dobre.

Słońce wyłoniwszy się nagle z za chmury, oświeciło na środku Portland Place jego czarno odzianą postać i mały złoty krzyżyk na piersiach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

W ludziach, którzy zwiedzają obce kraje i poznają różne zakątki świata, wyrabia się z czasem pewien zmysł malarski, pewna zdolność odczuwania kształtów i barw, choćby nawet z natury nie mieli artystycznego temperamentu. Ilekroć Jimmy Fort wspominał później pierwszy wieczór spędzony u Leili, widział przed sobą pewien obraz, a raczej szereg obrazów. Cały dzień spędził w rozgrzanem od słońca powietrzu, objeżdżając w aucie jedną farmę hodowlaną za drugą; a wino Leili miało w sobie subtelną ożywczą siłę. Pobudzony niem zmysł obserwatorski zaostrzył się jeszcze, tembardziej, że smukłe dziecko, które tam spotkał, nie piło nic, ojciec jej ledwo zwilżył wargi, tak że Leili i jemu przypadła cała reszta w udziale. Scena, która utkwiała mu w pamięci, miała w sobie wiele uroku, wiele ciepła i blasku, choć padał na wszystko tajemniczy surowy cień, może odbicie czarnych ścian.

Mieszkanie to należało do malarza, który poszedł na wojnę. Było maleńkie, jak klateczka i leżało na trzeciem piętrze. Przez dwa okna małej prostokątnej jadalni widać było kilka drzew i jakiś kościół. Ale Leila, która nie lubiła jeść kolacji przy dziennem świetle, zaciągnęła nieco błękitne firanki. Obraz, który Fort zapamiętał, przedstawiał się następująco: mały czworokątny stół

z ciemnego drzewa, na którego środku na jaskrawo niebieskiej chińskiej macie stał błyszczący, srebrny wazon wypełniony gwoździkami; obok kilka zielonawych kielichów z winem; po lewej ręce Leila w głęboko wyciętej liljowej sukni z bardzo białą szyją i białymi ramionami, twarzą lekko upudrowaną, olbrzymimi oczyma i uśmiechniętymi wargami; naprzeciw czarno odziany padre z małym krzyżem na piersiach, na którego wąskiej, ciemnej twarzy z poważną ostrą brodą, zakwitwały i gasły nikle, łagodne uśmiechy, a głęboko zapadłe, szare oczy płonęły ukrytym ogniem; po prawej ręce dziewczyna w gładkiej jasno-popielatej, prawie białej sukni, z małym wycięciem u szyi i szerokimi krótkimi rękawami, z których wyłaniały się smukłe ramiona; krótkie, jasne włosy, trochę w nieładzie; wielkie, szare, poważne oczy; pełne wargi, kształtujące z nieuchwytnym wdziękiem każde słowo — z niewielu wypowiedzianych przez nią wyrazów; jaskrawe czerwone abażury nad złotymi światłami, rzucające barwne plamy na czarne ściany; niebieski tapczan, mały fortepian, zlewający się z czernią tapet; ciemna, lśniąca podłoga; cztery japońskie sztychy; biały sufit. Zdawał sobie sprawę, że jego własny, brązowy mundur psuje tę całość, tak ciekawą i rzadką, jak jakaś stara, chińska skrzynka do herbaty. Zapamiętał nawet, co jedli: homara, pasztet gołębi na zimno, szparagi, ser St. Ivel, maliny ze śmietaną. Nie pamiętał nawet w połowie tak dokładnie, o czym mówili, wiedział tylko, że opowiadał im różne historie z wojny boerskiej, w której służył w Yeomanry, a podczas jego opowiadania młoda dziewczyna nie odrywała oczu od niego, jak dziecko, które słucha bajki. Pamiętał, że po kolacji palili wszyscy papierosy, nawet to smukłe dziewczę, choć padre powiedział do niej łagodnie: — Dziecko drogie, — na co odpowiedziała: — Tylko jednego tatusiu, muszę. — Pamiętał Leilę parzącą

turecką kawę — bardzo dobrą kawę — i pamiętał, jak pięknie wyglądały jej białe ramiona, podczas gdy krzątała się przy filiżankach. Pamiętał, że nakłaniała proboszcza, aby zasiadł do fortepianu i zagrał. A ona i dziewczyna obok siebie na tapczanie — dziwny kontrast — i równie dziwne podobieństwo między niemi. Pamiętał zawsze, jak subtelnie i szlachetnie brzmiała muzyka w małym pokoju, opływając go falami szczęsnego rozmarzenia. Potem — pamiętał — Leila śpiewała, padre stał obok niej, a smukłe dziecko siedziało na tapczanie, pochylone naprzód z brodą opartą na dłoni. Pamiętał wyraźnie, jak Leila odwróciła głowę i patrzyła to na proboszcza, to znów na niego, a przede wszystkim pamiętał owo cudne poczucie kolorów i ciepła, jakgdyby cały ten wieczór zaklęty był czarem barw i swojskości. Przydługi uścisk dłoni Leili, kiedy się żegnał i gdy wszyscy odchodzili razem. Pamiętał, że podczas drogi rozmawiał dużo z proboszczem o szkole, do której obaj chodzili i że myślał: — Jaki miły ten padre! — Pamiętał, jak taksówka stanęła na starym placu, którego nie znał. W świetle gwiazd ogrodowe drzewa wydawały się bardzo czarne. Jakiś stojący przed domem człowiek zapuścił się z proboszczem w poważną rozmowę, podczas gdy smukłe dziecko i on stali przy otwartych drzwiach, za którymi czernił się hall. Z niezwykłą dokładnością zapamiętał ich krótką rozmowę.

— Czy w okopach jest bardzo okropnie, kapitanie Fort?

— Tak, panno Pierson; zazwyczaj jest tam bardzo niemiło.

— Czy niebezpieczeństwo zagraża bez przerwy?

— Mniej więcej.

— Czy oficerowie są bardziej narażeni, niż zwykli żołnierze?

— Tylko w razie ataku.

— A czy ataki są często?

To krótkie przesłuchanie wydawało mu się tak dziwnie prymitywne, że nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Mimo ciemności zauważyła jego uśmiech, twarz jej bowiem przybrała odrazu dumny i nieprzystępny wyraz. Przeląkł się i spytał łagodnie:

— Czy pani ma brata na froncie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Ale kogoś innego?

— Tak.

Kogoś innego! Odpowiedź ta wstrząsnęła nim. Ciekaw był, czy zadawała wszystkim podobne pytania z myślą o tym „kimś innym“. Biedne dziecko!

— Ostatecznie niech pani spojrzy na mnie, — dodał pośpiesznie. — Byłem w polu cały rok i wróciłem z trochę tylko kulawą nogą; a wtedy były prócz tego jeszcze o wiele gorsze czasy. Mimo to często sobie życzę, żeby tam powrócić. Wszystko jest lepsze od Londynu i ministerstwa wojny. — W tej właśnie chwili ujrzał nadchodzącego proboszcza i ujął jej rękę.

— Dobranoc, Miss Pierson. Niech się pani nie trapi. To i tak nic nie pomoże, a niebezpieczeństwo nie jest nawet w połowie tak wielkie, jak się pani wydaje.

Ręka jej zadrżała i uścisnęła jego dłoń z wdzięcznością, jak ręka dziecka.

— Dobranoc — szepnęła; — dziękuję panu.

Pamiętał, jak wsiadł zpowrotem do ciemnego wozu i myślał:

— I ktoby to przypuszczał, takie dziecko! A to szczęśliwiec z tego chłopca na froncie! Głupia historia! Biedna, mała królewna z bajki!

C Z Ę Ś Ć II.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

1.

Zmywanie naczyń nie jest wogóle zajęciem, podnoszącym ducha. A zmywanie naczyń w sierpniu było dla Noel poprostu próbą wytrzymałości sił i entuzjazmu. Uczyla się pozatem jeszcze różnych innych rzeczy, wchodzących w zakres sztuki pielęgniarstwa, miała bardzo mało wolnego czasu i często wieczorami po powrocie do domu zasypiała nagle, wtulona w wielki, kretonem obity fotel.

Jerzy i Gracja wrócili już dawno każde do swego szpitala, tak, że była z ojcem sama w domu. Od Cyryla dostawała często listy, które nosiła przy sobie i czytywała w drodze do szpitala i zpowrotem; co drugi dzień pisała do niego. Nie był jeszcze na linji; w listach opisywał żołnierzy, pożywienie, tubylców, albo wspomnienia z Kestrel. Noel pisała o myciu naczyń i wspomnieniach z Kestrel. Ale tak jedno, jak i drugie umiało wtrącić jakieś małe słówko, zdradzające trawiącą ich tęsknotę.

Z końcem sierpnia dostała list, w którym jej donosił, że go przeniesiono na front. Od tej chwili groziło mu stale niebezpieczeństwo! Tego wieczora po kolacji nie

zasnęła w fotelu. Siedziała przy otwartem oknie z zaciśniętymi pięściami, czytając „Pychę i Przesady“ i nie rozumiała ani słowa. Gdy tak siedziała, wszedł ojciec.

— Kapitan Fort przyszedł, Nolli. Czy nie chciałabyś mu podać kawy? Muszę jeszcze wyjść.

Kiedy odszedł, Nolli spojrzała na swego gościa, pijącego kawę. I on był kiedyś tam, na froncie i wrócił zdrów i cały z trochę tylko chromą nogą. Gość uśmiechnął się i rzekł:

— O czym pani myślała, kiedyśmy weszli?

— Tylko o wojnie.

— Miała pani jakie wiadomości?

Noel zmarszczyła brwi:

— Tak! Poszedł na front. Może pan pozwoli papierosa?

— Dziękuję. A pani?

— Muszę zapalić. Uważam, że najstraszniejszą rzeczą jest czekanie z założonemi rękoma.

— Jedna rzecz jest gorsza: wiedzieć, że inni czekają. Kiedy byłem na froncie, martwiłem się strasznie o matkę. Była wtedy chora. Najokrutniejszą rzeczą podczas wojny jest obawa jednych ludzi o drugich — nie się z tem nie może równać.

Słowa te były dokładnem odbiciem stałych rozmyślań Noel. Jak on miło umiał mówić, ten człowiek o długich nogach i szczupłej, brązowej, kościstej twarzy!

— Pragnęłabym być mężczyzną, — rzekła.

— Zdaje mi się, że podczas wojny najwięcej cierpią kobiety. Czy matka pana jest stara? — Z pewnością musi być stara — przecież on sam jest stary!

— Umarła tamtego roku na Boże Narodzenie.

— Ach! Tak mi przykro!

— Pani straciła matkę, będąc całkiem malutkiem dzieckiem?

— Tak. Oto jej portret.

W głębi pokoju na kawałku czarnej aksamitnej wstążki wisiał pastel, bardzo delikatny w kolorycie, jakby spłowiały. Przedstawiał młodą kobietę o żywej czarującej twarzy i ciemnych oczach, pochyloną trochę naprzód, jakby chciała o coś zapytać. Fort podszedł do obrazu.

— Pani nie jest ani trochę podobna. Ale to musiała być bardzo urocza kobieta.

— Mam zawsze uczucie, jakby była obecna w tym pokoju. Chciałabym być do niej podobna!

Fort odwrócił się.

— Nie, — rzekł, — nie. Lepiej, że pani wygląda, jak pani wygląda. Zepsułoby to tylko coś doskonałego.

— Moja matka była dobra.

— Czy pani nie jest dobra?

— O, nie; mam diabła w sobie.

— Pani! Jakto, przecież pani jest królowną z bajki!

— Mam to po tatusiu — tylko, że on nie zdaje sobie z tego sprawy; on jest zupełnie święty; ale wiem mimo to, że miał kiedyś w sobie diabła, inaczej nie mógłby być taki święty.

— Hm! — rzekł Fort. — Bardzo głębokie powiedzenie; wierzę, że tak jest — święci mieli rzeczywiście diabła w sobie.

— Djabeł biednego tatusia już od wieków nie żyje. Przypuszczam, że go w sobie na śmierć zagłodził.

— Czy zdarza się pani czasami, że djabeł nie daje się poskromić?

Noel czuła, że rumieni się pod jego spojrzeniem; odwróciła się do okna.

— Tak. Bo to jest właśnie prawdziwy djabeł.

Żywo stanęło jej przed oczyma ciemne opactwo i księżyc, zawieszony nad brzegiem zwietrzałego muru i biała sowa, płynąca w górze. Nie odwracając głowy rzekła przed siebie:

— Zmusza nas do robienia tego, czego się pragnie.

Czekała, czy się roześmieje — słowa jej brzmiały tak głupio. Nie śmiał się jednak.

— I nie myśli się o następstwach? Znam to. Dobrze mieć w sobie takiego djabła.

Noel potrząsnęła przecząco głową.

— Oto i tatuś. Już wraca.

Fort wyciągnął ku niej rękę.

— I tak już odchodzę. Dobranoc. I niech się pani za dużo nie martwi, dobrze?

Trzymał długo jej rękę w swej dłoni i mocno ją uściskał.

Nie martwić się! Łatwa rada! A Cyryl?

2.

We wrześniu 1916 roku sobota pomimo wojny zawsze jeszcze poprzedzała niedzielę. Dla Edwarda Piersona dzisiejsza sobota była dniem żmudnej pracy; nawet teraz, choć już północ się zbliżała, uczył się jeszcze na pamięć dopiero co napisanego kazania.

Będąc szczerym patryjotą, pragnął czasem gorąco porzucić swą parafję i zaciągnąć się jako kapelan do szeregów, tak, jak to uczynił jego wikary. Wydawało mu się, że ludzie muszą uważać jego tryb życia za próżniaczy, tchórzliwy i nieużyteczny.

Nawet w czasach pokoju wyczuwał chwilami powiew chłodu, na jaki kościół był narażony w materialistycznym wieku. Wiedział, że z dziesięciu osób dziewięć patrzy na niego, jak na pasorzyta, wędrującego po świecie właściwie bez zajęcia. A ponieważ sumienność była jedną z jego najgłębiej zakorzenionych cech, zapracowywał się, ile miał sił.

Wstał dziś o pół do siódmej, wykąpał się, odbył codzienną gimnastykę i zasiadł do swego kazania — gdyż

nawet teraz pisał jeszcze raz na miesiąc nowe kazanie, choć mógł już czerpać z owoców dwudziestosześcioletniej pracy. Prawdę mówiąc, te nowe kazania były jednak raczej kompilacjami niż świeżymi kompozycjami, gdyż pozbawiony pomocy wikarego, nie miał dość czasu, by stare tematy ubierać w nowe myśli. O ósmej zjadł śniadanie razem z Noel przed jej odejściem do szpitala, skąd wracała dopiero o ósmej wieczorem. Między dziewiątą a dziesiątą miał godzinę przyjęć dla swych parafjan, którzy w potrzebie udawali się do niego o radę lub pomoc. Dziś odwiedzili go trzej, i wszyscy z prośbą o wsparcie, którego im nie odmówił. Od dziesiątej do jedenastej pracował dalej nad kazaniem, następnie dwie godziny od jedenastej do pierwszej spędził w kościele doglądając różnych drobnych spraw. Robił różne notatki, wyznaczał hymny, odbył wprowadzone podczas wojny codzienne, pół-godzinne nabożeństwo, na które rzadko kto przychodził. W wielkim pośpiechu wrócił do domu na obiad i połknął prędko jedzenie, by spędzić godzinę zapomnienia przy fortepianie. O trzeciej ochrzcił jakieś krzyczące dziecko i stracił dużo czasu z rodzicami, którzy zasięgali najróżnorodniejszych informacji. A o pół do piątej ledwie zdążył wypić filiżankę herbaty, czytając przy tem gazetę. W ciągu następnych dwu godzin między 5-tą a 7-mą wstąpił do dwóch klubów parafjalnych i do kilku osób, które mu powierzyły doglądanie spraw pensyj wojсковych. Wypełniał więc formularze, których przeznaczeniem było leżeć tak długo po urzędach, aż system zostanie zmieniony i trzeba będzie zastąpić stare formularze nowymi. Od 7-mej do 8-mej był znowu w domu, na wypadek, jeśliby ktoś z jego trzódki chciał się z nim widzieć; dziś przyszły cztery owieczki i odeszły, jak się obawiał, niewiele mądrzejsze, niż przyszły! Od pół do dziesiątej do pół do dziesiątej musiał odbyć próbę

z chórem, ponieważ organista był na urlopie. Zmęczonym krokiem wrócił do domu w chłodzie wieczoru i zasnął zaraz w swoim fotelu. O 11-tej zbudził się nagle i, przewyciężając gwałtem zmęczenie, zabrał się zpowrotem do kazania. A teraz, choć już północ się zbliżała, kazanie ciągle jeszcze było za krótkie, nie wypełniłoby nawet dwudziestu minut.

Zapalił papierosa, co czynił tylko bardzo rzadko, i puścił wodze myślom. Jakże piękne były te blado-różowe róże w starym, srebrnym kielichu — niby mały, dziwaczny wierszyk, albo melodia Debussy'ego, albo obraz Mathieu Maris'a — przywodzący mu, niewiadomo dlaczego, na myśl imię: Leila. Czy źle czynił, pozwalając Noel na tak częste przebywanie z Leilą? Ale przecież tak się zmieniła na korzyść — droga Leila!... Płatki bladoróżowych róż mogły lada chwila opaść! A mimo to, jakież piękne!... — Tak cicho dziś było; czuł się bardzo senny... Czy Nolli ciągle jeszcze myślała o tym chłopcu, czy też może to już minęło? Nigdy mu się od tego czasu nie zwierzyła! Dobrzeby było zabrać ją po wojnie do Włoch i zwiedzać razem wszystkie małe miasteczka. Pojadą do Asyżu św. Franciszka... Małe kwiatuszki ś-tego Franciszka. Małe kwiatuszki!... Ręka mu opadła, papieros zagasł. Spał z głową w cieniu. Powoli w ciszę jego snu zaczęły się wdzierać krótkie, ponure dźwięki, urywane wstrząsy, wyrywające go z głębokiego uśpienia. Zerwał się. Noel stała w drzwiach w długim płaszczu. Rzekła spokojnym, jak zwykle głosem:

— Zeppeliny, tatusiu!

— Tak, drogie dziecko. Gdzie są służące?

Z hallu odezwał się głos o irlandzkim akcencie:

— Tu, sir; ufamy w miłosierdzie Boże, ale na partezie jest bezpieczniej.

Ujrzał grono trzech dziwacznie odzianych postaci, przytulonych do schodów.

— Tak, tak, Bridgie; tu jesteście całkiem bezpieczne. Zauważył, że Noel wyszła. Poszedł za nią na plac pełen ludzi, jaśniejących blademi twarzami w ciemności. Znalazł ją opartą o ogrodową balustradę.

— Musisz wrócić do mieszkania, Nollie.

— O, nie. Cyryl przechodzi to codzień.

Stanął obok niej; czynił to chętnie, gdyż podniecenie pobudziło jego krew do szybszego krążenia. Trwali tak kilka minut, wyężdżając wzrok, by ujrzeć coś jeszcze, prócz strzępiastych fontann wybuchających szrapneli, podczas gdy wkoło nich szeptały stłumione głosy:

— Patrz! Tam! Tam! Tam jest!

Ale patrzący mieli bardziej wierzące oczy, niż Pierson, który nic nie widział. Wkońcu wziął Noel pod ramię i zaprowadził ją zpowrotem do domu. W hallu uwolniła się od jego ręki.

— Chodźmy na dach, tatusiu! — i pobiegła na górę. Poszedł znów za nią po drabinie, przez małe drzwiczki, na dach.

— Jak tu wspaniale! — zawołała.

Mógł dojrzeć jej rozgorzałe oczy i pomyślał:

— Jak ją podniecenie upaja — to wprost okropnie!

Po szerokim, czarnym, gwiazdami usianem niebie wędrowały reflektory, oświetlając nieliczne chmury; nad szeroko rozpostartymi dachami majaczyły tajemniczo kopuły i wieże. Armaty ucichły, jakby zaskoczone tem wszystkim. Z oddali zadudnił huk.

— Bomba! Ach, żebyśmy tylko mogli trafić któryś z zeppelinów!

Nastąpiły wściekłe wybuchy pocisków, trwające może minutę, potem umilkły nagle, jak zakłęte. Drogi świetlne dwóch reflektorów zaczęły skierowywać się ku sobie, aż zbiegły się nad ich głowami.

— Jest nad nami! — szepnęła Noel.

Pierson objął ją wpół ramieniem. — Nie boi się —

pomyślał. Światła odskoczyły od siebie; nagle usłyszeli zdaleka zgiełk niezrozumiałych odgłosów.

— Co się dzieje? Krzyczą hurra! Och, tatusiu, popatrz!!!

Na wschodniej stronie nieba zawisł blado-szkarłatny kształt, wydłużający się w oczach patrzących.

— Trafiony! Pali się! Hurra!

Na tle czarnego sklepienia niebios ognisto-pomarańczowy kształt zaczął opadać nadół; radosne okrzyki przerodziły się w dzikie wrzaski. Pierson objął córkę mocniej ramieniem.

— Bogu dzięki! — szepnął.

Lśniąca elipsa zdawała się pękać i rozszerzać, aż utonęła w morzu dachów; nagle całe niebo zapłonęło blaskiem, jakby ktoś chlusnął w nie światłem z olbrzymiego dzbana. Serce Piersona skurczyło się; gwałtownym ruchem zakrył oczy ręką.

— Biedni ludzie tam w środku! — rzekł. — Jakie to straszne!

Noel odparła twardym, bezlitosnym głosem:

— Nikt ich tu nie wołał. To mordercy!

Tak, byli mordercami — ale co za okropność!

Stał, drżąc na całym ciele, z twarzą ukrytą w dłoniach, póki radosne okrzyki nie przebrzmiały w ciszy.

— Módlmy się, Nollu! — szepnął. — O Boże, któryś w swem miłosierdziu zbawił nas od niebezpieczeństwa, bądź miłościw dla dusz naszych wrogów, których Twój gniew zniszczył w naszych oczach, naucz nas litości dla nich — którzy, jak i my, są ludźmi.

Jednak nawet w czasie swej modlitwy widział przed sobą twarz Noel płomiennie-białą w ciemności, a kiedy światłość zgasła na niebie, uczucie triumfu przejęło go jeszcze raz radosnem drżeniem.

Potem zeszli nadół, aby opowiedzieć dziewczętom, co się stało. Przez jakiś czas siedzieli jeszcze razem,

omawiając, co widzieli, jedząc keksy i popijając je mlekiem, zagrzanem na spirytusowej maszynie. Dochodziła druga, kiedy się udali na spoczynek. Pierson zapadł odrazu w sen i nie poruszył się, aż go o wpół do 7-mej zbudziło dzwonienie budzika. Miał odprawić o 8-mej mszę świętą, wstał więc śpiesznie, aby pójść wcześniej do kościoła i przekonać się, czy budynek nie poniósł jakiej szkody. Oto stał przed nim w słońcu, wysoki, szary, nie naruszony, dźwięczący łagodną melodją dzwonów.

3.

O tej samej godzinie Cyryl Morland, ukryty za wałem okopu, zaciągał mocniej pasek i patrzył po raz setny na zegarek na ręce, obliczając dokładnie, w którym miejscu oprze rękę i nogę, by wyskoczyć.

— Niewolno mi w żaden sposób dopuścić — myślał, — by mnie moi chłopcy wyprzedzili. — Tyle a tyle metrów do pierwszej linji nieprzyjacielskiej, tyle a tyle metrów do drugiej linji, potem stanąć. Tak było przy próbach; teraz miało się odbyć przedstawienie! Jeszcze jedna chwila, aż straszliwy wybuch zaporowego ognia zamroczy powietrze dymem, pod którego osłoną mają ruszyć. Objął okiem okopy. Człowiek, stojący obok, dotykał ust kciukiem i wskazującym palcem, jakby właśnie grał w kricketa i miał wysłać piłkę. Żołnierz, stojący nieco dalej, poprawiał owijacze. Jakiś głos rzekł:

— A to ci dopiero orkiestra! — Widział błysk zębów w twarzach opalonych prawie że na czarno. Spojrzał w górę; przez brunatną osłonę pyłu, wznoszącego się po każdym uderzeniu granatu, widać było błękit nieba. Noel! Noel! Noel!... Zagrzebał palce głęboko pod lewą połą munduru, aż wyczuł kształt jej fotografii pomiędzy blokiem meldunkowym a sercem. Serce to biło niespokojnie, tak, jak dawniej w szkole, kiedy wyprężony,

z ręką dotykającą ziemi czekał na start stumetrowego biegu. Mignęło mu przed oczyma światełko czyjejs zapalniczki; jakiś żołnierz zapalał papierosa. Dobrze to dla tych chłopców, ale nie dla niego; potrzebował całego swego oddechu — karabin i ładunek stanowiły dość ciężką przeszkodę! Dwa dni temu czytał w jakiejś gazecie o tem, co ludzie czują przed atakiem. A teraz już wiedział sam. Był poprostu zdenerwowany. Żeby już tylko ta chwila przyszła i minęła! Nie poświęcał żadnej myśli nieprzyjaciolom, tak, jakby ich zupełnie nie było — jakby istniały tylko granaty i kule, żyjące własnem życiem. Usłyszał gwizdek; oparł nogę na miejscu, które sobie wyznaczył; wspiął się na ręce, tak, jak sobie to przed chwilą wyobraził. — Naprzód chłopcy! — Głowa jego była poza wałem, a teraz już całe ciało; uświadomił sobie, że obok niego ktoś upada, że tuż koło niego stoją dwaj ludzie ramię przy ramieniu. Tylko nie gonić, tylko nie złamać szeregu; iść powoli, a jednak na czele. Przekłęte wyboje! Kula rozdarła mu rękaw i drasnęła ramię — piekący ból, jakby dotknięcie rozpalonego do czerwoności żelaza. Granat angielski zaświstał tuż nad jego głową i wybuchł pięćdziesiąt kroków przed nim. Potknął się, upadł jak długi, zerwał się znowu.

Trzech wyprzedziło go teraz! Przyśpieszył kroku i zrównał się z nimi. Dwóch padło. — Mam szczęście! — pomyślał; ujął mocniej karabin i spadł głową na dół w jakiś wybój. Leżały tam trupy! Pierwsza linja niemieckich okopów i ani jednej żywej duszy, żadnego oporu, zupełnie nic! Zatrzymał się, zaczerpnął powietrza, widział, jak ludzie sapiąc i potykając się wpadali do środka. Powietrze rozdarł znów ogłuszający huk armat — był to ogień zaporowy, który ich miał osłonić przed drugą nieprzyjacielską linją. Wszystko w porządku, jak dotąd. A oto i kapitan!

— Gotowiście, chłopcy? A więc naprzód!

Tym razem szedł jeszcze powolniej po strasznie wyboistym gruncie, pełnym dziur i pagórków. Nawpół świadomie szukał ukrycia, gdzie tylko mógł. Powietrze dźwięczało trajkotem karabinów maszynowych, które ostrzeliwały pole w różnych kierunkach — pełne było kurzu i dymu. — Jak jej to opowiem? — pomyślał. Nie da się nic powiedzieć, jedyne uchwytnie uczucie, to ten brunatny wir. Patrzył uparcie przed siebie, by nie widzieć, jak ludzie padają, by nie widzieć niczego, co by go mogło zatrzymać na drodze do drugiego okopu. Czuł lekki powiew mijających go kul. Druga linja musi być już całkiem blisko! Czemu ten ogień nie ustaje? Czy przypadkiem nie przyplacą tego nowego trick'u — strzelania do ostatniej chwili — życiem? Jeszcze sto kroków, a będzie w środku. Położył się płasko na ziemię i czekał; spojrzął na zegarek i zauważył, że całe ramię spływało krwią. Pomyślał: — Rana! Teraz wrócę do domu! Bogu dzięki! Och Noel! — Mijające kule świszczwały mu koło uszu; słyszał je poprzez wycie i grzmoty granatów. — Paskudztwo! — pomyślał. Usłyszał przy sobie zasapany głos:

— Już można iść, sir!

Zawołał: — Naprzód, chłopcy! — i ruszył pochylony wpół. Strzał trafił w jego karabin. Zachwiał się na nogach od wstrząsu, miał uczucie, jakby prąd elektryczny przeszedł mu przez ramię. — Znowu mam szczęście — pomyślał. — Teraz naprzód! Nie widziałem jeszcze ani jednego Niemca! — Skoczył przed siebie — zatoczył się, wyrzucił ręce w górę i upadł na plecy, przeszyty kulą nawskroś...

4.

Pozycja była, jak się to mówi, „w naszych rękach“. W ciemnościach nocy ludzie z noszami obchodzili półmilowy odcinek pobojuwiska. Ze swemi przyćmionemi

latarkami poruszali się godzinami całemi, jak błędne ogniki, przeskakujące powoli czarny labirynt rowów strzeleckich, leżących za nowo zdobytą niemiecką linią. Od czasu do czasu ogień wybuchającego granatu oświeślał ich postaci, pochylające się nad rannymi i podnoszące ich ciała, lub pracujące motyką i łopatą.

— Oficer.

— Zabity?

— Tak.

— Przeszukaj.

Latarka zawisła tuż nad ciałem umarłego; przyćmione jej światło rzuciło żółtawy odblask na twarz i piersi. Ręce szukającego poruszały się w tej małej plamie jasności. Żołnierz, który spisywał notatki, pochylił się.

— Znów taki młody — rzekł. — Czy to wszystko, co ma przy sobie?

Szukający wyprostował się.

— Tylko to i fotografia.

— Blok meldunkowy; jeden funt drobnemi; papierośnica, branzoletka z zegarkiem; fotografia. Pokaż!

Żołnierz skierował światło na fotografię. Delikatna dziewczęca twarzyczka, okolona krótkimi włosami, spojrzała na nich spokojnie.

— Noel — odczytał żołnierz.

— Hm! Schowaj to dobrze. Włóż do bloku meldunkowego. Chodźmy!

Światło rozplynęło się w mroku. Wieczysta ciemność okryła Cyryla Morlanda.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Kiedy czwórka naszych znajomych zasiadła na swych miejscach na balkonie w Queen's Hall, zaczynał się właśnie drugi punkt programu, który naprzekór wszystkim patryjotycznym wysiłkom był niemieckiego pochodzenia — brandenburski koncert Bacha. Co dziwniejsze, bisowano.

Pierson nie klaskał, ogarnęła go tak głęboka radość, że siedział z uśmiechem zachwytu na twarzy, zapominając o całym otoczeniu. Trwał w tym stanie oderwania od wszelkich ludzkich uciech i smutków aż ostatecznie oklaski zamilkły i Leila szepnęła mu do ucha:

— Jaka to bajeczna publiczność, Edwardzie! Popatrz na te wszystkie mundury. Ktoby przypuszczał, że ci młodzi ludzie mają zrozumienie dla muzyki — dobrej muzyki — i w dodatku dla niemieckiej.

Pierson spojrzał wdół na cierpliwy tłum ludzi stojących w słomianych kapeluszach i czapkach żołnierskich z twarzami skierowanymi w jedną stronę, i westchnął.

— Cieszyłbym się, gdybym miał taką publiczność w kościele.

Uśmiech okolił kąciki warg Leili. — Twój kościół jest przeżytkiem, — myślała, — i ty sam jesteś przyżytkiem. Twój kościół pełen jest zapachu stęchlizny i kadzidła, ze swemi witrażami, wąską perspektywą naw

i wibrującą melodją organów. Biedny Edward, stojący tak zdala od życia! — Uścisnęła jednak tylko jego ramię i szepnęła:

— Spójrz na Noel!

Dziewczyna rozmawiała z Jimmy Fortem. Rumieniec zakwitł na jej policzkach. Pierson zauważył, że już dawno nie wyglądała tak pięknie, właściwie nie widział jej takiej od czasu pobytu w Kestrel. Usłyszał westchnienie Leili.

— Czy dostaje wiadomości od swego chłopca? Pamiętaj ten tydzień w maju, Edwardzie? Byliśmy wtedy bardzo młodzi; nawet ty byłeś młody. Taki śliczny list mi wtedy napisałeś. Widzę cię jeszcze wędrującego w wieczorowym stroju wzdłuż rzeki, między „świętymi“ krowami.

Ale oczy jej spojrzały znów ukradkiem na sąsiada z drugiej strony i na młodą dziewczynę. Jakiś skrzypek zaczął grać sonatę Cesar'a Franck'a. Był to ulubiony utwór Piersona; wyczarowywał przed jego oczyma wizję pobożnie błękitnego nieba, na którem lśniły pobożne gwiazdy w blaskach rozświetlonego południa nad błogosławionymi drzewami i wodami, po których pływały błogosławione łabędzie.

— Dziwny ten świat, panie Pierson. I pomyśleć, że ci chłopcy muszą powrócić do karabinów po wysłuchaniu takiej muzyki! Jak się panu zdaje? Czy osiągnęliśmy w tej sonacie najwyższy stopień kultury a teraz wracamy znowu do stanu małp?

Pierson odwrócił się i przyglądał się badawczo pytającemu.

— Nie, kapitanie Fort, nie mam wrażenia, żebyśmy wracali do małp; o ile doprawdy od nich pochodzimy. Ci chłopcy mają dusze bohaterów!

— Wiem o tem, sir, może nawet lepiej, niż pan.

— Ach, naturalnie — rzekł Pierson pokornie. —

Przepraszam, zapomniałem. — Mimo to przypatrywał się sąsiadowi wciąż jeszcze nieufnie. Nie wiedział, jak się ustosunkować do tego kapitana Forta, przyjaciela Leili, który ich dwa razy odwiedził. Miał szczerą twarz i szczerzy głos, ale dziwne zapatrywania i, tak się Piersonowi przynajmniej wydawało, coś z mahometanina, coś z dziewiczego lasu, coś z afrykańskich stepów. Tkwił w nim jakiś nieoczekiwany cynizm, jakieś dziwaczne poglądy o Anglii, których wcale nie ukrywał. Tym swoim szczerym głosem mówił słowa, które trafiały słuchającego, jak kule i przeszywały nawskroś. Krytycyzm taki wydawał się Piersonowi o wiele bardziej wyzywający w ustach człowieka, który przeszedł przez identyczny system wychowawczy, jak on sam, niż gdyby go słyszał od człowieka niewykształconego, artysty, cudzoziemca, nawet lekarza, na przykład Jerzego. Ogarniało go w takich chwilach niemiłe uczucie, jakby dotknął kolczastego liścia; dowcipy Forta nie bawiły go. Bezwątpienia Edward Pierson unikał niemiłego zderzenia z szorstką filozofją życiową, co było przecież zupełnie naturalne.

Pierson i Noel odeszli po pierwszej części koncertu. Pożegnali się z dwojgiem pozostałych przy drzwiach. Wsunął rękę pod ramię córki i, wychodząc z sali koncertowej, snuł dalej łańcuch swych myśli.

— Czy lubisz kapitana Forta, Nolli?

— Tak; to miły człowiek.

— Robi zapewne miłe wrażenie, ma też miły uśmiech, ale — zdaje się — dziwne zapatrywania.

— On jest zdania, że Niemcy nie są o wiele gorsi od nas; twierdzi, że wśród naszych jest też dość zawad-
jaków.

— Właśnie to mam na myśli.

— Więc tak nie jest, tatusiu?

— Z pewnością nie.

— Policjant, z którym kiedyś rozmawiałam, powie-

dział to samo. Kapitan Fort twierdzi, że niewielu jest ludzi, których nie zepsuje przeświadczenie, że mają w swych rękach siłę. Opowiadał mi kilka okropnych wydarzeń. Utrzymuje, że nie mamy wyobraźni i dlatego często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak brutalne są niektóre nasze postęпки!

— Nie jesteśmy bez zarzutu, Nolli; ale uważam, że naogół jesteśmy dobrodusznym narodem.

Noel zamilkła na chwilę, potem nagle rzekła:

— Dobroduszni ludzie często uważają innych za dobrych, choćby nawet byli źli. Kapitan Fort nie popełnia tej omyłki.

— Zdaje mi się, że kapitan Fort jest trochę cyniczny i trochę niebezpieczny.

— Czyż wszyscy ludzie, którzy mają swoje własne zdanie, różne od zapatrywań ogółu, są niebezpieczni, tatusiu?

Pierson, choć sam niezdolny do ironji, umiał dobrze wyczuć ironiczny ton innych. Spojrzał na córkę z uśmiechem.

— Tak źle może nie jest, Nolli; ale poglądy pana Forta są bezwzględnie wywrotowe. Może przyczyna leży w tem, że poznał zbyt wiele dziwacznych stron życia.

— Jest mi przez to jeszcze sympatyczniejszy.

— Doprawdy. — odpowiedział z roztargnieniem. Miał jeszcze przerobić lekcję dla klasy, którą przygotowywał do confirmacji. Udał się więc zaraz po powrocie do domu do swego gabinetu.

Noel weszła do jadalni, aby jak zwykle wypić szklankę gorącego mleka. Firanki nie były zaciągnięte, światło księżycy zalewało pokój jasnym blaskiem. Nie zaświeciła lampy, rozpałała maszynkę spirytusową i stanęła przy oknie, spoglądając na księżyc, który dziś stał w pełni, poraz drugi od owej nocy, kiedy razem z Cyrylem

czekała na jego pojawienie się w Opactwie. Przycisnęła rękę do piersi. Dreszcz przebiegł ją całą. Och, gdyby знаła jakieś zaklęcie, któremby go wezwać mogła w tę pełną blasku noc; gdybyż była czarownicą — gdybyż go tylko mogła zobaczyć, wiedzieć, gdzie jest, co robi! Już od dwóch tygodni nie miała żadnej wiadomości. Od chwili, kiedy go przeniesiono na linię bojową, przeglądała codziennie listę poległych, kierując się przesadną wiarą, że to go uchroni od nieszczęścia. Wzięła w rękę Times. Było dość jasno. Zaczęła czytać listę poległych na polu chwały. Po chwili leżała na ziemi w świetle księżycy, a obok niej upuszczona gazeta...

Ale że była dumna, więc wnet zamknęła się ze swym bólem w swoim pokoju, tak, jak zamknęła się ze swą miłością owej nocy, kiedy się rozstali. Niczem nie zdradziła w domu swego nieszczęścia; gazeta leżąca na ziemi i zapach przypalonego mleka nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Była wkońcu tylko jedną z tysięcy, które spędziły tę księżycową noc w rozpaczach. Co noc, przez długie lata, tysiące twarzy wtulało się w poduszki, by zagłuszyć pierwsze okrutne uczucie pustki i szukać we własnej duszy tajemnego źródła słabego ukojenia, jakim dla osieroconych serc jest świadomość o cierpieniu bliźnich.

2.

Pierson dowiedział się o nowinie z listu Thirzy, który odczytał przy śniadaniu. Serce jego skurczyło się w okrutnym bólu. Biedna, biedna. mała Nollie! Co za straszny cios dla niej! Poszedł do pracy z prześladowającą go jak zmora myślą, że będzie jej musiał wieczorem powiedzieć o tem, co zaszło. Nigdy chyba nie czuł się bardziej samotny, nigdy chyba nie tęsknił bardziej za matką swych dzieci. Ona wiedziałaby z pewnością jak pocieszyć, jak utulić! Na jej sercu dziecko wyplakałoby swój

ból. Całą godzinę od siódmej do ósmej, kiedy zwykle pełnił wobec swoich parafjan obowiązki zastępcy Boga na ziemi, spędził na modlitwie, prosząc by Bóg mu wskazał, jak jej ma zadać ten cios, i jak ją z niego uleczyć. Kiedy wkońcu Noel przysła, otworzył jej sam drzwi, odgarnął jej pieśczośliwym ruchem włosy od czoła i rzekł:

— Wejdz do mnie na chwilkę kochanie.

Noel weszła za nim do gabinetu i usiadła.

— Wiem już, tatusiu.

Opanowanie córki przeraziło Piersona bardziej, niż naturalny wybuch uczuć. Stał koło niej, gładząc nieśmiało jej włosy i szepcząc słowa, które niedawno mówił do Gracji, i które codziennie powtarzał tylu ludziom: — Nie ma śmierci, ciesz się myślą, że się zobaczycie w lepszym świecie. Bóg jest miłosierny. — Zdumiewał go spokój tej bladej, tak młodej twarzy.

— Jesteś bardzo dzielna, drogie dziecko! — rzekł.

— Nic mi innego nie pozostaje, prawda?

— Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić, Nolli?

— Nie, tatusiu.

— Kiedyś przeczytała?

— Wczoraj w nocy.

Wiedziała już od dwudziestu czterech godzin i nie powiedziała mu ani słowa!

— Czy modliłaś się, dziecko drogie?

— Nie.

— Spróbuj, Nolli.

— Nie.

— Ach, spróbuj tylko.

— To byłoby śmieszne, tatusiu; nie możesz tego zrozumieć.

Zaskoczony i dotknięty do głębi odsunął się od niej i rzekł:

— Wyglądasz strasznie zmęczona. Czy chciałabyś wziąć gorącą kąpiel i zjeść kolację w łóżku?

— Chciałabym trochę herbaty; to wszystko.

Wyszła z pokoju.

Gdy się przekonał, że zaniesiono jej herbatę na górę, wyszedł z domu; nagle tęsknota za kobietą pomocą kazała mu wsiąść do dorożki i pojechać do mieszkania Leili.

ROZDZIAŁ TRZECI.

1.

Po koncercie Leila i Jimmy Fort wsiedli do taksówki. Pojazd taki w nocy i podczas wojny ma pewne zalety dla ludzi, którzy pragną się bliżej poznać. Mają zapewniony dostateczny ruch, hałas i ciemność; do dalszego pobudzania uczuć brakuje tylko zapachu tarniny i róż, lub chociażby białego pnącza, które na werandzie w High Constanca pachniało o tyle milej od benzyny.

Leila cieszyła się zgóry na to sam na sam z Fortem, ale teraz, kiedy owa chwila nadeszła, ogarnęło ją nerwowe milczenie, którego nie mogła przełamać. Przez ostatnie tygodnie przeżywała dziwne nastroje. Co noc badała swe uczucia nie mogąc ich jeszcze zrozumieć. Kiedy kobieta dochodzi do pewnego wieku, odzywa się w niej czasem niespożyta siła życia i woła przemożnym głosem:

— Byłaś młoda, byłaś piękna, masz jeszcze urodę, nie jesteś stara; niemożliwe, abyś już była stara! Lgnij do młodości, lgnij do piękna! Bierz z życia wszystko, co się da, zanim zmarszczki porysują twarz, a włosy przyproszy siwizna; to niemożliwe, żeby cię już nigdy nikt więcej nie miał kochać.

Uczucie to doszło do punktu najwyższego nasilenia, kiedy na koncercie przyglądała się, jak Jimmy Fort roz-

mawiał z Noel. Nie była zawistna z natury i umiała szczerze podziwiać Noel, ale myśl, że Jimmy Fort podziela jej podziw, niepokoiła Leilę bardzo. Nie powinien; to nie było f a i r; był za stary — a poza tem Noel miała swego chłopca; postarała się, żeby Jimmy o tem wiedział. Podczas śpiewu jakiejś młodej pani z odkrytymi ramionami pochyliła się ku niemu i zapytała szeptem:

— O czym pan myśli?

— Powiem pani później — szepnął w odpowiedzi.

To ją pocieszyło. Poprosi go, by ją odprowadził do domu. Już czas, by mu dała zajrzeć w swe serce.

Ale teraz, kiedy siedziała w aucie zdecydowana wyjawić swe uczucia, opadła ją nagle nieśmiałość i zrozumiała, że bardzo jej to trudno przyjdzie. Miłość, która jej nie nawiedziła przez ostatnie trzy lata, ożyła teraz w jej sercu. Świadomość ta była tak słodka i tak niepokojąca zarazem, że Leila siedziała nieruchomo, odwrócona od towarzysza, niezdolna wykorzystać cenne chwile. Zajechali przed mieszkanie, stwierdziwszy jedynie, że ulice są ciemne, a księżyc jasny. Wysiadła z auta w rozterce i rzekła zupełnie zrozpaczona:

— Musi pan wejść na górę na papierosa. Jeszcze bardzo wcześnie.

Wszedł na górę.

— Niech pan chwilę zaczeka — rzekła Leila.

Czekał równo dziesięć minut przy papierosie i whisky, zapatrzony w kilka słoneczników w pięknym wazonie. Uśmiechnął się lekko na wspomnienie noska królowny z bajki i subtelnego wdzięku z jakim wargi jej kształtowały każde słowo. Gdyby nie miała tego młodego drapichrusta na froncie, człowiek pragnąłby zapinać klamerki u jej buciczków, rozścielić dla niej płaszcz na błocie, czy co tam ludzie robili w bajkach. Człowiekby pragnął — ach, czegoby człowiek nie pragnął! Niech

djabli porwą tego chłopaka! Leila powiedziała, że ma dwadzieścia dwa lata. Na Boga! Jakże stary musiał się czuć w porównaniu z nim ktoś, kto dobiegał czterdziestki i w dodatku kulał. Nie dla takiego królewny z bajki! Poczul wiew perfum i spojrzal wgóre; przed nim stala Leila w długiej sukni z ciemnego jedwabiu, z którego wylaniały się jej białe ramiona.

— Znowu zatopiony w myślach? Czy przypomina pan sobie ten strój, Jimmy? Nosily go malajskie kobiety w Cape Town. Nie ma pan pojęcia, z jaką rozkoszą zrzucam z siebie mój niewolniczy *dress*. O, mam już dość pielęgniarstwa! Jimmy, pragnęłabym znowu trochę *zyć*!

Jedwabny strój odmłodził ją o piętnaście lat. Gardenja wpięta w miejscu, gdzie jedwab krzyżował się na piersi, nie była bielsza od jej skóry. Wpadł mu na myśl cudacki pomysł, że kwiat spłynął do niej z ciemności nocy!

— Żyć? Jakto! Czy pani nie żyje zawsze?

Podniosła ręce wgóre. Ciemny jedwab odsłonił całą długość jej białych ramion.

— Już od dwóch lat nie żyję. O, Jimmy! Niech mi pan pomoże żyć trochę! Życie jest teraz takie krótkie.

Spojrzenie jej oczu, skupione i pełne wzruszenia, zmieszało go; zmieszał go widok jej ramion, zapach kwiatu; czuł, że krew napływa mu do policzków; spuścił wzrok.

Nagle osunęła się na kolana koło jego nóg, chwyciła go za rękę i, trzymając ją w uścisku obu swych dłoni, szepnęła:

— Kochaj mnie trochę! Cóż innego istnieje? Och! Jimmy, coś innego istnieje?

Fort wdychał podniecający zapach kwiatu, zgniecionego ich rękoma i pomyślał: — Ach, coś innego istnieje w tych dniach bez jutra?

Jimmy Fort miał poczucie humoru i był w pewnej mierze filozofem; to też każda nowa sytuacja życiowa, jaką stwarzał przemożny przypadek, wydawała mu się zwykle przyjemna. Mimo to jednak wracał od Leili zamyślony. Była świetnym towarzyszem, piękną kobietą, uznawała tylko uczciwą grę i umiała czarować; a jednak była — zdecydowanie dojrzała. I oto on pomagał jej „żyć“! Wplątał się w sprawę bardzo niepokojącą, nie było bowiem wątpliwości co do faktu, że Leila zakochała się w nim na dobre.

Była to słodka i schlebiająca świadomość. Czasy były smutne — przyjemności rzadkie, ale... Pęd do włóczęgostwa, który kierował nim od najwcześniejszej młodości i kazał mu wałęsać się po całym świecie, wzbudzał w nim instynktowną nieufność do więzów, choćby najmilszych, których siły i grubości nie mógł zgóry przejrzeć. Czy może też przyczyna leżała w tem, że pierwszy raz w życiu wejrzał w krainę baśni, a sprawa z Leilą nie miała nic z krajem baśni wspólnego. Jeszcze jedna przyczyna, z której nie zdawał sobie jasno sprawy, potęgowała przykre uczucie niepokoju. Pomimo wszystkich przygód serce jego pozostało miękkie, było mu zawsze bardzo trudno sprawić komuś przykrość, a w szczególności kobiecie, która go zaszczycała miłością. Coś jakby przecucie ciążyło mu na duszy, kiedy tak wędrował ulicami, zalanemi księżycowym blaskiem, o tej najbardziej cichej godzinie, w której już nawet ostatnie taksówki spoczywają. Czy będzie żądała, by się z nią ożenił? I czy w tym wypadku obowiązkiem jego będzie to uczynić? Zaczął nagle myśleć o koncercie i twarzy Noel, kiedy słuchała jego opowiadań. — Dziwny świat — pomyślał — jak to się sprawy składają! Ciekaw jestem, coby ona o nas pomyślała, gdyby wiedziała — i ten czcigodny padre! Uf!

Szedł bardzo powoli, bał się bowiem, że nadwyręży nogę i że będzie potem musiał spędzić noc na progu obcego domu; miał więc poddostatkiem czasu do rozmyślań; ale ponieważ te rozmyślenia nie wzbudzały w nim żadnej otuchy, powiedział sobie w końcu:

— No, mogło być przecież o wiele gorzej. Trzeba przyjąć dary bogów z wdzięcznością i nie szukać dziury w całym. — Przypomniawszy sobie nagle z niesłychaną wyrazistością ów wieczór na werandzie w High Constanca i pomyślał zdziwiony: — Wtedy byłbym się zakochał po uszy; a teraz — nie mogę! Takie jest życie! Biedna Leila! A może też *me miserum*? Kto wie!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Kiedy Leila otworzyła drzwi Edwardowi Piersonowi, oczy jej uśmiechały się, a wargi pełne były łagodności. Była cała jakby uosobieniem uśmiechu i miękkości. Uścisnęła obie jego ręce. Wszystko sprawiało jej tego dnia przyjemność, nawet widok tej smutnej twarzy. Kochała i była kochana; miała teraźniejszość, miała znowu przyszłość, nie była zdana jedynie na bogatą przeszłość; musiała odprawić Edwarda w przeciagu pół godziny, gdyż potem miał przyjść Jimmy. Usiadła na tapczanie, ujęła jego rękę z siostrzaną serdecznością i rzekła:

— Proszę, powiedz mi wszystko, Edwardzie. Widzę, że masz zmartwienie. Cóż to takiego?

— Chodzi o Noel. Chłopak, którego kochała, został zabity.

Wypuściła jego rękę ze swojej.

— Och, nie! Biedne dziecko! To okropne! — Łzy napłynęły jej do oczu, otarła je maleńką chusteczką. — Biedna, biedna, mała Noel! Czy bardzo go kochała?

— Zaręczyła się z nim zupełnie niespodzianie, cała rzecz trwała bardzo krótko. Obawiam się jednak, że wzięła to sobie rozpaczliwie do serca. Nie wiem, jak ją pocieszyć; tylko kobietyaby to umiała. Przyszedłem cię zapytać, czy myślisz, że powinna dalej pracować? Jak ci się zdaje, Leilo? Jestem zupełnie bezradny!

Leila spojrzała na niego i pomyślała:

— Bezradny? Tak wyglądasz, mój biedny Edwardzie!

— Jestem za tem, żeby pracowała dalej — rzekła — praca pomaga; to jedyna rzecz, jaka wogóle pomaga. Zobaczę, czy uda mi się wpłynąć na przełożoną, żeby jej pozwoliła pielęgnować chorych. Powinna się zetknąć z cierpieniem i z żołnierzami; robota w kuchni będzie ją teraz bardzo denerwowała. Czy był bardzo młody?

— Tak. Chcieli się pobrać. Byłem temu przeciwny.

Wargi Leili skrzywiły się w niewidocznym uśmiešku ironji. — Bardzo to do ciebie podobne — pomyślała.

— Nie mogłem znieść myśli, że Nolli wejdzie w małżeństwo tak nagle bez zastanowienia; znali się wszystkiego trzy tygodnie. Bardzo mi to ciężko przyszło, Leilo. A potem nagle posłali go na front.

Niechęć wezbrała w sercu Leili. Że też zawsze musieli się znaleźć ludzie, poczytujący sobie za obowiązek zabijać wszelką radość! Tak, jakby jej samo życie nie zabijało dość prędko. Twarz kuzyna z malującą się na niej zatroskaną dobrocią była jej w tej chwili prawie wstrętna. Szpecił ją i zaciemniał w oczach Leili wyraz mnisiej świętobliwości. Odwróciła głowę, spojrzała przelotnie na zegar nad kominkiem i pomyślała: — Tak, onby z pewnością chciał rozłączyć mnie z Jimmym. Powiedziałby: — Och, nie, droga Leilo — nie powinnaś kochać — to grzech! Jakże nienawidzę tego słowa!

— Według mnie najgorszą rzeczą w życiu, — powiedziała znienacka, — jest tłumienie naturalnych instynktów. Ludzie tłumią je w sobie i żądają od innych, by je też tłumili, jeżeli tylko potrafią; w tem właśnie leży przyczyna połowy nieszczęść tego świata.

Widząc zdziwienie na jego twarzy z powodu tego małego wybuchu, którego przyczyn znać nie mógł, dodała szybko:

— Mam nadzieję, że Noel przeboleje to rychło i znajdzie kogoś innego.

— Tak. Gdyby się byli pobrali, byłoby o wiele gorzej. Dzięki Bogu, że się tak nie stało!

— Nie wiem. Mieliby godzinę szczęścia. Nawet jedna godzina szczęścia jest dzisiaj coś warta.

— Dla tych, którzy wierzą w doczesność — może.

— Jeszcze dziesięć minut — pomyślała. — Mój Boże, czemu on nie odchodzi? — Ale właśnie w tej chwili wstał i serce Leili zabiło znów żywiej dla niego.

— Tak mi przykro, Edwardzie. Jeżeliby ci mogła być w jakikolwiek sposób pomocna — postaram się jutro załatwić sprawę jaknajlepiej dla Noel; i proszę cię, wpadnij do mnie, ilekroć masz ochotę.

Ujęła jego rękę w obie dłonie, a choć obawiała się, że usiadzie znowu, nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć mu przyjaźnie w oczy i nie uścisnąć jego ręki z pełną współczucia serdecznością.

Pierson uśmiechnął się; widok tego uśmiechu budził w Leili zawsze litość dla niego.

— Dowidzenia Leilo; jesteś dla mnie bardzo dobra i miła. Dowidzenia.

Serce jej wezbrało ulgą i współczuciem; odprowadziła go do samych drzwi.

Biegąc w górę schodami, pomyślała znowu: — Mam jeszcze czas. Co włożyć? Biedny Edward, biedna Noel! Jaki kolor lubi Jimmy? Och! Czemu go nie zatrzymałam dziesięć lat temu — zmarnowałam tyle lat! — Strojąc się z gorączkowym pośpiechem, podeszła z powrotem do okna i stała tak pociemku, wyczekująco. Krzak jaśminu, rosnący na dole, słał ku niej swą woń.

— Czy wyszłabym za niego, — pomyślała — gdyby mi się oświadczył? Ale on mi się nie oświadczy — pocóżby miał to teraz czynić? A pozatem, nie zniosłabym, że-

by myślał, że pragnę od niego stanowiska, czy pieniędzy. Ja chcę tylko miłości — miłości — miłości!

Powtarzanie tego słowa wywołało w niej cudowne poczucie siły i spokoju. Jak długo będzie pragnęła tylko miłości, tak długo ją z pewnością będzie miała.

Z za węgła kościoła wyłoniła się wysoka postać i szła w kierunku jej domu. To on! Nagle wpadło jej coś na myśl. Podeszła do małego czarnego fortepianu, usiadła i zaczęła śpiewać piosenkę, którą mu śpiewała dziesięć lat temu. „Ach gdybym była rosą srebrzystą“...

Nawet gdy wszedł do pokoju, nie odwróciła głowy, tylko nuciła dalej słowa pieśni, czując że Jimmy stoi tuż za nią. Ale kiedy skończyła, zerwała się z miejsca, opłótła go ramionami, przyciągnęła go do siebie i wybuchnęła łzami na jego ramieniu; myślała o Noel i tym zabitym chłopcu, myślała o tysiącach innych chłopców, myślała o własnem szczęściu, o dziesięciu zmarnowanych latach, o tem, jak krótko trwa życie i miłość; myślała, sama nie wiedząc o czem myśli! A Jimmy Fort, bardzo wzruszony tym wybuchem uczuć, który tylko w połowie rozumiał, tulił ją mocno i całował jej mokre policzki i szyję, bladą i ciepłą w ciemności.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

1.

Noel pracowała jeszcze przez miesiąc, aż pewnego dnia zrana zemdliała nad stosem półmisków. Usłyszano hałas i zawołano Mrs. Lynch.

Widok śmiertelnie bladej Noel, leżącej na ziemi, targnął boleśnie nerwami Leili. Dziewczyna odzyskała jednak prędko przytomność. Posłano po dorożkę. Leila wsiadła razem z Noel i kazała woźnicy zatrzymać się przy Camelot Mansions. Poco odsyłać ją w tym stanie do domu? Czy nie lepiej było zaoszczędzić jej trzęsienia powozu i dać jej najpierw przyjść porządnie do siebie? Weszły na górę, trzymając się pod rękę. Leila kazała jej wyciągnąć się na tapczanie i położyła jej flaszkę z gorącą wodą przy nogach. Noel była ciągle jeszcze tak bezwolna i blada, że nawet mówić do niej wydawało się okrucieństwem. Leila podeszła do małego kredensu, wyciągnęła ukradkiem litrową flaszkę szampana, którą jej przysłał Jimmy Fort i zabrała ją wraz z dwiema szklankami i korkociągiem do sypialni. Napila się sama troszkę i wróciła, niosąc szklankę dla dziewczyny. Noel potrząsnęła głową przecząco, a oczy jej mówiły: — Czy myślisz doprawdy, że tak łatwo można mnie uzdrowić? — Leila przeszła jednak zbyt wiele w życiu, by pogardzać lekami tego świata. Trzymała szklankę przy war-

gach dziewczyny, dopóki nie wypila. Szampan był pierwszorzędny i wywarł momentalny skutek na Noel, która jeszcze nigdy nie piła alkoholu. Oczy jej nabrały blasku. Małe, czerwone plamy wystąpiły na jej policzki. I nagle obróciła się całym ciałem do ściany i zagrzebała twarz głęboko w poduszkę. Ze swemi krótko ściętymi włosami wyglądała zupełnie, jak dziecko, tak, że Leila uklękła obok i gładząc jej głowę mówiła: — No, no, kochanie; no, no!

Wkońcu dziewczyna podniosła się; teraz, kiedy blada, skamieniała rozpacz ostatnich miesięcy została przełamana, ogarnął ją cała płomień, twarz jej nabrała dzikiego wyrazu. Cofnęła się przed pieśzotliwym dotknięciem Leili, skrzyżowała ciasno ramiona na piersi i rzekła:

— Nie mogę tego znieść, nie mogę spać. Chcę, żeby mi go zwrócono; nienawidzę życia — nienawidzę świata. Nie zrobiliśmy niczego złego — kochaliśmy się tylko. Bóg lubi karać; poprostu dlatego, żeśmy się kochali; mieliśmy tylko jeden dzień własny — tylko jeden dzień — tylko jeden!

Leila ujrzała, jak nad sztywną linią ramion smukła, biała szyja pracowała ciężko; patrząc na to, uczuła dławienie we własnem gardle. Głos, niesamowicie subtelny przy całej dzikości słów i wyrazu twarzy, mówił dalej:

— Nie chcę — nie chcę żyć. Jeżeli istnieje pozagrobowe życie, to się z nim spotkam. A jeżeli niema — to będzie przynajmniej sen.

Leila wyciągnęła rękę, jakby chciała odpędzić precz te szalone myśli. Jak większość kobiet, których życiem kierują poprostu zmysły i uczucia, była wierząca, albo raczej nie rozmyślała nigdy nad tego rodzaju sprawami.

— Opowiedz mi o sobie i o nim, — rzekła.

Noel wlepiła swe wielkie oczy w kuzynkę. — Kochaliśmy się; a kiedy się dwoje kocha, rodzą się dzieci, pra-

wda? Moje jednak się nie urodzi! — Wyraz jej twarzy raczej, niż słowa, uświadomił Leili prawdziwe znaczenie wypowiedzianych zdań. Odrzuciła tę prawdę, i za chwilę musiała znowu uwierzyć. Nonsens! Ale — jaka okropna rzecz, jeżeli to prawda! Wydarzenie, z którym według niej łączyło się w normalnem życiu za wiele przesady — było w tym wypadku tragedją! Instynktem wiedzona podniosła się i objęła dziewczynę ramieniem.

— Moje biedactwo! — rzekła. — Wmawiasz sobie niemożliwe rzeczy.

Rumieńce zgasły na twarzy Noel. Z głową wtył odrzuconą i nawpół zmrużonemi oczyma wyglądała jak młody duch, pełen wzdryki dla ziemskiego świata.

— Jeżeli tak jest — odbiorę sobie życie. Nie chcę cierpieć — śmierć jest łatwa. Nie chcę, żeby tatuś wiedział.

— Ależ, moja kochana! Moja kochana! — To było wszystko, co Leila mogła wyjąkać.

— Czy zrobiłam coś złego Leilo?

— Złego? Co to znaczy złego? Jeżeli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, to spotkał cię nieszczęśliwy przypadek. Ale z pewnością, z pewnością się chyba mylisz?

Noel zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zrobiłam tak, żebyśmy należeli do siebie. Chciałam, żeby mi go nic nie mogło odebrać.

Leila podchwyciła słowa dziewczyny.

— W takim razie, kochana — nie odszedł od ciebie w zupełności, prawda?

Wargi Noel wyszeptaly niedosłyszalnie — Nie. Ale tatuś — dodała cicho.

Twarz Edwarda stanęła tak wyraźnie przed oczyma Leili, że ledwo mogła dojrzeć Noel obok napiętnowanych bólem rysów jej ojca. Ale po chwili hedonistyczny instynkt zbuntował się w niej przeciw tej ascetycznej wizji. Jej zdrowy rozsądek potępił to nieszczęście i

umiał ocenić jego doniosłość, a jednak w głębi duszy uznawała postępowanie Noel, cieszyła ją ta godzina życia i miłości, wyrwana z paszczy śmierci.

— Czy on musi kiedykolwiek wiedzieć? — rzekła.

— Nie umiałabym nigdy okłamać tatusia. Ale to nie ma znaczenia. Pocóż żyć dalej, gdy komuś życie zbrzydło?

Za oknem słońce świeciło jasnym blaskiem, choć październik dobiegał już końca. Leila podniosła się z kłęczek. Stała przy oknie i zaczęła z natężeniem myśleć.

— Moja kochana — rzekła w końcu — nie bądź przesadna. Spójrz na mnie! Miałam dwóch mężów i — i — powiedzmy, dość burzliwe życie. Byłam raz pod wozem, raz na wozie, mogę też śmiało powiedzieć, że czeka mnie jeszcze niejedna zgryzota, a mimo to nie dam się. I ty także się nie daj. Piersonowie są dzielnymi ludźmi; nie wolno ci zdradzić własnej krwi. Tego nikomu nie wolno. Twój chłopak kazałby ci przetrwać. To są twoje „okopy“ i nie dasz się chyba pognębić?

Kiedy skończyła mówić, zapadło długie milczenie, zanim Noel rzekła:

— Daj mi papierosa, Leilo.

Leila podała jej małą, płaską papierośnicę, którą nosiła przy sobie.

— To mi się podoba — rzekła. — W twoim wieku niema rzeczy nieuleczalnych. Wogóle istnieje tylko jedna rzecz nieuleczalna — starzenie się.

Noel zaśmiała się:

— I to wkońcu jest uleczalne, prawda?

— Ale trzeba się poddać.

Znowu zapadło milczenie. Niebieski dym z dwóch szybko spalających się papierosów wznosił się pod niski sufit. Potem Noel wstała z tapczanu i podeszła do fortepianu. Miała na sobie jeszcze szpitalny ubiór z bladoliljowego płótna i podczas kiedy tak stała, dotykając

klawiszy i uderzając od czasu do czasu jakiś akord, serce Leili skurczyło się bolesnem współczuciem. Była teraz właśnie taka szczęśliwa, a to dziecko takie strapione!

— Zagraj mi coś — rzekła; — albo lepiej nie, ja ci zagram.

Usiadła i zaczęła grać i śpiewać małą francuską piosenkę, zaczynającą się od słów: „Si on est jolie, jolie comme vous“. Melodja była słodka, wesola, czarująca. Jeżeli pobudzi Noel do łez, tem lepiej. Ale Noel nie płakała. Odzyskała nagle panowanie nad sobą. Mówiła spokojnie, odpowiadała na pytania Leili zrównoważonym głosem i powiedziała, że pójdzie do domu. Leila wyszła z nią razem i odprowadziła ją w kierunku domu. Była zmartwiona, ale w głębi duszy zdziwiona. Na środku Portland Place Noel zatrzymała się i rzekła:

— Czuję się teraz zupełnie dobrze, Leilo; dziękuję ci bardzo. Pójdę prosto do domu i położę się. A jutro przyjdę jak zwykle. Dowidzenia!

Leila zdołała jej tylko uścisnąć rękę i powiedzieć:

— To wspaniale, moja droga. Pamiętaj też, że niejedno się jeszcze może zmienić — a pozatem — teraz jest wojna.

Wypowiedziawszy te słowa dla niej samej niezupelnie jasne, odprowadziła wzrokiem powoli oddalającą się postać dziewczyny; potem zaczęła iść w kierunku szpitala zatroskana i pełna współczucia.

2.

Noel nie wróciła jednak prosto do domu; poszła wdół Regent Street. Odczuła ulgę. Żywotność doświadczonej kuzynki wywarła na nią kojący wpływ, uczerpiła się też nowych myśli, które jej Leila podsunęła: — W takim razie nie odszedł od ciebie w zupełności, prawda? Pozatem teraz jest wojna. — Ponadto Leila

mówiła z nią zupełnie otwarcie, kładąc temsamem kres dręczącej Noel przez kilka ostatnich tygodni niepewności co do stanu fizycznego w jakim się znajdowała. Jak większość dumnych natur nie zastanawiała się wiele nad tem, co o niej ludzie pomyślą; przytem nie знаła świata, jego uczuć i sądów. Postrachem jej była myśl o przerażeniu i zgorszeniu ojca. Starła się stłumić to uczucie, przypominając sobie, jak ojciec sprzeciwiał się jej małżeństwu, jaki żal wtedy czuła do niego. Nigdy nie umiał pojąć, nigdy nie rozumiał, jak bardzo się kochali. Jeżeli teraz doprawdy urodzi dziecko, będzie to dziecko Cyryla — syn Cyryla — on sam przywrócony raz jeszcze życiu. Instynkt zbuntowany przeciw grożącej życiu zagładzie — instynkt, silniejszy, niż rozum, kultura, tradycja i wychowanie, impuls, który jej kazał z miejsca ubezpieczyć związek z Cyrylem — zbudził się w niej znowu. Straszna tajemnica stała się czemś prawie że drogocennem. Czytała nieraz w gazetach z tępej zaciekawieniem o „dzieciach wojennych“. Zdawało jej się, że teraz dopiero przejrzała, w jakim duchu te artykuły były pisane. Te dzieci nie powinny były przychodzić na świat. Były „problemem“, a jednak, wydawało jej się, ludzie skrycie cieszyli się niemi. Stanowiły pewne odškodowanie, wypełniały luki. Może gdy sama urodzi takie dziecko, będzie się czuła dumna, dumna w głębi duszy naprzekór wszystkim, naprzekór własnemu ojcu. Wszyscy chcieli unicestwić jej ukochanego — Bóg i ludzie; ale nie zdołali, gdyż Cyryl żył w niej! Krew napłynęła jej gorącą falą do policzków, kiedy tak szła poprzez tłum zajętych zakupami ludzi, z których co chwila ktoś odwracał się za nią; znać było po niej, że nie widzi nic z tego, co się wkoło niej dzieje, choć jej wyraz twarzy fascynował i przyciągał ludzi, którzy mieli właśnie chwilę wolną od rozmyślań nad własnymi sprawami. Szła tak pełne dwie godziny, zanim wróciła do domu. Dopiero,

gdy w swoim małym pokoju siedziała na łóżku, zaparkowana w fotografię Cyryla, opuścił ją podniosły nastrój. Wtedy straciła zupełnie panowanie nad sobą. Zamknęła się na klucz i leżała na łóżku, płacząc, straszliwie samotna, póki nie zasnęła ze zmęczenia, trzymając ciągle jeszcze mokrą od łez fotografię w drgających palcach. Zbudziła się nagle. Ciemno już było; ktoś pukał do drzwi.

— Proszę panienki!

Milczała z dziecinniej przekory. Czemu nie zostawiali jej w spokoju? Gdyby wiedzieli, daliby jej spokój. Po-tem usłyszała inne pukanie i głos ojca:

— Nolli! Nolli!

Zwlokła się z łóżka i otworzyła. Miał tak przerażony wyraz twarzy, że serce Noel zabiło boleśnie.

— Wszystko w porządku tatusiu; spałam.

— Tak mi przykro, kochanie, że cię zbudził, ale kolacja na stole.

— Nie będę jadła kolacji; pójdę do łóżka.

Zmarszczka pomiędzy jego brwiami pogłębiła się:

— Nie powinnaś się zamykać na klucz, Nolli. Bardzo się przestraszyłem. Poszedłem po ciebie do szpitala i dowiedziałem się, żeś zemdląła. Chcę, żebyś się poradziła lekarza.

Noel zaprzeczyła energicznym ruchem głowy:

— Nie trzeba, nic mi nie jest.

— Nic? Tak zemdleć? Idź do lekarza, dziecko drogie. Zrób to dla mnie! — Ujął jej twarz w obie ręce. Noel uchyliła się.

— Nie, tatusiu. Nie chcę iść do lekarza. To rozrzutność w czasie wojny! Nie chcę. Nie warto mnie namawiać. Zejdę nadół, jeśli chcesz; jutro będę znów całkiem zdrowa.

Tem Pierson musiał się zadowolić; często jednak spotykała tego wieczoru zatroskane spojrzenie jego

oczu. A kiedy wracała na górę, wyszedł z gabinetu, odprowadził ją do jej pokoju i uparł się, żeby jej rozpalic ogień na kominku. Przy drzwiach pocałował ją i rzekł bardzo cicho:

— Byłbym szczęśliwy, gdybym ci mógł zastąpić matkę, moje dziecko.

Przez sekundę przebiegło Noel przez myśl: — On wie! — ale pytający wyraz jego oczu przekonał ją, że ojciec nie ma o niczem pojęcia. Ach, gdyby wiedział; co za ciężar spadłby jej z serca! Odpowiedziała jednak równie spokojnie:

— Dobranoc, kochany tatusiu! — pocałowała go i zamknęła drzwi.

Usiadła koło kominka i wyciągnęła ręce nad małym, świeżo rozpalonym ogniem; wszystko w jej sercu było takie zimne i zlodowaciałe. Blask ognia padał na jej rysy, na głębokie cienie leżące pod oczyma, mimo dziecięcej krągłości policzków; na smukłe, blade ręce, na młodą postać, pełną delikatnego wdzięku. Za oknem była noc. Chmury goniły po niebie, przesłaniając co chwila księżyc, który znów stał w pełni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

1.

Pierson wrócił do swego gabinetu i napisał do Gracji następujący list:

„Postaraj się dostać urlop na kilka dni, dziecko drogie i przyjedź do domu. Mam zmartwienie z Nolli. Od chwili, kiedy ją spotkał ten cios, jest z każdym dniem bledsza; a dziś zemdliała. Nie chce iść do lekarza, ale może umiałabyś ją nakłonić, by się poradziła Jerzego. Jeżelibyś przyjechała, Jerzy napewno urządzi się tak, żeby mógł wpaść do nas na dzień lub dwa. Jeżeli nie, będziesz musiała zabrać ją do niego nad morze. Właśnie przeczytałem wiadomość o śmierci twego kuzyna Karola Piersona; padł podczas jednego z ostatnich ataków nad Sommą; jest bratankiem mojej kuzynki Leili, z którą, jak ci wiadomo, Noel widuje się codziennie w szpitalu. Bertram dostał krzyż waleczności. Ostatnio jestem nieco wolniejszy; Sander jest tu na urlopie i zastępuje mnie trochę. Czuję się też teraz o wiele lepiej, od kiedy się ochłodziło. Postaraj się przyjechać. Jestem prawdziwie niespokojny o zdrowie naszego drogiego dziecka.

„Twój kochający Cię ojciec

„Edward Pierson“.

Gracja odpisała, że będzie mogła przyjechać w piątek na week-end. Spotkał się z nią na stacji, a stamtąd po-

jechali prosto do szpitala po Noel. Leila przyszła do nich do poczekalni, a Pierson, w przekonaniu, że będą mogły same swobodniej pomówić o stanie zdrowia Noel, przeszedł do pokoju rekonwalescentów, gdzie przypatrywał się dwu żołnierzom, grającym w „tiwoli“. Kiedy wrócił do małego salonu, obie kobiety stały jeszcze koło kominka, rozmawiając półgłosem. Gracja musiała się najwidoczniej pochylić nad ogniem, gdyż twarz miała zaczerwienioną i jakby spuchniętą a oczy zmętniały od żaru.

Leila rzekła swobodnie:

— No i cóż, Edwardzie, czy moi żołnierze nie są rozkoszni? Kiedy pójdziemy znów razem na koncert?

Była także zarumieniona i wyglądała całkiem młodo.

— Mój Boże! Żeby to można robić, co się pragnie.

— Pięknie powiedziane, Edwardzie; ale tyś powinien — przydałoby ci się. — Potrząsnął przecząco głową i uśmiechnął się.

— Jesteś kusicielką, Leilo. Czy nie chciałabyś być tak dobra i powiedzieć Noel, że może z nami wrócić do domu? I czy mogłabyś ją zwolnić na jutro?

— Na jak długo tylko zechcesz; potrzeba jej odpoczynku. Nie powinniśmy jej byli pozwolić pracować po takim przejściu — to mój błąd, niestety. Myślałam, że praca będzie dla niej najlepszym lekarstwem.

Pierson zauważył, że Gracja przeszła koło niego i wyszła z pokoju. Wyciągnął do Leili rękę i podążył za córką. Usłyszał za sobą mały okrzyk niezadowolenia, jaki czasem wydaje kobieta, kiedy nadepta na własną spódnicę, lub kiedy ją spotka jakieś inne potężne niepowodzenie. W tej chwili ujrzał Noel w hallu i zdał sobie niejako sprawę, że jest ośrodkiem trójkąta trzech kobiet, których oczy porozumiewają się ukradkiem. Siostry ucałowały się; usiadł między nimi w aucie. Ponieważ był najmniej spostrzegawczy ze wszystkich ludzi na świecie,

więc pożegnał się z niemi w hallu nie zauważywszy niczego, poza tem, że były trochę milczące; wszedł do gabinetu i zaczął przeglądać życiorys Sir Thomasa Moora. Korciło go, aby pokazać Jerzemu, który miał przyjechać wieczorem, pewien znajdujący się tam ustęp.

Gracja i Noel udały się na górę; wargi miały mocno zaciśnięte, oczy odwrócone. Obie były bardzo blade. Kiedy stanęły przed drzwiami pokoju Gracji — pokoju, w którym kiedyś mieszkała ich matka — Noel chciała iść dalej, ale Gracja chwyciła ją za rękę i powiedziała: — Wejdz! — W pokoju płonął jasny ogień, obie siostry stanęły przed nim, każda po jednej stronie kominka, chwytając rękoma za gzyms, zapatrzone w płomienie. W końcu Noel przesłoniła oczy jedną ręką i rzekła:

— Prosiłam ją, by ci powiedziała.

Gracja wykonała nieporadny ruch, jak człowiek, którym targają dwa silne uczucia i który pragnie poddać się tylko jednemu.

— To straszne — powiedziała tylko.

Noel skierowała się ku drzwiom.

— Stój, Noll!

Noel zatrzymała się z ręką na klamce.

— Nie chcę niczyjego współczucia i niczyjego przebaczenia. Chcę, by mnie zostawiono w spokoju.

— Jakże cię można zostawić?

Fala rozpaczey wezbrała w sercu Noel.

— Nienawidzę współczucia ze strony ludzi, którzy nie mogą zrozumieć, — zawołała namiętnie, — nie trzeba mi niczyjego współczucia. Mogę każdej chwili odejść i nie pokazać się nikomu więcej na oczy.

Słowa „nie mogą zrozumieć“ ubodły Grację.

— Ja m o g ę zrozumieć, — rzekła.

— Nie możesz; nigdyś go nie widziała. Nie widziałaś nigdy — wargi jej drżały tak silnie, że musiała przerwać

i zagryźć je, by powstrzymać potok łez. — A pozatem sama nigdybyś tego nie zrobiła.

Gracja chciała podejść do siostry, ale zatrzymała się w połowie drogi i siadła na łóżku. Noel powiedziała prawdę. Nigdyby tego sama nie zrobiła, i to przeświadczenie właśnie zabijało jej miłość i współczucie dla Nollie, choć szczerze pragnęła jej pomóc. Jakie to okropne, jakie rozpaczliwe, jakie upokarzające! Jej własna siostra, jedyna siostra, w położeniu tych wszystkich biednych, źle wychowanych dziewcząt, które się zapomniały! A ojciec — ich ojciec! Do tej chwili prawie wcale o nim nie myślała, zajęta wyłącznie obrazą, jakiej doznała jej własna duma. Słowo „tatusi!“ wymknęło jej się mimowoli.

Noel zadrzała.

— Ach, ten chłopak! — rzekła Gracja nagle. — Jemu nie mogę wybaczyć. Tyś nie wiedziała, co czynisz — o n wiedział. To było, to było... — Na widok twarzy Noel, zamilkła.

— Wiedziałam, co robię — rzekła. — To moja wina. Był moim mężem tak samo, jak Jerzy twoim. Jeżeli powiesz jedno słowo przeciw niemu, nie odezwę się do ciebie nigdy więcej. Cieszę się, tak samo jak i tybyś się cieszyła, gdybyś miała mieć dziecko. Jedyna różnica w tem, że tyś miała szczęście — a ja nie. — Wargi jej zadrzały znowu. Umilkła.

Gracja wlepiła w siostrę zdziwiony wzrok. Brak jej było w tej chwili Jerzego — pragnęła wiedzieć, co on o tem myślał i co czuł.

— Czy będzie ci przykro, jeżeli powiem Jerzemu?

Noel potrząsnęła przecząco głową.

— Nie; teraz już nie. Możesz powiedzieć, komu chcesz. — Rozpacz ukryta za maską obojętności ubodła Grację nagle w samo serce. Wstała i objęła siostrę ramieniem.

— Nolli, kochanie, nie patrz tak smutno!

Nolli zniosła cierpliwie pieczętę, ale nie odpowiedziała na uścisk siostry i odeszła po chwili do swego pokoju.

Gracja została sama, zmartwiona, zboląła, zagniewana, niezdecydowana i pełna obawy. Duma jej była głęboko zraniona, serce rozdarte; była niezadowolona ze siebie. Czemu nie umiała się zdobyć na więcej współczucia? A jednak, teraz, kiedy Noel wyszła, musiała znowu potępić zmarłego. Jego postępek był niewybaczalny. Nolli była jeszcze takim dzieckiem! Popułnił świętokradztwo. Ach, żeby tylko Jerzy przyjechał, żeby mogła powiedzieć mu wszystko! Ponieważ sama wyszła za mąż z miłości, знаła namiętność, umiała wejrzeć na tyle w duszę Noel, aby się przekonać, że miłość siostry była głęboka—o ile jakiegokolwiek uczucie mogło być u takiego dziecka głębokie. Gracja osiągnęła już dojrzały wiek dwudziestu lat. Ale jak można było tak się zapomnieć! A ten chłopak! Gdyby go była znała, element osobisty, tak doniosły we wszelkich sądach ludzkich, złagodziłby może uczucie oburzenia. Ponieważ go jednak nigdy nie widziała na oczy, uważała jego postępowanie za „podłe“. Zdawała sobie też sprawę, że to przekonanie będzie powodem wiecznych dysonansów między nią a siostrą. Choćby nie wiem jak starała się ukryć swój sąd, Noel i tak go wyczuje.

Zdjęła pielęgniarzki ubiór, włożyła wieczorową suknię i krzątała się po pokoju. Oby tylko nie zejść na dół i nie widzieć się z ojcem, zanim to będzie konieczne. To, co się stało, było dla niego straszne ponad wszelki wyraz; bała się nieuniknionej rozmowy o zdrowiu Noel. Nie powie mu naturalnie słowa, dopóki Noel nie zechce; a ponieważ z natury była bardzo prawdomówna, martwiła ją myśl, że będzie musiała kłamać.

Wkońcu zesza nadół i zastała już obydwójce w salo-

nie; Noel w powiewnej wieczorowej sukni siedziała koło ognia z brodą opartą na dłoni, podczas gdy ojciec czytał jej na głos nowiny wojenne z wieczornej gazety. Na widok tej opanowanej, subtelnej, dziewczęcej postaci zamyślanej nad ogniem, na widok zmęczonej twarzy ojca tragedia tego wypadku uderzyła ją ze zdwojoną siłą. Biedny tatuś! Biedna Nolli! Straszne! Noel odwróciła się i potrząsnęła nieznacznie głową, a oczy jej rzekły tak wyraźnie, jakby mówiły usta: — Nie mów nic! — Gracja skinęła potakująco i podeszła do ognia. Tak zaczął się jeden z owych spokojnych, domowych wieczorów, które czasem kryją w sobie niezgłębiony ból serc.

2.

Noel została na dole, dopóki ojciec nie poszedł do łóżka, potem odrazu udała się na górę. Postanowiła widocznie, żeby o niej nie mówili. Gracja została sama czekając na męża! Północ już dochodziła, kiedy przyjechał. Dopiero rano oznajmiła mu nowinę rodzinną. W odpowiedzi mruknął coś cicho. Gracja widziała, że zmrużył oczy, tak, jakby je może zmrużył, oglądając jakąś złośliwą i skomplikowaną ranę, a potem wlepił uparcie wzrok w sufit. Choć pobrali się przeszło rok temu, nie znała jeszcze poglądów Jerzego na wiele spraw i czekała teraz z dziwnym niepokojem, co powie. Stanowisko, jakie zajmie wobec tej plamy na honorze rodziny, będzie próbą jego przywiązania do niej, będzie próbą charakteru człowieka, który jest jej mężem. Milczał przez chwilę; niepokój jej wzrastał. Potem poszukał dłoni żony i uściśnął ją mocno.

— Biedna mała Nolli! Przydałaby się nam w tym wypadku filozofja życiowa Marka Tapleya. No, nie martw się Gracjo! Jakoś jej pomożemy.

— Ale ojciec! Niepodobna mu nie powiedzieć i nie-

podobna powiedzieć! Och, Jerzy! Nigdy dotąd nie wiedziałam, co znaczy duma rodzinna. To nie do wiary! Ten nieszczęsny chłopak...

— *De mortuis...* Patrz, Gracie! Śmierć otacza zewsząd nasze życie! Nolli postąpiła jak prawdziwe ciętłko. Ale to wojna — wojna! Twój ojciec będzie się z tem musiał pogodzić; będzie miał rzadką sposobność okazania chrześcijańskiego ducha.

— Tatuś będzie jak zwykle uosobieniem dobroci i to właśnie jest takie straszne!

Jerzy Laird uściśnął jeszcze silniej rękę żony.

— Zupełna racja! Staromodny ojciec uniósłby się poprostu. Ale czy on musi wiedzieć? Możemy ją zabrać z Londynu, a później damy sobie jakoś radę. A jeżeli się ojciec dowie, trzeba mu będzie wytłómaczyć, że Nolli „spłaciła ojczyźnie swój dług“.

Gracja zwolniła rękę z jego uścisku.

— Nie mów tak! — rzekła zdławionym głosem.

Jerzy Laird odwrócił się i spojrział na Grację. Sam był bardzo wzburzony, doceniał może głębiej doniosłość tego nieszczęścia, niż jego młoda żona; umiał też odczuć zupełnie dobrze, jak bardzo czuła się zrozpaczona i dotknięta; ale jako urodzony pragmatysta, stosujący wobec życia metodę doświadczalną, nie mógł bez zniecierpliwienia patrzeć na bezowocne załamywanie rąk. Korciło go zawsze, aby przełamać w Gracji odziedziczoną po ojcu skłonność do ascetycznego trzymania się tradycji. Gdyby Gracja nie była jego żoną, zgodziłby się z pewnością, że z równem szczęściem mógłby zmienić kształt jej czaszki, jak przeistoczyć ten zasadniczy rys jej charakteru; ponieważ jednak była jego żoną, więc oczywiście uważał zmianę za możliwą, tak, jak możliwa jest w gmachu przebudówka klatki schodowej albo połączenie dwóch pokoi w jeden. Objął ją ramionami i rzekł:

— Rozumiem; ale zobaczysz, że wszystko się ułoży, jeżeli nie będziemy ujmowali sprawy zbyt tragicznie. Czy mam pomówić z Nolli?

Gracja przyzwoliła, by móc ojcu powiedzieć: — Jerzy ją zbada — i odroczyć temsamem rozmowę. Niemniej jednak cała sprawa wydawała jej się coraz większą kłęską, której nic nie mogło zmniejszyć, ani usunąć.

Jerzy Laird miał niemało chłodnej odwagi, nieocenionej w ludziach, którzy muszą zarówno łagodzić jak i zadawać ból, a mimo to, mówiąc jego słowami, — nie był bynajmniej zachwycony tą misją; zaproponował Nolli przechadzkę, ponieważ obawiał się sceny. Nolli zgodziła się chętnie z tych samych przyczyn. Lubiła Jerzego, a ponieważ jako szwagierka umiała patrzeć na niego bardziej obiektywnie i z właściwą jej młodzieńczą wnikliwością, знаła go może lepiej, niż własna żona. W każdym razie była pewna, że nie spotka jej z jego strony ani potępienie, ani współczucie.

Mogli byli oczywiście pójść w jakimkolwiek kierunku, poszli jednak w kierunku City. Takie głęboko uzasadnione decyzje są często podświadome. Szukali bezwątpienia oschłej, nie wzbudzającej wzruszeń okolicy; lub też może okolicy, gdzieby Jerzy, który był w uniformie, mógł odpocząć od nieustannych, automatycznych żołnierskich gestów powitalnych. Doszli do Cheapside, zanim uświadomił sobie w całej pełni jak dziwaczny był ten spacer z piękną, młodą szwagierką poprzez tłumy śpieszących, czarno odzianych businessmanów. — Djabli nadali ten spacer — pomyślał. — Okazuje się, że w mieszkaniu byłoby przecież łatwiej.

Odchrząknął jednak, uściśnął lekko jej ramię i zaczął:

— Gracja powiedziała mi, Nolli. Najważniejszą rzeczą jest, żebyś nie upadła na duchu i żebyś się nie martwiła.

— Przypuszczam, że nie możesz mi pomóc.

Słowa te wypowiedziane subtelnym dzwięcznym głosem, wytrąciły Jerzego zupełnie z równowagi; rzekł jednak szybko:

— Niema mowy, Nolli; wykluczone! O czem ty myślisz?

— O tatusiu.

Słowa: — Niech djabli porwą tatusia — cisnęły mu się na usta; połknął je i rzekł:

— Bóg z nim! Trzeba będzie wszystko jakoś urządzić. Czy chcesz rzeczywiście trzymać to przed nim w tajemnicy? Trzeba się zdecydować na jedno, albo drugie; nie warto ukrywać, skoro prawda i tak wyjdzie na jaw.

— Nie.

Spojrzał na nią ukradkiem. Patrzyła prosto przed siebie. Jak śmiesznie młoda była, jak piękna! Coś dusiło go w gardle, jak łyż.

— Na twojem miejscu nie robiłbym narazie nic, — rzekł, — wszystko jest jeszcze przedwczesne. Później mogę mu powiedzieć, jeżeli będziesz chciała. Pamiętaj jednak, moja droga, że zależy to w zupełności od ciebie; nie musiałby się nigdy dowiedzieć.

— Nie.

Nie wiedział, co chce przez to powiedzieć. Nagle rzekła:

— Gracja potępia Cyryla. Nie pozwól jej. Nie chcę, żeby ktoś źle o nim myślał. To moja wina. Chciałam go sobie zapewnić.

— Gracja jest oczywiście wzburzona, ale uspokoi się. Nie dopuszczaj do tego, żeby to was rozdzieliło. Musisz pamiętać stale o jednej rzeczy, mianowicie o tem, że życie nastęrcza nieskończoną ilość możliwości. Spójrz na wszystkich ludzi wokoło! Nie wiem, czy znajdzie się między nimi jeden, któryby nie przechodził w przeszłości lub teraz jeszcze, jakichś ciężkich chwil, a niektórych czekają przejścia równe twoim lub może nawet gorsze; a mimo

to widzisz, że są pełni humoru i werwy. Największy urok życia leży w tej właśnie rozkosznej ironji, która wszystko przenika. Przydałoby się, żebyś się mogła rozejrzeć po Francji, i porównać własne cierpienie z tem, co się tam dzieje. — Uczuł, że wsunęła mu nagle palce pod ramię i ciągnął dalej z rosnącą pewnością siebie:

— Życie musi być w przyszłości najważniejszą rzeczą dla ciebie, Nollu. Nie wygoda, nie klasztorna cnota, nie bezpieczeństwo, ale samo życie, z wykorzystaniem każdej chwili. Rozumiesz? Wszystkie stare, skostniałe tradycje, wszystkie hamulce poszły do kotła. Śmierć topi je i warzy. Będzie z tego świetna zaprawa do nowej zupy. Im się więcej przycina gałązki, tem bujniej rozwija się każda roślina. Żale, rozpacze i tłumienie uczuć wychodzą z mody. W przyszłości nie będzie dla nich ani miejsca, ani czasu. Dasz początek życiu — to w każdym razie coś, za co trzeba być wdzięcznym. Utrzymałaś Cyryla Morlanda przy życiu. No — a wkońcu wszyscyśmy się kiedyś urodzili; jedni jako ślubne, inni jako nieślubne dzieci, co nie wpływa bynajmniej na jakość produktu, a męka rodzenia jest też w obu wypadkach dokładnie ta sama. Im weselsza będziesz, tem zdrowsze będziesz miała dziecko i to jest wszystko, co cię powinno obchodzić. Masz narazie conajmniej dwa miesiące czasu; a potem dasz nam poprostu znać, dokądbyś chciała wyjechać, a ja to już jakoś wszystko urządzę.

Odwróciła ku niemu głowę. Spotkał się ze spojrzeniem tych młodych, jasnych, zamyślonych oczu i ogarnęło go nagle niemile uczucie: czyż nie mówił do niej, jak szarlatan? Czy rzeczywiście trafił w sedno sprawy? Na co mogły się przydać podobne ogólniki tej wytwornej dziewczynie, wychowanej przez staromodnego, kochającego i ukochanego ojca w poszanowaniu prawdomówności? W naturze Jerzego leżała też pewna pogarda dla słów; warunki, w jakich żył przez dwa ostatnie lata, wy-

robiły w nim wstręt do ludzi, których działanie polega jedynie na słowach. Miał ochotę powiedzieć: — Nie zwracaj na mnie najmniejszej uwagi, wszystko to humbug; co będzie, to będzie i na tem koniec.

Wtem zapytała ze spokojem:

— Czy mam powiedzieć tatusiowi, czy nie?

Miał ochotę odpowiedzieć „nie“, ale nie mógł. Najprostsza droga była może przecież najlepsza. W tym wypadku trzeba było zachować tajemnicę przez całe życie. Ukryć coś na zawsze jest prawie ze niemożliwością. Prędkiej, czy później prawda wyjdzie na jaw. Lekarz wziął jednak górę nad filozofem, rzekł więc:

— Niema się z czem śpieszyć, Nollu, czas na to za dwa miesiące. Potem możesz mu powiedzieć, albo ja z nim pomówię.

Potrząsnęła przecząco głową:

— Nie; jeżeli musi tak być, zrobię to sama.

Położył dłoń na ręce Nollu, zawieszoną na jego ramieniu i uściśnął ją mocno.

— Co mam robić do tego czasu? — zapytała.

— Odpocznij przez tydzień gruntownie, a potem wróć do pracy.

Noel milczała przez chwilę, potem rzekła:

— Dobrze, zrobię tak.

Nie mówili więcej na ten temat. Jerzy starał się opowiadać o swych szpitalnych doświadczeniach, o fenomenie, jakim jest brytyjski żołnierz. Tuż przed powrotem do domu rzekł jej tylko:

— Widzisz, Nollu, jeżeli się sama nie będziesz wstydziła, nikt inny nie będzie się wstydził za ciebie. Jeżeli posypiesz głowę popiołem, to bliźni chętnie uczynią to samo; na tem polega ich litość.

Spotkał się znów ze spojrzeniem jasnym, zamyślnym oczu. Pożegnał ją z myślą: — Biedne opuszczone dziecko.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Po tygodniowym odpoczynku Noel wróciła do szpitala. Jerzy zrobił dla niej więcej, niż sam przypuszczał, gdyż jego powiedzenie: — życie nastęrcza nieskończoną ilość możliwości — utkwilo jej w pamięci. Czy było tak ważną rzeczą, co się z nią stanie? Nauczyła się przyglądać mijającym ją ludziom i zastanawiać się nad ich przeżyciami. Jakie zgryzoty i radości kryły ich serca? Samotność własnego życia zmusiła ją do obserwacji cudzych istnień, była bowiem rzeczywiście ogromnie samotna; Gracja i Jerzy wrócili do pracy, ojciec nie wiedział o niczem, z Leilą czuła się niedobrze, gdyż wyznanie, jakie wobec niej uczyniła w chwili słabości, zraniło jej dumę; rodziny, przyjaciół i znajomych unikała, jak choroby. Jedynym człowiekiem, którego nie udawało jej się uniknąć, był Jimmy Fort. Przyszedł pewnego dnia wieczorem i przyniósł jej dużą wiązanekę cieplarnianych fiołków. Ale on jej właściwie nie przeszkadzał — zbyt nowa była znajomość, zbyt przelotna. Z kilku jego słów wywnioskowała, że wiedział o stracie, jaką poniosła, i że fiołki były oznaką współczucia. Był szalenie miły tego wieczoru, opowiadał jej przygody z podróży i nie powiedział niczego, coby mogło urazić jej ojca. Co za rozkosz być mężczyzną i wałęsać się po świecie tak, jak on, poznawać życie, obce kraje i ludzi, Chińczyków, Gau-

chów, Boerów i Meksykan! Opowiadania te budziły w niej dziwne pragnienia. Lubiała patrzeć na jego smagłą, pełną humoru twarz, jakby obciążoną w zasuszoną skórę. Ogarnęło ją uczucie, że jedyną ważną rzeczą w życiu było zbierać doświadczenia, działać i poznawać świat. Własne zmartwienie malało, traciło na ważności. Ucisnęła mocno jego rękę, kiedy jej życzył dobrej nocy.

— Dziękuję za fiołki i za wizytę. Bardzo to ładnie że pan przyszedł! Chciałabym też mieć przygody!

Na co odpowiedział:

— Będzie je pani miała, droga królewno z bajki! — Powiedział to dziwnym głosem i bardzo serdecznie.

Królewna z bajki! Co za szczególne imię dla niej! Gdyby wiedział!

Niewiele przygód mogło ją spotkać w otoczeniu, w którym zmywała talerze. Niewiele „nieskończonych możliwości“, któreby odwróciły jej myśli od własnych przeżyć. Jednak podczas wędrówek do szpitala i do domu miała sposobność zrobić niejedno osobliwe doświadczenie. Pewnego dnia zrana zauważyła ubogo ubraną kobietę o czerwonej, zapuchniętej twarzy, trzepoczącą się, jak zraniony ptak na Regent Street, gryzącą w dziwny sposób palce. Noel usłyszała, że kobieta jęczy i zapytała, co jej dolega. Kobieta wyciągnęła rękę.

— Och — jęczała — szorowałam podłogę, wielka igła wbiła mi się w rękę, ułamała się i nie mogę jej wyciągnąć! Och, och! — Starła się chwycić zębami koniec igły, niecałkiem widocznej, ale prawie że dającej się uchwycić i nagle zbladła silnie.

Noel, zalękniona, otoczyła ją ramieniem i weszła z nią do eleganckiej drogerji. Kilka pań, zajętych w sklepie kupnem perfum, spojrzało niechętnie na nieporządnie ubraną, brudną kobietę, wchodzącą w ich grono. Noel podeszła do pana za ladą:

— Proszę mi dać coś szybko działającego dla tej bie-

dnej kobiety, boję się, że zemdleje. Igła wbiła jej się w rękę i nie może jej wyciągnąć.

Sprzedawca podał jej coś „szybko działającego“, a Noel przecisnęła się między dwiema paniami do ławki, na której siedziała kobieta. Wciąż jeszcze gryzła uparcie rękę. Nagle podniosła gwałtownym ruchem brodę — w zębach trzymała igłę. Wyjęła ją z ust drugą ręką, wpięła ją z dumą do stanika i wyrzuciła z siebie słowa:

— O proszę — teraz ją mam!

Kiedy wypila podany napój, spojrzała ze zdziwieniem wokół siebie i rzekła:

— Bóg zapłać, panienko — i wyszła powłócząc nogami. Noel zapłaciła i wyszła również. Lśniący sklep wydał perfumowane westchnienie ulgi.

— Nie może pani teraz wrócić do roboty, — rzekła do kobiety. — Gdzie pani mieszka?

— W Hornsey, proszę panienki.

— Musi pani wsiąść do omnibusu, pojechać prosto do domu i włożyć rękę odrazu do roztworu nadmanganianu potasu. Już puchnie. Ma pani tu pięć szylingów.

— Dobrze, proszę panienki, dziękuję pięknie. Panienka bardzo dobra. Boli porządnie.

— Jeżeli do południa nie będzie lepiej, musi pani iść do lekarza. Niech mi pani przyrzeknie!

— Dobrze proszę panienki. Jedzie autobus. Dziękuję pięknie, panienko.

Noel widziała odjeżdżającą, jakssała ciągle jeszcze brudną, spuchniętą rękę. Poszła dalej przejęta do głębi miłością do biednej kobiety i nienawiścią do pań w drogerji i przez całą drogę do szpitala nie pamiętała o własnym strapieniu.

Innego znów dnia listopadowego wyszła, jak zwykle w sobotę, wcześniej ze szpitala i udała się do Hyde Parku. Nakrapiane platany nigdy jeszcze chyba nie były tak piękne. Nieliczne, bardzo nieliczne żółte liście wi-

siały jeszcze na gałęziach, smukłe piękne drzewa zdawały się cieszyć, że zostały oswobodzone z ciężaru leśnego listowia. Delikatne gałęzie i gałązeczki kołysały się i tańczyły na wietrze, a zmyte deszczem lamparcie pnie miały w rysunku smukłą, nieangielską lekkość. Noel poszła wdół aleją i usiadła na ławce. Tuż koło niej jakiś artysta malował. Stalugi oddalone były od niej za ledwie o trzy kroki tak, że mogą widzieć obraz; przedstawiał szereg domów przy Park Lane, widzianych poprzez wesołą sieć platanów. Malarz mógł mieć około czterdziestu lat, był wysokim człowiekiem, najwidoczniej cudzoziemcem, wskazywała na to jego wąska, długa, owalna twarz bez zarostu, o brwiach wzniesionych i wielkich szarych oczach, których natężony wyraz spowodowany był zapewne bólami głowy i intensywnym życiem wewnętrznym. Spoglądał na nią często, a i Noel, idąc za nowym pędem do poznawania „życia“, przypatrywała mu się ukradkiem. Mimo to była trochę zaskoczona, kiedy zdjął miękki, szeroki kapelusz i rzekł cudzoziemskim akcentem:

— Proszę mi wybaczyć śmiałość, mademoiselle, ale czy pani nie pozwoliłaby mi zrobić szkicu pani, siedzącej na ławce? Pracuję bardzo szybko. Bardzo panią o to proszę. Widzi pani, jestem Belgiem, nie znam się na formach towarzyskich. — Uśmiechnął się.

— Proszę, jeżeli pan ma ochotę.

— Bardzo pani dziękuję.

Przysunął stalugi i zaczął rysować. Schlebiało jej to, choć trochę niepokoilo. Był taki blady i miał dziwne, głodne oczy, które ją wzruszały.

— Czy pan już długo jest w Anglii? — spytała po chwili.

— Od pierwszych miesięcy wojny.

— Czy pan się tu dobrze czuje?

— Z początku bardzo tęskniłem za domem. Ale wyżywam się w obrazach; Londyn jest pełen cudów.

— Czemu pan chce mnie szkicować?

Malarz uśmiechnął się znowu.

— Mademoiselle, młodość jest tajemnicza. Młode drzewa, które właśnie malowałem, mają o tyle więcej wyrazu, niż wielkie, stare. Oczy pani widzą rzeczy, które się jeszcze nie zdarzyły. Jest w nich wyrok *L o s u*, ale ukryty głęboko, byśmy go nie mogli odczytać. W moim kraju niema takich twarzy; jesteśmy o wiele prostsi, nie ukrywamy swoich uczuć. Anglicy są pełni tajemniczości. Jesteśmy wobec nich jak dzieci. A przecież pod pewnemi względami wy jesteście dziećmi w porównaniu z nami. Nie znacie świata. Wy Anglicy obeszlście się z nami dobrze, ale nas nie lubicie.

— Myślę, że i wy nas nie lubicie?

Uśmiechnął się znowu; zauważyła że zęby jego były bardzo białe.

— No, niebardzo. Anglicy robią wiele rzeczy z poczucia obowiązku, ale serca chowają dla siebie. A ich sztuka — no, to doprawdy zabawne!

— Niewiele wiem o sztuce — szepnęła Noel.

— Dla mnie sztuka — to wszystko — rzekł malarz i zamilkł rysując ze zdwojoną szybkością i zapalem.

— Tak trudno o tematy — zauważył nagle. — Nie mogę sobie pozwolić na modele, a londyńczycy niechętnie widzą, kiedy maluję z natury. Gdybym mógł mieć stale taki model, jak pani! Pani — pani ma jakieś zmartwienie, prawda?

Usłyszawszy to krótkie a niespodziane pytanie, Noel podniosła oczy i zmarszczyła brwi.

— Każdy ma teraz zmartwienie.

Malarz chwycił się za brodę; oczy jego stały się nagle tragiczne.

— Tak, — rzekł, — każdy. Nieszczęście jest dziś

chlebem codziennym dla wszystkich. Straciłem kontakt z rodziną; są w Belgji. Nie wiem, co się z nimi dzieje.

— Tak mi przykro; i przykro mi też bardzo, jeżeli nie obchodzimy się z panem dość dobrze. Tak być nie powinno.

Wzruszył ramionami.

— Czego pani chce! My jesteśmy inni. A tego się nie wybaczają. Pozatem, artysta jest zawsze samotny; ma o jedną skórę mniej, niż inni ludzie i widzi rzeczy, których inni nie widzą. Ludzie nie lubią, żeby ktoś był inny. Jeżeli pani kiedykolwiek w życiu postąpi inaczej, niż ogół, przekona się pani sama o tem, mademoiselle.

Noel czuła, że się rumieni. Czy odkrył jej tajemnicę? Oczy jego miały takie niesamowite, jasnowidzące spojrzenie.

— Czy pan niedługo skończy? — zapytała.

— Nie, mademoiselle, mógłbym rysować godzinami; ale nie chcę pani zatrzymywać. Zmarznie pani siedząc.

Noel wstała.

— Czy wolno mi obejrzeć?

— Naturalnie.

Szkic nie wydawał jej się bardzo podobny, — jak to zwykle bywa — ale ujrzała twarz, która ją dziwnie wzruszyła — twarz młodej dziewczyny, zapatrzonej przed siebie w coś, widocznego tylko dla jej oczu.

— Nazywam się Lavendie, — rzekł malarz; — mieszkamy z żoną tutaj — to rzekłszy podał jej wizytówkę.

Noel musiała odpowiedzieć:

— Nazywam się Noel Pierson; mieszkam razem z ojcem; oto adres — znalazła torebkę i wyciągnęła wizytówkę. — Mój ojciec jest proboszczem; czyby pan nas nie zechciał odwiedzić? Ojciec kocha nadewszystko muzykę i malarstwo.

— Będzie to dla mnie wielką przyjemnością — i może

otrzymam pozwolenie malowania pani. Niestety! Nie mam pracowni.

Noel cofnęła się.

— Bardzo mi przykro, ale pracuję cały dzień w szpitalu i... i nie chcę się dać malować. Ale tatuś z pewnością bardzoby pragnął pana poznać.

Malarz uklonił się ponownie; poznała, że czuł się dotknięty.

— Widzę naturalnie, że pan jest bardzo dobrym malarzem, — dodała szybko; — ale, ale ja nie chcę, widzi pan. Możeby pan miał ochotę namalować tatusia; ma nadzwyczajnie interesującą głowę.

Malarz uśmiechnął się:

— Jest pani ojcem, mademoiselle. Czy mogę panią o coś zapytać? Czemu pani nie chce się dać malować?

— Bo, bo nie chcę, boję się. — Wyciągnęła do niego rękę. Malarz nachylił się nad nią.

— Au revoir, mademoiselle.

— Dziękuję panu, — rzekła Noel. — To było szalenie zajmujące. — Odeszła.

Na niebie gromady obłoków zbiegły się wokół zachodzącego słońca, a dziwna, splątana sieć gałązek platanów rysowała się bardzo pięknie na tle czerwono-szarych, złotem obrzeżonych chmur. Piękno i świadomość cierpień bliźnich działały na Noel kojąco. Żal jej było malarza, ale oczy jego widziały zbyt wiele! Słowa: — Jeżeli pani kiedykolwiek w życiu postąpi inaczej, niż ogół — zrobiły na niej wprost niesamowite wrażenie. Czy prawdą było, że ludzie nie lubili i potępiali tych, których postępowanie różniło się od postępowania ogółu? Gdyby jej dawne koleżanki szkolne wiedziały, co ją teraz czeka, jakby się do niej odnosiły? W gabinecie ojca wisiała mała reprodukcja obrazka z Louvr'u „Porwanie Europy“, nieznanego malarza. Rzecz delikatna i pełna humoru, przedstawiająca jasnowłosą dziewczynę,

siedzącą w zachwyceniu na rozjuszonym, białym byku, który ją unosi poprzez płytki potok. Na brzegu zebrały się wszystkie jej białe towarzyszki, odwracając nawpół skwaszone, nawpół zazdrosne twarze od tego okropnego widowiska, podczas gdy jedna z nich próbuje w ostatecznej rozpaczycy wsiąść okrakiem na leżącą w trawie krowę, by udać się w pogoń za przyjaciółką. Ktoś kiedyś znalazł podobieństwo między twarzą dziewczyny, siedzącej na byku, a twarzą Noel. Myślała teraz o tym obrazie i widziała swe koleżanki szkolne — gromadkę przerażonych i zdziwionych dziewcząt. Przypuśćmy, że jedna z nich znalazłaby się w jej położeniu! — Czy i ja odwróciłabym się od niej, jak reszta? Nie, nie zrobiłabym tego — pomyślała. — Umiałabym zrozumieć. — Wiedziała jednak, że kładzie nieszczerzy nacisk na tę myśl. Czuła podświadomie, że malarz miał rację. Ktoś, kto czynił inaczej, niż inni, był zgubiony.

Opowiedziała ojcu o spotkaniu, dodając:

— Przypuszczam, że on przyjdzie, tatusiu.

Pierson odparł, rozmarzony:

— Biedny człowiek, będę się cieszył, jeżeli będę miał sposobność go poznać.

— I będziesz mu pozował, prawda?

— Moja droga — ja?

— Jest samotny, wiesz, i ludzie nie odnoszą się ładnie do niego. Czy to nie okropne, że ludzie dokuczają innym. tylko dlatego, że są cudzoziemcami lub postępują inaczej, niż ogół?

Widziała, jak otworzył oczy szeroko w łagodnym zdziwieniu.

— Wiem, tatusiu, ty naturalnie myślisz, że ludzie są litościwi, ale tak nie jest.

— To, co mówisz, nie jest też zbyt litościwe, Nollu.

— Sam wiesz, że nie są. Często myślę, że grzeszyć znaczy poprostu postępować inaczej, niż ogół. Nie moż-

na nazwać grzechem czegoś co przynosi szkodę jedynie grzeszącemu; ale ludzie będą go mimo to potępiali, prawda?

— Nie rozumiem cię, Nollu.

Noel zagryzła wargi i szepnęła:

— Czy jesteś pewny, że jesteśmy chrześcijanami, tatusiu?

Pytanie takie w ustach własnej córki było dla Piersona czemś tak niespodziewanem, że usiłował uciec się do żartu.

— Chciałbym zwrócić uwagę ogółu na to zagadnienie, Nollu, jak się to mówi w Parlamencie.

— To znaczy, że nie jesteś pewny.

Pierson zarumienił się.

— Bezsprzecznie jesteśmy grzesznikami; ale, dziecko drogie, nie przejmuj się takimi dziwnymi zapatrywaniami. Mówi i pisze się dziś zbyt wiele podburzających rzeczy.

Noel splotła ręce na karku.

— Myślę, — rzekła, patrząc prosto przed siebie i mówiąc w przestrzeń, — że duch chrześcijaństwa polega na tem, co się czyni, nie na tem, co się myśli, czy mówi. I nie mogę uwierzyć, by ludzie mogli być chrześcijanami, jeżeli postępują, jak inni — to znaczy, jeżeli łączą się, aby osądzać i dogryzać innym.

Pierson wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Zbyt mało wiesz o życiu, aby takie sądy wygłaszać, — rzekł. Noel jednak ciągnęła dalej:

— Jeden z żołnierzy w szpitalu Gracji opowiadał jej, jak się obchodzą z „pacyfistami“; to okropne. Jak można się w ten sposób obchodzić z ludźmi tylko dlatego, że nie zgadzają się na zapatrywania ogółu? Kapitan Fort powiada, że to strach robi ludzi złymi. Ale jakże

to może być strach, skoro idą setkami przeciw jednemu? Kapitan Fort mówi, że człowiek zdołał oswoić zwierzęta, ale że nie udało mu się nigdy oswoić siebie samego. Widzisz, człowiek najwidoczniej jest jeszcze zwierzęciem, skoro świat jest tak strasznie brutalny. A niema już wielkiej różnicy, czy się dąży w sposób brutalny do dobra, czy do zła.

Pierson spoglądał na córkę z zatroskanym uśmiechem. Ten nagły pęd do filozofowania wydawał mu się czemś zupełnie niepojętem u kogoś, kto wzrastał w jego oczach od dzieciństwa. Z ust dzieci i niemowląt płynie prawda... czasami! Młode pokolenie było dla niego zawsze zamkniętą księgą; drażliwość i nieśmiałość, a nadewszystko kapłańska szata odgraniczała go zawsze jakby niewidzialnym murem od serc bliźnich, a w szczególności od serc młodych. Tak wiele było spraw, co do których był zobowiązany wyrażać swe niezadowolenie, lub których conajmniej nie mógł rozstrzygnąć. Młodzi wiedzieli o tem aż zbyt dobrze. Do ostatnich kilku miesięcy nie zdawał sobie jednak nigdy sprawy z tego, że serca własnych córek były mu równie nieznanne, jak wnętrze Brazylii. Odkryciem tem był zaskoczony, nie mógł jednak znaleźć żadnej drogi porozumienia się z niemi.

Stał więc i patrzył na Noel, poruszony do głębi, nie podejrzewając bynajmniej, jaka to surowa rzeczywistość dokonała w niej wewnętrznej przemiany. Nękała go nieokreślona zazdrość, niepokój i ból. Kiedy poszła na górę, aby się położyć, chodził jeszcze długo po pokoju pogrążony w myślach. Trzeba mu było przyjaciela, któremu mógłby się zwierzyć, któregoby mógł się poradzić; a nie miał nikogo. Stronił od wszystkich, gdyż wydawali mu się niedelikatni, grubiańscy, o ciasnych horyzontach; zbyt czynni, zbyt zawikłani w sprawy codziennego życia, zbyt sztywni. W gronie swych młodszych kolegów

często przyciągała go czyjaś powierzchowność, nie można było jednak zwierzać się z najtajniejszych osobistych przeżyć ludziom dwa razy młodszym od siebie. Wśród swych rówieśników i starszych znajomych nie znał nikogo, do kogo mógłby się udać.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

I.

Leila upajała się pełnemi haustami swem nowem życiem. Ilekroć była zakochana, uczucie to pochłaniało ją całą i dotychczas wypalało się zawsze wcześniej, niż u partnera. Składało się to naturalnie dla niej bardzo korzystnie. Leila jednak nigdy nie liczyła się z możliwością, że miłość jej wygaśnie. Ilekroć była zakochana, przypuszczała, że stan ten trwać będzie wiecznie. I teraz była tego pewna i to bardziej, niż kiedykolwiek. Wierzyła, że Jimmy Fort jest owym człowiekiem, za którym tęskniła przez całe życie. Nie był tak przystojny, jak Fane czy Lynch, ale mimo to, przy nim — tamci dwaj wydawali się teraz prawie śmieszni. W rzeczy samej nie liczyli się wcale, maleli, bledli, stawali się pojęciami bez treści, słowem spotykał ich los wszystkich innych mężczyzn, dla których miała kiedyś przelotną słabość. Istniał dla niej teraz tylko jeden mężczyzna na świecie i będzie dla niej istniał zawsze. Nie idealizowała go też wcale, uczucie jej było zbyt głębokie; dźwięk jego głosu, dotknięcie ręki wzbudzały w niej dreszcz rozkoszy; śniła o nim; tęskniła za nim, gdy go nie widziała. Gryzła się też, gdyż zdawała sobie dokładnie sprawę, że namiętność jego nie była ani w połowie tak silna, jak jej własna. Było to dla niej doświadczenie zupełnie no-

we i kazało jej trzymać stale wszystkie instynkty w bolesnem naprężeniu. Kto wie, czy właśnie ta niepewność co do jego przywiązania nie czyniła go jej droższym od innych. Tkwiła w tem jednak i druga przyczyna — poczucie, że Czas goni za nią, że to była jej ostatnia wielka szansa. Śledziła go bacznie, jak kotka śledzi swe kocię, ukrywając to, rzecz prosta, z ręcznie, gdyż miała wiele doświadczenia. Od pewnego czasu trawiła ją dziwna, tajemna zazdrość o Noel, choć nie umiałaby wytłómaczyć, na czem była oparta. Może przyczyna leżała jedynie w jej wieku, lub może pochodziła z owego nieokreślonego podobieństwa Leili do dziewczyny, której urok przewyższał nawet jej własny z czasów młodości; lub może powodem były rzucone mimochodem uwagi Forta o „tej małej królownie z bajki“. Coś nieuchwytnego, podświadomego budziło w niej tę zazdrość. Aż do śmierci narzeczonego młodej kuzynki Leila czuła się bezpieczna, gdyż wiedziała, że Jimmy Fort nie sięgnąłby po własność innego mężczyzny; czyż nie dowiódł tego już dawno temu, kiedy od niej samej uciekł? Żałowała więc często, że mu powiedziała o śmierci Cyryla Morlanda. Pewnego dnia postanowiła naprawić swój błąd. Było to w zoologicznym ogrodzie, dokąd często chodzili w popołudnia niedzielne. Stali przed klatką małpek afrykańskich, które im obojgu przywiodły na pamięć dawne dni spędzone w południowej Afryce. Nie odwracając głowy rzekła, jakby mówiła do małego zwierzątka:

— Czy wiesz, że twoja królowna z bajki, jak ją nazywasz, będzie miała, jak się to mówi, wojenne dziecko?

Głos, jakim zawołał: — Co! — trafił ją w samo serce. Było w nim tyle bezbrzeżnego przerażenia.

Mówiła dalej z uporem:

— Przyszła do mnie i sama opowiedziała mi wszystko. Chłopak nie żyje, jak ci wiadomo. Okropne, prawda? — Spojrzała na niego. Twarz jego, porysowana w

niezliczone zmarszczki zdziwienia, wyglądała prawie śmiesznie.

— To urocze dziecko! Przecież to niemożliwe!

— Niemożliwości są czasem prawdą, Jimmy.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Mówię ci, że tak jest, — rzekła gniewnie.

— Co za skandal!

— Winę ponosi ona; sama mi to powiedziała.

— A jej ojciec — padre! Mój Boże!

Leilę opanowała nagle okropna niepewność. Myślała, że wiadomość ta wznieci w nim odrazę, wyleczy go ze słabostki otaczania tego dziecka nimbem romantyzmu; a teraz spostrzegła, że zamiast tego wzbudziła w nim niebezpieczne współczucie. Byłaby sobie najchętniej odgryzła język za to, co powiedziała. Przekonała się, że skoro tylko stał się czymś rycerzem - obrońcą, zatracił wszelką miarę.

Nawet w stosunku do siebie znajdowała gorzkie potwierdzenie tego sądu; zdawała sobie bowiem zawsze sprawę, że najsilniej wiążącą go do niej nicią było poczucie rycerskości, wzgląd na dręczący ją strach przed tem, by Czas nie cisnął jej w kąt. Dopiero dziesięć minut temu wygłosił tyradę przed klatką małpy, która wydawała mu się nieszczęśliwa. A teraz ona sama wzbudziła w nim tę niebezpieczną skłonność ku Noel. Jak mogła była tak głupio postąpić!

— Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Jimmy. Przykro mi, że ci powiedziałam!

Nie odpowiedział najłżejszym odruchem na uścisk jej ręki i szepnął:

— No, to doprawdy szczyt wszystkiego. Co można dla niej zrobić?

Leila odparła miękko:

— Obawiam się, że nic. Kochasz mnie? — Uścisnęła mocno jego dłoń.

— Pewnie, że tak.

Ale Leila pomyślała: — Gdybym była tą małpką, zwróciłby pewnie większą uwagę na moją łapę! — Serce zabolalo ją nagle. Podeszła do następnej klatki z głową podniesioną i mocno zaciśniętymi ustami.

2.

Jimmy Fort wracał tego wieczoru z Camelot Mansions z przykrem uczuciem. Leila zachowywała się tak dziwnie, że pożegnał się i odszedł zaraz po kolacji. Nie chciała rozmawiać o Noel; była nawet jakby zagniewana, kiedy starał się podjąć ten temat. Jakie dziwne były niektóre kobiety! Czy Leila myślała, że można usłyszeć coś podobnego o takim subtelnym, młodem stworzeniu i nie przejąc się tem wcale? Przecież to była fatalna wiadomość! Co ona na Boga pocznie — biedna, mała królewna z bajki! Rozpadł się domek z kart — zostało nieszczęście! na całe życie — na całe życie! Przy wychowaniu, jakie odebrała, przy takim ojcu — niepojęte, żeby mogła kiedykolwiek przejść nad tem do porządku. Leila okazała się prawie obojętna dla całej tej okropnej sprawy. Kobiety są twarde wobec siebie! Wypadek taki przedstawiał się ciężko nawet dla prostej robotnicy, cóż dopiero dla tego subtelnego, pięknego, otoczonego opieką dziecka! Nie, to doprawdy za mocne — za bolesne! Idąc za impulsem, którego nie mógł stłumić, udał się w kierunku starego placu. Jednak zaszedłszy przed dom, o mało nie zawrócił znowu. Kiedy tak stał niezdecydowany, z ręką na dzwonku, przeszedł koło niego żołnierz z dziewczyną. Ciemne, przytulone do siebie postacie o zatartych konturach wyłoniły się nagle, jakby wyczarowane z rozświeconej księżycem listopadowej mgły i wsiąkły w nią powoli, pozostawiając po sobie tylko odgłos kroków. Fort pociągnął za dzwonek. Wprowa-

dzono go do pokoju, który człowiekowi przychodzącemu z mglistej ulicy musiał się wydać rzęsiście oświetlony i tłumny, choć w istocie paliły się w nim tylko dwie lampy, a osób było zaledwie pięć. Siedzieli koło kominaka, zatopieni w rozmowie, którą przerwali, kiedy wszedł. Gdy uściskał dłoń Piersonowi i przedstawiono mu gości: — moja córka Gracja — mężczyznę w mundurze — mój zięć Jerzy Laird — i wysokiego człowieka o wąskiej twarzy i cudzoziemskim wyglądzie, w czarnym szaliku i najwyraźniej bez kołnierzyka, — podszedł do Noel, która podniosła się ze stojącego przed ogniem krzesła. — Nie! — pomyślał, — Albo śniłem, albo mnie Leila okłamała! — Była tą samą doskonale opanowaną, pełną wdzięku dziewczeczką, jaka mu utkwiała w pamięci. Nawet uścisk jej ręki był tak samo ciepły i pełen zaufania; usiadł i powiedział:

— Proszę, niech państwo mówią dalej i pozwolą mi się przyłączyć do dyskusji.

— Klóciliśmy się o wszechświat, kapitanie Fort — rzekł człowiek w mundurze. — Bardzo pięknie, że pan chce nam pomóc. Mówiłem właśnie, że ten nasz specjalny świat nie ma szczególnego znaczenia, że żaden gazieta nie byłby przejęty bardziej, niż przy innej okazji, gdyby mu przyszło jutro zawołać: — Straszliwa katastrofa, zupełne rozbitcie ziemi — nadzwyczajne wydanie popołudniowe. — Twierdzę, że utworzy się znowu mgławica, z której nasza planeta powstała i że przez zlanie się z innymi mgławicami odrodzi się w nowej formie i tak dalej a d i n f i n i t u m — ale nie umiem wytłómaczyć dlaczego tak się stanie. Moja żona zastanawia się nad tem, czy świat istnieje wogóle poza świadomością umysłu ludzkiego, ale nie umie wytłómaczyć, czym jest ludzki umysł. Mój teść myśli, że świat jest najmilszą zabawką Boga — nie potrafi jednak wyjaśnić kim, czy czym jest Bóg. Nolli milczy. A monsieur Lavendie nie

powiedział nam jeszcze swego zdania. Cóż pan myśli, monsieur?

Człowiek o wąskiej twarzy i wielkich oczach podniósł rękę do wysokiego czoła o żyłach nabrzmiałych jakby z bólu głowy, zaczerwienił się i zaczął mówić po francusku, tak, że Fort musiał słuchać z napięciem, by zrozumieć.

— Dla mnie wszechświat jest nieograniczonym artystą, monsieur, który od wieków i po wieki wypowiada się w ciągle zmieniającej się formie, stara się zawsze stworzyć arcydzieło i prawie zawsze zawodzi. Dla mnie ten świat i wszystkie światy są — jak my sami i kwiaty i drzewa — małemi osobnemi dziełami sztuki, mniej czy bardziej doskonałemi, których blahe żywoty biegają swoim torem, aż wreszcie niszczą, obracają się w proch i powracają znów do tego twórczego Artysty, od którego wypływa wiecznie nowa pobudka tworzenia. Zgadza się ze zdaniem pana Lairda, jeżeli go dobrze rozumiem; ale zgadzam się również i z panią Laird, jeżeli ją dobrze pojąłem. Widzicie państwo, według mnie duch i materja są jednością, a może niema wcale żadnego ducha i żadnej materji, tylko poprostu rozwój i upadek i znowu rozwój, po wieki wieków; ale rozwój ten jest zawsze świadomy — artysta wypowiada się w milionie wiecznie zmieniających się form; a upadek i śmierć, jak my to nazywamy, są odpoczynkiem i snem, odpływem, który zawsze dzieli dwie wzbierające fale, albo nocą, która przypada między dwoma dniami. Dzień następny różni się jednak zawsze do poprzedniego i jedna fala nie jest równa drugiej; w ten to sposób my sami i drobne kształty świata, te dziełka sztuki Odwiecznego Artysty, nie odnawiają się nigdy w tym samym kształcie, nigdy nie powtarzają się dwa razy — są zawsze świeże — świeże światy, świeże indywidualności, świeże kwiaty, wszystko świeże. Nie widzę w tem nicze-

go przygnębiającego. Dla mnie byłaby przygnębiająca świadomość, że będę żył dalej po śmierci, lub że będę żył w nowym ciele, ja, a przecież nie ja. Jakżeby to było nudne! Kiedy kończę obraz, jest dla mnie niepojęte, że ten obraz mógłby się kiedyś przemienić w inny, lub że możnaby oddzielić wyraz obrazu od nastroju w jakim został poczęty. Wielki Artysta, który jest duszą Wszechświata, pracuje wciąż nanowo nad tem, by dokonać nowych rzeczy. Jest jak wodotrysk, który wyrzuca wciąż nowe krople w powietrze, każdą różną od drugiej; krople wpadają zpowrotem do wody, płyną do rur i znów tryskają w powietrze, jako nowo utworzone kropelki. Nie potrafię jednak wytłómaczyć, czemu istnieje ta Wyczysta Energia, wypowiadająca się ciągle w nowych indywidualnych kształtach, ten Odwieczny, Pracujący Artysta, zamiast poprostu niczego — zamiast wiecznie trwającej pustki i ciemności; chyba że m u s i być albo jedno, albo drugie; w s z y s t k o lub n i c; a że stało się to, a nie tamto, stało się wszystko, a nie właśnie nicość.

Przerwał, a Fort miał uczucie, że wielkie oczy malarza, utkwione w jego twarzy, nie widziały go wcale, zapatrzone w coś poza nim. Człowiek w mundurze, który podniósł się z krzesła i stał z ręką opartą o ramię żony, rzekł:

— Brawo monsieur; bardzo pięknie ujęte z artystycznego punktu widzenia. Pomysł w każdym razie piękny; ale czy trzeba nam wogóle jakiegoś pomysłu? Świat zewnętrzny istnieje; musimy się ze stanem rzeczy poprostu pogodzić.

Fort miał wrażenie, że smukła, ciemna postać gospodarza zadrżała; Pierson wstał i zbliżył się do ognia.

— Nie mogę się zgodzić — rzekł, — na indentyczność twórcy ze stworzeniem. Bóg istnieje poza nami. Nie mogę się też zgodzić z tem, że wszechświat nie zdąża do określonego celu i spełnienia. Wszystko stworzone zo-

stało wedle zamierzeń Bożych. Myślę, że nasze rozumowania napełniły nas niesłusznie zbyt wielką dumą. Świat zatracił poczucie szacunku; martwi mnie to, gorzko mnie to martwi.

— A ja cieszę się tem — powiedział człowiek w mundurze.

— No, kapitanie Fort, teraz kolej na pana.

Fort, zaopatrzony w Noel, otrząsnął się z zamyślenia i rzekł:

— Według mnie, to co monsieur nazwał wyrazem — jest walką. Mam podejrzenie, że wszechświat jest prosto jedną długą walką, sumą zwycięstw i klęsk. Zwycięstw, prowadzących ku klęskom, klęsk ku zwycięstwom. Pragnę zwyciężyć, dopóki żyję, a ponieważ pragnę zwyciężyć, więc pragnę żyć po śmierci. Śmierć jest klęską. Nie chcę tego uznać. Dopóki tkwi we mnie ten instynkt, wierzę, że nie umrę; kiedy go stracę, umrę zapewne. — Zdawał sobie sprawę, że Noel zwraca się ku niemu, miał jednakowoż uczucie, że nie słucha jego słów. — Podejrzewam, że to, co nazywamy duchem, jest w istocie instynktem wojowniczym, że to, co nazywamy materją jest dążeniem do spoczynku. Czy, jak mówi pan Pierson, Bóg jest poza nami, czy, jak myśli monsieur, my wszyscy jesteśmy częścią Boga, — tego naturalnie nie wiem.

— Aha, proszę! — rzekł człowiek w mundurze.

— Wszyscy mówimy tak, jak nam nasz temperament dyktuje, ale żaden z nas nie wie. Religje tego świata są prosto poetyckim wyrazem pewnych silnie wybujałych temperamentów. Monsieur mówił przed chwilą jak poeta, a jego temperament jest jedynym, który dotychczas nie został jeszcze narzucony światu w formie religji. Idź pan w świat i głoś pan swą religję z dachów domów, monsieur, i zobacz pan, co się stanie.

Malarz potrząsnął głową z uśmiechem, który zdawał

się Fortowi tylko pozornie pogodny a był w istocie niezmiernie smutny.

— Non monsieur — rzekł, — artysta nie narzuca swego temperamentu innym. Różnica temperamentów jest najistotniejszym źródłem jego radości i jego wiary w życie. Gdyby nie było różnic, nie byłoby dla niego życia. „T o u t c a s s e, t o u t l a s s e“, przemiana jedynie trwa wiecznie. My artyści hołdujemy zmianie, monsieur, hołdujemy nowości każdego poranka, każdego wieczoru, każdej osoby, każdego wyrazu energii. Niema dla nas rzeczy ostatecznych; łakniemy ciągle czegoś nowego, nigdy nie jesteśmy nasyceeni. Widzi pan — nawet w śmierci jesteśmy zakochani.

Zapadło milczenie; potem Fort usłyszał szept Pier-sona:

— To bardzo piękne, monsieur; ale ach! jakie niesłuszne!

— Jakież jest twoje zdanie, Nolli? — rzucił nagle człowiek w mundurze. Dziewczyna siedziała bardzo cicho na swem niskim krześle z rękoma splecionymi na kolanach, z oczyma utkwionymi w płomienie; światło lampy spływało na jej jasne włosy; podniosła wzrok, wzdrygnęła się i spotkała spojrzenie Forta.

— Nie wiem, nie słuchałam.

Coś poruszyło się w nim, jakaś paląca litość, gwałtowne pragnienie przyjścia jej z pomocą. Powiedział szybko:

— W dzisiejszych czasach trzeba działać. Filozofja nie zda się dziś na nic. Jedyne, co czynić trzeba, to rozbudzać nienawiść do tyranji i okrucieństwa, a bronić wszystkiego, co słabe i opuszczone. To jedno zostało nam jeszcze i dla tego jednego warto jeszcze żyć, dziś, gdy zbiegły się sfory z całego świata, by żłopać krew.

Teraz Noel słuchała, więc ciągnął dalej z zapałem:

— Nawet my, którzyśmy stanęli do walki z tą pruską hulastrą nauczyliśmy się od nich szczucia, szczuliśmy ich

po całym kraju, na wszystkie możliwe sposoby. Takie rzeczy są niebezpiecznie zaraźliwe.

— Nie widzę, żebyśmy byli zarażeni, kapitanie Fort.

— Obawiam się jednak, że tak jest, panie Pierson. Przeważna część ludzi idzie zawsze za tłumem; nacisk jest teraz szczególnie silny; a pęd do szczucia leży w powietrzu.

Pierson potrząsnął przecząco głową:

— Nie, ja tego nie widzę, — powtórzył; — mnie się zdaje, że mamy teraz więcej braterskich uczuć i więcej pobłażania.

— Ach! monsieur le curé — zabrzmiał bardzo łagodnie głos malarza, — trudno jest dobremu człowiekowi widzieć zło, jakie go otacza. Istnieją ludzie, których świat mija, których rzeczywistość nie może dotknąć. Wędrują drogami Bożemi, nasza zwierzęcość i brutalność jest dla nich czemś nierzeczywistym. Pęd do szczucia, jak monsieur mówi, leży w powietrzu. Widzę teraz ludzi takimi, jakimi są wistocie: są jak goniąca tłuszcza z otwartą paszczą i wywieszonym, czerwonym językiem, a chrapliwy oddech i krzyki unoszą się daleko przed nimi. Na kogo się teraz rzuca — nikt nie wie; może na niewinnego, może na winnego. Może, gdyby pan widział, jak pożerają kogoś drogiego panu w pańskich oczach, monsieur le curé, możeby pan to też zrozumiał; a jednak nie wiem.

Fort widział, jak Noel zwróciła się ku ojcu; wyraz jej twarzy w tej chwili był bardzo dziwny, nawpół pytający, nawpół przerażony. Nie! Leila nie kłamała, ani jemu nic się nie przyśniło. To była prawda!

Kiedy się pożegnał i wyszedł znowu na plac, widział ustawicznie przed sobą w świetle księżyca jej rysy i postać; miękki kontur sylwetki, jasny koloryt, smukłą subtelność kształtów i zamyślenie w wielkich szarych

oczach. Przeszedł już New Oxford Street i kawałek drogi do Strandu, kiedy usłyszał za sobą cichy głos:

— Oh, c'est vous monsieur! — Malarz wyłonił się z mgły.

— Czy pan zdąża w tę samą stronę? — rzekł Fort. — Obawiam się, że idę zbyt powoli.

— Im wolniej, tem lepiej, monsieur. Londyn jest taki piękny w ciemnościach. Te księżycowe noce — to rozpacz dla malarzy. Są chwile, kiedy się czuje, że rzeczywistość nie istnieje. Wszystko spowite jest snem — jak twarzyczka tej młodej pani.

Fort zaskoczony obrócił się ku niemu szybko.

— Ach, więc takie wrażenie robi na panu?

— Co za czarująca postać! Co za atmosfera przeszłości i przyszłości ją otacza! I nie chce mi pozwolić, żebym ją malował! Może rzeczywiście tylko Mathieu Maris... — Zdjął miękki szeroki kapelusz i przejechał sobie palcami przez włosy.

— Tak, — rzekł Fort — to byłby piękny obraz. Nie jestem znawcą sztuki, ale jednak to rozumiem.

Malarz uśmiechnął się i ciągnął swą szybką francuszczyzną:

— Łączy się w niej młodość z dojrzałością, a to się rzadko spotyka. Ojciec jej jest też interesującym człowiekiem; usiłuję go namalować; bardzo trudna głowa. Siedzi zatopiony we własnych rozmyślaniach, a dusza jego ulatuje gdzieś w zaświaty, jak dusza jego kościoła; ucieka z tego wieku maszyn, pozostawiając ciało za sobą — prawda? Jest taki łagodny; święty poprostu. Inni duchowni, których widuję przechodząc ulicami, wcale nie są do niego podobni; są zajęci swemi sprawami, zapięci na ostatni guzik, mają twarze ludzi, którzy mogliby być równie dobrze nauczycielami, adwokatami lub nawet żołnierzami — są ludźmi z tego świata. Czy pan wie o tem, monsieur — to brzmi ironicznie, ale mam

wrażenie, że nikt nie może mieć powodzenia jako kapłan, o ile nie jest człowiekiem światowym. Nie widziałem jeszcze żadnego z wyrazem twarzy monsieur Piersona, trochę męczeńskim, a trochę nieprzytomnym. Ten człowiek jest doprawdy nawpół artystą, szczerze kocha muzykę. Maluję go przy fortepianie; kiedy gra, twarz jego ożywia się, ale nawet wtedy jest zupełnie oderwana od życia. Na mnie, monsieur, pan Pierson robi wrażenie pięknego kościoła, który wie, że jest opuszczony. Jest w nim coś patetycznego. Je suis socialiste, ale miałem zawsze estetyczne uwielbienie dla tego starego kościoła, który utrzymał przy sobie swe dzieci jedynie mocą afektu. Czasy się zmieniły; dziś już nie może ich tą siłą utrzymać; stoi w cieniu, z wieżą, wznoszącą się ku niebu, które już nie istnieje; melodia jego dzwonów jest ciągle jeszcze piękna, lecz nie harmonizuje z rytmem ulicy. Chciałbym coś z tego, co powiedziałem, schwycić na płótno, ale sapristi! to trudna sprawa!

Fort chrząknął potakująco. O ile mógł zrozumieć słowa malarza, zadanie wydawało mu się w istocie ciężkie.

— Ażeby to namalować — ciągnął malarz dalej — trzeba by stworzyć odpowiednie tło — trzeba by uchwycić prądy modnego życia i modne typy, które przechodzą koło niego, nie dotykając go w zupełności. Współczesne życie nie uznaje złud ani marzeń. Spójrz pan na ulicę. La, la!

Ciemną ulicą przepływały setki postaci w mundurach i setki dziewcząt. W głosach wszystkich przechodzących brzmiała ostra, nawpół żartobliwa wulgarność. Taksówki i autobusy pchały się naprzód, nie bacząc na tłum; gazeciarze zachęcali do kupowania pism nieprzerwanem wywoływaniem. Malarz wykonał znowu gest rozpaczny:

— Jakże mam oddać w moim obrazie to współczesne życie, które otacza go zewsząd, jak otacza ten kościół

stojący na środku ulicy? Spójrz pan, prąd opływa go, jakby chciał go zmyć z powierzchni; a jednak kościół stoi i zdaje się nie widzieć, co się wokół niego dzieje. Gdybym był fantastą, ułatwiłoby mi to sprawę, ale być fantastą to zbyt proste dla mnie — ci panowie romantycy biorą sobie co chcą, skąd chcą i to im wystarcza. Moi, je suis réaliste. I wobec tego, monsieur, wpadłem na pomysł. Nad głową siedzącego przy fortepianie Pier-sona maluję obraz, wiszący na ścianie — jedną z tych młodych dziewczyn wielkowiejskich, które nie mają w sobie żadnej tajemniczości, żadnej młodości; nie jeno zuchwałość i dobry humor i trochę powierzchownego wykształcenia. Monsieur le curé patrzy na nią, ale jej nie widzi. Chcę, żeby twarz tej dziewczyny była twarzą modnego życia, a on ma się patrzeć na nią, nie widząc jej zupełnie. Jak się panu mój pomysł podoba?

Ale Fort poczuł coś, jakby bunt; uczucie takie szybko ogarnia człowieka czynu, gdy przysłuchuje się artyście.

— Jest coś w tem — rzekł krótko; — a mimo to, monsieur, stoję po stronie współczesnego życia. Weź pan na przykład te młode dziewczyny i tych żołnierzy. Mimo całej lekkomyślności i wulgarności — gdyż muszą przyznać, że są wściekle wulgarni — jednak to wspaniali ludzie, znoszą z równym spokojem uśmiechy, jak przeciwności losu; wszyscy „spełniają swój obowiązek“, wie pan, i borykają się z tym dziś szczególnie wstrętnym światem. Z estetycznego punktu widzenia są może pożałowania godni, ale czy można nie przyznać, że s u m m a r u m ich filozofja przewyższa wszystko, cośmy dotychczas mieli? Niema dla nich niczego świętego, to prawda; ale trzymają się dzielnie.

Malarz, który zdaje się wyczuwał, że na jego ideje po-
wiałło chłodem, wzruszył ramionami.

— Te rzeczy mnie nie obchodzą, monsieur; utrwa-

lam, co widzę; czy to lepsze, czy gorsze niż było, — nie wiem. Ale niech pan spojrzy! — Wskazał mroczną ulicę, zalaną księżycem. Jak drogocenne kamienie i różnobarwne emalje lśniły na niej kolorowe plamki i oczka mglistych czerwonych i zielonych światełek, ponad którymi pomarańczowe kule lamp łukowych żarzyły się stłumionem światłem. Ulica robiła wrażenie zakłętego sennego widziadła, zaludnionego niezliczonymi kształtami w nieustającym ruchu, które dopiero przy zupełnem zbliżeniu nabierały realnego życia. Malarz wciągnął ze świstem powietrze.

— Ach! — rzekł, — co za piękno! A nikt tego nie widzi — żaden z pośród tysiąca! Szkoda, nieprawdaż? Piękno jest świętością!

Teraz Fort kolei wzruszył ramionami.

— Każdy człowiek ma swoje własne wizje! — rzekł. — Noga zaczyna mi dokuczać; będę musiał niestety wsiąść do dorożki. Oto mój adres, proszę, niech pan kiedy wpadnie. Jestem przeważnie w domu około siódmej.

— Serdeczne dzięki, monsieur; ale ja idę w północną stronę. Strasznie mi się podobało, co pan mówił o szczuciu. Budzę się często w nocy i słyszę, jak wyją głodne sfory całego świata. Ludzie łagodni z natury czują się w dzisiejszych czasach, jak cudzoziemcy w dalekich krajach. Dobranoc, monsieur!

Zdjął swój dziwaczny kapelusz, ukłonił się nisko i przeszedł na drugą stronę Strandu, jak senna zjawa, która znika z chwilą przebudzenia. Fort wsiadł do dorożki i pojechał do domu; przed oczyma majaczyła mu ustawicznie Noel. Oto jeszcze jedna ofiara — to uroczę dziecko, które czekało, aż je rzuca wilkom na pożarcie, aż cały świat zacznie szczuć i wyć wokoło. Kto wie, czy

pierwszym i najgłośniejszym ze wszystkich prześladowców nie będzie jej własny ojciec ze swą szczupłą, czarną postacią i twarzą łagodną, w której gorzały pełne blasku oczy. Co za przekłeta sprawa! Leila nie byłaby zachwycona snami, które miał tej nocy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Ilekcroć w jakiejś rodzinie pojawi się prawdziwa i do tego niemiała tajemnica, którą trzeba starannie ukrywać przed jednym z jej członków, osoba ta popada zazwyczaj w zupełne osamotnienie. Pierson jednak żył w samotności od lat piętnastu, nie odczuwał więc może w samotności od lat piętnastu, nie odczuwał więc może tak silnie tej zmiany. Marzycielskość jego usposobienia powodowała w nim dziwną samowystarczalność, którą tylko gwałtowne wstrząsy mogły zamącić. Wypełniał dalej swe codzienne obowiązki, które zakrzepły dla niego i tak stwardniały, jak owe kostki bruku na jego codziennej drodze do pracy i do domu.

Zdanie malarza, że zajęcie jego nie miało żadnej styczności z otaczającym go życiem, nie było zupełnie słuszne. Był przecież obecny przy narodzinach, przy ślubach i przy śmierci. Pomagał ludziom, gdy gnębiła ich bieda lub choroba. W niedzielne popołudnia opowiadał dzieciom przypowieści z Biblii, zaopatrywał głodnych w strawę ze swojej kuchni. Nigdy nie oszczędzał siebie, miał zawsze otwarte uszy na ludzkie prośby. A jednak nie rozumiał ich i oni to czuli. Miało się wrażenie, jakby on albo oni cierpieli na kurzą ślepotę. Oni widzieli inne kolory, on inne.

Jedna z ulic jego parafji wychodziła na główną arter-

ję komunikacyjną i stała się z tego powodu nowym terenem łowieckim dla kobiet lekkich obyczajów. Dla obrony ogólnego bezpieczeństwa zostały one obecnie wydalone przez władze miejskie ze swych dawnych stanowisk i musiały wyczekiwać w ciemnościach. To zło właśnie gnębiło Piersona zawsze, jak z mora. Abstynencja, pod której znakiem żył, kazała mu osądzić tę sprawę szczególnie surowo, choć z natury nie skłaniał się do surowości. Więc chociaż pozornie stał zawsze wobec tej kwastji na stanowisku chłodnego potępienia, rozgrywała się w jego duszy bardzo osobista i zacięta walka. Przyłączał się do potępiających wprawdzie nie ze strachu przed własnymi instynktami — na to miał smak zbyt wybredny, a zresztą był za bardzo gentlemanem i w dodatku kapłanem, — czynił to jednak w obawie, że okaże się zbyt pobłażliwy wobec grzechu, wobec czegoś potępionego przez Boga. Był jakby obowiązany patrzeć na występki z punktu widzenia, odpowiadającego jego stanowisku. Kiedy podczas spaceru przechodził koło jednej z tych kobiet, bezwiednie wydymał wargi i marszczył brwi. Ciemność, zalegająca ulicę, nadawała im tyle czarunku, tyle djabelskiej potęgi królowania nad nocą. Prócz tego były niebezpieczne dla żołnierzy, a żołnierze znowu zagrażali owieczkom jego stada. Od czasu do czasu dochodziły do jego uszu nieszczęścia rodzinne jego parafjan; żołnierze zawracali głowy młodym dziewczętom, i w rezultacie często czekało je mścicielstwo. Dziewczyny te wydawały mu się bardzo pożałowania godne; nie mógł im jednak wybaczyć płochości i tego, że wodziły na pokuszenie młodych dzielnych ludzi walczących już, lub mających wyruszyć do walki. Urok, jaki otaczał żołnierzy, nie był dostatecznym usprawiedliwieniem. Ilekroć mu donoszono o narodzinach takich dzieci, zwoływał założony przez siebie komitet, składający się z trzech mężatek i dwóch niez-

mężnych pań, które odwiedzały matki i w razie potrzeby umieszczały dzieci w żłobku; dzieci te bowiem w czasie wojny nabrały nowego znaczenia dla ojczyzny i — biedne maleństwa! — nie powinny w żadnym wypadku ponosić odpowiedzialności za winy matek. Sam nie stykał się z temi młodemi matkami; nie wiedział, jak się wobec nich zachować, a może obawiał się w głębi serca, że nie okaże się dość surowy. Jednak razu pewnego znalazł się niespodzianie wobec takiej dziewczyny.

W wieczór Sylwestrowy, kiedy siedział po herbacie w gabinecie (godzinę tę starał się mieć zawsze wolną dla swych parafjan), oznajmiono mu przybycie niejakiej Mrs. Michett, żony drobnego księgarza, która przychodziła czasami do Komunji. Weszła w towarzystwie młodej, czarnookiej dziewczyny, w szerokim płaszczu mysięgo koloru. Na jego zaproszenie usiadły naprzeciw wielkiej biblioteki w dwóch zielonych skórzanych fotelach, które zniszczyły się już na usługach parafji. Pierson, siedzący za biurkiem, odwrócił się ku nim, splótł swe długie palce muzyka i czekał. Kobieta wyciągnęła chusteczkę i zaczęła ocierać oczy; dziewczyna siedziała cicho, jak myszka, do której w swym popielatym płaszczu była dziwnie podobna.

— Słucham pani, Mrs. Michett — rzekł wkońcu łagodnie.

Kobieta wytarła nos z determinacją, odłożyła chusteczkę i zaczęła:

— Chodzi o Hildę, sir. Nigdybyśmy się czegoś podobnego nie spodziewali, Michett i ja, nigdybyśmy nie myśleli, że coś takiego spadnie na nas tak znienacka. Myślałam sobie, że najlepiej zrobię, jak ją tu przyprowadzę. Biedaczka. To wszystko przez wojnę. Ostrzegałam ją tysiąc razy; ale trudno, stało się, spodziewa się za miesiąc dziecka, a chłopak jest we Francji.

Pierson odwrócił instynktownie oczy od dziewczyny,

która nie odrywała wzroku od jego twarzy. Przypatrywała mu się z obojętnością, jakby już dawno przestała zastanawiać się nad swym losem, pozostawiając te rozmyślania innym.

— To smutne, — rzekł; — bardzo, bardzo smutne.

— Tak, — szepnęła Mrs. Michett; — właśnie to samo mówię Hildzie.

Dziewczyna spuściła na chwilę oczy, potem zaczęła się znowu przypatrywać z obojętnością Piersonowi.

— Jak się ten młody człowiek nazywa i w jakim pułku służy? Możeby mógł dostać urlop, przyjechać i ożenić się odrazu z Hildą.

Mrs. Michett pociągnęła nosem.

— Ona nie chce powiedzieć, sir. No, Hilda, powiedz księdzu proboszczowi. — W głosie jej brzmiała szczerze błagalna nuta. Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. — Taka już jest, sir; ani słowa nie chce powiedzieć. Darmo jej mówię: Musimy wobec tego myśleć, że było ich więcej, niż jeden. A to wstyd dla nas!

Dziewczyna ciągle jeszcze milczała.

— Niech pan sam z nią pomówi, sir; ja już doprawdy nie wiem, co mam robić.

— Dlaczego nie chcesz nam dać odpowiedzi, moje dziecko? — rzekł Pierson. — Jestem pewny, że chłopak będzie chciał zrobić, co do niego należy.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową i przemówiła poraz pierwszy:

— Nie wiem, jak się nazywa.

Twarz Mrs. Michett drgnęła.

— Mój Boże! — rzekła. — I pomyśleć, że nam nigdy nawet i tego nie powiedziała!

— Nie wiesz, jak się nazywa? — szepnął Pierson. — Ale jakże, jakże mogłaś — przerwał, ale twarz jego zasępiła się. — Przecież z pewnością nigdy nie zrobiłabyś

czegoś podobnego niepowodowana uczuciem? Powiedz, dziecko, jakże się to wszystko stało?

— Nie wiem, — powtórzyła dziewczyna.

— To przez spacery po parkach — rzekła Mrs. Michett z poza chusteczki. — I pomyśleć, że to będzie nasz pierwszy wnuczek! Krzyż Pański z tą Hildą; cicha, bo cicha, ale ten upór.

Pierson spojrział na dziewczynę, której rysy wyrażały najzupełniejszą obojętność. Apatja jej i coś, jakby zacietość drażniły go.

— Nie rozumiem, — rzekł, — jak się mogłaś tak zapomnieć, moje dziecko. To doprawdy pożałowania godne.

Mrs. Michett szepnęła:

— Tak, sir; dziewczęta wbijają sobie teraz w głowę, że nie będzie dla nich chłopców.

— To prawda, — rzekła dziewczyna posepnie.

Pierson zacisnął wargi.

— Cóż mogę zrobić dla pani, Mrs. Michett? — rzekł.
— Czy córka chodziła do kościoła?

Mrs. Michett żałośnie potrząsnęła głową.

— Nie chodzi od czasu, jak ma rower.

Pierson wstał z krzesła. Stara historia! Rozluźniony nadzór i dyscyplina, a w rezultacie te gorzkie owoce!

— Jeżeli pani będzie potrzebna nasza ochronka, proszę tylko przyjść do mnie. — Zwrócił się do dziewczyny: — A ty, moje dziecko, — czy to ciężkie doświadczenie nie wzruszy twego serca? Moje dziecko, wszyscy musimy panować nad sobą, nad naszymi namiętnościami i nad naszą bezmyślną przekorą, a szczególnie w takich czasach, jak obecne, kiedy ojczyzna potrzebuje silnych, opanowanych i niemyślących o sobie obywateli. Jestem pewny, że masz dobre serce.

Ciemne oczy dziewczyny, nieodrywające się ani na

chwile od jego twarzy, wzbudziły w nim falę rozdrażnienia.

— Dusza twoja jest w wielkim niebezpieczeństwie i widzę, że jesteś bardzo nieszczęśliwa. Zwróć się do Boga o pomoc, a w świetle Jego miłosierdzia wszystko wyda ci się inne.

Dziewczyna odparła z zadziwiającym spokojem.

— Nie chcę dziecka!

Ta uwaga wstrząsnęła nim, jakby usłyszał okropne przekleństwo.

— Hilda pracowała przy amunicji — rzekła matka tonem wyjaśnienia, — zarabiała cztery funty tygodniowo. Mój Boże, jeszcze taka strata w dodatku!

Dziwny, prawie że okrutny uśmieszek wykrzywił wargi Piersona.

— Kara Boża! — rzekł. — Dobranoc, Mrs. Michett. Dobranoc, Hildo. Jeżeli będę wam potrzebny, poślijcie po mnie.

Wstały; uściśniły mu rękę; nagle zauważył, że drzwi były otwarte i że Noel stała na progu. Nie słyszał, jak otworzyła drzwi; nie miał pojęcia, jak długo mogła tam stać. Twarz jej i postać wyrażały niezwykle skupienie. Patrzyła uważnie na dziewczynę, która w przejściu podniosła głowę tak, że ciemne oczy spotkały się z czarnymi. Drzwi się zamknęły. Noel została z nim sama w pokoju.

— Wróciłaś dziś wcześniej, dziecko drogie? — rzekł Pierson. — Weszłaś bardzo cicho.

— Tak; słyszałam wszystko.

Dźwięk jej głosu przejął go lekkim drżeniem. Twarz jej miała ów opętany wyraz, którego się zawsze tak obawiał.

— Co słyszałaś?

— Słyszałam, jak mówiłaś „Kara Boża“. Mnie powiesz pewnie to samo. Tylko, że ja pragnę mego dziecka.

Stała plecami zwrócona do drzwi, zawieszonych kotarą. Na tle ciemnej materji twarzyczka jej wydawała się bardzo młoda i drobna, oczy ogromne. Jedną ręką dotykała bluzki tuż nad sercem.

Pierson wlepił w nią oczy i chwycił za poręcz krzesła, na którem siedział przed chwilą. Nauczony przez całe życie trzymać swe uczucia na wodzy opanował się nawet w tym pierwszym momencie niejasnego przerażenia. Wykrztusił zaledwie słowo:

— Noll!

— To szczerą prawdą, — powiedziała, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Piersonowi zakotłowało wszystko przed oczyma; byłby upadł, gdyby się ruszył z miejsca. Noll! Przysunął się mozolnie do krzesła i usiadł z trudem. Rozedrgane nerwy wywołały w nim straszliwe, bezlitosne uczucie: zdawało mu się, że Noel siedzi na jego kolanach z jasną główką opartą o jego policzek, jak to zwykle czyniła jako mała dziewczynka. Czuł wyraźnie łaskotanie jej włosów na skórze; uczucie to było zawsze dla niego największem ukojeniem od czasu śmierci żony. W tej chwili duma jego skurczyła się, jak kwiat trzymany nad ogniem. Cała ta niezglębiona, a tajemna duma ojca, który kocha, podziwia i czci zmarłą żonę w dzieciach, jakie mu pozostawiła; który, choć pokorny z natury, nie docenia swojej dumy, aż stanie wobec gorzkiej próby; cała ta długo żywiona duma kapłana, który przez ciągle pocucie i napominanie innych ludzi udrapował się w pewną wyższość, choć sobie wcale nie zdawał z tego sprawy — cała ta duma zwiędła w jego duszy. Serce ściągnęło mu się boleśnie; zerwał się w niem krzyk, jak skarga torturowanego zwierzęcia, które nie wie, za co spotyka je męka. Ileż to razy każdy człowiek używa słów: — Boże, Boże, czemuś mnie opuścił! — Zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, jakby szukając

drogi wyjścia z klatki udręczeń, w jakiej się znajdował. W myślach jego i uczuciach mieszały się w najdziwniejszy sposób pojęcia duchowe i świeckie; ostracyzm społeczny, jej dusza zagrożona, dopust Boży! Przyszłość! Na myśl o niej wyobraźnia odmówiła mu posłuszeństwa. Podszedł do małego fortepianu, otworzył go i zamknął z powrotem; wziął kapelusz i wykradł się z domu. Szedł śpiesznie, nie wiedząc sam dokąd. Wieczór był pogodny — powietrze bardzo mroźne i ostre. Szybki ruch w chłodzie i zupełnem milczeniu sprawił mu pewną ulgę. Uciekł od Noel, tak jak ona uciekła od ojca po wyjawieniu swej tajemnicy. Ludzie strapieni idą szybko. Niebawem doszedł do rzeki i zaczął iść na zachód, wzdłuż jej wału. Księżyc stał na niebie pełen blasku, prawie że w pełni; stalowa jego poświata srebrzyła falującą wodę. Okrutna noc! Podszedł do obelisku i oparł się o jego kamienną podstawę; świadomość tego, co usłyszał, przejęła go nagłym spazmem rozpacz. Przed oczyma stanęła mu zmarła żona, wyczarowana jakby cudem z przeszłości; zdawało mu się, że oczy jej patrzą na niego ze skargą:

— Jakże to opiekowałaś się Nollu, że jej się coś takiego stać mogło?

Twarz żony zlewała się powoli z błyszczącą w księżycu twarzą sfinksa, patrzącą wprost na niego; szeroka, ponura twarz z wydętymi nozdrzami, wargami pełnymi okrucieństwa, szeroko rozwartymi oczyma bez źrenic, ożywiona i rozsrebrzona księżycową poświatą — uosobienie cudownej, a ślepej energii życiowej, dręczącej i nekającej bezlitośnie ludzkie serca. Spojrzał w te oczy z trwożliwym wyzwaniem. Potwór z ludzką głową, siedzący pełen siły i beztroskiej pogody na ogromnych, opatrzonych szponami łapach — potwór, któremu jego wyobraźnia i światło księżyca nadawały pozory życia,

zdawał się Piersonowi pokusą do zaprzeczenia istnienia Boga oraz wszelkiej ludzkiej cnoty.

Potem zbudziło się w nim poczucie piękna; stanął tak, żeby widzieć w srebro ujęte boki potwora, zebra, olbrzymie muskuły i ogon, którego koniec wili się na biodrze, jak łeb węża. Pełen niesamowitego życia i okrutnego piękna był ten twór ludzkiej ręki. Wyrażał coś z duszy ludzkiej, coś bezlitosnego i dalekiego od miłości, lub może tylko zaczajone okrucieństwo ludzkiego losu. Pierson wzdrygnął się i zaczął iść dalej wzdłuż bulwaru, prawie że pustego z powodu przejmującego zimna. Doszedł do miejsca, skąd mógł widzieć wejście do kolejki podziemnej — małe ludzkie postacie poruszały się w świetle pomarańczowych i czerwonych światełek. Oczy jego zatrzymały się na tym pełnym ciepła i życia obrazie. A może wszystko było tylko snem? Może ta kobieta i jej córka wcale nie przyszły? Może Noel była tylko nierealną zjawą, a jej słowa wybrykiem jego rozigranych nerwów? Ale w tejże chwili ujrzał znów wyraziście jej twarzyczkę na tle ciemnego materiału kotary, ruch ręki, kiedy dotknęła bluzki, usłyszał swój własny, przerażony okrzyk: — Nolli! — To nie była iluzja, nie było złudzenie! Gmach, wznoszony przez całe życie, leżał w gruzach. Przed oczyma stanęło mu nagle dziwne niesamowite zbiorowisko twarzy ludzkich; twarze, które uważał za przyjazne, oblicza dobrych mężczyzn i kobiet znanych mu dawniej, lecz w tej chwili zupełnie nieznanymi, — wszystkie zbiegały się teraz koło Noel i wskazywały na nią palcami. Cofnął się przed tą wizją, nie mógł jej znieść, nie mógł pojąć swej klęski. Myśl jego uleciała z ulgą, choć z bolesnym poczuciem nierzeczywistości do wszystkich tych wakacyj letnich, spędzonych z obydwoma córkami w Szkocji, Irlandji, Kornwalji czy Walji, wśród jezior i gór. Te zachody słońca, te liście, mieniające się złotem, ptaki,

zwierzęta, owady, którym się razem przypatrywali. Ich młodość, zapał i zaufanie, z jakim się do niego odnosiły, dały mu tyle ciepła i radości. Jeżeli wszystkie te wspomnienia były prawdą, to rzeczywistość z pewnością nie mogła być prawdą. Poczul nagle, że musi prędko wracać do domu, iść prosto do Noel i powiedzieć jej, że postąpiła okrutnie wobec niego, lub upewnić się, że była w owej chwili nieprzytomna. Uniósł się nagłym gniewem, który wzrastał z każdą chwilą. Gniew jego skierował się przeciw Noel, przeciw wszystkim ludziom, przeciw samemu życiu. Wetknął ręce głęboko w kieszenie cienkiego, czarnego palta i wszedł do wąskiego, oświetlonego tunelu stacji kolejki podziemnej, który prowadził zpowrotem w tłumne ulice. Nim jednak doszedł do domu, gniew opuścił go zupełnie; jedynym uczuciem, jakie go wypełniało, było niesłychane znużenie. Minęła już dziewiąta, zrozpaczone dziewczęta sprzątnęły już ze stołu. Noel poszła na górę do swego pokoju. Nie miał na nic odwagi, siedział więc bez kolacji przy swym małym fortepianie; palce jego wędrowały po klawiszach, uderzając miękkie smutne akordy; może Noel słyszała lekkie, drżące tony muzyki poprzez swe niespokojne sny. Trwał tak przy fortepianie, aż do czasu, kiedy musiał iść na sylwestrowe nabożeństwo o północy.

Po powrocie otulił się kocem i położył się na starej kanapie w swym gabinecie. Kiedy służąca weszła następnego ranka, aby wyczyścić kominek i podłożyć ogień, zastała go jeszcze śpiącego. Stała i przypatrywała mu się; uczucie czci odmalowało się na jej szerokiej, miłej, świeżej buzi. Pierson leżał z twarzą opartą na dłoni, ciemne, lekko siwiejące włosy nie były rozwichrzone, tak, jakby się nie był przez całą noc poruszył; drugą ręką przyciskał do piersi koc, z pod którego wyglądały obute nogi. Oczom młodej dziewczyny wydawał się straszliwie zaniedbany. Spoglądała z zacieka-

wieniem na jego zapadłe policzki, na czoło porane bruzdami i na ocienione ciemnym zarostem wargi, tak mocno zaciśnięte, nawet przez sen. Świątobliwe życie nie czyniło człowieka najwidoczniej szczęśliwym! Uwagę jej przykuwały szczególnie płowe rzęsy, spoczywające na policzkach, delikatne poruszenia twarzy i całej postaci przy każdym oddechu i drgające nozdrza, z których z łagodnym świstem wydobywało się powietrze. Zbliżyła się i pochyliła nad leżącym; opanowała ją dziecinna chęć policzenia tych rzęs. Wargi jej rozwarły się, gotowe powiedzieć: — Och — na wypadek, gdyby się zbudził. Patrzyła na lekkie drgawki, które od czasu do czasu przelatowały po jego twarzy i było jej go „strasznie żal“. Był wielmożnym panem, miał pieniądze, co niedziela słuchała jego kazania, nie był też jeszcze taki stary — czegoż więcej można było sobie życzyć? A jednak — wyglądał taki zmęczony z temi zapadłemi policzkami. Żal jej go było; wydawał jej się bezradny i samotny, kiedy leżał tak na kanapie, zamiast iść do łóżka, jak się należy. Westchnęła i na palcach poszła do drzwi.

— Czy to ty, Bessie?

Dziewczyna odwróciła się:

— Tak, sir. Bardzo mi przykro, że pana zbudziłam, sir. Szczęśliwego Nowego Roku, sir!

— Ach prawda. Szczęśliwego Nowego Roku, Bessie.

Ujrzała, jak jego zwykły uśmiech zamarł, jak twarz jego zmartwiała; widok ten przestraszył ją, wybiegła więc szybko z pokoju. Pierson przypomniał sobie wszystko. Leżał pięć minut bez ruchu, patrząc osłupiałym wzrokiem w przestrzeń. Potem wstał, złożył odruchowo pled i spojrział na zegarek. Ósma! Poszedł na górę, zapukał do drzwi Noel i wszedł.

Rolety były już podniesione, ale Noel leżała jeszcze w łóżku. Stał przy niem i spojrział na córkę.

— Szczęśliwego Nowego Roku, drogie dziecko — rzekł; można było widzieć, jak drżał na całym ciele. Wyglądała tak młodo i niewinnie; twarzyczka jej, po całonocnym śnie, była tak dziecinnie krągła i świeża, że znowu powstała w nim myśl: — Musiałem chyba śnić. — Nie poruszyła się, ale rumieniec zabarwił jej policzki. To nie sen, nie sen! Drżącym głosem rzekł:

— Nie mogę uwierzyć. Myślałem — myślałem, że mogę źle słyszał. Czy tak było, Nolli? Czym źle słyszał?

W odpowiedzi jedynie potrząsnęła głową.

— Powiedz mi wszystko — rzekł; — na miłość Boską!

Wargi jej poruszyły się; usłyszał szept:

— Niema nic więcej do powiedzenia. Gracja i Jerzy wiedzą, Leila także. To się nie da odrobić, tatusiu. Może nie byłabym sobie tak bardzo chciała zabezpieczyć Cyryla, gdybyś nie był usiłował przeszkodzić nam — czasem cieszę się, że się tak stało, bo będę coś miała po nim. — Spojrzała na ojca. — Ostatecznie, to to samo, jakbyśmy się pobrali; tylko że pierścionka niema. Nie warto teraz mówić ze mną o tem, przemyślałam już wszystko po tysiąc razy. Nic z tego, co mi powiesz, nie będzie dla mnie nowością; widzisz, powiedziałam sobie już wszystko sama. Nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się z losem.

Wyciągnęła z pod kołdry gorącą rękę i uściśniła mocno dłoń ojca. Rumieńce jej stały się jeszcze żywsze, oczy błyszczwały.

— Och, tatusiu! Wyglądasz zmęczony! Czy się nie położyłeś do łóżka? Biedny tatusiu!

Gorący uścisk jej ręki i słowa: — Biedny tatusiu — napędziły mu łzy do oczu. Łzy te stoczyły się powoli po policzkach; zakrył twarz wolną ręką. Uczuł, jak Noel ścisnęła konwulsyjnie jego dłoń, podniósł ją do ust, ucałowała i uwolniła z uścisku.

— Nie płacz! — powiedziała i odwróciła się twarzą do ściany.

Pierson zwalczył wzruszenie i rzekł całkiem spokojnie:

— Czy wolisz zostać w domu, dziecko drogie, czy chcesz się udać gdzieindziej?

Noel zaczęła się niespokojnie rzucać na poduszce, jak dziecko w gorączce, któremu włosy weszły do oczu i ust.

— Och, nie wiem; co za różnica?

— Kestrel... Czy nie chciałabyś tam pojechać? Twoja ciotka — mógłbym napisać do niej.

Noel patrzyła na niego przez chwilę; przechodziła najwidoczniej wewnętrzną walkę.

— Tak, — rzekła, — pojechałabym, tylko, żeby wujcia Boba nie było.

— Możeby wuj przyjechał tu do mnie, żeby mi dotrzynać towarzystwa.

Odwróciła głowę; widział, że znowu rzuca się niespokojnie pod kołdrą.

— Nie zależy mi na tem, — rzekła; — wszystko jedno, gdzie.

Pierson położył chłodną dłoń na czole córki.

— Spokojnie! — rzekł i ukląkł koło łóżka. — Ojciec miłosierny — szepnął — daj nam siłę do przetrwania tej straszliwej próby. Weź me ukochane dziecko pod Twoją opiekę i wróć jej spokój duszy; i oświeć mnie i pokaż mi jak zgrzeszyłem, jak zawiniłem wobec Ciebie i wobec niej. Oczyść nasze serca i wzmocnij serce mego dziecka i moje serce.

Myśli jego biegły dalej, nieskładne i zmęczone, formując zdania modlitwy; przerwał mu głos Noel:

— Wcale nie zawiniłeś; czemu mówisz o winie — przecież to nieprawda; i nie módl się za mnie, tatusiu.

Pierson podniósł się z klęczek i odsunął się od łóżka. Czuł się niemile dotknięty jej słowami, a jednocześnie

bał się odpowiedzieć na nie. Wtuliła głowę głęboko w poduszkę i patrzyła na sufit.

— Będę miała syna; Cyryl nie umrze zupełnie. I nie chcę, by mi ktoś cokolwiek przebaczał.

Zdawał sobie niejasno sprawę, ile musiała przemyśleć i przecierpieć, zanim osiągnęła harde opanowanie, które robiło na nim wprost wrażenie bluźnierstwa. Jednak, mimo całego zamieszania, jakie opanowało jego serce, nie mógł się oprzeć myśli, że twarz córki, w ujęciu krótkich falujących się miękko włosów, była bardzo piękna. Ta wtył odrzucona głowa, odsłaniająca zgięcie szyi i poruszająca się z ustawicznym niepokojem w ciepłe miękkiej poduszki, buntowała się z taką namiętnością przeciw życiu! Pierson milczał.

— Chcę, żebyś wiedział, że ja jestem wszystkiemu winna. Nie umiem udawać. Będę się naturalnie starała czynić wszystko, co w mojej mocy, by ci oszczędzić niepotrzebnego zmartwienia. Tak mi cię żal, mój biedny tatusiu; ach, tak mi cię żal!

Obróciła się niesłychanie lekkim i szybkim ruchem i wtuliła głowę w poduszki, tak, że mógł widzieć jedynie rozsypane włosy i kołdrę, pod którą drżały jej ramiona. Chciał pogłaskać te włosy, ale potrząsnęła głową, więc wyszedł cicho z pokoju.

Nie zeszła nadół na śniadanie; a kiedy skończył swą nieszczęsną herbatę, mechanizm codziennego życia zaprzął go z miejsca w swe tryby. Nowy Rok! Miał mnóstwo roboty. A przede wszystkim musiał wystąpić z wesołą twarzą przed swoją trzódkę, musiał znaleźć dla każdej ze swych owieczek słowo nadziei i zachęty.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

I.

Thirza Pierson poznała pismo szwagra na kopercie, rzekła więc najspokojniej w świecie:

— Jest list od Teda.

Bob Pierson, z ustami pełnymi kielbasy, zapytał z równym spokojem:

— Cóż pisze?

W trakcie czytania listu Thirza zrozumiała, że dać odpowiedź na to pytanie będzie jednym z najtrudniejszych zadań jej życia. Nowina zawarta w liście wzruszała i smuciła ją głęboko. Nieszczęście stało się tu, pod jej okiem! Tu u niej stał się ten nieszczęsny cud, który miał zaważyć na losach tylu osób! Stały jej przed oczyma rysy Noel, nieprzytomne i pełne namiętności, kiedy zatrzymała się przed drzwiami swego pokoju w noc odjazdu Cyryla Morlanda — więc instynkt jej nie zawiódł!

— Prosi cię, żebyś pojechał do Londynu i został z nim jakiś czas, Bob.

— Czemu nie chce, żebyśmy przyjechali razem?

— Chce, żeby Nollie przyjechała tu do mnie, Nollie czuje się niezupełnie dobrze.

— Czuje się niedobrze? Cóż jej dolega?

Powiedzieć prawdę wydawało się Thirzy nielojalno-

ścią wobec własnej plci: powiedzieć nieprawdę, nielojalnością wobec męża. Na decyzję jej wpłynął ostatecznie wzgląd na faktyczny stan rzeczy, nie na zasady. Bob powie pewnie za chwilę: — Dawaj ten list, — a wtedy będzie to musiała uczynić. Rzekła więc spokojnie:

— Pamiętasz ten wieczór, kiedy Cyryl Morland odjechał, a Noel zachowała się tak dziwnie? Widzisz, mój kochany, Nolli będzie miała dziecko z początkiem marca. Biedny chłopak nie żyje — poległ za ojczyznę.

Widziała, jak krew czerwoną falą napłynęła do jego twarzy.

— Co?

— Biedny Edward jest straszliwie zdenerwowany. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Mam wyrzuty sumienia. — Instynkt kazał jej użyć tych słów.

— Ty masz wyrzuty sumienia? Nonsens! Ten młody...
— urwał.

Thirza rzekła spokojnie:

— Nie, Bob; jestem pewna, że z tych dwojga, winę ponosi Noel; była tego dnia w desperackim nastroju. Czy nie pamiętasz wyrazu jej twarzy? Ach, ta wojna! Przewróciła cały świat do góry nogami. W tem leży jedyna pociecha, wszystko teraz jest nienormalne.

Bob Pierson posiadał w znacznie silniejszym stopniu, niż większość ludzi, tajemnicę szczęścia, gdyż umiał utonąć w chwili obecnej aż do utraty świadomości. Czy jadł jajko, czy ścinał drzewo, czy siedział w Trybunale, czy robił rachunki, czy sadził ziemniaki, czy patrzył na księżyc, czy jechał na swym kucu, czy czytał ustęp z Biblii — czynił to całą duszą, żadna cząstka jego jaźni nie stała na boku, aby patrzeć jak postępuje lub zastanawiać się, czemu tak właśnie postępuje, a nie inaczej, czy lepiej. Rósł, jak drzewo korkowe; postępował jak wielki, łagodny pies. Smutki jego, gniewy i radości pro-

ste były, jak u dziecka i równie nieskomplikowane, jak jego trochę hałaśliwy sen. Małżeństwo to było wyjątkowo dobrze dobrane, gdyż Thirza posiadała ten sam sekret szczęścia, chociaż przejęcie się chwilą nie przeszkadzało jej — jak przystało kobiecie — w obserwacji innych; kto wie, czy na tem właśnie nie polegało u niej przejęcie się chwilą. Żadne z nich nie miało skłonności do filozofowania, a jednak byli najbardziej filozoficzną parą, jaką można było spotkać w świecie istot, obdarzonych świadomością. Życie codzienne miało ciągle jeszcze dla tych dwojga swój prymitywny urok. Było dla nich rzeczą naturalną utonąć bez reszty w życiu — w tej dziwnej, nieskończonej płataninie chwil, rzeczy, czynów i słów, w tem tajemniczem a ożywczem spotkaniu się niezliczonych ludzi; nigdy jednak nie zastanawiali się nad tem, czy życie pochłania ich, czy nie, nie zajmowali też żadnego zdecydowanego stanowiska wobec życia i śmierci — co było dla nich prawdziwem błogosławieństwem w czasach, w których żyli.

Bob Pierson chodził więc po pokoju tak pochłonięty zdziwieniem i smutkiem, że czuł się prawie szczęśliwy.

— Na Boga! — rzekł — jakaż brzydka sprawa! I to właśnie Nolli! Jestem zrozpaczony, Thirzo; zupełnie zrozpaczony. — Ale za każdym powtórzeniem słowa, określającego jego smutek, głos Boba stawał się weselszy; Thirza wyczuła, że pierwsze, najsilniejsze wzruszenie szczęśliwie minęło.

— Kawa ci stygnie! — rzekła.

— Co radzisz? Czy mam pojechać?

— Myślę, że będziesz błogosławieństwem dla biednego Teda; podtrzymasz go na duchu. Ewa ma wakacje dopiero na Wielkanoc; będę więc mogła być całkiem sama i doglądać Nolli. Służba dostanie urlop, niania i ja będziemy prowadzić gospodarstwo. Cieszę się już zgóry na myśl o tem.

— Dobra z ciebie kobieta, Thirzo! — Ujął rękę żony i podniósł ją do ust. — Niema drugiej takiej na całym świecie.

Uśmiech rozjaśnił oczy Thirzy.

— Podaj mi filiżankę; dam ci świeżej kawy.

Postanowiono wprowadzić plan w życie w połowie miesiąca. Thirza używała całego swego dowcipu, by wpoić w męża przekonanie, że jedno niemowlę mniej, czy więcej nie zaważy na losach świata, i tak już liczącego miliard dwieście milionów ludzi. Jednak silniejsze u mężczyzn poczucie familijnego honoru nie pozwalało Bobowi pogodzić się z myślą, że to dziecko będzie takie same, jak każde inne.

— Na Boga, — mawiał. — Nie mogę się poprostu z tem oswoić; w naszej rodzinie! A nadomiar Edward jest proboszczem! Co pocniemy, u licha?

— Jeżeli Nolli się zgodzi, moglibyśmy zaadoptować dziecko. Odwróci to trochę moje myśli od chłopców.

— Świetny pomysł! Ale Edward jest dziwakiem. Znajdzie na poczekaniu jakąś doktrynę o pokucie za grzechy.

— Ach, niech tam! — rzekła Thirza szorstko.

Myśl o pobycie w mieście nie była Bobowi Piersonowi niemiła. Skończył robotę w Trybunale, ziemniaki były wykopane, marzyła mu się więc praca dla Ojczyzny, może w wydziale bezpieczeństwa, i codzienne kolacje w swym klubie. Im bliżej będzie frontu, im więcej będzie mógł rozprawiać o wojnie, tem więcej będzie mógł — o tem był przekonany — zdziałać dla Ojczyzny. Zażąda jakiejś pracy odpowiadającej jego inteligencji. Żałował szczerze, że Thirza nie pojedzie z nim razem; tak długie rozstanie będzie dla niego z pewnością ciężką próbą. Wzdychał i rozczesywał palcami bokobrody. A jednak dla Ojczyzny i dla Nolli trzeba się było zdobyć na tę ofiarę!

Kiedy wkońcu Thirza odprowadziła go na kolej, łyż stały w oczach obojga, gdyż byli do siebie prawdziwie przywiązani i wiedzieli, że skoro raz wzięli tę sprawę w swe ręce, muszą ją konsekwentnie przeprowadzić do końca; równało się to conajmniej trzymiesięcznej rozłące.

— Będę pisał codziennie.

— I ja też, Bob.

— I będziesz się dzielnie trzymała?

— Tylko, o ile ty będziesz dzielny.

— Będę w Londynie o 5-tej 5, a ona przyjeżdża 4-ta 50. Daj całusa — niech djabli porwą tragarzy. Bóg z tobą. Przypuszczasz, że Nolli nie byłoby miło, gdybym od czasu do czasu przyjeżdżał?

— Myślę, że lepiej nie. Bo — bo — no, wiesz przecie.

— Tak, tak; wiem. — I wiedział rzeczywiście, gdyż w głębi duszy miał dużo prawdziwej delikatności.

Ostatnie słowa żony: — Jesteś strasznie kochany, Bob — dźwięczały mu w uszach przez całą drogę do Severn Junction.

Thirza wróciła do domu, opustoszałego teraz bez męża, córki, chłopców i służby. Zostały tylko psy i stara niania, której zwierzyła tajemnicę. Nawet w tej chronionej zewsząd lasami dolinie panował tej zimy dotkliwy mróz. Ptaki poukrywały się, żaden kwiat nie kwitł, a czerwono-brunatna rzeka wezbrała znacznie i płynęła wartko. Przez cały dzień chłodne powietrze rozdzierały odgłosy padających drzew, ścinanych w lesie za domem na podpory do rowów strzeleckich. Thirza zamierzała zająć się sama kuchnią; to też resztę przedpołudnia spędziła na sporządzaniu różnych smakołyków i zastanawiała się, coby czuła na miejscu Noel, chciała bowiem uniknąć wszystkiego, czemby mogła urazić dziewczynę. Po obiedzie pojechała na stację wiejską dorożką, tą samą, która odwiozła Cyryla Morlanda owej lipcowej no-

cy; stangret ich został bowiem wzięty do wojska, a konie zarekwirowane.

Noel była zmęczona i blada, ale spokojna — zbyt spokojna. Thirza miała wrażenie, że wypiękniała bardzo. Rysy wysubtelniały, oczy pełne były zamyślenia. W powozie ujęła jej rękę i uścisnęła ją mocno. Prócz tego uścisku i zdawkowych słów Noel: — Dziękuję ci bardzo, ciociu, żeś mi pozwoliła przyjechać; jesteście dla mnie obydwójce strasznie dobrzy — nie poruszały obie drażliwego tematu.

— Niema nikogo w domu, moja droga, prócz starej niani. Boję się, że będzie ci się bardzo nudziło; ale myślałam, żeby cię nauczyć gotowania; to się bardzo przyda.

Uśmiech, który przebiegł po twarzy Noel, zabolął Thirzę.

Przygotowała dla Noel tym razem inny pokój niż zwykle. Na kominku płonął ogień, na stole stały chryzantemy i lśniące miedziane świeczniki, wszystko urządzone było nadzwyczaj miło.

Wieczorem odprowadziła dziewczynę na górę, zatrzymała się na chwilę przy ogniu i rzekła:

— Wiesz, Noll, nie mogę tego absolutnie uważać za nieszczęście. Dać komuś życie w dzisiejszych czasach, powinno uszczęśliwiać, bez względu na warunki, w jakich się to dzieje. Szkoda, że jestem już na to za stara; wtedy czułabym, że jeszcze mogę się na coś przydać. Dobranoc, moja droga; jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, zapukaj w ścianę. Jestem obok. Bóg z tobą!

Po bladej twarzy Noel poznała, że dziewczyna była silnie wzruszona mimo pozornej obojętności; wyszła z pokoju zdziwiona umiejętnością bratanicy panowania nad sobą.

Nie spała jednak dobrze; widziała przed sobą ustawicznie Noel, rzucającą się w swem wielkiem łóżku;

widziała, jak olbrzymie jej szare źrenice patrzą przed siebie w ciemność.

2.

Bracia Pierson przywitali się przy kolacji; spotkanie ich było charakterystyczne ze względu na typowo angielską powściągliwość obu. Różnili się tak bardzo od siebie i przebywali ze sobą tak mało od dni wczesnej młodości, spędzonych w starym domu w Buckinghamshire, że byli właściwie obcymi sobie ludźmi, których łączyły jedynie owe potężne więzy odległych wspólnych wspomnień. Rozmawiali więc o tych wspomnieniach i o wojnie. Poglądy ich zgadzały się w ogólnych zarysach, co do szczegółów mieli różne zapatrywania. Obaj, na przykład, byli przekonani, że wiedzą wiele o Niemczech i innych obcych krajach, a naturalnie żaden z nich nie znał właściwie żadnego kraju, poza ojczyzną; wprawdzie obaj robili swego czasu dość dalekie podróże, jednak interesowali się jedynie rzeczami czysto zewnętrznymi, kościołami i zachodami słońca. Dalej obaj utrzymywali, że są demokratami, choć żaden z nich nie znał właściwego znaczenia tego wyrazu i choć obaj czuli, że właściwie nie można zaufać robotnikowi; obydwaj też czcili kościół i króla. Obaj nie znosili militarystycznego systemu, choć uważali go za konieczny. Obaj w zasadzie sprzyjali projektowi samorządu dla Irlandji, choć uważali, że udzielenie tego samorządu jest niemożliwością. Obaj życzyli sobie zakończenia wojny, ale uważali, że należy ją dalej prowadzić aż do zupełnego Zwycięstwa, choć żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, na czym to ma polegać. Tyle co do spraw ogólnych. Co do bardziej szczegółowych zagadnień, jak na przykład co do strategji, czy co do wodzów duchowych ojczyzny, mieli różne zdania. Edward był zwolennikiem polityki Zachodu, Robert natomiast polityki Wschodu, co było natu-

ralne u człowieka, który dwadzieścia pięć lat życia spędził na Ceylonie. Edward sympatyzował z dymisjonowanym rządem, Robert z nowym. Żaden z nich nie miał specjalnych przyczyn swej partyjnej przynależności poza argumentami, wyczytanymi w gazetach. I jakieżby właściwie inne przyczyny mieć mogli? Edward nie lubił prasy koncernu Harmsworth, Robert natomiast uważał ją za pożyteczną. Robert był gwałtowny i nie umiał skoncentrować myśli; Edward miał usposobienie marzycielskie, nieco dydaktyczne; Robert uważał, że biedny Ted wygląda jak cień; Edward uważał, że biedny Bob wygląda jak księżyc w pełni. Powierzchnowość ich, zarówno jak zapatrywania i głosy, tworzyły rzeczywiście dziwny kontrast; ciemne i blade oblicze Edwarda z wąskimi, zapadłymi policzkami i krótką, śpiczastą bródką — i czerwona, szeroka, pełna twarz Roberta okolona bokobrodami. Rozeszli się, uściskawszy sobie serdecznie dłonie na dobranoc.

Tak zaczęło się to dziwaczne współzycie dwóch braci, na które składało się pół godziny, spędzonej przy wspólnym śniadaniu, podczas którego każdy czytał swoją gazetę; kolację jedli razem może trzy razy na tydzień. Każdy z nich uważał brata za dziwaka, ale trwał dalej w jaknajlepszym o nim mniemaniu. A w głębi duszy obydwu instynkt przynależności rodowej wzrastał i kazał im trzymać się razem w nieszczęściu. O nieszczęściu tem jednak nie mówili ze sobą nigdy, choć Robert niejednokrotnie zniżał nieznacznie gazetę i przypatrywał się bratu z nad okularów zsuniętych nisko na kształtny nos; mała zmarszczka współczucia pojawiała się wtedy na jego czole pomiędzy krzaczastymi brwiami. Czasem spotykał się ze wzrokiem Edwarda, którego oczy odrywały się od gazety, aby spojrzeć — nie na brata wprawdzie, ale na groźną wizję przyszłości. W takich wypadkach Robert poprawiał gwałtownym ruchem okulary,

przeklinał zły druk gazety i przeproszał Edwarda za to, że klnie. Myślał przytem: — Biedny Ted! Powinien pić czerwone wino i... i zabawić się jakoś i zapomnieć. Co za szkoda, że jest proboszczem.

W listach do Thirzy oplakiwał ascetyzm Edwarda. — Nie je nic, nie pije nic, pali raz na sto lat marnego papierosa. Żyje samotnie, jak pustelnik. Straszna szkoda, że owdowiał. Czekam tylko z dnia na dzień, aż mu skrzydła wyrosną u ramion; ale — do licha! — nie mają się nawet czego ucześcić, taki jest chudy. Przyslij mi trochę kwaśnej śmietany, może go nakłonię do zjedzenia. — Kiedy śmietana nadeszła, nakłonił Edwarda, żeby zjadł trochę, ale przy podwieczorku spostrzegł, że zjadł resztę sam. — Nigdy nie rozmawiamy o Nolli — pisał; — mam zawsze zamiar pomówić z nim otwarcie i powiedzieć mu: — Głowa do góry! — ale kiedy przychodzi do tego, tracę rezon, gdyż, prawdę mówiąc, ta rzecz gnębi mnie także i nie mogę jej w żaden sposób strawić. My, Piersonowie, jesteśmy bardzo starą rodziną, która od nocy św. Bartłomieja, kiedy założyciel naszego rodu, Hugenota przyjechał do Anglii, cieszyła się zawsze o ile wiem, powszechnym szacunkiem. Jedyłą czarną owcą w naszej rodzinie jest kuzynka Leila. A propos, widziałem ją tu kiedyś; przyszła do nas, aby się zobaczyć z Tedem. Pamiętam mój pobyt u niej i u jej pierwszego męża, młodego Fane'a w Simla w drodze powrotnej do domu tuż przed naszym ślubem. Mój Boże! Dziwne to było małżeństwo; wszyscy młodzi chłopcy z całej okolicy kręcili się koło niej, a młody Fane robił wrażenie cynicznego upiora z tamtego świata. Nawet teraz Leila nie może się całkiem powstrzymać od zarzucania sideł na Teda, a Ted daje się łapać i myśli, że Leila jest uosobieniem poświęcenia i że praca w szpitalu odmieniła ją do szpiku kości. Biedy, stary Ted; większego marzyciela niema na całym świecie“.

„Gracja i mąż jej zjechali do nas na week-end“, pisał w późniejszym liście. „Nie lubię jej tak bardzo, jak Nolli; jest dla mnie za poważna i już zanadto prosto z mostu. Mąż jej natomiast — to, zdaje się, człowiek do rzeczy, ale wściekle wolnomyślny. Żrą się z biednym Tedem, jak pies z kotem. W sobotę była u nas znowu Leila na kolacji a oprócz niej niejaki pan Fort. Leila ma słabość do niego, widziałem to na pierwszy rzut oka, ale biedny stary Ted nie widzi tego naturalnie. Lekarz i Ted przedyskutowali wszystko od nieba do piekła. Lekarz powiedział coś, co mnie uderzyło: „Czem różnimy się od zwierząt? Siłą woli; niczem innym. Czemże innym jest ta wojna, jeśli nie karnawałem śmierci, udowadniającym niezłomność ludzkiej woli?“ Zapisałem sobie to, zaraz po powrocie do mego pokoju, żeby ci to powtórzyć. Mądry z niego chłop. Wierzę w Boga, jak ci wiadomo, ale muszę przyznać, że w dyskusji biedny stary Ted nie ma wielkiej siły przekonania kogokolwiek swemi ciągle powtarzającymi się zdaniem: „Powiedziano nam to“ i „Powiedziano nam tamto“. Nikt nie wspomniał słowem o Nolli. Muszę pomówić szczerze z Tedem; musimy wiedzieć, jak mamy postępować, kiedy będzie już po wszystkim“.

Jednak dopiero w połowie marca, po dwumiesięcznym wspólnym spożywaniu śniadań i obiadów, został poruszony ten temat i do tego nie przez Roberta. Edward, stojący po obiedzie przy kominku w swej zwykłej pozie, z nogą opartą o kratę a ręką o gzyms, utkwiał wzrok w płomieniach i rzekł:

— Nie prosiłem cię jeszcze o przebaczenie, Bobie.

Robert, siedzący jeszcze przy stole nad szklanką czerwonego wina, wzdrygnął się, spojrzął na plecy Edwarda, obciążone czarnym strojem duchownego i odparł:

— Ależ mój drogi!

— Było mi bardzo trudno mówić z tobą o tem.

— Rozumiem, rozumiem! — Zapadło milczenie, podczas którego oczy Roberta wędrowały po ścianach, szukając natchnienia. Napotkały tylko portrety zmarłych Piersonów — typowe olejne obrazy — i wróciły znowu na stół jadalni. Edward mówił dalej do ognia:

— Wszystko wydaje mi się ciągle jeszcze niewiarygodne. Dzień i noc myślę o tem, co mi teraz obowiązek nakazuje czynić.

— Nic! — zawołał Robert. — Zostaw dziecko Thirzy; będziemy się niem opiekowali, a jak Nolli znów całkiem wyzdrowieje, pozwól jej pracować dalej w szpitalu. Zobaczysz, że Nolli w krótkim czasie przyjdzie do równowagi. — Widział, że brat potrząsa głową i pomyślał: — No tak; teraz znów zaczną się jakieś przekłete skrupuły.

Edward odwrócił się ku niemu:

— Jesteście oboje bardzo kochani, ale byłoby niesprawiedliwością i tchórzostwem, gdybym pozwolił na coś podobnego.

Roberta ogarnęła niechęć, jaka budzi się w sercu ojca, który widzi, że inny ojciec rozporządza się życiem dzieci.

— Do licha, mój drogi, przecież to Nolli musi tę sprawę rozstrzygnąć. Jest teraz kobietą, nie zapominaj o tem.

Nikły uśmiech przebiegł przez posępną twarz brata.

— Kobieta? Mała Nolli! Bob, narobiłem strasznych rzeczy z mojami córkami. — Oslonił usta dłonią i odwrócił się znowu do ognia. Robert czuł, że go lży duszą w gardle.

— Tam do djabła, mój stary, wcale tak nie myślę. Jak właściwie miałeś postępować? Bierzesz na siebie za dużo odpowiedzialności. Mimo wszystko twoje dziewczęta są udane. Nolli jest słodkiem stworzeniem. To wszystko przez te modne prądy i wojnę. Głowa do gó-

ry! Zobaczysz, że się wszystko dobrze ułoży. — Podszedł do brata i położył mu rękę na ramieniu. Edward jakby zeszytniał pod tem dotknięciem.

— Nic się nigdy nie układa samo — rzekł. — Trzeba każdej rzeczy spojrzeć prosto w oczy; wiesz o tem, Bob.

Warto było widzieć Roberta w tej chwili. Policzki jego wydeły się i zapadły się znowu, jak u psa, który otrzymał nagane. Zaczerwienił się silnie i zaczął dzwonić pieniędzmi w kieszeni.

— Jest coś w tem, zapewne — rzekł szorstko. — Mimo wszystko jednak decyzja należy do Nolli. Zobaczymy co Thirza powie. W każdym razie niema pośpiechu. Szkoda tylko, że jesteś proboszczem; dość kłopotu i bez tego.

Edward potrząsnął głową.

— Moje stanowisko nie ma żadnego znaczenia; ważna dla mnie jest jedynie myśl o mojem dziecku, o dziecku mojej żony. Wiem, że to tylko duma; ale nie mogę jej zgniebić. Nie mogę jej zwalczyć. Niech mi Bóg przebaczy, ale buntuję się.

Robert pomyślał: — Na Boga, bierze sobie tę sprawę porządnie do serca! No, jaby to samo zrobił na jego miejscu! A nawet i tak to czynię! — Wyjął fajkę i zaczął ją napępniać, wpychając tytoń głębiej i głębiej.

— Nie jestem światowcem — mówił dalej brat — nie mam styczności z wielu sprawami. Myśl, że przyłączam się do reszty świata w potępianiu mojej córki, jest dla mnie prawie nie do zniesienia; może nie czynię tego z tych samych przyczyn, co inni — nie wiem; wierzę, że przyczyny moje są inne, ale i ja ją potępiam.

Robert zapalił fajkę.

— Uspokój się, mój drogi, — rzekł. — Nieszczęście się stało. Ale ja na twojem miejscu pomyślałbym sobie: Nolli popełniła szaleństwo i głupstwo, ale, do licha, jeśli

kto powie słowo przeciw niej, to mu kark skręcę. I wierz mi, będziesz tak czuł w istocie, gdy do tego przyjdzie. — Wypuścił wielki kłęb dymu, który przesłonił mu brata. Krew, tętniąca mu w skroniach, nadała głosowi Edwarda głuche brzmienie.

— Nie wiem; starałem się patrzeć jasno na tę sprawę. Modliłem się, by mi Bóg wskazał, gdzie leży mój i jej obowiązek. Zdaje mi się, że Nolli nie zyska spokoju duszy, zanim nie odpokutuje winy jawnem cierpieniem; że sąd świata jest krzyżem, który będzie musiała nosić; szczególnie w obecnych czasach, kiedy cały świat tak mężnie cierpi. A jednak to wszystko wydaje mi się takie surowe, takie gorzkie, — moja biedna mała Nolli!

Nastąpiło milczenie, przerywane jedynie pykaniem fajki Roberta. Wkońcu rzekł porywczo:

— Nie pojmuję cię, Ted; zupełnie cię nie pojmuję. Mojem zdaniem człowiek powinien chronić swoje dzieci, jak tylko umie najlepiej. Powiedz jej, co ci się żywnie podoba, ale nie pozwól tego czynić światu. Do licha, świat jest jedną wstrętną wylęgarnią plotek. Uważam się za światowca, ale kiedy chodzi o sprawy prywatne, wtedy umiem sobie zakreślić pewne granice. To, co mówisz, wydaje mi się — wydaje mi się nieludzkie. Co Jerzy Laird o tem myśli? To rozsądny chłop. Myślę, żeś się go pytał — a raczej, żeś się go nie pytał. — Ujrzał bowiem, że ów specyficzny uśmiezek pojawił się na twarzy Edwarda.

— Nie, — rzekł, — nie pytałbym się chyba Jerzego Laird o jego zdanie.

Robert uświadomił sobie nagle, jak uparcie samotny był ten szczupły, czarno odziany człowiek, którego palce bawiły się małym złotym krzyżykiem. — Na Boga — pomyślał. — Zdaje mi się, że Ted jest jak owi dziwacy na Wschodzie, którzy odchodzą od ludzi na pustynię. Otoczył się wizjami i rzeczami, które nie istnie-

ją w rzeczywistości. Żyje w jakimś nierealnym świecie, którego nie możemy zrozumieć. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby słyszał głosy, jak — no, jakże się nazywa? T, tt! Szkoda go! — Ted pozorami zwodził cały świat. Był bardzo łagodny, był naturalnie gentelmanem i to go maskowało; ale w głębi duszy — krył się typowy asceta, fakir! Boba Piersona opanowało uczucie bezradności; zrozumiał, że ma do czynienia z czemś dla siebie niepojętem; podszedł z powrotem do stołu i zasiadł ponownie przy winie.

— Zdaje mi się — rzekł nieco ostrym głosem, — że lepiejby było poczekać, aż się kurczę wylęgnie, zanim się niem rozporządzymy. — Zrobiło mu się jednak zaraz żal własnej szorstkości, wychylił więc w zakłopotaniu resztę wina. Kiedy napój przepływał mu przez podniebienie, pomyślał: — Biedny Ted! Nawet nie pije — o ile mogłem zauważyć, nie ma żadnej przyjemności w życiu poza spełnianiem swego obowiązku, i nawet nie wie dobrze, jaki jest ten obowiązek. Niema wielu takich, jak on — na szczęście! A jednak go kocham. Biedny chłop! „Biedny chłop“ ciągle jeszcze patrzył w płomienie.

3.

O tej samej godzinie, w której toczyła się rozmowa między braćmi — myśli bowiem i uczucia mają tajemniczą zdolność przenoszenia się na falach przestrzeni — Noel powiła syna Cyryła Morlanda, trochę przed właściwym terminem.

C Z Ę Ś Ć III.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

1.

Noel stała nad brzegiem rzeki Wye, wśród kwitnących śliw; ułożyła właśnie dzieciątko w hamaku i zaczęła czytać list:

„Moja Najdroższa Nolli,

„Teraz, kiedy jesteś już znowu zupełnie zdrowa, czuję, że nadeszła właściwa pora, abym ci wskazał, co uważam za swój obowiązek w tej przełomowej chwili twego życia. Ciotka i wuj zaofiarowali się w niesłychanej dobroci serca zaadoptować Twego chłopczyka. Wiedziałem już od jakiegoś czasu, że noszą się z tym zamiarem i myślałem o tem dzień i noc przez szereg tygodni. Z towarzyskiego punktu widzenia, byłoby to niewątpliwie najlepsze wyjście. Ale ta sprawa sięga głębiej. Przyszłość naszych dusz zależy od stanowiska, jakie obieramy wobec skutków naszego postępowania. I jakkolwiek bolesne i doprawdy straszne są owe skutki, czuję, że możesz osiągnąć prawdziwy spokój duszy jedynie przez pokorne poddanie się losowi. Proszę Cię, zastanawiaj się dokładnie i tak długo, aż osiągniesz jakąś pewność, która zadowoli Twoje sumienie. Jeżeli postanowisz, jak w to wierzę, wrócić do mnie z Twoim chłopczykiem,

zrobię co tylko będzie w mojej mocy, aby Cię uczynić szczęśliwą i będziemy znosić razem wszystko, co nam przyszłość złego, czy dobrego przyniesie. Spełnienie tego, czego sobie Twoja ciotka i wuj w dobroci serca życzą, pozbawiłoby Cię wkońcu mojem zdaniem tej mocy ducha i wewnętrznej pogody, która z woli Bożej jest jedynie udziałem ludzi spełniających swój obowiązek i starających się dzielnie naprawić popełnione błędy. Ufam Ci, moje drogie dziecko.

„Twój kochający Cię zawsze całym sercem

Edward Pierson“.

Przeczytała list ponownie i spojrzała na swe dzieciątko. Tatuś był skłonny przypuszczać, że rozstałabym się dobrowolnie z tem cudownem stworzonkiem! Słońce padało przez sieć kwitnących gałęzi na zawiniątko w hamaku, okrywając je kołderką utkaną z jaskrawych płam i dotknęło noska i usteczek dziecka tak, że dziecko kichnęło. Noel zaśmiała się i przytuliła wargi do twarzyczki maleństwa. — Zostawić ciebie! — pomyślała: — O, nie! A szczęśliwa będę i tak; nikt mi tego nie zdoła zabronić.

W odpowiedzi na list odpisała poprostu, że wróci i w tydzień później wyjechała ku rozpaczemu wuja i ciotki. Stara niania pojechała również. Jak dotąd Thirza doglądała i pilnowała wszystkiego tak starannie, że dopiero po powrocie do domu Noel uświadomiła sobie w pełni swe położenie.

Gracja została przeniesiona do szpitala w Londynie i mieszkała teraz w domu. Na przyjazd siostry przyjęła nową służbę; a choć było ulgą dla Noel, że nie musi się spotykać z dawnymi domownikami, jednak wyraz zaciekawienia na tych nieznanych twarzach sprawiał jej wyraźną przykrość. Rano w dzień wyjazdu z Kestrel ciotka weszła do jej pokoju podczas gdy Noel się ubie-

rała i wsunęła na trzeci palec jej lewej ręki wąską, złotą obrączkę.

— Zrób to dla mnie Nolli i noś go, skoro już odjeżdżasz; poco głupi ludzie, którzy nic o tobie nie wiedzą, mają się nad tobą zastanawiać?

Noel nie odpowiedziała nic, pomyślała tylko: — Jakie to wszystko głupie! — Ale teraz, kiedy nowa służąca nalewała jej gorącą wodę do mycia, spostrzegła nagle, że okrągłe, błękitne oczy dziewczyny szukały jakby odruchowo jej ręki. A więc ten mały, złoty krążek miał straszliwą moc! Zdjął ją wstręt. Całe życie wydawało jej się nagle zbiorowiskiem pustych form i pozorów. A więc każdy będzie patrzył na ten mały pierścionek, a ona ukrywa się przed nimi, jak tchórz! Kiedy została znowu sama, zsunęła obrączkę i położyła ją na umywalni w świetle słońca. Więc tylko to małe lśniące metalowe kółeczko, ten mały złoty pierścień ma stać pomiędzy nią, a wrogą wzgardą świata! Wargi jej drżały. Wzięła obrączkę i podeszła do otwartego okna, by ją wyrzucić. Nie uczyniła tego jednak; ogarnęła ją nagle niepewność i bezradność — zaczęła sobie powoli uświadamiać okrucieństwo życia. Usłyszała pukanie i pobiegła z powrotem do umywalni. Weszła Gracja.

— Obejrzałam go sobie — rzekła miękkiem głosem. — Całkiem podobny do ciebie, Nolli, tylko nosek ma inny.

— Prawie wogóle go jeszcze niema. Ale prawda, że ma bystre oczka? Zdaje mi się, że są cudne. — Podniosła obrączkę wgórę: — Co mam z tem zrobić, Gracjo?

Gracja zaczerwieniła się:

— Noś to. Nie widzę, dlaczego obcy ludzie mają wiedzieć. Zdaje mi się, że powinnaś to zrobić dla dobra tatusia. Pomyśl o parafji.

Noel wsunęła obrączkę zpowrotem na palec:

— Czy tybyś go nosiła?

— Nie wiem. Myślę, że tak.

Noel zaśmiała się nagle.

— Staję się cyniczna; czuję to. Jak tatuś wygląda?

— Bardzo szczupły; pan Lauder wrócił znów na krótki czas z frontu i wyręcza go trochę.

— Czy tatuś jeszcze ciągle bardzo się o mnie martwi?

— Cieszy się strasznie, żeś przyjechała; mówi o tobie tak samo serdecznie, jak zawsze.

— Tak — szepnęła Nolli. — To jest właśnie najokropniejsze. Byłam zadowolona, że go nie zastałam przy przyjeździe. Czy powiedział komu o tem?

Gracja potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mam wrażenia, żeby ktokolwiek wiedział; chyba może kapitan Fort. Był u nas kiedyś w nocy i jakoś...

Noel zarumieniła się.

— Leila, — rzekła z niezbadanym wyrazem twarzy.

-- Czyś ją widziała?

— Byłam u niej z tatusiem w zeszłym tygodniu — tatuś ją lubi.

— Jej prawdziwe imię jest Delilah, jak wiesz. Wszyscy mężczyźni ją lubią. A kapitan Fort jest jej kochankiem.

Gracja stanęła, jak wryta. Noel mówiła czasem rzeczy, które wywoływały w Gracji wrażenie, że ona właśnie jest młodsza od siostry.

— Mówię ci, że tak jest — ciągnęła Noel dalej twardym głosem. — To nie jest zwykła przyjaźń; takie, jak ona, nie mają nigdy przyjaciół, tylko kochanków. Dlaczego przypuszczasz, że on wie o mnie?

— Kiedy się o ciebie pytał, wyglądał tak...

— Aha, znam ten jego wyraz twarzy; ma go zawsze, gdy mu kogoś żal. Niech sobie wie, nie zależy mi na tem. Czy Monsieur Lavendie był u nas ostatnio?

— Tak; robi wrażenie strasznie nieszczęśliwego.

— Jego żona narkotyzuje się.

— Och, Nolli! Skąd wiesz?

— Widziałam ją raz; jestem tego pewna; czułam zapach narkotyku; a przytem ma błędny wzrok i szklane oczy. Jeżeli Lavendie chce, może mnie teraz malować. Przedtem nie chciałam mu pozować. Czy on wie?

— Naturalnie, że nie.

— A jednak musi coś wiedzieć; Lavendie ma zdaje się zdolność jasnowidzenia. Ale on może raczej o tem wiedzieć, niż ktokolwiek inny. Czy portret tatusia jest dobry?

— Wspaniały, choć jakoś dziwnie bolesny.

— Zejdźmy na dół; chciałabym zobaczyć.

Portret wisiał w salonie. Zdecydowanie nowoczesny styl malowidła odbijał ostrym kontrastem od staromodnego pokoju dziwnie sztywnego i bez życia. Czarna postać, dotykająca długimi, bladymi palcami jeszcze bledszych klawiszy, była wprost zatrważająco żywa. Twarz zwrócona *en trois quarts* do patrzącego, wznieśiona była w górę, jakby w natchnieniu, a rozmarzone i nic nie widzące oczy spoczywały na portrecie dziewczyny zawieszonym w głębi nad fortepianem.

— To sprawia twarz tej dziewczyny — rzekła Gracja, kiedy tak stały czas jakiś, przyglądając się obrazowi.

— Nie — rzekła Noel, — to wyraz jego oczu.

— Ale czemu wyszukał właśnie taką okropną, ordynarną dziewczynę? I jaka ona przytem pełna życia! Zdaje się, że za chwilę zawoła: Vivat!

— Biedny tatuś! Rzeczywiście. To jest właściwie ogromnie smutne.

— To obraza — rzekła Gracja z uporem.

— Nie. Ale to boli. Tatuś — jest zawsze — zawsze trochę nieobecny.

Gracja ujęła rękę siostry i uścisnęła ją mocno.

— Czy chcesz, żebym została z wami przy kolacji,

czy też wolisz być z nim sama? Mogę z łatwością upozorować moją nieobecność.

Noel potrząsnęła przecząco głową:

— Ucieczka nie przyda się na nic. Chciał żebym przyjechała, więc mnie ma. Czemu tego żądał? To będzie straszne dla niego.

Gracja westchnęła:

— Robiłam, co w mojej mocy, ale odpowiadał mi zawsze: — Myślałem o tem już tak długo, że nie zdołam więcej. Czuję tylko, że najtrudniejsza droga jest najlepsza. Tych, co znoszą los z odwagą i pokorą, czeka miłosierdzie i przebaczenie.

— Nieprawda, — rzekła Noel.

— Tatuś jest święty i nie widzi, co się wokół niego dzieje.

— Tatuś, tatuś jest święty. Ale człowiek musi myśleć sam za siebie, m u s i poprostu. Nie mogę już wierzyć w to, w co on wierzy; a ty, Nolli?

— Nie wiem. Kiedy przechodziłam to wszystko, modliłam się, ale nie wiem, czy szczerze wierzyłam. Właściwie wszystko mi już jedno.

— A mnie to bardzo dręczy, — rzekła Gracja. — Chcę prawdy.

— Nie wiem, czego ja chcę, — rzekła Noel powoli, — pozatem, że czasem chcę — żyć pełną piersią!

Obie siostry umilkły, patrząc na siebie w zdziwieniu.

2.

Wpadło Noel na myśl włożyć tego wieczora jaskrawo błękitną suknię. Na szyi zawiesiła stary metalowy bretoński krzyżyk, który kiedyś należał do jej matki. Kiedy skończyła się ubierać, weszła do dziecinnego pokoju i stanęła obok kołyski dziecka. Stara niańka, siedząca przy chłopczyku, wstała natychmiast i rzekła:

— Żabusia śpi, aż miło. Zejdę na dół i napiję się herbaty, proszę wielmożnej pani i wrócę na górę jak usłyszę gong. — W sposób właściwy ludziom, których zadaniem jest zastosowywanie się do sytuacji, jakie inni dla nich tworzą, a nie samodzielne działanie, stara niania wmówiła sobie, że Noel jest w istocie wojenną wdową. Znała prawdę dokładnie, gdyż krótkotrwały, a gorący romans w Kestrel rozwijał się w jej oczach. Uczucie litości zacierało jednak owe wspomnienia, tak, że umiała sobie z łatwością wyobrazić ślub, który byłby się niechybnie odbył i który powinien się być odbyć, starała się też, aby i inni w to mogli uwierzyć. Upraszczało to sprawę i czyniło ją naturalniejszą, a ponadto przywracało „jej“ dzieciątku należny mu szacunek. Poszła nadół na filiżankę herbaty myśląc: — Istny obrazek — moja pani i małeństwo — niech Pan Bóg ma oboje w swej opiece; taka śliczna mała mamusia, sama jeszcze dziecko, jak Boga kocham.

Noel stała kilka minut nieruchomo w półmroku, zapatrzona w twarzyczkę śpiącego dziecka; kiedy podniosła wzrok, ujrzała w lustrze odbicie ciemnej postaci ojca przy drzwiach. Słyszała, że oddychał ciężko, jakby się zmęczył wchodząc na schody; posunęła się do wezglowia kołyski, położyła na niej rękę i zwróciła twarz ku ojcu. Podszedł bliżej i stanął obok niej, spoglądając w milczeniu na dziecko. Widziała, jak zakreślił nad niem w powietrzu znak krzyża i jak wargi jego poruszały się, szepcząc słowa modlitwy. Miłość do ojca i bunt przeciw niepotrzebnemu wstawiennictwu za jej wspaniałem dzieciątkiem walczyły tak gwałtownie w sercu Noel, że lzy zaczęły ją dusić w gardle; była szczęśliwa, że ojciec nie może dostrzec jej oczu w mroku. Potem ujął jej rękę i podniósł ją do ust ciągle jeszcze bez słowa, a Noel też nie mogła w żaden sposób wydobyć z siebie głosu. W milczeniu ucałował jej czoło; nagle zbudziło się w

Noel gwałtowne pragnienie, by pokazać ojcu, jaka dumna jest ze swego dziecka i jak je kocha. Dotknęła palcem rączki maleństwa. Delikatne, śpiące paluszki rozwinęły się, jak mały anemon wodny i zamknęły się wokół jej palca. Słyszała, jak ojciec westchnął głęboko; widziała, jak obrócił się szybko i wyszedł cicho z pokoju.

Stała dalej bez ruchu, powstrzymując oddech, podczas, gdy rączka dziecka ścisnęła jej palce.

ROZDZIAŁ DRUGI.

1.

Edward Pierson opuścił mroczny pokój dziecinniej w obawie, że nie zdoła opanować wzruszenia. Wślizgnął się do swej sypialni i padł na kolana koło łóżka, cały pochłonięty widzianym przed chwilą obrazem. Młoda postać jego córki w błękitnej, jak u madonny szacie i aureoli złotych włosów; dziecko śpiące w półmroku; cisza i świętość tego białego pokoju! Przed oczyma jego stanęła też wizja przeszłości, kiedy Noel sama była takim dzieckiem, śpiącym w ramionach matki, a on stał obok, pełen czci i podziwu. Nadziemska wizja znikła, a wraz z nią czar świętości, właściwej wszelkiemu pięknu; pozostała jeno okrutna prawda życia. Ach! Żeby można żyć tylko życiem wewnętrznym, życiem duszy w poczuciu piękna i zachwycenia, jakie ośwładnęło nim przed chwilą!

Klęczał w swym wąskim, mnisim pokoiku; budzik tykał; wieczorna godzina zapadała w ciemność.

Klęczał ciągle jeszcze, bojąc się powrotu do rzeczywistości, bojąc się spojrzeć życiu w oczy, bojąc się ludzkich języków i zetknięcia z szorstkim, nieokrzesanym, ordynarnym światem. Jak zdoła ochronić swe dziecko? Czy zdoła zachować ją przez całe życie taką, jaką ją

ujrzał przed chwilą, czy zdoła ustrzec jej duszę, którą czekała teraz przeprawa poprzez zimne, wzburzone morze? Usłyszał gong, wstał i zeszedł na dół.

Nieoczekiwana wizyta belgijskiego malarza ułatwiła ojcu i córkom to pierwsze zebranie rodzinne, którego się tak obawiali. Lavendie otrzymał raz na zawsze stałe zaproszenie od Piersona, bywał więc u niego częstym gościem. Tego wieczora był jednak tak milczący, a jego wąska, gładko ogolona twarz, składająca się jakby tylko z oczu i czoła, miała tak tragiczny wyraz, że wszyscy troje wyczuli, iż gnębi go smutek większy może jeszcze od ich rodzinnego nieszczęścia.

Podczas kolacji spoglądał w milczeniu na Noel. Potem rzekł:

— Czy pozwoli mi się pani teraz malować, mademoiselle? — Twarz jego rozjaśniła się trochę, kiedy skinęła potakująco. Nie rozmawiano nigdy zbyt wiele, gdy Lavendie przychodził, gdyż każda dyskusja, nawet o sztuce, wywoływała zbyt wielką różnicę zdań. Piersona ogarniało zawsze nieokreślone rozdrażnienie, gdy natrafiał na ludzi, których ożywiał bezsprzecznie duch, ale duch dla niego niezrozumiały. Po kolacji usprawiedliwił się i odszedł do swego gabinetu. Monsieur będzie się z pewnością czuł lepiej w towarzystwie jego córek! Gracja wstała także. Przypomniała sobie słowa Nolli: — Ale on może raczej o tem wiedzieć, niż ktokolwiek inny. — Była to więc dla Nolli najlepsza sposobność do przełamania pierwszych lodów.

2.

— Nie widziałem pani bardzo dawno, mademoiselle, — rzekł malarz, skoro zostali sami.

Noel siedziała w salonie przed pustym kominkiem z wyciągniętymi ramionami, jakby się grzała przy ogniu, którego nie było.

— Wyjechałam. Jak mnie Pan będzie malował, m o n s i e u r ?

— W tej sukni, m a d e m o i s e l l e ; tak jak pani teraz siedzi, grzejąc się przy ogniu życia.

— Przecież niema ognia.

— Tak, ogień gasną szybko. M a d e m o i s e l l e , czy nie chciałaby pani przyjść do mojej żony? Jest chora.

— Czy teraz? — zapytała zdziwiona.

— Tak, teraz. Jest poważnie chora, a niema przy niej nikogo. Przyszedłem prosić o to siostrę pani; ale skoro pani wróciła, to tem lepiej. Moja żona lubi panią.

Noel wstała. — Niech pan chwileczkę zaczeka! — rzekła i pobiegła na górę. Dziecko spało, stara niania drze mała. Włożyła płaszcz i czapeczkę z szarych królików i pobiegła zpowrotem na dół do hallu, gdzie czekał na nią malarz; wyszli razem na ulicę.

— Nie wiem, czy sam nie jestem wszystkiemu winien — rzekł. — Moja żona nie jest dla mnie dobrą i prawdziwą żoną od czasu, jak się dowiedziała, że mam kochankę i że nie byłem dobrym mężem dla niej.

Noel odwróciła się ku niemu i spojrzała w twarz rozjaśnioną dziwnym uśmiechem.

— Tak, — ciągnął dalej, — od tego zaczęła się jej tragedia. Ale powinna była wiedzieć o tem, nim za mnie wyszła. Nie ukrywałem niczego. B o n D i e u ! Powinna była wiedzieć! Czemu kobieta nie może widzieć rzeczy takimi, jakimi są w istocie? Moja kochanka, m a d e m o i s e l l e , nie jest istotą z krwi i kości. Jest nią moja sztuka. Zajmowała zawsze pierwsze miejsce w mojem sercu i będzie je zawsze miała. Żona nie chciała tego nigdy uznać — nie jest w stanie tego uznać. Żal mi jej, ale cóż mogę począć? Byłem szalony, zem się ożenił. C h è r e M a d e m o i s e l l e , żadne nieszczęście nie może się równać z nieszczęściem, które trwa ciągle, dzień i noc, przy każdym obiedzie i każdej kolacji, rok

w rok; nieszczęście dwojga ludzi, którzy nie powinni się byli pobrać, gdyż jedno z nich kocha za bardzo i żąda wszystkiego, a drugie nie kocha wcale — tak, nie kocha wcale — co było, to już dawno umarło — i może dać tylko niewiele.

— Czy nie możecie się rozejść? — zapytała Noel w zdziwieniu.

— Bardzo ciężko rozejść się z kimś, komu się jest tak samo potrzebnym, jak trucizna — tak, żona narkotyzuje się teraz, *m a d e m o i s e l l e*. To rzecz niemożliwa dla człowieka, który ma choćby iskrę współczucia w duszy. A pozatem cóżby ona poczęła? Żyjemy z dnia na dzień i do tego jeszcze w obcym kraju. Żona nie ma tu żadnych przyjaciół. Jakże mógłbym ją zostawić, dopóki ta wojna trwa? Taby było tak samo, jakby dwoje osób chciało się rozstać na bezludnej wyspie. W dodatku zabija się jeszcze narkotykami a ja jestem zupełnie bezsilny.

— Biedna *m a d a m e* — szepnęła Noel. — Biedny *m o n s i e u r*!

Malarz przetarł ręką oczy.

— Nie mogę odmienić mojej natury, — rzekł zdławionym głosem, — a ona nie może zmienić swojej. I tak trwamy dalej. Ale wiem, że pewnego dnia życie skończy się nagle dla jednego z nas. Dla niej to ostatecznie jeszcze o wiele gorsze, niż dla mnie. Proszę, niech pani wejdzie, *m a d e m o i s e l l e*. Niech pani żonie nie mówi, że będę panią malował, żona lubi panią dlatego, że mi pani odmówiła.

Noel, drżąc, weszła na schody. Była tu już raz i pamiętała dobrze mdlący zapach środków aptecznych. Na trzeciem piętrze weszli do małej bawialni, której ściany pokryte były obrazami i szkicami: w rogu pokoju sterczał trójkątny stos płócien. Mebli było niewiele. Na starej czerwonej kanapie siedział tęgi człowiek w mun-

durze belgijskiego żołnierza. Oparł łokcie o kolana, a twarz okoloną brodą na zwiniętych w pięści dłoniach. Obok na kanapie siedziała mała dziewczynka z lalką w ramionach. Gdy Noel weszła, podniosła głowę; miała bardzo oryginalną, pociągającą, bladą twarzyczkę, ostry podbródek i wielkie oczy, które nie odwracały się ani na chwilę od zjawiska w szarych królikach.

— A, Barra! Ty tutaj! — rzekł malarz. — *M a d e m o i s e l l e*, to jest Monsieur Barra, nasz przyjaciel z frontu; a to córeczka naszej gospodyni. Też mała uciekinierka, prawda, Chica?

W odpowiedzi twarzyczka dziecka rozjaśniła się nagłym, promiennym uśmiechem, potem znowu spoważniała; Chica podjęła nanowo badawczą obserwację gościa. Żołnierz, który wstał ociężale z kanapy, podał Noel ze smutnym, gardłowym chichotem niezgrabną rękę.

— Proszę, niech pani siada, *m a d e m o i s e l l e* — rzekł Lavendie, przysuwając jej krzesło. — Poproszę moją żonę — i wyszedł przez podwójne drzwi.

Noel usiadła. Żołnierz wrócił do poprzedniej pozycji, dziewczynka huśtała znów lalkę, choć oczy jej śledziły wciąż jeszcze gościa. Noel czuła się tak zakłopotana, że nie próbowała wcale zacząć rozmowy. Po chwili malarz i jego żona weszli do pokoju przez owe podwójne drzwi. Była to szczupła kobieta, otulona w czerwony szlafrok; twarz miała zapadłą, wystające kości policzkowe i głodne oczy; ciemne jej włosy wisiały rozpuszczone w nieładzie, jedną ręką bawiła się nerwowo fałdą sukni. Ujęła dłoń Noel; wzniesione ku dziewczynie oczy zdawały się przeszywać ją nawskroś, potem oderwały się od niej nagle i zaczęły niespokojnie wędrować po pokoju.

— Jak się pani ma? — zapytała po angielsku. — A więc Pierre przyprowadził panią znowu do mnie, by mnie pani odwiedziła? Pamiętam panią tak dobrze. Nie

pozwoliła się pani malować. Ah c'est drole! I w dodatku pani taka śliczna. Cóż, monsieur Barra, czy mademoiselle nie jest śliczna?

W odpowiedzi żołnierz zachichotał ochryple i zagłębił się znowu w badaniu podłogi.

— Henriette — rzekł Lavendie, — *asseyez vous à côté de Chica* — nie wolno ci stać. Niech pani siada, mademoiselle, proszę bardzo.

— Tak mi przykro, że się pani niedobrze czuje — rzekła Noel i usiadła znowu.

Malarz stał oparty o ścianę, a żona spoglądała na jego wysoką szczupłą postać oczyma, w których tlił się gniew i jakby ukryta chytrność.

— Wielki malarz, ten mój mąż, prawda? — rzekła do Noel. — Nie do pojęcia, co ten człowiek potrafi. A jak on maluje — całymi dniami; a nocami maluje w myślach. Więc pani nie chciała się dać mimo to przez niego malować?

Lavendie rzekł zniecierpliwiony:

— *Voyons, Henriette, causez d'autre chose.*

Pani Lavendie szarpała nerwowo fałdę czerwonego szlafroka i rzuciła mu spojrzenie złajanego psa.

— Żyję tu, jak więzień, mademoiselle, nie wychodzę nigdy z domu. Dzień za dniem upływa — mój mąż ciągle maluje. Któżby miał ochotę chodzić sam na spacer pod tym waszem szarem niebem wśród wszystkich zięjących nienawiścią twarzy? Wolę siedzieć w pokoju. Mój mąż wychodzi, aby malować; każda istota go zaciekawia, prócz tej jednej, którą widzi codziennie. Ale ja jestem uwięziona. Monsieur Barra jest naszym pierwszym gościem od długiego czasu.

Żołnierz podniósł twarz z zaciśniętych pięści.

— *Prisonnier, madame.* Coby pani dopiero powiedziała, gdyby pani była w polu? — Zaśmiał się

swym grubym gardłowym chichotem. — My jesteśmy więźniami, my żołnierze. Coby pani powiedziała do takiego więzienia, gdzie w dzień i w nocy eksplodują bomby, bez minuty przerwy. Bum! Bum! Bum! A h! l e s t r a n c h é e s. T a m niema żadnej wolności.

— Każdy ma swoje więzienie — rzekł Lavendie z goryczą. — Nawet m a d e m o i s e l l e ma swoje więzienie i mała Chica i jej lalka. Każdy ma swoje więzienie, Barra. M o n s i e u r Barra jest też malarzem, m a d e m o i s e l l e.

— M o i! — rzekł Barra, podnosząc swą ciężką kudłatą głowę. Maluję kałuże, wybuchające bomby, żebra końskie — maluję dziury i dziury i znowu dziury, druty i druty i druty i wodę — długie pasma brzydkiej, białej wody. Maluję odłamki granatów i ludzkie dusze nagie i ludzkie ciała nieżywe i zmory — zmory we dnie i w nocy — maluję je w myśli. — Przerwał nagle i zagłębił się znów w kontemplacji dywanu, oparłszy okoloną brodą twarz na pięściach. — A dusze mają białe, jak śnieg, l e s c a m a r a d e s, — dodał znienacka i głośno. — Tysiące Belgów, Anglików i nawet Niemców o białych duszach. Maluję te dusze!

Dreszcz przebiegł Noel, spojrziała błagalnie na pana Lavendie.

— Barra — powiedział Lavendie, jakby malarza nie było wcale w pokoju, — jest wielkim artystą, ale służba na froncie uderzyła mu trochę do głowy. Mimo to, wszystko co mówi jest prawdą. Tam na polu bitwy nie ma nienawiści. Tylko tu jesteśmy więźniami nienawiści, m a d e m o i s e l l e; niech pani unika nienawiści — to trucizna!

Żona malarza wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia dziecka.

— Dlaczego nie wolno nienawidzić? — rzekła. — Kto zabił ojca Chici i obrócił jej dom w kupę gruzów?

Kto ją wygnał do tej okropnej Anglji — *p a r d o n m a d e m o i s e l l e* — ale Anglja jest okropna! *A h! l e s B o c h e s!* Jeżeliby moja nienawiść mogła ich zniszczyć, nie zostałyby z nich ani jeden. Nawet mój mąż nie szalał tak z tem swoim malowaniem, kiedyśmy byli w domu. Ale tu! — Rzuciła mu znów pełne gniewu spojrzenie, spuściła jednak zaraz oczy, jakby usłyszała naganę. Noel zauważyła, że wargi malarza poruszyły się. Chora kobieta zaczęła więc się całym ciałem.

— Twoje malarstwo, to manja. — Spojrzała z uśmiechem na Noel: — Czy napije się pani trochę herbaty, *m a d e m o i s e l l e*? *M o n s i e u r B a r r a*, szklanekę herbaty?

Żołnierz odpowiedział niewyraźnie, zachrypłym głosem:

— Nie, *Madame*; w okopach piliśmy dosyć herbaty. To sprawia ulgę. Ale kiedy jesteśmy na wolności — dajcie nam wina, *l e b o n v i n*; *l e b o n p e t i t v i n!*

— Przynieś trochę wina, *Pierre!*

Noel poznała po twarzy malarza, że w domu nie było kropli wina, a może i pieniędzy na zakup; mimo to wyszedł szybko z pokoju. Noel wstała i rzekła:

— Muszę już odejść, *m a d a m e*.

M a d a m e L a v e n d i e pochyliła się ku Noel i chwyciła ją konwulsyjnie za przegub ręki.

— Niech pani poczeka chwilkę, *m a d e m o i s e l l e*. Napijemy się trochę wina, a potem *Pierre* zaraz panią odprowadzi. Nie może pani wracać sama do domu — jest pani za ładna. Prawda, *m o n s i e u r B a r r a*?

Żołnierz podniósł głowę:

— Coby pani powiedziała do flaszek wina wybuchających w powietrzu, wybuchających czerwonym i białym strumieniem, przez cały dzień, przez całą noc? Duże stalowe flaszki wielkości Chici: kawałki flaszek, unoszące z sobą ludzkie głowy. *Bum garra-a-a!* — i cały dom

leży w gruzach, a małe, maleńkie, malusieńkie strzępki ludzkiego ciała wirują w powietrzu i zasypują całą ziemię wokół. Wielkie dusze są tam w polu, madame. Ale zdradzę pani tajemnicę, — zaśmiał się znów swym grubym chichotem — wszyscy tam są troszeczkę, troszeczkę zwarzowani; wie pani, tak jak zegarek, który można nakręcać i nakręcać bez końca. To jest właśnie wielki wynalazek wojny, *ma demoiselle*, — rzekł zwracając się poraz pierwszy do Noel — nie możesz mieć wielkiej duszy, o ile nie jesteś troszeczkę zwarzowany. — Spuścił znów szare, wąskie oczka i powrócił do poprzedniej pozycji. — Kiedyś namaluję to warjactwo — oświadczył dywanowi, — zaczajone w maleńkim kąciku duszy każdego z tych milionów żołnierzy, jak się skrada, jak czyha, całkiem cichutko, a nagle kiedy wszyscy myślą, że śpi, — tak właśnie — kiedy nikt nie zwraca najmniejszej uwagi — wtedy wylazi z norki, jak myszka z lśnięciami oczyma i goni tu i tam, tu i tam. Tysiące ludzi z białymi duszami, wszyscy troszeczkę szaleni. Wielki temat, zdaje mi się, — dodał ocieżale. Noel mimowoli położyła rękę na szybko bijącym sercu. Zrobiło jej się słabo.

— Jak długo był pan na froncie, *monsieur*?

— Dwa lata, *ma demoiselle*. Czas, by wrócić do domu i malować, prawda? Ale sztuka! — Uniósł nieco ciężkie okrągłe ramiona i zakolysał całą swą niedźwiedzią postać. — Troszeczkę zwarzowani — zamruczał raz jeszcze: — Opowiem pani coś. Raz w zimie po dwutygodniowym urlopie wróciłem w nocy do okopów. Trzeba mi było trochę ziemi, aby zasypać dziurę w miejscu, gdzie spałem; kiedy człowiek nawyknął do łóżka, staje się wybredny. A więc, zeskrobuję trochę ziemi z szanca i natrafiam na coś zabawnego. Zaświecam zapalniczkę i widzę twarz Prusaka, zamarznąłą, pełną ziemi, nieżywą, zielono-białą w świetle mojej zapalniczki.

— Ach, nie!

— Ależ tak, *mademoiselle*; prawda, jak mnie pani tu widzi. Taki niezwywy Prusak to bardzo przydatna rzecz w sypaniu szańców. Niegdyś człowiek, jak ja. Jednak rano nie mogłem się dłużej na niego patrzeć; wypełniliśmy dziurę czem innym. Ale przez całą noc stałem i miałem jego głowę tak blisko mojej — podniósł swą grubą rękę i przybliżył ją na odległość kroku do swej twarzy. — Opowiadaliśmy sobie o naszych domach rodzinnych; on miał duszę, ten człowiek. *Il m'a dit des choses* o tem, jak cierpiał; a ja opowiadałem mu też o moich cierpieniach. Mój Boże, my znamy już wszystko; nigdy nie dowiemy się więcej, niżesmy się dowiedzieli tam w polu, bo jesteśmy wszyscy troszkę zwarzjowani — nic poważnego — poprostu tylko troszeczkę zwarzjowani. Kiedy pani nas zobaczy, *mademoiselle*, idących przez ulice, niech pani pamięta o tem. — Oparł znowu brodę o pięści.

W pokoju zapadła cisza — niesamowita i niezmaco-
na. Dziewczynka huśtała lalkę, żołnierz patrzył w podłogę, usta kobiety w czerwonym szlafroku poruszały się bezgłośnie. W Noel dojrzewała uporczywa myśl: — Czy nie mogłaby wstać i uciec stąd? — Siedziała jednak dalej, zahypnotyzowana ciszą. Po chwili Lavendie ukazał się w drzwiach, niosąc flaszkę i cztery kieliszki.

— Niech się pani napije za nasze zdrowie i powodzenie, *mademoiselle*, — rzekł.

Noel podniosła szklanekę, którą jej podał:

— Życzę państwu wszelkiej pomyślności.

— Pani również, *mademoiselle* — mruknęli obaj mężczyźni.

Wypiła kilka łyków i wstała.

— A teraz, *mademoiselle* — rzekł Lavendie, — skoro pani już musi odejść, odprowadzę panią do domu.

Noel uścisnęła rękę pani Lavendie; była zimna i zupełnie bezwolna; oczy kobiety miały szklany wyraz, który Noel dobrze pamiętała. Żołnierz postawił opróżnioną szklankę przed sobą na podłodze i przyglądał się jej, zapominając o Noel. Zwróciła się szybko ku drzwiom; odchodząc spojrzała raz jeszcze na dziewczynkę kołyszącą lalkę.

Na ulicy malarz zaczął odrazu swą szybką francuszczyzną:

— Nie powinienem był pani prosić o wizytę, *ma demoiselle*; nie wiedziałem, że nasz przyjaciel Barra przyszedł. Prócz tego żona w swym obecnym stanie nie nadaje się do przyjmowania; *vous voyez qu'il y a de la manie dans cette pauvre tête*. Nie powinienem był pani prosić; ale byłem tak zrozpaczony!

— A! — szepnęła Noel. — Wiem.

— U nas w domu miała rozmaite zainteresowania. Tu, w tem wielkiem mieście nie ma przez cały dzień nic do roboty, więc wgryza się coraz bardziej w swą niechęć do mnie. Ach! ta wojna! Mam czasem wrażenie, że znajdujemy się wszyscy w żołądku olbrzymiego, zwiniętego węża. Leżymy i dajemy się trawić. Pod pewnemi względami jest już może lepiej być w okopach; tam nie ma nienawiści, tam osiągnięto wyznięć, do której myśmy nie dorosli. Jest wprost nie do pojęcia, jak oni mogą walczyć dalej, aż pobiją Prusaków; to ciekawe i bardzo podniosłe. Czy Barra powiedział pani, że, kiedy wrócą — wszyscy ci bojownicy obejmą rządy i że przyszłość świata będzie spoczywała w ich rękach? Ale tak nie będzie. Życie ich pochłonie, rozdzieli, rozsypie i będą tak samo bezsilni, jak poprzednio. Język i pióro będą nimi rządzić; ci, którzy nie widzieli wojny, będą nimi rządzić.

— O! — zawołała Noel. — Ci, którzy teraz walczą, będą z całą pewnością w przyszłości najdzielniejsi i najsilniejsi.

Malarz uśmiechnął się.

— Człowiek na wojnie staje się prosty, — rzekł — i pierwotny. W czasie pokoju życie nie jest ani proste, ani pierwotne, jest skomplikowane, pełne nieustających zmian, do których się człowiek musi dostosowywać; w czasie pokoju rządy spoczywać będą zawsze w rękach ludzi sprytnych, przebiegłych, mających jaknajwiększą zdolność przystosowywania się. Wiara tych dzielnych żołnierzy, że przyszłość należy do nich, jest wprost wzruszająca.

— Barra powiedział coś dziwnego, — szepnęła Noel; — powiedział, że jesteśmy wszyscy trochę zwarjowani.

— Barra to dziwak, ale genialny człowiek; szkoda, że pani nie widziała nigdy jego wcześniejszych obrazów. Warjat to może nie jest odpowiednie dla niego określenie, ale jakieś kółko rozluźniło się niewątpliwie w jego mózgu i klekocze; zatracił poczucie proporcji i tworzy pod przymusem pewnych uporcezywie powracających myśli. Mówię pani, mademoiselle, wojna jest jak wielka cieplarnia; pobudza do zbyt szybkiego wzrostu każdą żywą roślinę, każdą cnotę i namiętność; nienawiść i miłość, nietolerancja i rozkosz, odwaga i skąpstwo, — tak, nawet i poświęcenie, wszystko to rośnie i rośnie ponad własne siły, ponad wytrzymałość soków żywotnych danej rośliny, rośnie, aby dojrzeć do olbrzymiego, obfitego żniwa. A potem nagle wszystko się zmienia, rośliny zaczynają więdnąć, gnić i cuchnąć. Lecz tylko my, którzy patrzymy na życie, jako na pewną formę sztuki, możemy to odczuć, a jest nas tak niewielu. Istotny kształt wszystkiego zacierza się coraz bardziej. Oczy ludzkie przesłoniła krwawa mgła. Ludzie boją się być sprawiedliwymi. Niech pani się tylko przyjrzy, jak bardzo nienawidzimy nie tylko naszych nieprzyjaciół, ale także ludzi, którzy się od nas czemkolwiek bądz różnią. Niech pani spojrzy, jak mężczyźni i kobiety lgną do siebie, jak

Venus sprawuje rządy w tej cieplarni. Czy to nie jasne, że Młodość, na którą śmierć czyha, łaknie roskoszy, miłości, połączenia, zatem przyjdzie śmierć?

Noel spojrzała na niego. — Teraz — pomyślała. — Teraz powiem.

— Tak — rzekła — wiem, że to prawda, bo i ze mną tak było. Chciałabym, żeby pan wiedział. Nie mogliśmy się pobrać — nie było czasu. Został zabity. Ale syn jego żyje. Dlatego mnie tak długo nie było. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli. — Mówiła z wielkim spokojem, ale policzki jej pokryły się ognistym rumieńcem.

Ręce malarza drgnęły, jakby go przebiegł elektryczny prąd. Po chwili rzekł spokojnie:

— Wyrażam pani mój najgłębszy szacunek *mademoiselle*, i szczerze współczucie. Cóż na to ojciec pani?

— Dla niego to straszne.

Malarz rzekł łagodnie:

— Ach *mademoiselle*, nie jestem taki pewny. Może wcale nie cierpi tak bardzo. Może nawet pani zmartwienie nie może go bardzo dotknąć. Ojciec pani żyje w jakimś innym świecie. I to jest, według mnie, prawdziwa tragedia — żyć, a przecież nie być dość żywym, ażeby czuć rzeczywistość. Czy zna pani opis starej kobiety Anatole'a France'a: „*Elle vivait, mais si peu*“. Czy nie dałoby się to powiedzieć w dzisiejszych czasach o Kościele. „*Il vivait, mais si peu*“? Ojciec pani jest, jak wzbijająca się w górę na tle nocnego nieba piękna, ciemna wieża, której połączenia z ziemią nie można dostrzec. Nie zna i nigdy nie pozna Życia.

Noel spojrzała na malarza.

— Co pan rozumie przez Życie, *monsieur*? Ciągłe czytam o życiu, a ludzie mówią o poznaniu życia! Czem ono jest — i gdzie jest? Nigdy nie widzę niczego, coby można nazwać życiem.

Lavendie uśmiechnął się.

— Poznawać życie!—rzekl.—A, to znowu co innego. Bawić się! Przekonałem się, że kiedy ludzie „poznają życie“, jak się to mówi, nie bawią się zwykle wcale. Wie pani, kiedy się ma pragnienie, to się pije i pije, ale pragnienie zostaje ciągle jednakie. Są miejsca, gdzie można „poznawać życie“, ale jedyni ludzie, którzy się tam dobrze bawią, to tacy starzy nudziarze jak ja, którzy idą tam pogawędzić nad filiżanką kawy. Jednak może w pani wieku jest inaczej.

Noel splotła dłonie, oczy jej lśniły w mroku.

— Chcę muzyki, tańca i światła, łaknę widoku pięknych rzeczy i pięknych twarzy; ale nigdy tego wszystkiego nie znajduję.

— Niema w tem mieście, ani w żadnem innem, miejsca, gdzieby pani to wszystko znalazła. Fox - trotów i raktimes'ów, szminki, pudru, jaskrawych światel, napół spitych młodych ludzi i kobiet z czerwonymi wargami — tego pani może mieć poddostatkiem. Ale nigdzie pani tam nie znajdzie rytmu i piękna i uroku. Kiedy byłem młody „poznawałem“, jak się to mówi „życie“ bardzo dokładnie, widziałem wiele, ale nie znalazłem niczego ładnego, coby nie było zepsute; wszystko pozostawiało niesmak. Pani się może śmiać, ale ja wiem dobrze, co mówię. Szczęście nigdy nie przychodzi wtedy, kiedy się go szuka, *m a d e m o i s e l l e*; piękno znaleźć można w naturze i w prawdziwej sztuce, nigdy w tych głupich oszukańczych pozorach. Jest tu lokal, gdzie my, Belgowie, się schodzimy; czy nie chciałaby pani wejść i przekonać się o prawdzie moich słów?

— Owszem, chętnie.

— *T r è s b i e n !* Chodźmy!

Weszli przez szklane obrotowe drzwi do jasno oświetlonego korytarza. U wylotu korytarza malarz przystanął przed drzwiami jakiejś sali i spojrzął na

Noel, zawahał się i zamiast wejść zawrócił i udał się do pokoju na prawo. Była to wielka sala, pełna złocień, pluszu i marmurowych stolików, przy których siedziały różne pary; młodzi ludzie w mundurach i starsi w cywilu po dwóch razem, lub w towarzystwie młodych kobiet. Na te kobiety właśnie patrzyła Noel, oglądała jedną po drugiej, podczas gdy szła z malarzem daleko w głąb sali szukając wolnego stolika. Widziała, że niektóre były ładne, a inne tylko usiłowały niemi być, że prawie wszystkie były pudrowane i miały podczernione oczy i różowe usta; zaczęła się w końcu wstydzić swej niekniętej kosmetykami twarzy. Na górze na galerji mała orkiestra grała jakąś miłą lekką melodję; gwar głosów i śmiechu był nieledwie ogłuszający.

— Czego się pani napije, *mademoiselle*? — rzekł malarz. — Dochodzi dziewiąta; musimy szybko zamówić.

— *Deux crèmes de menthe*, — rzekł Lavendie do kelnera.

Noel była zbyt zainteresowana wszystkim, co się wokoło niej działo, aby zauważyć gorzki uśmiech, jaki błakał się na twarzy malarza. Zajęta była oglądaniem kobiet, które spoglądały na nią przelotnie oczyma zimnemi i pełnemi zaciekawienia; przypatrywała się mężczyznom, których przelotne spojrzenia pełne były ciepła i podziwu.

— Ciekawam, czy tatuś był kiedyś w takim lokalu? — rzekła, podnosząc kieliszek z zielonym płynem do warg. — Czy to dobre? Pachnie miętą.

— Kolor przepiękny. Za pomyślność pani, *mademoiselle*! — rzekł i trącił się z nią kieliszkiem.

Noel skosztowała, odjęła kieliszek od ust i piła dalej.

— Dobre; ale strasznie słodkie. Czy mogłabym dostać papierosa?

— *Des cigarettes*, — rzekł Lavendie do kelne-

ra. — *Et deux cafés noirs.* — A teraz, *mademoiselle* — szepnął, kiedy kelner przyniósł papierosy i kawę — jeżeli sobie wyobrazimy, że każde z nas wypilo flaszkę wina, to wyczerpaliśmy wszystkie wstępne kroki do tego, co się nazywa Grzechem. Zabawne, prawda? — Wzruszył ramionami.

Uderzył Noel nagle smutny, prawie posępny wyraz jego twarzy.

— Niech się pan nie gniewa, *monsieur*, to wszystko jest dla mnie takie nowe.

Malarz uśmiechnął się swym jasnym, przelotnym uśmiechem.

— Pardon! Zapomniałem się. Tylko, że to poprostu boli, widzieć piękno w takim otoczeniu. Piękno nie harmonizuje się z tą melodją, ani z temi głosami, ani z temi twarzami. Niech się pani bawi, *mademoiselle*, niech pani wchłania wszystko. Niech pani patrzy, jak ci ludzie spoglądają na siebie, jaka miłość promieniuje z ich oczu! Szkoda tylko, że nie możemy słyszeć, co mówią. Niech mi pani wierzy, rozmowy ich są bardzo wytworne, *très spirituel*. Te młode kobiety „spełniają“, jak się to mówi, „swój obowiązek“; przynoszą miłą odmianę wszystkim tym, którzy służą ojczyźnie. Jedzmy, pijmy, kochajmy, gdyż jutro czeka nas śmierć. Komu zależy na prostocie i pięknie w takich czasach, jak dzisiejsze? Przybytek ducha opustoszał.

Spoglądał na nią zukosa, jakby chciał wejrzeć w samo dno jej duszy.

Noel wstała:

— Chciałabym już odejść, *monsieur*.

Podał jej płaszcz, zapłacił rachunek; skierowali się ku wyjściu, mijając znowu rzędy małych stolików w drodze poprzez salę pełną rozgwaru rozmów i śmiechu i dymu tytoniowego; dźwięki jakiejś innej pustej melodji biegly w ślad za nimi.

— Tam — rzekł malarz, wskazując inne drzwi, — tańczą. Ano tak. Londyn w czasie wojny! Właściwie w żadnym wielkim mieście nie odczuwa się tak bardzo zmian. Czy „poznawanie życia“ sprawiło pani przyjemność, *mademoiselle*?

— Zdaje mi się, że człowiek musi tańczyć, żeby czuć się szczęśliwym. Czy to ten lokal, do którego pańscy przyjaciele przychodzą?

— O, nie. Schodzą się w sali o wiele mniej eleganckiej, grają w domino, piją kawę i piwo i rozmawiają. Nie mają pieniędzy do wyrzucenia.

— Czemu mnie pan tam nie zaprowadził?

— *Mademoiselle*, mogła pani tam zobaczyć kogoś, kogoby pani mogła spotkać jeszcze kiedyś w życiu; tam, gdzie panią zaprowadziłem, była pani zupełnie bezpieczna — mam przynajmniej tę nadzieję.

Noel wzruszyła ramionami:

— Zdaje mi się, że teraz już wszystko jedno, co robię.

Ogarnęło ją nagle wzruszenie; lzy zaczęły ją dławić w gardle; opłynęła ją fala wspomnień — księżycowa noc, ciemne, stare Opactwo, las i rzeka. Dwie lzy stoczyły się po jej policzkach.

— Myślałam o czymś — rzekła zdławionym głosem.
— Wszystko w porządku.

— *Chère mademoiselle!* — szepnął Laven-die; przez całą drogę do domu był nieśmiały i przybity. Przed bramą uściśnęła jego rękę i rzekła cicho:

— Przykro mi, zem się tak głupio zachowałam; dziękuję panu serdecznie, *monsieur*. Dobranoc.

— Dobranoc; życzę pani lepszych snów. Dobre czasy nadchodzą. — Pokój i Szczęście powrócą znowu na świat. Ta Ciepłarnia nie będzie trwała wieki. Dobranoc, *chère mademoiselle!*

Noel poszła cichutko na górę do dziecinnego pokoju.

Przy świetle nocnej lampki zobaczyła, że dziecko i niania pogrążone były w głębokim śnie. Wyszła na palcach do swego pokoju. Tu ogarnęło ją nagle tak silne zmęczenie, że ledwo miała siłę się rozebrać; a mimoto czuła w sobie jakiś dziwny spokój, jakby w spaźmie wzruszenia, które ją przed chwilą ogarnęło, Cyryl i przeszłość odeszli od niej na zawsze.

ROZDZIAŁ TRZECI.

1.

Pierwsze zetknięcie się Noel z Opinją odbyło się następnego dnia. Dziecko wróciło przed chwilą ze spaceru; Noel przekonała się, że śpi spokojnie i schodziła właśnie zpowrotem nadół, kiedy usłyszała głos z hallu:

— Jak się pani miewa?

Ujrzała Adrjana Laudera, wikarego ojca, w mundurze. Po chwili wahania zeszła do hallu i podała mu rękę. Był to nieco ociężały, może trzydziestoletni mężczyzna o żółtawej cerze. Mundur szpecił go, w białym, okrągłym, z tyłu zapinanym kołnierzu było mu nie do twarzy. Wynagradzały to żywe oczy, wyrażające najlepsze zamiary wobec całego świata i skłonność do sentymentalnych zachwyków w obliczu piękna.

— Nie widziałem pani od wieków — rzekł trochę niezdarnie, idąc za nią do gabinetu ojca.

— Rzeczywiście — rzekła Noel. — Jak się panu podoba na froncie?

— Ach! — rzekł. — Ci ludzie są nadzwyczajni! — Oczy jego błyszczały. — Tak się cieszę, że panią znowu widzę.

— Doprawdy?

Odpowiedź ta zdziwiła go najwidoczniej; jękając się, powiedział:

— Nie wiedziałem, że pani siostra ma dziecko. Śłodkie dziecko.

— Gracja nie ma dziecka.

Lauder otworzył usta.

— Głupie usta — pomyślała Noel.

— Ach! — rzekł. — Więc to mały protégé — belgijski, czy coś takiego?

— Nie, to moje dziecko; moje własne.

Odwróciła się i zsunęła obrączkę z ręki. Kiedy zwróciła się znów ku niemu, nie ochłonął jeszcze z wrażenia, jakie wywołały w nim słowa Noel. Twarz jego miała nieszczęsny wyraz, jakby się skarżył, że go coś podobnego spotkało.

— Niechże się pan na mnie tak nie patrzy, — rzekła Noel. — Czy pan nie zrozumiał? To dziecko jest moje, moje. — Wyciągnęła przed siebie lewą rękę. — Niech pan popatrzy! Nie mam obrączki.

— Pani nie powinna — wyjąkał — nie powinna pani!...

— Co?

— Żartować w takich... w takich sprawach; prawda?

— Traci się ochotę do żartów, kiedy się ma nieślubne dziecko, może mi pan wierzyć.

Lauder zapadł się nagle. Robił wrażenie człowieka, koło którego w odległości kilku kroków pękła bomba. Po chwili wysiłkiem woli powrócił do równowagi, jak to się zwykło czynić w podobnych wypadkach i rzekł dziwnie sztywnym, niskim głosem:

— Nie mogę, nie można absolutnie... to nie jest...

— A jednak tak jest, — rzekła Noel. — Jeżeli pan mi nie wierzy, niech pan zapyta tatusia.

Podniósł rękę do okrągłego kołnierza; ogarnęła ją dzika myśl, że go sobie zedrze z szyi, zawołała więc:

— Niech pan da spokój!

— Pani! — rzekł. — Pani! Ależ...

Noel odwróciła się od niego do okna. Stała tak, wyglądając na ulicę i nie widząc niczego.

— Nie chcę tego trzymać w ukryciu, — rzekła, nie odwracając się. — Chcę, żeby każdy wiedział. To wszystko jest takie głupie, takie głupie! — tupnęła nogą. — Czy nie widzi pan, jakie to głupie, że każdy otwiera usta ze zdziwienia!

Lauder wydał z siebie prawdziwie bolesny okrzyk, który wywołał w Noel gwałtowne wyrzuty sumienia. Trzymał się kurczowo oparcia krzesła; z twarzy jego znikł wyraz ociężałości. Pokrywał ją teraz słaby rumieniec. Noel doznała nagle uczucia, jakby się stała winna zdrady. Jego milczenie i ten dziwny wyraz nieosobistego bólu, który nie mógł znaleźć ujścia w słowach, wywołał w niej to wrażenie; wyczuwała w nim coś o wiele głębszego, niż potępienie jej postępowania — coś, co znajdowało echo w niej samej. Przeszła szybko koło niego i uciekła na górę do swego pokoju. Rzuciła się na łóżko. Nie miał dla niej żadnego znaczenia; nie o to szło! To w niej samej doszło do pełnego głosu okropne zrozumienie, że sprzeniewierzyła się swej kaście, straciła owo prawo, mocą którego każdy musiał traktować ją, jak damę, sprzeniewierzyła się dyskretnej, a wytwornej powściągliwości swego wychowania i odplaciła się czarną niewdzięcznością za miłość jaką ją zawsze otaczano; zachowała się poprostu, jak zwykła dziewczyna, o którą się nikt nie troszczył. Nigdy jeszcze dotąd nie miała tego uczucia — nie doznała go nawet wtedy, gdy Gracja dowiedziała się o wszystkim i kiedy obie stały po dwu przeciwnych stronach kominka, niezdolne wymówić słowa. Wtedy przepelniała ją jeszcze namiętność i żal po zmarłym. Oba te uczucia zagasły teraz w jej sercu, jakby nie były istniały nigdy; nie miała więc niczego na

swą obronę, niczego, coby mogło stanąć między nią, a tem przygniatającem, bolesnem upokorzeniem. Była wtedy chyba szalona! Musiała być szalona! Belg Barra miał rację: — Wszyscy są trochę zwarjowani — w tej „cieplarni“ jaką jest wojna! Zagrzebała twarz głęboko w poduszki, tak, że ledwo mogła oddychać; głowa, policzki i uszy paliły ją, jak ogień. Gdyby Lauder okazał przynajmniej wstręt, lub cośkolwiek, coby pobudziło jej gniew, czy poczucie sprawiedliwości, czy przeświadczenie, że Los obszedł się z nią zbyt surowo! Ale on stał tylko przed nią, jak uosobienie przerażenia, jak istota, której głęboko zakorzenione iluzje leżą w gruzach. To było okropne! Uczuła nagle, że nie może uleżeć spokojnie, że musi chodzić, gonić, uciec od dręczącego ją poczucia zdrady i sprzeniewierzenia się. Zerwała się z łóżka. Na dole panował zupełny spokój. Zeszła cicho po schodach i wybiegła z domu, podążając w nieokreślonym kierunku i obierając machinalnie drogę, którą dzień w dzień przez tak długi czas szła do szpitala. Kwiecień dobiegał końca. Drzewa i krzaki obsypane świeżem listowiem i pączkami rozsyłały wokół słodką woń; psy goniły się wesoło; ludzkie oblicza miały w słońcu wyraz prawie szczęśliwy.

— Gdybym mogła uciec przed sobą samą, byłoby mi wszystko obojętne, — pomyślała.

Łatwo jest uciec od ludzi, od Londynu, nawet może z Anglii, ale od siebie uciec niepodobna! Przeszła koło swego szpitala, spojrzała z roztargnieniem na pokryte stiukami mury budynku, na odcinającą się od ich tła chorągiew z czerwonym krzyżem i na żołnierza w niebieskiem ubraniu z czerwoną opaską, który właśnie wychodził z bramy. Spędziła w tym gmachu wiele nieszczęsnych godzin, ale żadnej tak ciężkiej, jak obecna. Minęła kościół, stojący naprzeciw domu, w którym mieszkała Leila, i zderzyła się nagle z wysokim mężczyzną,

wychodzącym właśnie z za węgła. Poznała Forta. Pochyliła głowę i starała się pobiec dalej. Wyciągnął jednak do niej rękę, tak, że chcąc nie chcąc musiała mu podać swoją. Rzuciła mu przelotne spojrzenie i rzekła:

— Pan wie o mnie wszystko, nieprawdaż?

Jego z natury tak szczerą twarz, nabrała wyrazu skupienia, jakby chciał konno wziąć przeszkodę. — Skłamałam — pomyślała z goryczą. Ale nie skłamałam.

— Tak; Leila mi powiedziała.

Noel pomyślała znowu:

— Teraz będzie sobie pewnie chciał wmówić, że nie jestem podła.

— Podziwiam odwagę pani — rzekł.

— Nie jestem wcale odważna.

— Nigdy nie znamy samych siebie, nieprawdaż? Pani nie zechciałaby pewnie zwolnić kroku choćby na minutkę? Idę w tę samą stronę, co pani.

— Nie wiem właściwie, dokąd idę.

— To zupełnie tak, jak ja.

Szli naprzód w milczeniu.

— Mój Boże, żebym ja mógł być we Francji! — rzekł Fort niespodziewanie. — Człowiek czuje się tu dziwnie nie na miejscu.

Serce Noel zabiło żywiej.

Ach, żeby móc uciec — uciec od siebie samej! Jednak na myśl o dziecku opadły jej ręce.

— Czy niema nadziei, żeby się pańska noga dała wyleczyć? — zapytała.

— Niema.

— To musi być okropne uczucie.

— Tysiące ludzi uważałoby moje położenie za niezwykle szczęśliwe; i jest tak w istocie, jeżeli przyznamy, że lepiej jest żyć, niż umrzeć, co mimo mego spleenu pozostaje jednak mojem przekonaniem.

— Jak się ma kuzynka Leila?

— Bardzo dobrze. Haruje dalej w szpitalu; dzielna kobieta. — Nie patrzył jednak na Noel i znowu zapadło milczenie, aż zatrzymali się przy Lord's Cricket Ground.

— Nie mogę żądać, by pani wlokła się ze mną dalej w tem zółwim tempie.

— O, to nic nie szkodzi.

— Chciałem pani tylko powiedzieć, że jeżelibym się pani mógł kiedykolwiek na coś przydać, to proszę mną rozporządzać.

Uścisnął mocno jej rękę i zdjął kapelusz; Noel wolno poszła dalej.

Ta krótka rozmowa pełna niedopowiedzeń i napomnień wzmogła tylko jeszcze jej niepokój, a jednak ukoili jakimś sposobem ból jej serca. Kapitan Fort nie pogardzał nią w każdym razie; i sam też miał jakieś strapienie. Wyczuła to z wyrazu jego twarzy i z brzmienia jego głosu, kiedy mówił o Leili. Przyspieszyła kroku. Przyszły jej na pamięć słowa Jerzego: — Jeżeli się sama nie będziesz wstydziła, nikt nie będzie się wstydził za ciebie. — Jak to łatwo było powiedzieć! Dni dzieciństwa, szkolne czasy, skromne nawpół dziecinne wieczory taneczne, na które zwykła była uczęszczać, za dawnych dobrych czasów — minęło to bezpowrotnie! Wszystko minęło!

Czekało ją jednak dnia tego jeszcze jedno spotkanie z Opinją. Kiedy bowiem zmęczona trzygodzinnem waleśaniem się pō ulicach, skręciła wkońcu na plac, przy którym stał jej dom, spotkała starszą panią, którą zarówno jak Gracja, znała od dzieciństwa — przystojną panią, wdowę po urzędniku, ciągle jeszcze pełną sił żywotnych, która wypełniała swe dni dobroczynną pracą. Towarzyszyła jej córka, wdowa po oficerze, poległym nad Marną; obie powitały Noel potokiem serdecznych pytań:

— A więc wróciła już ze wsi i czuje się znowu do-

brze? I pracuje znów w szpitalu? A jak się ma drogi ojciec? Ich zdaniem schudł i zmizerniał. Ale teraz, skoro Gracja wróciła... Jakże okropnie wojna rozdziela żony od mężów! A czyje jest to słodkie maleństwo, które mają w domu?

— Moje — odparła Noel i przeszła mimo nich prosto przed siebie ze wzniesioną głową. Wyczuwała każdym swym nerwem urażone, spłoszone i zdziwione do żywego spojrzenia tych szczerze przyjaznych jej osób, pozostałych za nią na chodniku, wyczuwała, jak powoli odzyskują znowu panowanie nad sobą i idą dalej, zapewne bez słowa, a potem na rogu nawiązują rozmowę: — Co się Noel stało? Co chciała przez to powiedzieć? — Wyciągnęła z kieszeni małą złotą obrączkę i cisnęła ją z całej siły w krzaki rosnące na skwerze przed domem. Przyniosło to doraźną ulgę jej nerwom napiętym do ostateczności; weszła do mieszkania zupełnie opanowana. Było już dawno po obiedzie, ale ojciec nie wyszedł jeszcze, spotkała go teraz w hallu; wciągnął ją za sobą do jadalni.

— Musisz coś zjeść, drogie dziecko — rzekł. Podczas, kiedy starała się przelknąć potrawy, które ojciec kazał dla niej zostawić, stał przy kominku w swej ulubionej pozycji, z nogą opartą o kratę, ujmując ręką gzyms.

— Życzeniu twemu stało się zadość, tatusiu — rzekła bezbarwnym głosem. — Wszyscy już teraz wiedzą. Powiedziałam panu Lauderowi i monsieur i Dinnafordom.

Widziała, jak palce jego rozprostowały się i chwyciły ponownie za gzyms kominka.

— Cieszę się z tego — rzekł.

— Ciotka Thirza kazała mi nosić obrączkę, ale wyrzuciłam ją.

— Najdroższe dziecko — zaczął i przerwał, tak silnie drżały mu usta.

— Chciałam ci tylko powiedzieć jeszcze raz, tatusiu, że mi cię strasznie żal. I że się w s t y d z ę mego postępowania; myślałam, że tak nie jest, ale w s t y d z ę się — tylko uważam, że spotkało mnie coś okrutnego i nie czuję skruchy wobec Boga; i nic mnie do tego nie zdoła nakłonić.

Pierson odwrócił się i spojrział na córkę.

Noel długo nie mogła zapomnieć tego spojrzenia.

2.

Jimmy Fort odszedł od Noel szczególnie przygnębiony. Od owego dnia, kiedy Leila opowiedziała mu o nieszczęściu dziewczęcia, uświadomił sobie, że jego stosunek z Leilą nie miał, prócz litości, żadnego głębszego uczuciowego podkładu. Pewnego razu, opanowany nagle dziwnymi wyrzutami sumienia, oświadczył się Leili o jej rękę. Odmówiła; odtąd cenił ją jeszcze wyżej, poznał bowiem po drzeniu w jej głosie i wyrazie jej oczu, że odmówiła mu nie dlatego, jakoby nie była dostatecznie przekonana o swej miłości, ale w obawie, że może przez to stracić jego uczucie. Była bardzo doświadczoną kobietą.

Skorzystał dziś z przerwy obiadowej, żeby jej zanieść kilka kwiatów i bilecik, w którym donosił, że nie może przyjść dziś wieczór. Wetknął klucz w zatrzask, wszedł i włożył japońskie azalje ostrożnie do wazonu „Famille Rose“, który następnie wypełnił wodą w sypialni Leili. Potem usiadł na tapczanie i ukrył twarz w dłoniach.

Choć się tyle wałęsał po świecie, nie miał nigdy wiele do czynienia z kobietami; nie miał też w sobie nic z usposobienia Francuza, który każdą następczą się w życiu przyjemność uważa za czysty zysk i nie przejmując się bynajmniej naturalnem i zwykle dość szybkim zakończeniem podobnych epizodów.

Coś było przyjemnością, a teraz przestało nią być; to jednak najwidoczniej nie rozwiązywało kwestji, ani nie zwalniało go z obowiązków.

Głęboko zakorzeniony choć niejasny instynkt kazał mu udawać, że nie sprzykrzyła mu się, udawać tak długo, dopóki on jej się nie sprzykrzy. Siedział i starał się przypomnieć sobie choćby najbliższy dowód, iż uczucie Leili słabnie, ale napróżno. Przeciwnie, miał jeszcze nieszczęsne przekonanie, że gdyby ją był kochał, byłby się jej najprawdopodobniej do dziś sprzykrzył. Dla niej był ciągle jeszcze kimś niezdoitym, mimo iż usiłował robić wrażenie zdobytego. Popelnił fatalny błąd owego wieczoru po koncercie w Queen's Hall, że dał się unieść fali splątanych uczuć pożądania i litości!

Po pożegnaniu się z Noel uświadomił sobie ze szczególnie bolesną wyrazistością swoje szaleństwo.

Jakże mógł być takim skończonym głupcem, żeby się związać z Leilą w wieczór spędzony w towarzystwie tego dziecka? Czy może owo dalekie, nieuchwytne podobieństwo pomiędzy nimi dwiema popchnęło go ostatecznie do tego? — Byłem osłem, — pomyślał. — Skończonym osłem. Byłbym zawsze oddał z radością każdą godzinę spędzoną z Leilą za jeden prawdziwy uśmiech tej dziewczyny.

Nagle spotkanie z Noel po szeregu miesięcy, podczas których usiłował szczerze zapomnieć o jej istnieniu, co mu się zresztą bynajmniej nie udawało, wywołało w nim tym razem już zupełnie jasne przeświadczenie, że się w niej kochał; i to tak bardzo, że na samą myśl o Leili odczuwał niechęć.

A jednak instynkt gentlemana zakazywał mu najwidoczniej zdradzić się z tem przed którąś z nich. Co za przekłeta, powikłana sprawa! Wsiadł do dorożki, aby się nie spóźnić; przez całą drogę do Ministerstwa Wojny widział przed sobą ustawicznie postać Noel i jej twa-

rzyczkę w ujęciu krótkich loków. Zbudziła się w nim niebezpieczna pokusa. Czy nie o n a właśnie potrzebowała teraz opieki, czy nie o n a właśnie była teraz godna litości? Czy nie miał prawa poświęcić się obronie istoty, znajdującej się w tak oplakanem położeniu? Leila przeżyła już swe życie; ale życie tego dziecka — złamane u podstawy — leżało jeszcze całe przed nią. Po chwili jednak skrzywił się ze wstrętu, zdał sobie bowiem sprawę ze swej hipokryzji. Nie rycerskość powodowała nim, jeno miłość! Miłość! Miłość do istoty nieosiągalnej! Wszedł z bardzo ciężkiem sercem do wielkiego gmachu, gdzie w małym pokoiku przy telefonie i biurku zavalonem papierami, pełnemi cyfr, przepędzał dni. Wojna nadawała wszystkiemu smutne, beznadziejne zabarwienie. Nie dziwnego, że zapragnął wykorzystać nadarzającą się rozrywkę — a teraz wpadł w sieci, z których nie mógł się wywikłać!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

1.

Wykrycie najokropniejszej nawet prawdy jest dla natury ludzkiej jedynie kwestją czasu. Kiedy jednak to „najokropniejsze“ tyczy się rodziny, opromienionej jakgdyby glorią autorytetu i poważania instytucji takiej, jak Kościół, proces wykrywania prawdy natrafia na niejedną przeszkodę. Zupełne nieprawdopodobieństwo takiej możliwości, szczerzy szacunek, jakim się rodzina Piersonów cieszyła, instynkt samozachowawczy ludzi, którzy, będąc wyznawcami pewnej instytucji społecznej, czuliby się słabsi, gdyby siła tej instytucji zmaląła, a wreszcie uczucie, że skandal był zbyt piękny, by być prawdziwym — wszystko to i jeszcze wiele innych przyczyn składało się na szereg przeszkód, które trzeba było przezwyciężyć. Na paniach Dinnaford grzeszne słowa Noel zrobiły tak silne wrażenie, że najchętniej przemilczałyby wszystko, idąc za popędem samozachowawczego instynktu; a jednak potworność tej sprawy wywołała w nich przeświadczenie, że coś tu musiało być nie w porządku, że dziewczyna uległa poprostu jakiejś dziwkiej ochocie „nabrania ich na kawał“, mówiąc słowami drogiego Karolka. W nadziei, że to przypuszczenie zostanie potwierdzone, czyhały na starą nianię, któ-

ra wyjeżdżała z dzieckiem na spacer i otrzymały od niej zwięzłą informację: — O tak; to panny Noel. Jej mąż zginął — biedactwo! — Panie Dinnaford czuły się wynagrodzone. Były przecież odrazu pewne, że zachodzi tu jakaś pomyłka. Słowo „mąż“ ulżyło niesłychanie ich sercom. Chodziło tu więc zapewne o jedno z tych pośpiesznych małżeństw wojennych, na które kochany proboszcz patrzył niechętnem okiem i pewnie dlatego trzymano całą rzecz w tajemnicy. Zupełnie zrozumiałe, ale jakże smutne! W głębi duszy pozostała im jednak pewna nieufność, która przeszkodziła im w złożeniu kondolencji kochanemu proboszczowi; ale nie przeszkadzała bynajmniej w prostowaniu wszelkich pogłosek i plotek, które im się już zaczęły obijać o uszy. Kiedy jednak pewnego dnia przyjaciółka ich Mrs. Curtis rzekła ze zbyt wielką stanowczością: — W każdym razie nie nosi pierścionka, na to mogę przysiąc, dość sobie za nim wypatrywałam oczy! — postanowiły zapytać o to pana Laudera. Ten wiedział zapewne — ten musiał wiedzieć; no i nie powie nieprawdy. Kiedy się go jednak spytały, było tak widoczne, że w i e, iż panie Dinnaford o mało nie cofnęły pytania. Biedny młody człowiek oblał się pomidorowym rumieńcem.

— Wolałbym nie odpowiadać, — rzekł.

Reszta tej krótkiej rozmowy miała przebieg nadzwyczaj niemiły. Ten mniej lub więcej niemiły nastrój opadował w kilka tygodni po powrocie Noel całą gminę Piersona. Zauważono, że żadna z sióstr nie przychodziła teraz na nabożeństwo. Niektórzy szli do kościoła, żywiąc szczerą nadzieję zobaczenia tam Noel, i nie przychodzili więcej, skoro jej tam nie widzieli. Nie miałyby przecież mimo wszystko odwagi przyjść do kościoła! A Gracja była najwidoczniej zbyt zawstydzona. Robiono ustawicznie uwagi na temat wyglądu proboszcza, zauważano, że stał się jeszcze o wiele poważniejszy i szczer-

plejszy niż zazwyczaj. Kiedy pogłoski skryształizowały się w pewność, zaczęto się odnosić do Piersona z dziwnym uczuciem, w którym współczucie łączyło się z potępieniem. Cała ta historia należała do spraw szczególnie Anglikom niemiłych. Odnoszono wrażenie, jakby Pierson, przez samą obecność w kościele każdej niedzieli i przez odprawianie nabożeństw, wystawiał na widok publiczny purpurowe ze wstydu i piętnem grzechu naznaczone oblicze prywatnego życia swej córki; a prócz tego podsuwał ludziom pod oczy jaskrawy przykład, iż Kościół niezawsze zdolny jest ustrzec swe stadko od złego. Człowiek, który nie umiał utrzymać własnej córki na drodze cnoty — kimże potrafi kierować? Powinien ustąpić z parafji! Zaczęto się zastanawiać nad tem, narazie jeszcze po cichu. Piastował wszak swój urząd tak długo; wydał tyle pieniędzy na kościół i na parafję; ludzie lubili bardzo jego dobrotliwą marzycielskość. Był gentlemanem i tak wielu ludziom udzielił swej pomocy; jego zamiłowanie do muzyki i pięknych szat kościelnych wywoływało zawsze ogólną niechęć, jednak nadał kościołowi pewną powagę. Kobiety przynajmniej przekonywały się zawsze chętnie o tem, że kościół, do którego uczęszczały, odciągał inne kobiety od innych kościołów. Pozatem była wojna, więc przestępstwo moralne tak jawne, że w czasie pokoju nie można było nie zareagować na nie — nie zajmowało teraz niepodzielnie umysłów, zaprzątniętych troską o pożywienie i obawą przed atakami powietrznymi. Taki stan rzeczy był naturalnie niemożliwy na dłużej; narazie jednak trwał.

2.

Człowiek, który staje się przedmiotem ludzkiej obmowy, dowiaduje się o tem zwykle na samym ostatku; to też nic zdecydowanego ani uchwytnego nie doszło do

uszu Piersona. Dni mijały zwykłym biegiem, bez widocznej zmiany. A mimo to istniała zmiana, choć tajemna i ukryta. Sam był prawie że śmiertelnie zraniony, zdawało mu się więc, że wszyscy wkoło niego cierpią tak samo. Minęło jednak kilka tygodni, zanim zdarzył się fakt, który wzbudził w nim gniew i instynkt obronny.

Nagle pewnego dnia marna, niska brutalność zatrzęsła nim do głębi duszy. Wracał z dalszych wizyt parafjalnych i skręcał właśnie na plac, kiedy ktoś zawołał za nim grubym głosem:

— Jak się ma ten mały bękart?

Zimne uczucie wstrętu zaparło mu oddech; odwrócił się i zobaczył dwóch rosłych uliczników, oddalających się śpiesznie. Skoczył za nimi pełen tajonej wściekłości, chwycił ich za ramiona; szarpnął ich ku sobie i spojrział im w twarz; chłopcy patrzyli na niego zaskoczeni, z otwartymi ustami. Trząśł nimi z całej siły i rzekł:

— Jak śmiecie, jak śmiecie używać tego wyrazu? — Twarz jego i głos musiały być zapewne przerażające, skoro w rysach chłopców odmalował się szczery strach; uprzytomnił sobie gwałtowność swego postępowania i opuścił ręce.

W jednej chwili znikli za rogiem. Tam zatrzymali się na sekundę; jeden z nich zawołał na cały głos: — Dzia-dziu! — potem obaj znikli. Stał na środku ulicy z wargami i rękoma drżącymi; przepelniało go uczucie, które nie nawiedziło go od lat, biała czczość, jaka następuje zwykle po nagłym a niepohamowanym wybuchu morderczej wściekłości. Przeszedł przez plac, oparł się o sztachety parku i pomyślał: — Boże, przebacz mi! Mógłbym być ich zamordować. Mógłbym być ich zamordować! — Djabł go opętał. Gdyby miał broń w rękę, byłby się stał mordercą. Jakie to straszne! Tylko jeden z nich go zelżył, a byłby zabił obydwóch! A przecież powiedzieli

prawdę, wszyscy pewnie mówili o tem — wszyscy ci podli, ordynarni ludzie mówili tak dzień w dzień, o dziecku jego córki! Okropność tej myśli uderzyła go tak nagle, że zachwiał się na nogach i chwycił za sztachety z taką siłą, jakby je chciał połamać.

Od tego dnia ogarnęło go stale wzmagające się i nigdy nie ustępujące wrażenie, że ludzie się go wyrzekli; wrażliwość w nim z coraz boleśniejszą pewnością przeświadczenie o swej przynależności do Noel i jej napiętnowanego synka; coraz namiętniej pragnął ich bronić; i coraz wyraźniej słyszał wkoło szepejące głosy, widział wskazujące na nich palce, wyczuwał otaczającą ich niechęć i coraz bardziej cierpiał. Zaczął sobie zdawać sprawę z głębokiej a ukrytej prawdy, że obmowa najłatwiej niszczy wpływ i nietykalność tych ludzi, którym zawód zapewnia oba te przywileje, zaczął doceniać znaczenie nienagannej opinji i rozumieć, jak trudno jest czuć się niewinnym, gdy wszyscy wokół uznają cię za grzesznika.

Starał się spędzać z Noel możliwie jaknajwięcej czasu; niekiedy wychodzili wieczorem na przechadzkę we dwójkę, lecz żadne z nich słowem nie zahaczyło tematu, wokół którego ich myśli nieustannie krążyły. Między szóstą a ósmą Noel pozowała panu Lavendie w salonie; Pierson przychodził czasem podczas tych posiedzeń i grał im. Prześladowała go teraz myśl o niebezpieczeństwie, na jakie Noel jest narażona w towarzystwie jakiegokolwiek mężczyzny. Jimmy Fort przyszedł trzy razy z wizytą po kolacji. Miał tak mało do powiedzenia, że trudno było zrozumieć, po co właściwie przyszedł; Pierson, którego zmysł obserwacyjny zaostrzył się teraz pod wpływem strachu o córkę, zauważył jednak, że Fort nie odrywa oczu od Noel. — Podziwiał ją — pomyślał; często wyteżał całą swoją wnikliwość, by uchwycić charakter tego człowieka, który miał za sobą

życie włóczęgi. — Czy on jest, czy może być człowiekiem, któremubym mógł zaufać Nolli? — myślał. — Mój Boże, że też mi przyszło czekać na to, aż jakiś przyzwoity człowiek się z nią ożeni, z moją małą Nolli, która dopiero wczoraj była jeszcze dzieckiem.

Podczas tych smutnych, bolesnych tygodni, znajdował pewnego rodzaju przytułek w bawialni Leili, gdzie często po jej powrocie ze szpitala spędzał pół godzinki. Mały, czarno obity pokój z japońskimi sztychami i kwiatami wywierał na niego kojący wpływ. Tak samo działała na niego Leila, nie przeczuwał bowiem w swej niewinności jej ostatniego zboczenia z drogi cnoty; może zdawał sobie podświadomie sprawę z tego, że Leila sama nie czuła się zbyt szczęśliwa. Przypatrywał się jej, jak układa kwiaty, słuchał jej francuskich piosenek, spowiadał się przed nią ze swych trosk, i to wszystko sprawiało mu jedyną prawdziwą przyjemność w tych czasach. Leila ze swej strony przyglądała mu się i myślała: — Biedny Edward! Nigdy się nie wyżył; i nigdy się już nie wyżyje. — Czasem jednak ogarniała ją nagła myśl: — Może jednak jest godny zazdrości. Nie czuje przynajmniej tego, co ja. Pocóż się znowu zakochałam?

Z reguły nie mówili nigdy o Noel, pewnego wieczoru jednak Leila wypowiedziała się otwarcie:

— Bardzo źle postąpiłeś, Edwardzie, żeś nakłonił Noel do powrotu. To donkiszoterja. Będziesz mógł uważać za prawdziwe szczęście, jeżeli nie wynikną z tego poważne przykrości. Noel nie jest zbyt cierpliwa z usposobienia; pewnego dnia popełni jakieś szaleństwo. Pamiętaj, co ci mówię: Noel wybuchnie o wiele prędzej, jeżeli zobaczy, że ludzie się z tobą źle obchodzą, niż gdy ją samą to spotka. Na twojem miejscu wysłałabym ją zpowrotem na wieś, zanim się stanie coś złego.

— Nie mogę tego uczynić, Leilo. Musimy oboje przecierpieć, co nam dano.

— Postępujesz fałszywie, Edwardzie. Powinieneś brać rzeczy takimi, jakimi są.

Pierson odparł z ciężkim westchnieniem.

— Pragnąłbym wiedzieć, jaka przyszłość ją czeka. Jest taka czarująca i zupełnie bezbronna teraz. Straciła wiarę w Boga, straciła wiarę w to, czem dobra kobieta być powinna. Dzień po swoim przyjeździe powiedziała mi, że się wstydzi swego postępowania. Ale od tego czasu, ani słowa. Jest taka dumna, moja biedna mała Nollie. Widzę też, jak ją mężczyźni podziwiają. Nasz belgijski przyjaciel maluje ją. Dobry z niego człowiek; a że widzi, że jest piękna, temu się nikt nie może dziwić. No i twój przyjaciel kapitan Fort. Mówi się, że ojcowie są ślepi; ale czasem widzą wyraźnie.

Leila wstała i zaciągnęła roletę.

— Słońce razi, — rzekła. — Czy Jimmy Fort często do was przychodzi?

— O, nie; bardzo rzadko. A jednak widzę, widzę.

— Ty ślepcze, niezdaro! — pomyślała Leila. — Ty chcesz widzieć! Nie widzisz nawet, co się teraz obok ciebie dzieje!

— Przypuszczam, że mu jej żal, — rzekła dziwnym głosem.

— Czemu miałby jej żałować? Przecież nie wie o niczym.

— Ależ wie; sama mu powiedziałam.

— Powiedziałaś mu!

— Tak — powtórzyła Leila z uporem; — i dlatego żałuje jej.

Ale nawet i wtedy ten mnich siedzący obok niej nie dostrzegł niczego i ciągnął ślepo dalej:

— Nie, nie; to nietylko współczucie. Sposób, w jaki się na nią patrzy, upewnia mnie, że się nie mylę. Zastanawiałem się, co o tem myślisz, Leilo? Jest za stary dla niej; ale robi wrażenie uczciwego, miłego człowieka.

— O! to w istocie nadzwyczaj uczciwy i miły człowiek!

Przycisnęła z całej siły rękę do ust, by powstrzymać wybuch gorzkiego śmiechu. On, który niczego nie widział, zauważył jednak spojrzenia, jakimi Fort obrzucał Noel i mógł twierdzić na tej podstawie, że Jimmy kochał się w niej! Jakże wyraźnie te oczy musiały mówić! Straciła panowanie nad sobą.

— To wszystko jest doprawdy bardzo interesujące — rzekła wymawiając słowa z pewną pogardliwością, jak Noel — jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Jimmy jest w stosunku do mnie czemś więcej, niż przyjacielem, Edwardzie. — Zauważyła z przyjemnością, jak zadrżał. — Głupcy — pomyślała, dotknięta do żywego tem, że jej najwidoczniej nie brał wcale w rachubę. Po chwili jednak zrobiło się jej żal niebacznie wypowiedzianych słów, gdyż twarz Piersona stała się nagle bardzo spokojna i poważna. Odwróciła się i rzekła:

— Nie bój się, serce mi z tego powodu nie pęknie; umiem znosić porażki. Ale umiem też wygrywać; kto wie, może mi się i tu uda wygrać. — Ułamała gałązkę geranji i przycisnęła ją do warg.

— Wybacz mi — rzekł Pierson wolno; — nie wiedziałem. Jestem głupi. Myślałem, że miłość, jaką masz dla swoich żołnierzy, nie zostawiła miejsca na inne uczucie w twojem sercu.

Leila wybuchała ostrym śmiechem.

— Cóż jedno ma do drugiego? Czy nigdy nie słyszałeś o tem, co się nazywa namiętnością, Edwardzie? O, nie patrz tak na mnie! Czy myślisz, że kobieta w moim wieku nie jest już zdolna do uczuć? Czuje tak samo, jak zawsze, a może i silniej, gdyż wszystko wymyka jej się już z rąk.

Odjęła rękę od warg, ale płateczek geranji przylgnał do nich, jakby kropelka krwi.

— Czemże było twe życie przez te wszystkie lata — ciągnęła gwałtownie dalej — jeśli nie ustawicznym tłumieniem namiętności! Wy mnisi chwytaacie Naturę w sieci świętych słówek i staracie się przyćmić to, co dla każdego prostaka jest jasne jak słońce. Widzisz, ja nie tłumilałam namiętności, Edwardzie. W tem cała różnica.

— Czy jesteś przez to szczęśliwsza?

— Byłam; i będę znowu.

Nikły uśmiech zakwitł na wargach Piersona:

— Będziesz? — rzekł. — Miejmy nadzieję. Mamy odmienne sposoby patrzenia na życie, Leilo.

— O, Edwardzie! Nie bądź taki łagodny! Wydaje ci się zapewne, że taka istota, jak ja, nie może nigdy prawdziwie kochać?

Stał przed nią z głową spuszczoną; uświadomiła sobie nagle, że mimo całej jego naiwności i ślepoty, tkwiło w nim coś dla niej niedostępnego i niezrozumiałego. Zawołała więc:

— Byłam niegrzeczna dla ciebie. Przebacz mi Edwardzie! Jestem taka nieszczęśliwa.

— Był raz Grek, który mawiał: Bóg jest pomocą, którą człowiek człowiekowi nieść może. To nieprawda, ale to pięknie powiedziane. Dowidzenia, droga Leilo, i nie smuć się.

Uścisnęła jego rękę i odwróciła się ku oknu.

Stała tam i przyglądała się jego czarnej postaci poruszającej się na tle zalanej słońcem ulicy; na rogu koło sztachet kościoła skręcił w bok. Szedł śpiesznie, bardzo wyprostowany; nawet jego sylwetka wywoływała wrażenie, że nie widzi, co się wkoło niego dzieje — lub że może patrzy w jakiś inny świat. Leila nie zdołała nigdy wyzbyć się ortodoksyjnych tradycji, w jakich się wychowała, uznawała więc jego świętość, mimo, że ją niecierpliwili. Kiedy jej znikł z oczu, weszła do sypialni. To, co jej powiedział, nie było bynajmniej niespodzian-

ką. Przeczuwała. Och! przeczuwała. — Czemu nie przyjąłam oświadczeń Jimmy'ego? Czemu nie wyszłam za niego? Czy już teraz zapóźno?—myślała: — Czy mogłabym jeszcze? Czy chciałby — nawet teraz? — Odrzuciła jednak tę myśl ze wstrętem. Jakże mogła wyjść za niego w przeświadczeniu, że kochał Nollie! Stała przed lustrem i przyglądała się długo swej twarzy; studjowała z pełnem strachem zainteresowaniem cienkie, ostre rysy i linje pod lekką powłoką pudru. Badała uważnie włosy nad czołem, pokryte tu i ówdzie nieznacznie farbą. Czy rzeczywiście nieznacznie? Wydało jej się nagle, że plamy farby były zbyt widoczne. Dotknęła palcami i starała się wygładzić zwiotczałą nieco skórę zbyt już pełnego podbródka. Wyciągnęła się i powiodła rękoma wzdłuż całej postaci, jakby szukając zwiotczalności czy otyłości. Pomyślała z goryczą: — Kończę się. — Przebiegła jej przez myśl zwrotka z wierszyka, który jej Fort kiedyś pokazał:

„O nie śpiesz, nie śpiesz tak w dal
Czasie, stary cyganie.
Choćby na jeden dzień
Przerwij swe wędrowanie!“

Cóż więcej mogła uczynić? Nie lubił kiedy sobie malowała usta. Zauważyła, że mu się to nie podobało, spostrzegła, jak otarł sobie usta po pocałunku, w chwili, kiedy przypuszczał, że tego nie widzi. — To mi niepotrzebne! — pomyślała. — Usta Noel nie są wcale czerwieniejsze, doprawdy. Co ma właściwie ponętniejszego ode mnie? Młodość — świeżość rosy na wiosennej trawie! To wprawdzie nie trwa długo, ale dość długo, by jej „dać rady“ jak mówili żołnierze. I nagle ogarnął ją bunt przeciw sobie samej, przeciw Fortowi, przeciw temu zimnemu krajowi pełnemu mgieł; uczuła gwałtowną tęsknotę za gorącym słońcem Afryki, za afrykańskie-

mi kwiatami; za beztroskiem życiem z dnia na dzień, jakie prowadziła przez pięć lat przed wybuchem wojny. High Constanca w czasie winobrania! Ileż to lat temu — dziesięć, jedenaście! Ach! Gdybyż miała przed sobą tych dziesięć lat, z n i m! Dziesięć słonecznych lat! Wtedy byłby ją kochał, wtedy uczucia jego nie uległyby zmianie! A jej nie sprzykrzyłby się napewno tak, jak inni. — Za pół godziny — pomyślała — będzie już tutaj siedział naprzeciw mnie; i znowu będę patrzyła, jak się wysila i przymusza do okazania mi tkliwości, której nie odczuwa! To zbyt upokarzające! Ale wszystko mi już jedno; muszę go mieć!

Przerzuciła swoją garderobę, szukając jakiejś niezna-nej mu sukni, czy barwy, jakiegokolwiek odmiany, która- by jej mogła pomóc. Niestety wypróbowała już wszyst- kich tych małych sztuczek — była bankrutką. Ogarnął ją tak ciężki, beznadziejny nastrój, że nie przebrała się nawet i położyła się w swym pielęgniarzkim stroju na tapczanie udając, że śpi, podczas, gdy służąca przygo- towywała kolację. Leżała tak przygnębiona, bez ruchu, starając się wszelkimi siłami nabrać odwagi; czuła, że przegra wszystko, o ile się przyzna do swej klęski; a je- dnocześnie wiedziała, że wiąże go z nią jedynie litość. Kiedy jednak usłyszała jego kroki na schodach, przesunęła sobie szybko dłonie po twarzy, jakby chciała ze- trzeć z policzków krew i leżała zupełnie cicho. Miała nadzieję, że wygląda blado; tak też było w istocie; pod oczyma jej rysowały się głębokie cienie, ślady bolesnych przeżyć ostatnich kilku godzin. Poprzez zmrużone rzęsy widziała, że się zatrzymał i patrzył na nią ze zdzi- wieniem. Śpi, czy może chora? Nie drgnęła. Chciała go śledzić. Przeszedł na palcach przez pokój i stanął koło tapczanu, spoglądając na nią. Zmarszczka przecinała mu czoło: — Och, pomyślała — nie miałbyś nic przeciw te- mu, żebym już leżała nieżywa, mój miły przyjacielu. —

Pochylił się nieco ku niej; Leila zapragnęła nagle wiedzieć, czy wygląda ładnie, leżąc tak, i pocałowała teraz, że się nie przebrała. Zobaczyła, że wzruszył nieznacznie ramionami, najwidoczniej zdziwiony. Nie poznał, że udawała. Jakie miłe były jego rysy — nie w nich nie kryło się niskiego, nieuczciwego, twardego! Otworzyła oczy, które wbrew jej usiłowaniom pełne były dręczącej ją rozpacz. Ukląkł przy niej, podniósł jej rękę do ust i ukrył w niej usta.

— Jimmy — rzekła łagodnie, — jestem ci strasznym ciężarem. Biedny Jimmy! Nie! Nie udawaj! Wiem, co mówię! — Mój Boże, cóż ja mówię? — pomyślała. — To przecież fatalne. Nie powinnam pigdy!... — Przyciągnęła jego głowę do siebie i przycisnęła ją do piersi. Potem, wyczuwając instynktownie, że sytuacja doszła do momentu najwyższego napięcia, zerwała się szybko z kanapy, pocałowała go w czoło, przeciągnęła się i rzekła ze śmiechem:

— Spałam i śniłam; śniłam, że mnie kochasz. Śmieszne, prawda? Chodź! Mamy ostrygi, ostatni raz w tym sezonie.

Przez cały wieczór zachowywali jaknajwiększą ostrożność, by nie pobudzić się wzajem do wzruszeń i nie dotknąć tematu, któryby mógł doprowadzić do sceny; zdawali sobie snąć oboje sprawę, że stali dziś już raz nad brzegiem przepaści i spojrzeli w jej głąb. Leila mówiła bez ustanku o Afryce.

— Czy nie tęsknisz za słońcem, Jimmy? Czy nie moglibyśmy — czy nie mógłbyś tam pojechać? Ach, czemu się ta przeklęta wojna nie kończy? Oddałabym wszystko, co tu u nas mamy — wszelkie bogactwo, wygodę, kulturę, sztukę, muzykę — oddałabym wszystko za tamtejsze światło i słońce. A ty?

Fort odparł, że czuje to samo, zdając sobie zbyt do-

brze sprawę, że istnieje coś, czegoby absolutnie nie poświęcił. A Leila wiedziała o tem równie dobrze, jak Jimmy. Byli obydwójce weselsi, niż zazwyczaj; tak, że kiedy odszedł, Leila rzuciła się raz jeszcze na tapczan, zagrzebała twarz w poduszkach i zapłakała gorzko.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

I.

Uczucia — tego, z jakim... Pierson opuścił Leilę, nie można było nazwać rozczarowaniem. Może w głębi duszy nigdy nie wierzył w jej moralne odrodzenie. Czuł się raczej dotknięty do żywego i jeszcze bardziej osamotniony, niż zwykle. Musiał się teraz wyrzec zacisznego miejsca spoczynku; z życia jego ubyło znowu trochę ciepła i uroku. Nie wydało mu się nawet, że powinien nakłaniać Leilę do małżeństwa z Fortem i ocalić w ten sposób jej duszę. Był zawsze zbyt wrażliwy, zbyt wiele miał w sobie z gentleman'a, by sprostać bardziej przyziemnym wymaganiom ewangelji. Ta delikatność stała mu niejednokrotnie na zawadzie przez cały czas jego zawodowego życia. Przez osiem lat współżycia z żoną czuł się pewniejszy, wszystko wydawało się prostsze i naturalniejsze, a jej zrozumienie, rady i przyjaźń były mu wielką podporą. Z chwilą jej śmierci mgła spowiła jego duszę. Nikt nigdy nie mówił z nim szczerze. Któżby mówił szczerze do służebnika kościoła? Nikt mu nigdy nie powiedział w kilku słowach, że powinien się być powtórnie ożenić, że życie w celibacie było szkodliwe dla niego zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym, że skrzywiało i mroczyło mu obraz życia; nie zapędziło go

wprawdzie, jak się to często dzieje, w nietolerancję i okrucieństwo, ale uczyniło go marzycielem, nawpół tylko świadomym otaczającego go świata i dręczyło go ustawicznie nieuchwytną tęsknotą. Przez te wszystkie lata celibatu znajdował jedyne szczęście w muzyce, albo też w wyczerpujących wycieczkach daleko na wieś, gdzie mógł utonąć całą duszą w otaczającym go pięknie Natury; od czasu wybuchu wojny, opuścił Londyn tylko raz, właśnie na owe trzy dni, spędzone w Kestrel.

W drodze do domu zastanawiał się raz jeszcze nad dowodami, jakie mu pozwoliły przypuszczać, że Fort miał dla Noel jakieś głębsze uczucia. Ileż to razy był u nich od czasu jej powrotu? Trzy razy zaledwie — trzy wieczorne wizyty! I nie został z nią sam na sam ani przez jedną minutę! Gdyby nie nieszczęście, które spadło na jego córkę, Pierson nie zauważyłby niczego niezwykłego w zachowaniu się Fort'a; teraz jednak był w wiecznej o nią obawie, więc nie uszło jego bacności, że Fort spoglądał na nią z niezwykłym szacunkiem, że głos jego brzmiał szczególnie miękko, kiedy się do niej zwracał, a raz zauważył w rysach Forta wyraz nagłego bólu i zupełnego zubożenia, kiedy Noel wstała i opuściła pokój.

A Noel? Dwa razy zaskoczył ją, kiedy niezauważona przez Forta przyglądała mu się z pełnym zamyślenia zainteresowaniem. Przypomniawszy sobie, jak to, jako mała dziewczynka, przyglądała się czasem w milczeniu komuś dorosłemu, a potem nagle przyłączała się do tej osoby i pełna była dla niej oddania. Tak, musi ją ustrzec zanim się znowu zapłącze w jakąś nieszczęsną aferę. Pierson, przesadnie moralny, zmienił nagle swe mniemanie o Fortcie na gorsze. Był więc nie tylko wolnomyślicielem, ale i w życiu też nie krępował się niczem. Biedna, mała Nolli! Już znowu zagrożona! Każdy mężczyzna gotów był, jak wilk, rzucić się na nią!

Znalazł Noel w salonie z panem Lavendie; stali przed portretem, prawie już ukończonym. Patrzył na obraz długą chwilę i odwrócił głowę.

— Bardzo podobne, prawda, tatusiu?

— Jest bezsprzecznie podobne; ale dziwnie bolesne. Nie wiem, czemu.

Ujrzał na twarzy pana Lavendie uśmiech, jaki pojawia się na obliczu malarza, kiedy krytykuje się jego obraz.

— Może koloryt panu nie odpowiada, monsieur?

— Nie, nie; to coś głębszego. Wyraz twarzy; na co ona czeka?

Obronny uśmiech zgasł na wargach malarza.

— Ja ją właśnie tak widzę, monsieur le curé.

Pierson spojrział ponownie na obraz i nagle zakrył oczy dłonią.

— Wygląda, jak opętana — rzekł i wyszedł z pokoju.

Lavendie i Noel zostali w salonie, zapatrzeni w obraz. W końcu Lavendie rzekł:

— Myślę, że ucho jest jeszcze w zbyt jaskrawem świetle.

2.

Tegoż wieczoru Pierson przywołał Noel z powrotem, kiedy już pożegnała się, aby się udać na spoczynek.

— Noll, chciałbym, żebyś wiedziała: kapitan Fort jest właściwie, w głębszem tego słowa znaczeniu, żonatym człowiekiem.

Widział, że się zaczerwieniła i czuł, że i jego policzki zabarwiają się rumieńcem.

Rzekła spokojnie:

— Wiem; z Leilą.

— Czy ci Leila powiedziała?

Noel potrząsnęła przecząco głową.

— Więc skąd wiesz?

— Domyśliłam się. Tatusiu, nie obchodź się ze mną, jak z dzieckiem. Cóż to ma teraz za sens?

Usiadł przed kominkiem i ukrył twarz w dłoniach. Drżenie tych rąk i ruch ramion zdradziły Noel, że ojciec stara się opanować wzruszenie, a może nawet płacze; siadła na jego kolanach, przytuliła jego ręce do swej twarzy i szeptała:

— Kochany tatusiu! Kochany tatusiu!

Oplótł ją ramionami i siedzieli tak długo, przytuleni do siebie, bez słowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

I.

Nazajutrz po owym cichym wybuchu uczuć w salonie, była niedziela. Noel, idąc za popędem, który się w niej zbudził w nocy, aby okazać ojcu jaknajwięcej serca, zapylała:

— Czy życzyłbyś sobie, żebym poszła do kościoła?

— Naturalnie, Nolli.

Jakąż inną odpowiedź mógł jej dać? Dla niego Kościół był przybytkiem pokoju i rozgrzeszenia, dokąd ludzie powinni się uciekać, gdy czują się pełni winy lub gdy ich nęka troska. Kościół był niebem grzeszników, źródłem miłosierdzia, przebaczenia i miłości. Nie wierzyć w to po tych wszystkich latach — znaczyłoby przeczyć użyteczności całego swego życia i rzucać obrazę na Dom Boży.

A więc Noel poszła z nim do kościoła, Gracja bowiem pojechała na *w e e k - e n d* do Jerzego nad morze. Wsunęła się cicho do bocznej nawy i usiadła w pustej ławce tuż przed kazalnicą. Nie odwracała przez cały czas oczu od kazalnicy, nie zauważyła więc, jakie poruszenie wywołała jej obecność w ciągu godziny i dwudziestu minut. Za jej plecami nieme fale zdziwienia, pośpiechu i odrzy przebiegały tajemnym prądem rzesze

zebranych. Prędzej, czy później oczy każdego wlepiły się w Noel i każdy uważał się za powołanego, by być jej sędzią. Podczas, gdy monotonne słowa modlitwy i śpiewy płynęły dalej przez kościół, spojrzenia wszystkich tych klęczących, stojących i siedzących postaci opromieniały jakby tę jedną rozmodloną główkę, której pobożność wydawała im się śmieszna. Ta dziewczyna, która zdradziła swego ojca, swą wiarę i swą kastę, przeszkadzała im w nabożnem skupieniu. Powinna wprawdzie okazać skruchę, a kościół był do tego z pewnością odpowiedniem miejscem; a jednak ta skrucha na oczach ich wszystkich miała w sobie coś dziwnie bezczelnego; była zbyt widoczną plamą na kryształe autorytetu kościoła, zbyt widoczną dziurą w szacie jej kapłana. Wokół jej postaci zogniskowało się teraz całe to niemile zdumienie, które nurtowało we wszystkich już od kilku tygodni. Matki drżały na myśl, że córki ich mogłyby ją zobaczyć; żony niepokoila świadomość, że ich mężowie patrzą na nią. Mężczyźni doświadczali uczucia wahającego się między potępieniem, a czemś w rodzaju pożądania. Młodzież dziwiła się i powstrzymywała chichot. Stare panny nie mogły wcale na nią patrzeć. Tu i ówdzie jakiś mężczyzna czy kobieta, którzy poznali życie, żalowali jej poprostu! Wszyscy, którzy ją znali osobiście, łamali sobie głowy, jak się zachować, gdyby się z nią zetknęli przy wychodzeniu z kościoła. Chociaż bowiem najwyżej pół tuzina mogło się o nią otrzeć, każdy przypuszczał, że może się to właśnie jemu przytrafić i niejednen życzył sobie tego, widząc w tem sposobność zaznaczenia raz na zawsze swego stanowiska wobec niej. Była to w istocie zbyt ciężka próba natury ludzkiej i uczuć, które Kościół powinien rozwijać! Nieruchomość tej młodej postaci, niemożność zobaczenia jej twarzy i osądzenia w ten sposób stanu jej uczuć; i w końcu ten cichutki zacząjony w głębi duszy wstyd, że

niepokoi ich tak bardzo sprawa, dotycząca płci, i to do tego w Domu Bożym — wszystko to razem wywoływało u każdego instynkt zachowawczy gromady, który tak szybko przeradza się w instynkt zaczepny. Nawpół świadoma tego wszystkiego Noel stała, siadała i klękała. Raz, czy dwa razy zauważyła wlepiony w siebie wzrok ojca; przejęta jeszcze nawskroś uczuciem litości, które ją wczoraj ogarnęło, patrzyła z uwielbieniem na jego szczupłą, poważną twarz. Z własnych jej rysów przebijał jednak po największej części wyraz, jaki Lavendie przeniósł na płótno — wyraz oczekiwania przelomowych momentów życiowych, nielicznych i ulotnych chwil spełnienia, jakie stają się udziałem ludzi w życiu — wyraz jej twarzyczki nie był ani głodny, ani niezadowolony, ale pełen rozmarzenia i wyczekiwania, mógł w każdej chwili rozłusnąć się blaskiem ciepła i głębi i zapaść ponownie w rozmarzenie.

Kiedy ostatnie tony organów zamarły, siedziała dalej spokojnie, nie oglądając się za siebie. Ponieważ nie było drugiego nabożeństwa, zebranie topniało za jej plecami i dawno już rozsypało się po ulicach i placach, zanim wyszła ze swej ławki. Zastanowiła się chwilę, czy ma wejść do zakrystji, potem jednak zwróciła się ku wyjściu i udała się do domu sama.

Prawdopodobnie właśnie to zdecydowane uchylene się od wszelkiego spotkania postawiło kropkę nad i. Brak jakiegokolwiek wentyla, jakiegokolwiek ujścia dla uczuć jest zawsze rzeczą niebezpieczną. Zebrani poczuli się oszukani. Gdyby Noel była weszła pomiędzy tych, którym przez swą obecność przeszkadzała w modlitwie, i gdyby przy wyjściu z kościoła dała jednym sposobność zmanifestowania ostracyzmu, a drugim możliwość przyjrzenia się temu w roli świadków, kto wie możeby zaspokoila obrażone poczucie przyzwoitości i możeby nikt więcej nie mieszał się w te sprawy, gdyż ludzka natura

szybko się ze wszystkim oswaja; a prócz tego wojna zajmowała wszystkie umysły bardziej nawet, niż zagadnienia moralności. Lecz fakt, że nic się nie stało i przeświadczenie, że co niedzielę spotykać ich będzie ta sama mała zniewaga, spowodowały, że około tuzina nie stojących ze sobą w żadnym związku osób wysłało tegoż wieczora tyleż listów zaopatrzonych podpisem bądź anonimowych, a skierowanych pod jeden i ten sam adres. Londyn nie jest odpowiednim terenem dla parafjalnego spisku, to też to było niewątpliwie jedyne wyjście z sytuacji, która na wsi spowodowałaby zapewne kilka publicznych zebrań i doprowadziłaby może do sformułowania rezolucji. Prócz tego niektórzy ludzie mają w sobie tajemniczą skłonność do pisania anonimów, gdyż listy takie zaspokajają niejasne poczucie sprawiedliwości, niezbadaną potrzebę wyrównania rachunku z osobami, które ich dotknęły lub zaniepokoiły, nie dając im sposobności odwetu.

Listy dochodzą czasem miejsca swego przeznaczenia.

2.

We czwartek rano Pierson siedział w swym gabinecie w godzinie, poświęconej na przyjmowanie swych parafjan, kiedy weszła służąca i rzekła:

— Kanonik Rushbourne, sir.

Ujrzał przed sobą starego przyjaciela z College, którego rzadko tylko widywał w przeciągu ostatnich lat. Gość był niskim siwym człowiekiem, dość otyłym; jego okrągłe, różowe, pogodne oblicze z jasnymi, lśniącymi nieco oczyma miało wyraz trzeźwej dobrotliwości. Uściśnął dłoń Piersona i rzekł grubym grzmiącym głosem, któremu obowiązki zawodu nadały odcień pewnego namaszczenia.

— Mój drogi Edwardzie, ileż to lat jakieśmy się nie

widzieli? Czy pamiętasz naszego starego Blokeway'a? Spotkałem go dopiero wczoraj. Nic się nie zmienił. Strasznie się cieszę, że cię znowu widzę. — Zaśmiał się cichym, nerwowym śmiechem. Potem mówił przez chwilę o wojnie i dawnych dniach, spędzonych w College, a Pierson patrzył na niego i myślał: — W jakim celu tu przyszedł?

— Masz mi coś do powiedzenia, Alec? — rzekł w końcu.

Kanonik Rushbourne pochylił się naprzód i odparł z widocznym wysiłkiem:

— Tak; chciałem z tobą pogadać, Edwardzie. Przypuszczam, że mi tego nie weźmiesz za złe. Prawda?

— Dlaczego miałbym ci to brać za złe?

Oczy kanonika Rushbourne'a błyszczały bardziej, niż zwykle; wyraz jego twarzy był szczerze przyjazny.

— Wiem, że masz wszelkie prawo powiedzieć: pilnuj swego nosa. Postanowiłem sobie jednak przyjść do ciebie jako przyjaciel, w nadziei, że zdołam cię ocalić od... hm... — zająknął się i zaczął na nowo: — Powinieneś wiedzieć, że twoje stanowisko w parafji jest... hm... bardzo niewyraźne. Nie popelnię niedyskrecji jeżeli ci powiem, że kilka listów nadeszło do twoich przełożonych. Może rozumiesz, co mam na myśli. Wierz mi, drogi przyjacielu, że powoduje mną jedynie moje długoletnie przywiązanie do ciebie; zapewniam cię, że nie powodowałem się niczem innym.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było jego sapiący oddech, jak u człowieka, który cierpi na lekką astmę; gładził bezustannie grube kolana w czarnych spodniach, a oblicze jego promieniało zatroskaną serdecznością. Słońce oświetlało jasno te dwie czarne postacie, tak bardzo od siebie różne. W jaskrawem świetle znoszone ich ubrania wpadały w ledwo widoczny zgniło-zielonawy odcień, właściwy sukniom księży.

W końcu Pierson rzekł:

— Dziękuję ci, Alec; rozumiem.

Kanonik westchnął głęboko.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak łatwo ludzie mogą źle zrozumieć fakt, że ona jest tu przy tobie; odczuwają to jako... jako wyzwanie. Według mnie nie mogli tego wcale inaczej pojąć; boję się, że skutki... — Przerwał, gdyż zobaczył nagle, że Pierson zamknął oczy.

— A więc chcesz mi powiedzieć, że mam wybierać między moją córką, a moją parafją?

Kanonik usiłował w szeregu urywanych słów stępić ostrze tego jasnego pytania.

— Moja wizyta jest całkiem prywatna, mój drogi; nie wiem niczego pewnego. Ale wszyscy są najwidoczniej bardzo wzburzeni; chciałem, żebyś o tem wiedział. Nie doceniłeś bezwątpienia...

Pierson podniósł rękę:

— Nie mogę mówić o tem.

Kanonik wstał.

— Wierz mi Edwardzie, współczuję ci głęboko. Czuję, że powinienem cię ostrzec. — Wyciągnął do niego rękę. — Dowidzenia, drogi przyjacielu, wybacz mi, — i wyszedł. W hallu miał przygodę tak niemiłą i przykrą, że ledwo zdobył się na to, by ją opowiedzieć wieczorem swojej żonie.

— Kiedy wychodziłem od mego biednego przyjaciela — rzekł, — wpadłem na wózek dzieciny i na tę młodą matkę, którą pamiętam, kiedy była taka maleńka — podniósł rękę na wysokość swojego kolana. — Przygotowywała dziecko do przejażdżki. Zmieszałem się, i mam wrażenie, że zadałem jej głupie pytanie: — Czy to chłopczyk? — Biedne, młode stworzenie spojrzało na mnie. Ma ogromne oczy, bardzo piękne i bardzo dziwne.

— Czy pan mówił z tatusiem o mnie?

— Moje drogie dziecko, — rzekłem. — Jestem tak

mu oddany. Musi mi pani wybaczyć. — A ona na to rzekła: — Czy każą mu ustąpić? — To zależy od pani, — odpowiedziałem. POCO to powiedziałem, Charlottto? Powinienem był trzymać język za zębami. Biedne młode stworzenie; takie młode! A to maleństwo!

— Sama sobie nawarzyła piwa, Alec. — odparła pani Rushbourne.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

1.

Po odejściu gościa Pierson zaczął chodzić tam i zpowrotem po swym gabinecie. Serce wezbrało mu gniewem. Córka — albo parafja! Stary przywilej, streszczający się w słowach: „Anglik jest panem w swym domu“ został naruszony przez tę wizytę. Więc nie wolno mu dać schroniska własnej córce, nie wolno jej pomóc, by drogą jawnej pokuty odzyskała siłę i spokój duszy? Czyż nie postąpił, jak prawdziwy chrześcijanin, czyż nie obrał najcięższej bezsprzecznie drogi dla siebie zarówno jak i dla córki? Miał więc odstąpić od tego postanowienia i narazić duszę swego dziecka, lub też zrezygnować ze swego probostwa — co za brutalne alternatywy! Wszystko, co go tu otaczało, było dla niego ośrodkiem świata, jedynem miejscem, gdzie tak samotny, jak on, człowiek mógł się czuć mniej więcej w domu; był związany tysiącem nici ze swym kościołem, ze swymi parafjanami, z tym domem — a żyć w nim dalej po zgłoszeniu rezygnacji było wprost niemożliwością. Głównem jednak uczuciem, jakie go teraz przepelniało, był gniew i zdumienie, że został w ten sposób zaatakowany przez swoich parafjan za to, iż spełnił swój obowiązek.

Ogarnęła go nieprzeparta chęć sprawdzenia, co oni naprawdę myślą i czują — ci jego parafjanie, którym był przyjacielem, dla których przez tyle lat pracował. Wyszedł z domu. Nim jednak przeszedł przez plac, uświadomił sobie absurdalność swego przedsięwzięcia. Nie można było pójść do ludzi i rzec: — Zdradźcie mi wasze najskrytsze myśli. — Zdał sobie nagle sprawę, jak mało łączności istniało między nim, a jego owieczkami. Czy poprzez wszystkie nabożeństwa, które dla nich odprawiał, dotarł kiedykolwiek do ich serc? A teraz w tej pałacej potrzebie poznawania prawdy, nie widział na to sposobu. Wszedł na chybił trafił do składu papieru; właściciel sklepu śpiewał basem w jego kościelnym chórze. Spotykali się co niedzielę przez siedem ostatnich lat. Ale, kiedy teraz wszedł do sklepu, opanowany gorączką poznania prawdy, odniósł wrażenie, jakby człowieka, stojącego za ladą, ujrzał po raz pierwszy w życiu. Przebiegło mu przez myśl rosyjskie przysłowie: „Dusza bliźniego jest ciemnym lasem“.

— No, Hodson, cóż słyhać z synem? — zagadnął.

— Żadnych wiadomości, panie Pierson, dziękuję, sir; nie dostałem ostatnio żadnego listu.

Wydawało się Piersonowi, kiedy spoglądał na tę twarz, okoloną krótką, siwiejącą brodą, przystrzyżoną podobnie do jego własnej, że mężczyzna stojący naprzeciw niego musi zapewne myśleć: — No, sir, a cóż słyhać z twoją córką? — Nikt mu nigdy nie powie prosto w oczy, co o nim myśli. Kupił dwa ołówki i wyszedł. Po drugiej stronie ulicy mieścił się sklep ptasznika. Prowadziła go teraz żona właściciela, który został wzięty do wojska. Nie była dlań nigdy przychylnie usposobiona, wiedziała bowiem, że Pierson często czynił jej mężowi wymówki za to, że handlował skowronkami i innymi dzikimi ptaszkami. Zdecydowanym krokiem przebiegł ulicę i stanął przed wystawą w chorobliwej wprost

nadziei, że może od tej nieprzyjaznej mu osoby usłyszy prawdę. Właścicielka była w sklepie i podeszła do drzwi.

— Czy miała pani jakieś wiadomości od męża. Mrs. Cherry?

— Nie, sir, nie miałam; nie było żadnego listu w tym tygodniu.

— Czy jest już na froncie?

— Nie, sir, jeszcze nie.

Rysy jej nie zdradzały żadnych uczuć; były poprostu wyprane z wszelkiego wyrazu. Piersona opanowało szaleńcze pragnienie, by jej powiedzieć: — Na miłość Boską, kobieto, powiedz, co masz na myśli; powiedz, co sądzisz o mnie i o mojej córce. Nie zwracaj uwagi na sutannę! — Ale nie mógł tego głośno wypowiedzieć, tak samo, jak kobieta nie mogła szczerze wypowiedzieć swych myśli. Rzekł więc — dowidzenia — i poszedł dalej. Żaden mężczyzna i żadna kobieta nie powie mu słowa prawdy, chyba może po pijanemu. Przechodził koło szynku i zawahał się nawet na chwilę, czy nie wejść. Ale na myśl, że może usłyszeć coś obraźliwego o Noel, porzucił ten zamiar i udał się dalej. I wtedy uświadomił sobie prawdę. Choć wyszedł, aby usłyszeć co o nim myślą, nie chciał właśnie dowiedzieć się prawdy, nie mógł jej wcale znieść. Zbyt długo był nietykalny, zbyt długo nie podlegał żadnej krytyce, zbyt długo piastował stanowisko, które upoważniało go do mówienia innym, co o nich myśli. Nagle, pośród tej tłumnej ulicy, poczuł tęsknotę za wsią, tęsknotę, która go zwykle nawiedzała, gdy mu coś ciążyło na sercu. Zajrzał do notatnika. Niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności był tego dnia prawie że zupełnie wolny. Tuż obok przejechał autobus, który mógł go zawieźć daleko za miasto. Wdrapał się nań i dojechał aż do Hendon; tu wysiadł i zaczął iść dalej piechotą. Dzień był pogodny i gorący, wszystko wokół tonało w majowym kwieciu. Szedł szyb-

ko prościutką drogą, aż stanął na szczycie wzgórza Elstree Hill. Stał tam przez kilka chwil, spoglądając na kapliczkę szkolną, na boiska cricketowe i szerokie pola poza niemi. Spokój panował wokoło, gdyż była to pora obiadowa. Koło niego pasł się koń przywiązany do płotu. Jakiś kot włóczęga, uderzony najwidoczniej osobliwością jego czarnej, wysokiej postaci, zatrzymał się, potem prześlizgnął się pod furtką, wygiął grzbiet w kabłąk i zaczął się ocierać o jego nogę, kiwając zagiętym koniuszkiem ogonka. Pierson pochylił się i pogłaskał łebek stworzonka. Kot zamiauczał cichutko i pomaszerował z gracją przez drogę. Pierson też poszedł dalej, minął wioskę i wszedł na miedzę. Na skraju zarosłego koniczyną pola położył się w cieniu krzaków dzikiej róży. Leżał na plecach, z kapeluszem obok siebie w trawie i rękoma splecionymi na piersi, jak krzyżowiec wykuty na starym grobowcu. Choć leżał nieruchomo, jak taki stary rycerz, nie miał zamkniętych oczu; utkwił je w błękitnie, gdzie śpiewał skowronek. Trele ptaka działały na jego umysł niczem ożywczy strumień; namiętna beztroska tego śpiewu rozbudziła w nim wielkie uмиłowanie piękna i wywołała bunt przeciw morderczemu, bezlitosnemu światu. Och! Żebyż tak unieść się w przestworza na skrzydłach tej pieśni w jasną krainę ducha, gdzie niema brzydoty, ni zła, ni okrucieństwa; gdzie łagodna twarz Zbawiciela promieniuje wokoło wiekuiłą miłość! Zapach majowych kwiatów, przygrzanych słońcem, upoił jego zmysły. Zamknął oczy i z tą samą chwilą myśli jego powróciły do poprzednich roztrząsań ze zdwojoną intensywnością, jakby mszcząc się za jego chwilową od nich ucieczkę. Sprawa sięgała samych źródeł jego istoty, miała straszliwe i tajemne znaczenie. Jeżeli postępowanie zgodne z nakazem sumienia czyniło go niezdolnym do opiekowania się swą parafją, w takim razie wszystko zbudowane było na piasku, było właściwie nieistotne,

polegało tylko na dobrowolnej umowie. A gdzież się podziało miłosierdzie i przebaczenie za szczerze odpokutowane winy? Albo o n był w błędzie, kiedy żądał od Noel jawnego przyznania się do winy i jawnej pokuty, albo też o n i byli w błędzie, domagając się od niego odstąpienia od takiego żądania. Nie istniało nic, co by mogło pogodzić ze sobą te dwie sprzeczności. Ale skoro o n był w błędzie, dokądże miał się udać teraz, kiedy już miał najcięższe chwile za sobą? Miał wrażenie jakby został wyrzucony poza obręb świata, jakby zawisł w przestrzeni, jakby oślepiająca chmura otoczyła jego głowę. — Napewno nie postąpiłem źle, — pomyślał; — każda inna droga była łatwiejsza. Poświęciłem własną dumę i dumę mojej córki; byłbym stokroć wolał, żeby uciekła przed tem wszystkim. Jeżeli za to mamy zostać ukamienowani i wypędzeni, to cóż za siłę żywotną ma w sobie religja, którą kochałem? Do czego wkońcu zmierzam? Czy służyłem zwodniczemu złudom? Nie chcę i nie mogę w to uwierzyć. Coś jest ze mną nie w porządku — coś jest nie w porządku — ale gdzie — i co? — Obrócił się, położył się twarzą do ziemi i zaczął się modlić. Prosił Boga, by mu wskazał, jak ma postąpić, by uwolnił go od wybuchów gniewu, które teraz ciągle nim targaly; a przedewszystkiem modlił się o wyswobodzenie go z uczucia osobistej krzywdy, z przeświadczenia, że spotykało go coś niezasłużonego. Usiłował postępować w myśl swych zasad sprawiedliwości, poświęcił całą swą drażliwość, całą skrytą a wytrawną dumę ojca i człowieka. I za to miał zostać wyrzucony! Czuł teraz chwilową ulgę — nie wiadomo, czy z powodu modlitwy, czy też przez zetknięcie się z pachnącą koniczyną. W oddali ujrzał wieżę kościoła w Harrow. Kościół! Nie, T e n nie był, nie mógł być w błędzie. Wina leżała w nim samym. — Jestem niepraktyczny, — pomyślał. — Wiem, że tak jest. Agnes zawsze mi to mówiła, Bob i Thirza też są

tego zdania. Wszyscy uważają mnie za niepraktycznego, za marzyciela. Ale czy to jest grzechem? — Obok na polu pasło się kilka owieczek; zaczął się przypatrywać ich skokom; pod wpływem tego widoku przygnębienie ustępowało zwolna; otrzepał kapelusz z kwiecistego pyłu koniczyny i skierował się do powrotu. Na boisku kilku chłopców grało teraz w cricketa; przystanął i przypatrywał im się przez kilka minut. Nie widział rozgrywki cricketowej od chwili wybuchu wojny; uderzenia kijków, nawoływania młodych, krzykliwych głosów, gdzieś w oddali warkot samolotu w drodze do Hendon — wszystko to brzmiało dla Piersona jak echo z innego świata. Jeden z chłopców wykonał dobry rzut. — Bravo! — zawołał. W tej samej chwili uświadomił sobie, jak dziwacznie i nie na miejscu musi wyglądać jego czarna postać wśród tej zieleni, odwrócił się i przeszedł dalej drogą ku miastu. Zgłosić rezygnację; czekać, co się stanie; czy też wysłać Noel z Londynu? Z tych trzech ewentualności jedynie ostatnia wydała mu się niemożliwa. — Czy jestem im rzeczywiście tak obcy, że chcieliby, bym sobie poszedł, jedynie z tego powodu? Jeżeli tak się sprawy mają, to lepiej, żebym poszedł. Będzie to poprostu jeszcze jedno niepowodzenie w moim życiu. Nie mogę jednak jeszcze uwierzyć, nie mogę.

Skwar dokuczał mu niezmiernie, zmęczył się bardzo, zanim w końcu usiadł w autobusie i poczuł na policzkach chłodzący powiew. Dopiero o szóstej zajechał do domu, a od śniadania nie miał niczego w ustach. Poszedł na górę, aby wziąć kąpiel, położyć się i wypocząć aż do kolacji.

Niezwykła cisza panowała w domu. Zapukał do drzwi dziecinnego pokoju. Był pusty; przeszedł do pokoju Noel; ale i tam nie znalazł nikogo. Szafa była otwarta, jakby ją ktoś opróżnił w pośpiechu, a z toalety znikły wszystkie stojące tam zwykle przedmioty. Zaniepokojono-

ny pociągnął gwałtownie za dzwonek. Staromodny turkot rozległ się po całym domu. Weszła służąca.

— Gdzie jest panna Noel i niania, Susan?

— Nie wiedziałam, że pan już wrócił, sir. Panna Noel zostawiła mi ten list dla pana. Oni... ja...

Pierson przerwał jej ruchem ręki.

— Dziękuję ci, Susan; podaj mi proszę szklankę herbaty. — Czekał z zamkniętym listem w ręce, dopóki nie wyszła z pokoju. W głowie czuł zamęt; usiadł na łóżku Noel i zaczął czytać:

„Najdroższy Tatusiu,

„Człowiek, który był tu dziś rano, powiedział mi, co się ma stać. Nie mogę do tego w żaden sposób dopuścić. Wysyłam nianię z małym z miejsca do Kestrel i idę na noc do Leili, zanim postanowię, co mam robić dalej. Wiedziałam, że mój powrót był fałszywym krokiem. Wszystko mi jedno, co się ze mną stanie, ale nie zniosę, by ciebie spotkała krzywda. Uważam, że to podłe ze strony ludzi, że chcą cię karać za moje winy. Musiałam pożyczyć pieniędzy od Susan — sześć funtów. Ach! Tatusiu drogi, przebacz mi.

Twoja kochająca Cię

Nolli“.

Pierson czytał list z niewysłowioną ulgą; wiedział w każdym razie, gdzie była — biedna, przezorna, gwałtowna, kochająca Nolli! Wiedział gdzie była i mógł dostać się do niej. Po kąpeli i herbacie pójdzie do Leili i zabierze ją zpowrotem do domu. Biedna, mała Nolli! Myślała, że opuszczając dom, załatwi całą tę skomplikowaną sprawę! Nie śpieszył się, gdyż czuł się zmęczony; koło ósmej dopiero wyszedł z domu; dla Gracji, która nigdy nie wracała przed dziesiątą ze szpitala, pozostawił wiadomość.

Dzień nie zagaśł jeszcze, a teraz w chłodzie wieczoru Pierson wchłaniał w siebie wszystkimi zmysłami jego piękno. — Pan Bóg już tak stworzył świat — pomyślał, — że mimo najcięższych zmagañ i cierpieñ, człowiek musi się cieszyć życiem, gdy słońce świeci, gdy księżyc lśni na niebie, lub noc skrzy się gwiazdami. Nawet ludzie nie zdołają tego zepsuć. — W Regent Park bzy i szczydrzenice stały jeszcze w pełni kwiecica, choć czerwiec już dobiegał końca; przechodząc spojrział na kwitnące krzaki, jak kochanek na panią swego serca. Nagle opadły go wyrzuty sumienia. Mrs. Michett i ta ciemnooka dziewczyna, którą przyprowadziła do niego w Sylwestra, tej samej nocy, kiedy dowiedział się o tragedji córki — czyż pomyślał o nich choć raz od tego czasu? Co stało się z tą biedną dziewczyną? Zbyt go niecierpliwiło zamknięte w sobie usposobienie dziewczyny. Cóż mógł zatem wiedzieć o sercach bliźnich, kiedy nie znał swego własnego, kiedy nie umiał panować nad gniewem i buntem, kiedy nie zdołał własnej córki poprowadzić bezpieczną drogą! A Leila! Czyż nie osądził jej zbyt ostro w swych myślach? Jakże silny, jakże tajemny był ten instykt płciowy, który czatował na ludzkie istoty, porwał je i unosił, i odrzucał w końcu wycieńczone bezbronne ciała! Kilka jasnopopielatych wozów z amunicją, powożonych przez młodych opalonych chłopców w brązowych mundurach, potoczyło się leniwie drogą. Siła życia, siła śmierci to właściwie jedno i to samo; przemożna, niepojęta siła, z której była tylko jedna ucieczka, w ramiona Niebieskiego Ojca. Przypomnił mu się stary wierszyk Blake'a:

„Zesłano nas na ziemię na dni wyliczone,
Byśmy się nauczyli znosić żar miłości
A nasze czarne ciała i twarze spalone
Są jeno chmurą, lasem spowitym w ciemności.

Bo z chwilą kiedy serce ogień znieść już zdoła,
Pierzchną chmury i zabrzmi głos Wiekuistego:
Wynijdziecie z lasu! Miłość wieczysta was woła,
Płasajcie, jak baranki wkrąg namiotu mego!“

Nauczyć się znosić żar miłości! Przypomniały mu się baranki, które widział dziś popołudniu w polu; ich małe, nagle podskoki i harce, śmieszne, rozedrgane, skręcone ogonki i delikatne, wężące czarne pyszczki — co za małe cuda beztroskiej radości pośród kwiatami zasłanej łąki! Baranki, kwiaty i słońce! Głód, żądza i wielkie, szare armaty! Labirynt, step dziki; a cóż, jeśli nie wiara, będzie drogą wędrowek po tym gąszczu? — Boże, zachowaj nam naszą wiarę w miłość, w miłosierdzie i przyszłe życie! — pomyślał. Przechodził właśnie koło ślepeca, grającego na katarynce; obok ślepego stał pies z głęboką miseczką, uwiązaną na szyi. Pierson wrzucił szylinga do miseczki. Człowiek przerwał granie i podniósł na Piersona białawe oczy. — Dziękuję pięknie, sir, pójdę teraz do domu. Chodźmy, Dick. — Wystukując drogę laską szedł poomacku za psem, który ciągnął go za sobą na wyprężonej smyczy; zniknęli za rogiem. Kos, ukryty w rozkwieconych gałęziach akacji, zaintonował pieśń wieczorną, a inny wielki popielaty wóz z amunicją wyjechał z turkotem z bram Parku.

2.

Zegar kościelny wydzwonił dziewiątą, kiedy Pierson stanął przed domem Leili; poszedł na górę i zapukał. Dźwięki fortepianu ucichły; w drzwiach stała Noel. Cofnęła się, gdy zobaczyła, kogo miała przed sobą i rzekła:

— Pocoś przyszedł, tatusiu? Nie trzeba było.

— Czy jesteś sama?

— Tak; Leila dała mi klucz. Ma dziś służbę w szpitalu do dziesiątej.

— Musisz wrócić ze mną do domu, drogie dziecko.

Noel zamknęła fortepian i siadła na tapczanie. Wyraz jej twarzy był ten sam, co wtedy, gdy jej powiedział, że nie może wyjść za Cyryla Morlanda.

— Chodź, Nolli, — rzekł; — nie bądź niemądra. Musimy się przedrzeć przez to razem.

— Nie.

— Moja droga, to dzieciństwo. Czy myślisz, że przez swoją przypadkową obecność, czy nieobecność w domu, wpłyniesz na moje postanowienie i zmienisz moje zapatrywania na to, czego obowiązek ode mnie wymaga?

— Tak; chodzi tylko o moją obecność w domu. Tym ludziom nie zależy na całej sprawie, o ile nie robi się z niej jawnego skandalu.

— Nolli!

— Przecież tak jest tatusiu. Wiesz sam, że tak jest. Jeżeli wyjadę, będą cię poprostu żalowali, że masz taką złą córkę. I słusznie. Jestem złą córką.

Pierson uśmiechnął się.

— Postępujesz tak samo, jak wtedy kiedyś była taka malutka.

— Chciałabym być znowu dzieckiem, albo być o dziesięć lat starsza. Najgorzej jest być nawpół dorosłą — ale i tak nie wrócę z tobą tatusiu; więc to wszystko nie ma sensu.

Pierson usiadł obok córki.

— Myślałem dziś o tej sprawie przez cały dzień, — rzekł spokojnie. — Może postąpiłem niesłusznie w mej dumie, gdym się dowiedział o twem strapieniu. Może powinienem był przyjąć odrazu konsekwencje mego błędu, może powinienem był wtedy rzucić wszystko i zaraz cię stąd zabrać. Ostatecznie, jeżeli człowiek nie umie

być duszpasterzem, to powinien sobie przynajmniej z tego zdać sprawę.

— Ale ty u m i e s z! — krzyknęła Noel namiętnie. — Tatusiu, ty u m i e s z!

— Obawiam się, że brak mi czegoś, nie wiem dokładnie, czego; ale czegoś mi jednak brak.

— Nieprawda. Jesteś tylko za dobry!

Pierson potrząsnął przecząco głową.

— Nie mów tak, Nolli!

— Muszę! — zawołała Noel. — Jesteś za łagodny i za dobry. Jesteś miłosierny i szczerzy i wierzysz w lepszy świat; to twój cały błąd, tatusiu! Czy myślisz, że o n i w to wierzą, ci ludzie, którzy chcą cię wypędzić? Ani im się nawet nie śni, cokolwiek mówią, czy myślą. Nienawidzę ich, a czasem nienawidzę kościoła; albo jest surowy i małoduszny, albo zbyt światowy. — Przerwała na widok twarzy ojca, na której odmalował się niesamowity wprost wyraz bólu i przerażenia, jakby ktoś wyciągnął na światło dzienne jego zdradę, której sobie sam jeszcze nie uświadomił.

— Mówisz rzeczy szalone, — rzekł, ale wargi jego drżały. — Nie wolno ci mówić takich rzeczy; są złe i bluźniercze.

Noel zagryzła wargi i siedziała zupełnie cicho i nieruchomo, oparta o wysoką, błękitną poduszkę. Po chwili wybuchła znowu:

— Harowałeś dla tych ludzi od lat i nie dali ci żadnej przyjemności, żadnej miłości; nie obesłoby ich ani trochę, gdyby ci serce pękło. Nie zależy im na niczem dopóki wszystko wygląda przyzwoicie nazewnątrz. Tatusiu, jeżeli pozwolisz, by oni wyrządzili ci krzywdę, nie przebaczę ci tego nigdy!

— A jeśli ty mnie teraz krzywdzisz, Nolli?

Noel przycisnęła dłoń ojca do swego ciepłego policzka.

— Och, nie! Och, nie! Nie krzywdzę cię — nie chcę cię krzywdzić. Nigdy cię więcej nie skrzywdzę. Już to raz zrobiłam.

— A więc dobrze, dziecko drogie! Wróc zatem ze mną do domu i zobaczymy, co się da zrobić! Nie można załatwić takiej sprawy ucieczką.

Noel wypuściła jego rękę ze swojej.

— Dwa razy zrobiłam, jakś mi kazał i za każdym razem krok był fałszywy. Gdybym nie była poszła w niedzielę do kościoła, aby ci sprawić przyjemność, możeby nigdy nie było do tego doszło. Ty nie widzisz niczego, tatusiu. A ja wiem wszystko, choć siedziałam w pierwszej ławce. Wiem, jak wyglądały ich twarze i co sobie myśleli.

— Człowiek powinien postępować tak, jak należy, i nie baczyć na nic.

— Tak, ale czy my wiemy, jak należy postępować? Wiem, że nie powinnam cię krzywdzić i nie uczynię tego.

Pierson zrozumiał nagle, że przekonywać córkę było rzeczą bezcelową.

— A więc cóż chcesz uczynić?

— Przypuszczam, że pojedę jutro do Kestrel. Ciocia chętnie mnie przyjmie, wiem o tem; pomówię jeszcze z Leilą.

— Cokolwiek postanowisz, przyrzeknij mi, że mi dasz znać.

Noel skinęła głową.

— Tatusiu, wyglądasz tak strasznie, strasznie zmęczony! Czekał, dam ci zaraz lekarstwo. — Podeszła do małego, trójkątnego kredensu i pochyliła się. Lekarstwo! Nie potrzebował lekarstwa dla ciała; jasne poczucie obowiązku — to jedynie mogło go uleczyć!

Głośny wystrzał korka wyrwał go z zamyślenia.

— Co ty robisz, Nollie?

Noel podniosła się z zarumienioną twarzą; w jednej ręce trzymała szklanę szampana, w drugiej kawałek biszkopta.

— Musisz się tego napić; sama także sobie wezmę.

— Drogie dziecko — rzekł Pierson zdumiony; — przecież to nie jest twoje.

— Napij się, tatusiu. Wiesz przecież, że Leila nie wybaczyłaby mi nigdy, gdybym ci pozwoliła wrócić w takim stanie do domu. Zresztą powiedziała mi, żebym sobie coś wzięła do jedzenia. Napij się! Poślesz jej potem jakiś ładny prezent! — Tupnęła nogą.

Pierson odebrał jej z ręki szklanę i siedział przez jakiś czas, sącząc wino małymi łykami i dogryzając biszkopt. Było doprawdy dobre, bardzo dobre! Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był wygłodzony. Noel wróciła powtórnie od kredensu; przyniosła dla siebie również biszkopt i szklanę.

— Widzisz, już lepiej wyglądasz. Teraz musisz zaraz wrócić do domu, i to możliwie dorożką, o ile tylko znajdziesz jaką; i powiedz Gracji, żeby cię dobrze karmiła, w przeciwnym razie wogóle nic z ciebie nie zostanie; a wtedy nie będziesz mógł wypełniać swych obowiązków, jak ci zapewne wiadomo.

Pierson uśmiechnął się i dokończył szampana.

Noel odebrała od niego szklanę:

— Dziś ty jesteś moim dzieckiem, tatusiu; posyłam cię teraz do łóżka. Nie martw się; zobaczysz, że się wszystko jakoś ułoży. — Wzięła go pod rękę i sprowadziła na dół; z sieni posłała mu ręką pocałunek.

Odszedł jakby we śnie. Światło dnia nie zgasło jeszcze, choć księżyc, już nie całkiem w pełni, stał w górze i reflektory zaczęły już swe nocne wędrówki.

Niebo pełne było duchów i cieni, odpowiadało myśłom, które go ogarnęły. Kto wie, czy Opatrzność nie

pokierowała całą tą sprawą? Czemużby nie miał pójść do Francji? Choćby teraz jeszcze — czemużby nie? Jakiś lepszy od niego człowiek, który będzie rozumiał serca ludzi i będzie znał świat lepiej od niego, zajmie jego miejsce; a on pójdzie tam, gdzie śmierć upraszcza wszystko, gdzie nie będzie mógł błędzić. Szedł coraz szybciej. Ogarnęło go oszołamiające wprost uczucie ulgi. Thirza i Gracja zaopiekują się Nolli lepiej od niego. Tak, taka musiała być zapewne wola Boża! Księżycowa poświata zalewała teraz ulice; wszystko wokół tonęło w stalowym błękicie, nawet powietrze miało stalową barwę; kroczył w uniesieniu przez miasto, nierealne w swej cudownej piękności, jak senne widziadło. Wnet znajdzie się tam, gdzie ten biedny chłopiec i tyle tysięcy innych złożyło swe życie w ofierze; znajdzie się tam, gdzie wśród błota i granatów, poszarpanej, szarej ziemi i wystrzępionych drzew codziennie na nowo przybijano Chrystusa do krzyża — wreszcie znajdzie się tam, gdzie przez ostatnie trzy lata tak bardzo być pragnął. Taka była wola Boża!

A dwie kobiety, na które się natknął, spojrzwały na siebie, gdy przeszedł, i słowa „czarne straszidło“ nie przeszły im przez usta.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Noel czuła się też dziwnie wesoło, jakby odniosła zwycięstwo. Znalazła trochę konserw mięsnych, nałożyła je na drugi biszkopt, zjadła z apetytem i wypila resztę szampana. Potem poszukała papierosów i zasiadła do fortepianu. Grała stare piosenki. „W miasteczku stoi gospoda“, „Niegdyś kochałem złotowłose dziewczę“, „Gdy kosisz siano“, „Clementine“ i śpiewała do tego nieliczne słowa, które jej jeszcze zostały w pamięci. Krew pulsowała jej w żyłach rozkosznym tętnem; raz nawet wstała i zaczęła tańczyć. Klęczała właśnie przy oknie i patrzyła na ulicę, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi; nie odwracając głowy, zawołała:

— Co za cudowna noc! Tatuś tu był. Dałam mu trochę szampana i wypilam sama resztę — zdała sobie nagle sprawę, że postać, stojąca za nią, jest o wiele wyższa od Leili i usłyszała męski głos:

— Strasznie mi przykro; to tylko ja, Jimmy Fort.

Noel zerwała się z klęczek.

— Leili niema; ale pewnie przyjdzie lada chwila — już po dziesiątej.

Stał nieruchomo na środku pokoju.

— Czy nie chce pan usiąść? Może pan pozwoli papierosa?

— Dziękuję.

W świetle zapalniczki zobaczyła wyraźnie rysy Forta; wyraz ich sprawił Noel złośliwą przyjemność.

— Pójdę teraz, — rzekła. — Może pan będzie łaskaw powiedzieć Leili, że nie mogłam zostać. — Podeszła do tapczanu po kapelusz. Kiedy się ubrała, zauważyła, że Fort stoi tuż przed nią.

— Noel, pani nie gniewa się na mnie, że tak do pani mówię?

— Ani trochę.

— Niech pani zostanie; odchodzę zaraz.

— O nie, na Boga nie! — Usiłowała prześlizgnąć się obok niego, ale chwycił ją za przegub ręki:

— Proszę! Niech pani chwilę zaczeka!

Noel stała bez ruchu patrząc na niego; trzymał ciągle jeszcze jej rękę. Rzekł spokojnie:

— Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, czemu pani tu przyszła?

— O, chciałam tylko zobaczyć się z Leilą.

— Wrzód pękł nareszcie w domu, co?

Noel wzruszyła ramionami.

— Szukała pani tu schronienia, prawda?

— Przed kim?

— Niech się pani nie gniewa; przed koniecznością skrzywdzenia ojca.

Skinęła głową.

— Wiedziałem, że do tego dojdzie. Co pani zamierza czynić?

— Będę się bawić. — Wiedziała, że to brzmi niedorzecznie, a jednak mówiła szczerze.

— To absurd. Niech się pani nie gniewa! Ma pani zupełną rację. Ale trzeba się zabrać do tego w odpowiedni sposób. Prawda? Niech pani usiądzie!

Noel usiłowała oswobodzić rękę.

— Nie; niech pani usiądzie, proszę.

Noel usiadła; gdy jednak zwolnił jej rękę, zaśmiała

się. Tu właśnie siedział zwykle z Leilą, tu będą siedzieli, kiedy ona odejdzie.

— To wszystko jest strasznie zabawne, prawda? — rzekła.

— Zabawne? — mruknął szorstko. — Wszystko prawie jest zabawne na tym zabawnym świecie.

Noel usłyszała, że gdzieś na ulicy, niedaleko, zatrzymała się taksówka, i oparła nogi mocno o ziemię, gotowa do skoku. Gdyby się teraz zerwała z kanapy, czy zdoła prześlizgnąć się koło niego, zanim zdąży schwycić ją powtórnie za rękę i czy złapie jeszcze tę taksówkę?

— Odejdę teraz — rzekł — czy przyrzeka mi pani zostać tu, aż Leila wróci?

— Nie.

— To szaleństwo. Proszę, niech mi pani przyrzeknie!

Noel potrząsnęła przecząco głową. Zakłopotanie jego sprawiło jej przekorną przyjemność.

— Leila jest szczęśliwa, prawda?

Widziała, że podniósł rękę, jakby się chciał zasłonić przed ciosem.

— Biedna Leila — rzekł.

— Czemu jej pan żałuje? Ma swobodę! I ma p a n a! Wiedziała, że to go zaboli; ale pragnęła go dotknąć.

— Nie ma jej pani czego zazdrościć.

Właśnie w tej chwili Noel zauważyła postać stojącą w drzwiach.

Zerwała się i rzekła bez tchu:

— O, jesteś więc, Leilo. Tatuś tu był; napiliśmy się trochę twojego szampana.

— Świetnie. Ależ tu ciemno!

Noel czuła, że krew gorącą falą napływa jej do policzków. Zabłysło światło; Leila podeszła ku nim. W stroju pielęgniarki wyglądała szczególnie blado; była bardzo spokojna i opanowana; zacisnęła mocno pełne wargi, choć Noel zauważyła, że pierś jej falowała gwał-

townie. Uczucie wstydu i zranionej dumy rozpełtało się w sercu dziewczyny. Czemuż już dawno nie uciekła? Czemu dała się tak przyłapać? Leila gotowa pomyśleć, że się do niego umizga. Okropne! Wstrętne! Czemuż on, czemuż nikt nic nie mówił? W końcu Leila rzekła:

— Nie oczekiwałam cię dziś, Jimmy; cieszę się, żeś się nie nudził. Noel zostaje dziś u mnie na noc. Daj mi papierosa. Jestem straszliwie zmęczona!

Opadła na krzesło, oparła się o poręcz i założyła nogę na nogę; Noel podziwiała ją w tej chwili. Powiedziała to wszystko tak pięknie, wydawała się taka spokojna! Fort podawał jej ogień; ręka mu drżała, wyraz twarzy zdradzał zmartwienie i udrękę.

— Daj Noel też papierosa i zaciągnij firanki, Jimmy.
— Prędko! Choć właściwie... to jest obojętne; i tak jest jeszcze jasno, jak w dzień. Usiądź, kochanie.

Ale Noel stała dalej.

— O czym mówiliście? O miłości i krainie baśni, czy tylko o mnie?

Na te słowa Fort, zajęty zaciąganiem ostatniej firanki, odwrócił się; każda linja jego wysokiej postaci, rysującej się wyraźnie na tle ściany, wyrażała zakłopotanie; nieprzywykły do maskowania uczuć, robił wrażenie spoliczkowanego. Noel nie zdziwiłaby się bynajmniej, gdyby mu wyszły na twarz pręgi. Rzekł z bolesną powolnością:

— Nie wiem dokładnie; zaczęliśmy dopiero rozmawiać, prawda?

— Jeszcze dużo czasu do rana, — rzekła Leila. — Rozmawiajcie dalej, a ja się tymczasem przebiorę.

Wstała i z papierosem w ustach wyszła do drugiego pokoju. Mijając Noel, rzuciła jej spojrzenie. Co było zawarte w jej wzroku, tego Noel nawet samej sobie nie mogła nigdy jasno wytłumaczyć. Może oczy postrzelonego zwierzęcia patrzą z tem samem, głębokiem, nie-

zbadanem pytaniem; może w nich tkwi ten sam wyrzut, i gniew, i duma i przecucie śmierci. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Fort podszedł prosto do Noel.

— Idź pan do niej — zawołała Noel; — ona pana potrzebuje. Czy pan nie widzi, że jest jej pan potrzebny?

Nim zdołał się poruszyć, była za drzwiami. Zbiegła nadół i znalazła się na zalanej księżycowym blaskiem ulicy. Taksówka oddalona o kilka kroków odjeżdżała właśnie. Noel podbiegła do wozu, wołając:

— Byle gdzie! Piccadilly! — skoczyła i wtuliła się w poduszki w rogu.

Przez kilka chwil nie mogła zupełnie przyjść do siebie; potem poczuła, że nie może dłużej znieść tej jazdy; zatrzymała auto i wysiadła. Gdzie właściwie była? Bond Street! Zaczęła powoli iść wdół tej wąskiej ulicy; najtłumniejsza ulica w dzień, najbardziej pusta w nocy. Och! Jakież okropne były ostatnie chwile. Nikt nic nie powiedział — zupełnie nic — a jednak najskrytsze myśli jego i Leili i jej samej zostały wywleczone na światło z dna ich duszy. Miała wrażenie zupełnego wyzucia z wszelkiej dumy i uczucia przyzwoitości, jakby ją ktoś przyłapał na kradzieży. Całe jej radosne podniecenie znikło, ustępując miejsca rozpaczliwemu zobojętnieniu. Cokolwiek przedsięwzięła, było zawsze fałszywe, wszystko zawsze obracało się na złe, pocóż więc to wszystko? Co to wszystko miało za sens? Księżycowe światło spływające jasnym potokiem pomiędzy wysokimi domami, wywoływało w niej niesamowite uczucie zawrotu głowy. „Opętana przez duchy“, jak ją ojciec nazywał. Zaśmiała się. — Nie pójdę do domu, — pomyślała. Znudzona długością ulicy skręciła w bok i znalazła się nagle na Hanover Square. Tu stał szaro-biały kościół, w którym družnowała kiedyś jako piętnastoletnia dziewczynka jakiejś kuzynce. Wszystko stanęło jej znowu przed oczyma — jej sukienka, lilje, które trzymała w ręk-

ku; komże chórzystów, suknia panny młodej, wszystko srebrzyste, jak światło księżycy, wszystko nierealne. — Ciekawam, co się z nią stało! — pomyślała. — On nie żyje pewnie, tak samo, jak Cyryl! — Widziała przed sobą znowu twarz ojca, kiedy im dawał ślub, słyszała głos jego: „W radości i smutku, w dostatkach i biedzie, w chorobie i zdrowiu, póki was śmierć nie rozłączy“. Poświata księżycowa na kościele zdawała się poruszać i drzeć — może to trzepotały się spłoszone ze snu gołębie. Potem zamiast tej ślubnej wizji ujrzała monsieur Barra, siedzącego na krześle i patrzącego w ziemię i Chicę, huśtającą lalkę. — Wszyscyśmy zwarzowani, mademoiselle, tylko troszeczkę zwarzowani. Tysiące ludzi o białych duszach, wszyscy troszeczkę szaleni, wie pani. — I Leila stanęła jej przed oczyma z tem dziwnem spojrzeniem. Czowała znów gorące palce Forta, zaściśnięte wokół przegubu jej ręki i szła dalej przed siebie, rozcierając to miejsce drugą ręką. Skręciła na Regent Street. Szeroki łuk ulicy zlewał się z nierealnym błękitem nieba, a stłumione pomarańczowe światła lamp potęgowały jeszcze niezmierną tego obrazu. — Miłość, kraina baśni! Napiałabym się kawy, — pomyślała nagle. Była tuż koło kawiarni, do której ją raz zabrał Lavendie. Czy miała tam wejść? Czemu nie? Musi przecież gdzieś pójść. Weszła do ruchomej szklanej klatki obrotowych drzwi. Zaledwie jednak zamknęła się za nią szklana ściana, kiedy z błyskawiczną szybkością mignęły jej przed oczyma rysy malarza pełne wyrazu wstrętu; kobiety z czerwonymi wargami, zielony płyn, pachnący miętą; zdjął ją nagły strach. Poszła za pełnym obrotem drzwi i stanęła znów, śmiejąc się, na ulicy. Zobaczyła przed sobą wysokiego młodego człowieka w mundurze. — Hallo! — zawołał. — Chodźmy do środka zatańczyć! — Wzdrygnęła się, cofnęła przed nim i oddaliła się tak szybko, jak tylko mogła. Przeszła

obok kobiety, której spojrzenie zdawało się palić, jak ogień. Z temi oczyma, policzkami powleczonemi grubą warstwą pudru i rozwiązłemi, czerwonymi wargami, stała w mroku, niby wizja hańby. Noel otrząsnęła się i biegła dalej, czując, że całe jej bezpieczeństwo leży w pośpiechu. Nie mogła jednak błąkać się tak przez całą noc. Pociąg do Kestrel odchodził dopiero rano — a czy chciała doprawdy jechać do Kastrel i wydać się tam na pastwę wspomnień? Nagle pomyślała o Jerzym. Czemużby nie miała się udać do niego? On jej zapewne wskaże, jaka droga będzie dla niej najodpowiedniejsza.

U stóp Waterloo Column przystanąła na chwilę. Wszystko wokół ciche było i puste, wielkie budowle zalane były mlecznym światłem, niewyraźne kontury drzew tonęły w błękitnym mroku; z kwitnących wierzchołków tych drzew sphywała fala orzeźwiającego powietrza. Ciągłe jeszcze przepelniało ją to dziwne księżycowe uczucie „opętania“, czuła się drobna i lekka, jak by się miała lada chwila unieść w powietrze. Okna ministerstwa wojny obrzeżone były cienką smugą światła. Wojna! Jakkolwiek czarowna była noc, jakkolwiek słodki był zapach bzu — wojna szła ciągle dalej swym trybem! Odwróciła się i przeszła pod sklepieniem łuku, kierując się ku stacji. Pociąg z rannymi zajechał właśnie; stanęła w tłumie witającym rannych głośniami okrzykami i przypatrywała się odjeżdżającym autobusom. Ogarnęło ją takie podniecenie i wzruszenie, że lzy zbiegły jej się do oczu i zaczęły sphywać po policzkach. Jeden szary wóz za drugim przesuwał się cicho i ciężko pod sklepieniem łuku, każdy witany okrzykami radości. Wreszcie ostatni wóz przejechał i mogła wejść na stację. Podeszła do bufetu i wzięła filiżankę kawy i bułkę. Potem sprawdziła czas odjazdu swego wczesnego pociągu i udała się do poczekalni dla pań; usiadła w kącie, wyjęła portmonetkę i przeliczyła pieniądze. Dwa funty

piętnaście — starczyłoby jej na nocleg w hotelu, gdyby zechciała. Ale bez pakunków — to tak wpadało w oko; może przecież równie dobrze przespać się tu w kącie jeśli zechce. Co robiły dziewczęta, które nie miały pieniędzy ani przyjaciół? Wtulona w kąt tej pustej, ponurej, pomalowanej na zielono sali, uświadomiła sobie po raz pierwszy, jak okrutne i ciężkie jest życie; nigdy, nawet przed porodem nie widziała tego tak jasno. Jakże szczęśliwa była teraz i dawniej! Każdy był dobry dla niej. Nie musiała borykać się ani z niedostatkiem, ani z żadnem prawdziwym niebezpieczeństwem. Ale dla kobiet — no i dla mężczyzn także — którzy nie mieli w nikim oparcia, którzy nie mogli liczyć na nic, tylko na własne ręce i zdrowie i szczęście, dla tych życie musiało być okropne. Ta dziewczyna z płonącymi oczyma — kto wie — może nie miała nikogo. A ludzie chorzy od urodzenia, a tysiące biednych kobiet — Noel odwiedzała czasem z Gracją takie biedaczki w uboższych ulicach parafji ojca — po raz pierwszy pojęła i odczuła, jak ciężkie musiało być ich życie. A potem stanęła jej raz jeszcze przed oczyma twarz Leili — Leili, którą okradła. Najgorsze było, że równolegle ze współczuciem i wyrzutami sumienia Noel czuła jakąś dziwną satysfakcję. Nie była winna, jeżeli nie kochał Leili, nie była winna, jeżeli kochał ją! A że ją kochał — wiedziała o tem! Świadomość, że ją ktoś kocha, była takim pocieszeniem. Mimo to, wszystko było okropne! I ona była temu przyczyną! A jednak, nigdy nie uczyniła, ani nie powiedziała niczego, aby go ku sobie zwabić. Nie! była zupełnie bez winy.

Czuła się senna i zamknęła oczy. Zaczęło ją ogarniać stopniowo miłe uczucie, jakby opierała się o kogoś, wtuliwszy główkę w podtrzymujące ją ramię, tak, jak często jako mała dziewczynka opierała się o ramię ojca, kiedy w Walji, czy Szkocji wracali późnym wieczorem

z dalekiej przejażdżki. Wydawało jej się nawet, że czuje na policzkach i powiekach delikatny, wilgotny powiew zachodniego wiatru i że wdycha zapach szorstkiego płaszcza; słyszała stukot końskich kopyt; turkot kół; czuła coraz mroczniej zapadającą noc. Potem, całkiem już niejasno i sennie, poznała, że to nie był ojciec, ale ktoś — ktoś — a później już nic, nic więcej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Zbudzona gwizdem lokomotywy rozglądała się wokół ze zdziwieniem. Głowa przechyliła jej się na bok podczas snu, tak, że szyja zeszywniała zupełnie; miała ból głowy i dreszcze. Spojrzała na zegarek; było po piątej. — Gdybym się choć mogła napić szklankę herbaty! — pomyślała. — W każdym razie nie zostanę tu dłużej! — Umyła się i natarła mocno szyję, tak że uczucie sztywności ustąpiło nieco; potem napiła się herbaty, pod wpływem której ożył w niej na nowo duch awanturniczy. Pociąg odjeżdżał dopiero za godzinę; miała więc dość czasu, by się przejść i rozgrzać spacerem; poszła więc w kierunku rzeki. W powietrzu wisiała ranna mgła, przesłaniając wszystko tajemniczością; wielu ludzi jednak zdążyło już do swego zajęcia. Szła wzdłuż rzeki, patrząc na fale, wzbierające pod powłoką świetlistej mgły i na mewy krążące nad wodą i dodające jej tajemniczości. Poszła aż do Black-friars Bridge, potem zawróciła i spoczęła na ławce pod platanem, właśnie w chwili, kiedy słońce przebiło się przez mgłę. Siedziała tam już mała, blada kobiecina o chudej, żółtawej twarzy; siedziała tak nieruchomo i zdawała się tak nieświadoma swego otoczenia, że Noel zaczęła się zastanawiać, o czem ta kobieta może myśleć. Podczas gdy jej się tak przypatrywała, twarz obcej skurczyła się boleśnie i lzy poczęły spływać powoli, torując sobie mozolnie drogę

po jej pofałdowanych policzkach. Noel zebrała się wreszcie na odwagę, przysunęła się bliżej i zapytała:

— Co się pani stało?

Kobieta była tak zaskoczona, że przestała płakać; małe, szare oczki spojrzały szeroko na Noel, ciepłiwe oczki, osadzone nad bardzo płaskim nosem.

— Miałam dziecko. Umarło... a ojciec dziecka też padł we Francji... Chciałam się rzucić do wody, ale przestraszyłam się rzeki i teraz już nigdy nie potrafię skoczyć.

Słowa „teraz już nigdy nie potrafię skoczyć“ wzruszyły Noel straszliwie. Wyciągnęła nieznacznie rękę wzdłuż oparcia ławki i objęła niezmiernie chude ramię kobiety.

— Niech pani nie płacze!

— To było moje pierwsze dziecko. Mam trzydzieści osiem lat. Nigdy nie będę miała drugiego. Och, Boże! Czemuż nie rzuciłam się do wody?

Twarz jej skurczyła się znowu, wyciskając łzy, które spływały po policzkach. — Dobrze, że płacze, — pomyślała Noel; — niech tylko płacze tak długo, aż poczuje ulgę. — Głaskała ramię drobnej kobieciny, woniejąc jakgdyby zapachem starych sukien.

— Ojciec m o j e g o dziecka padł także we Francji, — rzekła wkońcu. Smutne, szare oczki spojrzały na nią z zaciekawieniem.

— Doprawdy? A ma pani jeszcze swoje dziecko?

— Tak, dzięki Bogu, tak.

— To mnie cieszy. Nie ma panienka pojęcia jak to boli. Wolałabym zawsze stokroć razy stracić męża, niż dziecko.

Słońce oświetlało teraz jeden policzek tej straszliwie ciepłiwej twarzy; było coś dziwnie okrutnego w tej jasnej plamie światła.

— Czy mogłabym pani w czemkolwiek pomóc? — szepnęła Noel.

— Nie, dziękuję pani. Pójdę teraz do domu. Mieszkam niedaleko. Bóg zapłać.

Podniosła oczy, rzuciła Noel jeszcze jedno nawpół zdziwione spojrzenie i poszła wzdłuż wału rzeki. Kiedy kobieta zniknęła jej już z oczu, Noel wróciła na stację. Pociąg już zajechał, więc wsiadła. Miała trzech towarzyszy podróży, samych wojskowych; milczeli zdehumorowani, jak to zwykle bywa u mężczyzn, kiedy wstaną zbyt wcześnie. Jeden był wysoki, ciemny i mógł mieć około trzydziestu lat; drugi, niski, z krótko przyszyzonymi, przeredzonymi, siwymi włosami dobiegał zapewne pięćdziesiątki; trzeci, średniego wzrostu, miał już zapewne poza sobą sześćdziesiąty piąty rok życia; szereg barwnych wstążek orderowych zdobił jego mundur; miał łysą, wąską, kształtną głowę, szpakowate włosy, odczesane od skroni; szczupłe, opanowane rysy i opuszczone wąsy wskazywały na typ starej daty. Na niego właśnie patrzyła Noel. Kiedy wyglądał przez okno, albo siedział pogrążony w myślach, podobał się Noel bardzo; ale kiedy zwracał się do konduktora albo mówił z innymi, nie wydawał się Noel ani w połowie tak sympatyczny. Miała wrażenie, jakby ten jegomość miał dwie jaźnie, — jedną, której używał, gdy był sam, a drugą, w którą się przyodziewał co rano na spotkanie świata. Zaczęli rozmawiać na temat trybunału, w którym mieli zasiadać. Noel nie słuchała, ale od czasu do czasu dochodziło ją jakieś urywane słowo.

— Iluż mamy dziś? — zapytał głos starego jegomościa, a mały człowiek z krótko przyszyzonymi włosami odparł:

— Stu czterem.

Noel, której w pamięci stała jeszcze obszarpana, niechętna kobieta, uczuła instynktowną niechęć do tego

starannie odzianego, starego żołnierza o pociągłych, regularnych rysach, który może codziennie trzymał w swej silnej, szczupłej ręce losy „stu czternastu“. Czy umiałby zrozumieć ich troski i potrzeby? Z pewnością nie! W tej chwili zauważyła, że patrzy na nią krytycznie swemi śmiałościami oczyma. Gdyby był znał jej tajemnicę, pomyślałby niezawodnie: — Kobieta z towarzystwa mogłaby tak postąpić? O, nie! To zupełnie, zupełnie niemożliwe! — Noel czuła się tak zawstydzona, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Zapewne jednak myślał tylko: — Za młoda na to, żeby podróżować bez opieki tak wczesnym rankiem. I w dodatku taka ładna! — Gdyby wiedział całą prawdę o niej — jakież zrobiłby oczy! Czemu jednak ten zupełnie obcy jej człowiek, ten stary, karny żołnierz wywołał w niej jednym przelotnym spojrzeniem i kształtem twarzy tak silne uczucie zawstydzienia, jakiego dotychczas jeszcze nie zaznała? Dziwiło ją to niezmiernie. Był bezsprzecznie konwencjonalnym starym człowiekiem o ciasnych poglądach, a jednak miał możność wywołania w niej uczucia zawstydzienia, gdyż zdawała sobie sprawę, że on wierzył w swych Bogów i był im wierny; gdyż wiedziała, że on wolałby śmierć, niż jakiegokolwiek odchylenie od uświęconych zasad swego postępowania. Odwróciła się do okna zagryzając wargi — była zła i zrozpaczona. Nigdy, nigdy nie przyzwyczała się do swego położenia; szkoda było wszelkiego zachodu! Znowu zbudziła się w niej, jak wczoraj we śnie tęsknota, by ukryć głowę w swym płaszczu, wdychać zapach szorstkiego materiału, wtulić się weń, czuć się pod czyjąś opieką i zapomnieć. — Gdybym była na miejscu tej biednej, samotnej kobieciny, — pomyślała, — i gdybym wszystko na świecie straciła, skoczyłabym z pewnością do wody. To tylko szczęśliwy zbieg okoliczności, że żyję. Nie spojrzę więcej na tego starego pana, może mi wtedy będzie lżej.

Na stacji kupiła trochę czekolady; zaczęła ją teraz chrupać, patrząc uparcie na pola, pokryte stokrociami, pierwszymi jaskrami i pierwiosnkami. Trzej żołnierze rozmawiali teraz przezornie ściszonemi głosami. Słowa „kobiety“, „pod kontrolą“, „istna plaga“, doleciały ją i wywołały na jej policzkach piekące rumieńce. W jej obecnym przewrażliwionym nastroju, spowodowanym przejściami wczorajszego dnia, źle przespaną nocą i de-nerwującym spotkaniem z biedną kobieciną, wyobrażała sobie, że trzej żołnierze zaliczali ją także do rzędu tych „kobiet“. — Wsiądę na pierwszym przystanku. — pomyślała. Ale skoro pociąg się zatrzymał, wysiedli owi oficerowie. Poczula, że śmiało, omglone spojrzenie staro-gerała ocenia ją raz jeszcze badawczo i popatrzyła mu przez chwilę prosto w twarz. Dotknął czapki i rzekł: — Czy pani woli mieć okno zamknięte, czy spuszczone? — i zatrzymał się, by podnieść szybę do połowy. Jego subtelna grzeczność wywołała w niej tem silniejsze uczucie winy. Kiedy pociąg ruszył, znowu zaczęła chodzić tam i z powrotem po pustym przedziale; nie było wyjścia z sytuacji, w jakiej się znajdowała, tak samo jak nie było wyjścia z tego mknącego przed siebie, wyłożonego poduszkami przedziału. Nagle wydało jej się, że słyszy głos Forta, kiedy mówił: — Niech pani usiądzie, proszę — i uczuła znów ucisk jego palców wokół swej ręki. Och! jego obecność była jej miła i kojąca; on nigdyby nie robił jej wyrzutów ani aluzyj! A teraz go pewnie nigdy więcej w życiu nie zobaczy.

Wkońcu pociąg zajechał. Nie wiedziała, gdzie Jerzy mieszkał, będzie go więc musiała odszukać w szpitalu. Postanowiła pójść tam o wpół do dziesiątej; zjadła skromne śniadanie na stacji i udała się do miasta. Wybrzeże, pełne kredowych skał, leżało jak zakłęte w promieniach rannego słońca. Ulice natomiast były bardzo ożywione. Tu znać było doprawdy wojnę na każdym

kroku. Noel mijala rozwalone domy. Male dwukołowe wózki terkotały po bruku, wielkie wozy ciężarowe toczyły się szparko jezdnią. Hydroplany i aeroplany poruszały się wysoko w prześwielonej mgle, niby wielkie ptaki, a wszędzie naokoło widać było ludzi w mundurach. Noel jednak pragnęła widoku morza. Skierowała się ku zachodowi, zmierzając do malej zatoki; siadła na kamieniu i rozpostarła ramiona, by skąpać twarz i pierś w słońcu. Przyływ osiągnął już prawie punkt najwyższego nasilenia; lśniaco-błękitne morze pokryte było drobnymi falami; leżało przed nią szerokie i wolne; jakże małe i krótkotrwałe wydawało się w porównaniu z niem wszystko, co ludzkie! Działo kojąco na Noel, jak przyjaciel, który pociesza. Morze było wprawdzie okrutne i groźne, umiało robić straszliwe rzeczy i straszliwe rzeczy działy się teraz na niem; a jednak jego rozległa płaszczyzna, jego nieustający śpiew i ożywcza woń były dla niej możliwie najlepszym lekarstwem. Z dziecinną radością rozcierała palcami piasek, pełen muszli; zdjęła buciki i pończochy i brodziła po płytkim brzegu, a potem usiadła i suszyła nogi w słońcu.

Kiedy opuszczała małą zatokę, miała wrażenie, jakby jej ktoś powiedział: — Twoje troski są bardzo małe. Masz tu słońce, powietrze i morze; ciesz się nimi. Tego ci nikt nie odbierze.

W szpitalu musiała czekać pół godziny w małym, nagim pokoju, zanim Jerzy wszedł.

— Nolli! Wspaniale. Mam godzinę wolną. Wyjdźmy z tego cementarza. Mamy czas na porządny spacer po wzgórzach. Bardzo to ładnie, żeś przyjechała do mnie. Co słyhać w domu?

Kiedy skończyła, uścisnął jej ramię.

— Wiedziałem, że to do niczego nie doprowadzi. Twój tatuś zapomina, że jest osobą oficjalną i że każdy żąda, by wszystko wokoło niego było uroczyście przy-

zwoite. Ale mimo, żeś sprawę załatwiła krótko i uciekła, złoży i tak swój urząd, Nolli.

— Ach, nie! — zawołała Noel.

Jerzy potrząsnął głową.

— Zobaczysz, że zgłosi rezygnację; nie ma ani odrobiny praktycznego zmysłu.

— W takim razie zламаłam mu życie, zupełnie, jakbym — och, nie!

— Siądźmy tutaj; muszę być na jedenastą z powrotem.

Usiedli na ławce; przed nimi staczał się stromo zielony, urwisty brzeg ku morzu, które oczyściło się już zupełnie z mgieł i leżało przed nimi bardzo dalekie i bardzo błękitne.

— Poczóż miałby zgłaszać rezygnację, — zawołała Noel ponownie, — teraz, skoro odeszłam? Zmarnuje się bez swojej pracy.

Jerzy uśmiechnął się.

— Właśnie, że się odnajdzie. Będzie tam, gdzie powinien być, Nolli, tam, gdzie jest jego Kościół, a gdzie niema sług Kościoła — w powietrzu!

— Nie mów tak! — zawołała Noel gwałtownie.

— Nie, nie, ja wcale nie dowcipkuję. Niema na ziemi miejsca dla świętych, wyposażonych autorytetem. Potrzeba nam świętego symbolu, nawet, gdybyśmy nie wierzyli, ale żaden śmiertelnik nie czuje potrzeby człowieka, który chce być świętym i miewać wizje, a jednocześnie chodzić po naszym świecie i w praktycznym życiu kierować losami ludzi. Świątobliwy przykład — owszem; ale nie świątobliwe rządy. Byłaś dla niego wyswobodzeniem, Nolli.

— Ale tatuś k o c h a swój Kościół.

Jerzy zmarszczył brwi.

— Zapewne, przyjdzie mu to niełatwo. Każdy człowiek ma słabość do miejsca, gdzie przez tak długi czas

był przełożonym; a zresztą Kościół ma pewien urok — monotony szmer modlitw, zapach kadzideł, półmrok; jest w tem wszystkim piękno, działa jak miły narkotyk. Ale przecież nikt mu nie zabroni używać nadal narkotyku. Musi jedynie zaprzestać upajać nim innych. Nie martw się, Nolli. Zdaje mi się, że zajęcie to nie odpowiadało mu nigdy, trzeba być do tego trochę bardziej gruboskórnym, niż on.

— A ci wszyscy ludzie, którym pomaga?

— Niema powodu, dla którego miałby przestać pomagać ludziom, prawda?

— Ale jakże będzie tam żył dalej bez... Matka umarła tam, wiesz przecie!

Jerzy mruknął:

— Sny, Nolli, same sny wkoło niego; sny o przeszłości i przyszłości, o tem czem ludzie są i czemby przy jego pomocy być mogli. Za każdym razem, kiedy się widzimy, walczymy ze sobą na słowa, wiesz przecie, — a jednak lubię go. Ale lubiłbym go dwa razy więcej i nie miałbym ani w połowie takiej chęci do sprzeczki, gdyby zarzucił swe autorytatywne nawyki. Wierzę, że wtedy miałby jakiś istotny wpływ na mnie; jest w nim coś pięknego, zdaję sobie z tego jasno sprawę.

— Tak — szepnęła Noel z zapalem.

— Jest w nim dziwna dwoistość — zastanawiał się Jerzy. — Nie nadaje się do wieku, w którym żyje; stoi pod względem wartości wewnętrznych o niezliczoną ilość szczebli wyżej, niż przeciętne duchowieństwo, a pod względem praktycznym nieskończenie niżej od nich. A jednak zdaje mi się, że ma rację. Kościół powinien być straconą placówką, Nolli; wtedy moglibyśmy weń wierzyć. Zamiast tego jest pewnego rodzaju interese, którego nikt nie może brać zbyt poważnie. Widzisz, Nolli: kościół, jako potęga duchowa, nie może prosperować w obecnym wieku — nie ma nadziei

na przyszłość. Wyrzekł się więc swego dawnego władztwa dusz na rzecz korzyści materialnych i socjalnych. Twój ojciec jest symbolem tego, czem Kościół nie jest. Ale co będzie z tobą, moja droga? Mam jeden wolny pokój u siebie, oprócz mnie jest w mieszkaniu tylko jedna stara pani, która bez przerwy robi pończochy. Jeżeli Gracja dostanie przeniesienie, wynajmiemy dom i będziesz mogła sprowadzić dziecko. Można ci przysłać twoje rzeczy z Paddington, jak tylko napiszesz; tymczasem możesz nosić te kilka sukien, które tu Gracja ma.

— Będę musiała zatelefonować do tatusia.

— Już to sam załatwię. Przyjdź do mego mieszkania o pół do drugiej, to ci już wszystko urządzę. Tymczasem najlepiej zostań tu.

Kiedy odszedł, poszła trochę dalej i położyła się w niskiej trawie, przez którą miejscami przebierała kredowa skała. Słyszała odległe dudnienie, które ziemia przenosiła coraz dalej. Były to dalekie odgłosy dział z Flandrji. — Ciekawam, czy i tam dzień jest tak piękny, — pomyślała. — Jakie to okropne nie widzieć zieleni, ani motyli, ani kwiatów, ani nawet nieba — jedno tumany kurzu i granaty. Och! Czyż to się nigdy, nigdy nie skończy? — Ogarnęła ją namiętna miłość do ziemi, do tej cieplej, zarosłej trawą ziemi, na której leżała, przytulona tak blisko, że czuła ją każdym calem swego ciała. Miękkie źdźbła trawy dotykały jej nosa i warg. Słodkie a bolesne uczucie dręczyło ją, pragnęła, by ziemia zamknęła ją w ramionach w odpowiedzi na jej uścisk. Żyła i pragnęła miłości. Nie śmierci. nie samotności, nie śmierci! A tam daleko, gdzie armaty dudniły, miliony męczyczn myślały pewnie to samo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Pierson spędził prawie całą noc pośród pamiątek przeszłości, przeglądając swe urzędowe dokumenty i upominki z krótkiego okresu małżeńskiego pożycia. Myśl, która go opanowała w drodze do domu poprzez zalane księżycem ulice, podtrzymywała go na duchu podczas smętnego zajęcia, jakim było porządkowanie papierów i niszczenie niepotrzebnych dokumentów. Nie dało mu to bynajmniej tyle pracy, ile można było przypuszczać, gdyż mimo swego rozmarzenia załatwiał zawsze wszystkie tyczące się parafji sprawy niezwykle dokładnie i sprawnie. A jednak niezliczone razy tej nocy przerywał pracę; obezwładniały go wspomnienia. Każdy drobiazg, szuflada, fotografia, papier — były ogniwem skuwającym, wiążącym go nierozzerwalnie z przepędnym tu życiem. Każdy mebel, każdy obraz, każdy kąć wywoływały w nim jakieś wspomnienie o jego pracy, czy żonie, czy córkach. Bezgłośnie, w pantoflach zeszedł na dół, zaczął obchodzić gabinet, jadalnię i salon. Gdyby go ktoś tak zobaczył krążącego po pokojach w mrocznym świetle, padającym na klatkę schodową, poprzez wysokie okno w korytarzu, pomyślałby pewnie: — Duch — duch, odprawiający żale nad smutnym stanem świata. Teraz, kiedy jeszcze był pod urokiem swego świeżo powziętego planu, musiał zdać sobie jasno sprawę z tego, jak wiele przeszłość znaczyła dla niego; musiał do-

trzeć do samego dna dawnych przywiązań, by się raz na zawsze przekonać, czy będzie miał dość sił, by spalić za sobą wszystkie mosty. Piąta wybiła, gdy skończył swą robotę; prawie, że upadając ze zmęczenia zasiadł do małego fortepianu w jasnym świetle dnia. Ostatnie wspomnienie, jakie nim oświałało, było najdawniejsze: wspomnienie miodowego miesiąca, zanim jeszcze zamieszkali w tym domu, obranym już i urządzonym i czekającym na nich. Miesiąc ten spędzili w Niemczech — pierwsze dni w Baden-Baden; co rano budziły go dźwięki chorału, granego w parku przed Kurhausem, łagodna, piękna muzyka, która im przypominała, że się znajdują w niebie. Cicho, cichuteńko, jakgdyby tony były tylko sennem przypomnieniem, zaczął grać te stare chorały jeden za drugim; przez otwarte okno łagodne dźwięki popłynęły na ulicę, ku wielkiemu zdziwieniu wczesnych ptaszków i kotów i nielicznych rannych przechodniów...

Telegram od Noel otrzymał tego samego dnia po obiedzie właśnie w chwili, kiedy wybierał się do Leili, by się dowiedzieć, co się z Nolli dzieje; równocześnie też nadszedł Lavendie. Malarz stanął zrozpaczony przed swym obrazem.

— *M a d e m o i s e l l e* mnie opuściła?

— Obawiam się, że wszyscy pana niedługo opuścimy, *m o n s i e u r*.

— Pan odjeżdża?

— Tak, opuszczam ten dom. Chciałbym pójść do Francji.

— *A m a d e m o i s e l l e*?

— Jest nad morzem z moim zięciem.

Malarz przejechał sobie ręką przez włosy, ale urwał gest w połowie, jakby sobie nagle uświadomił, że zachował się nieodpowiednio.

— *Mon dieu!* — rzekł. — Przecież to klęska dla pana *monsieur le curé*? — A jednak jego poczucie klęski wiązało się tak ściśle z niedokończonym obrazem, że Pierson nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Ach, *monsieur!* — rzekł malarz, którego uwadze nigdy nic nie uszło. — *Comme je suis égoïste!* Nie umiem ukrywać uczuć; niestety! Moje rozczarowanie musi się panu zapewne wydać błahostką w porównaniu z bólem, jaki panu sprawi rozstanie ze swem starem domostwem. Przeżywa pan teraz zapewne bardzo smutne czasy. Niech mi pan wierzy, że umiem to zrozumieć. Byłoby jednak impertynencją wypowiadać swe uczucia przed kimś, kto nie okazuje nam smutku, prawda? Wy Anglicy nie pozwalacie nam, byśmy brali udział w waszych strapieniach; chowacie je dla siebie.

Pierson spojrział zdziwiony.

— Prawda — rzekł. — Święta prawda!

— Nie jestem powołany na sędziego chrystjanizmu, *monsieur*, ale dla nas artystów drzwi serc ludzkich stoją otwarte, możemy spoglądać we własne serca i w serca innych. Nie mamy zapewne poczucia dumy — *c'est très indelicat*. Niech mi pan powie, *monsieur*, czy pan uważałby to za rzecz poniżej godności własnej, gdyby mi pan opowiedział o swoich strapieniach, tak, jak ja mówiłem panu o własnych?

Pierson opuścił głowę, zakłopotany.

— Wygłasza pan kazania o wszechludzkim miłosierdziu i miłości — ciągnął dalej Lavendie; — ale jakże to być może, skoro jednocześnie uczy pan chować własne smutki dla siebie? Ludziom trzeba przykładów, nie nauki; pan zachowujesz się, jak obcy, nie jak brat. Żąda pan od innych, czego pan sam nie daje. Niech pan powie szczerze, *monsieur*, czy pan nie czuje, że w każdym objawieniu się pańskiej duszy i uczuć promieniuje od pana cnota? Powiem panu też, na czem to polega,

o ile pan tego nie weźmie za obrazę. Każdy, kto otwiera przed innymi swe serce, czuje, że traci autorytet. A wam nie wolno nigdy zapomnieć, że jesteście urzędnikami. Prawda?

Pierson zaczerwienił się.

— Mam nadzieję, że przyłącza się do tego jeszcze inne uczucie. Myślę, że mówiąc o naszych cierpieniach i głębszych przeżyciach, mamy wrażenie, że się narzucamy, że uważamy się za zbyt ważnych i zbyt wiele zastanawiamy się nad sobą, miast zajmować się bliźnimi.

— *Monsieur*, a u f o n d wszyscy zajęci jesteśmy sobą. Przyznaję panu, że przez nienarzucanie się drugim udoskonalamy się. *E h b i e n!* Czemże to jest, jeżeli nie zajęciem się sobą w głębszem tego słowa znaczeniu? Istnieje tylko jedna możliwość, by zapomnieć o sobie, a mianowicie, by zapomnieć o wszystkim, tak, jak ja zapominam o wszystkim, kiedy maluję. Ale — dodał z nagłym uśmiechem, — pan nie chciałby wcale zapomnieć o udoskonalaniu własnej duszy — to nie byłoby może słuszne w pańskim zawodzie. Muszę więc zabrać stąd ten obraz, prawda? To jedna z moich najlepszych prac. Bardzo mi żal, że jej nie mógł skończyć.

— Może kiedyś...

— Kiedyś! Obraz będzie stał spokojnie, ale m a d e m o i s e l l e nie. Rzuci się nagle w jakiś nowy wir wrażeń i proszę! z twarzy tej nie zostanie śladu. Nie, wolę zachować go takim, jaki jest. Teraz jest w nim prawda. — Zdjął płótno, postawił koło ściany i zaczął składać sztalugi. — *B o n s o i r, m o n s i e u r*, był pan bardzo dobry dla mnie. — Uścisnął mocno rękę Piersona. W twarzy jego przez chwilę widać było tylko uduchowione oczy.

— *A d i e u!*

— Dowidzenia — szepnął Pierson. — Niech pana Bóg ma w opiece!

— Nie wiem, czy mam do Niego wielkie zaufanie — odparł Lavendie, — będę jednak zawsze pamiętał, że tak dobry człowiek, jak pan, życzył sobie tego. Proszę oddać m a d e m o i s e l l e najniższe ukłony. Jeżeli pan pozwoli, wrócę jutro po resztę moich rzeczy.

Odszedł zabierając sztalugi i płótna.

Pierson pozostał w starym salonie, czekając na przyjscie Gracji i rozmyślając nad słowami malarza. Czy wykształcenie i stanowisko uniemożliwiło mu w istocie braterski stosunek do ludzi? Czy w tem leżała tajemnica bezsilności, jaką czasem odczuwał; może tu należało szukać przyczyny, dla której serca jego parafjan nie były tak przystępne miłosierdziu i miłości? — Bóg mi świadkiem, zem się nigdy nie czuł czemś lepszym od reszty ludzi — pomyślał; — a jednak wstydziłbym się do głębi duszy mówić ludziom o moich troskach i walkach. Czy Chrystus, gdyby chodził teraz po ziemi, uważałby nas za faryzeuszów, ceniących się więcej od innych ludzi? Przecież nie jako chrześcijanie, tylko jako gentlemani zamykamy swoje „ja“ przed światem. Nazwał nas urzędnikami. Boję się, boję się że to prawda. — No! Nie zostało już teraz wiele dni. Tam w polu nauczę się otwierać serca bliźnich i własne. Cierpienie i śmierć burzy wszelkie zapory, czyni wszystkich ludzi braćmi.

Siedział ciągle jeszcze w salonie, kiedy Gracja weszła; wziął ją za rękę i rzekł:

— Noel pojechała do Jerzego, chciałbym żebyś i ty wystarała się o przeniesienie do nich. Zrzekam się mego probostwa. Będę się ubiegał o posadę kapelana wojskowego.

— Zrzekasz się? Teraz, po tylu latach? Czy z powodu Nolli?

— Nie, zdaje mi się, że nie; myślę, że nadszedł czas po temu. Czuję, że praca moja tu jest jałowa.

— Och, nie! A nawet, gdyby tak było, to przyczyna leży...

Pierson uśmiechnął się.

— W czym, Graci?

— Tatusiu, sama to nieraz czułam. Pragniemy sami myśleć i decydować, pragniemy sami mieć władzę nad naszym sumieniem, nie możemy już dłużej brać niczego z drugiej ręki.

Twarz Piersona spochmurniała.

— Ach, — rzekł, — smutna to rzecz stracić wiarę.

— Stajemy się za to bardziej miłosierni.

— Te dwie rzeczy nie wykluczają się, drogie dziecko.

— W teorji nie; a jednak w praktyce często się to zdarza. Och, tatusiu! Jesteś taki zmęczony! Czy rzeczywiście powziąłeś już ostateczną decyzję? Czy nie będzie ci się zdawało, żeś się zabląkał w jakiejś obcej krainie?

— Przez jakiś czas; potem już odnajdę tam swoje miejsce.

Ale wyraz jego twarzy rozrzewnił Grację tak dalece, że musiała się odwrócić.

Pierson zeszedł nadół do gabinetu, by napisać zgłoszenie rezygnacji.

Siedząc nad tym czystym arkuszem papieru, uświadomił sobie w całej pełni, jak nienawistne mu było potępienie ogółu, skierowane przeciw jego krwi i kości i jak dalece jego obecna czynność była wyrazem czysto świeckiego ujęcia się za córką; czysto świeckiego umartwienia. — Duma, — pomyślał. — Czy powinieniem pozostać tu i zwalczyć ją? — Dwa razy odłożył pióro, dwa razy ujął je z powrotem. Nie mógł jej zwalczyć. Pozostać tu, gdzie nie był chętnie widziany, gdzieby najwyżej znoszono jego obecność — nigdy! I gdy tak siedział nad czystą kartką papieru, starał się uczynić to, co człowiekowi najciężej przychodzi — starał się widzieć siebie takim, jakim go widzieli inni, i osiągnął rezultat jakiego

się można było spodziewać — wsłuchiwał się bowiem tylko w sądy własnego sumienia, a nie w sądy bliźnich; wkrótce też ogarnęło go nieustępliwe, nekające uczucie, które dręczyło go od chwili wybuchu wojny, uczucie, że właściwym jego obowiązkiem było umrzeć. Przeświadczenie, że było poniżej jego godności zostać przy życiu, skoro tylu z jego trzódki złożyło już ostatnią ofiarę, wzmogło się teraz jeszcze pod wpływem domowego nieszczęścia i gorzkich rozczarowań, jakie to nieszczęście pociągnęło za sobą. Miał wrażenie człowieka wyrzuczonego poza obręb swej kasty, kiedy tak siedział i patrzył na przeszłość swą, odpływającą gdzieś w mglistą i nie-realną dal. Przeżywał coś niezmiernie dziwnego: wydawało mu się, że jego dawne życie opada z niego; że leży mu u nóg, niczem znoszona skóra węża z niezliczonych pierścieni — zadań i obowiązków spełnianych dzień po dniu, rok po roku. Czy istniały kiedykolwiek naprawdę? No, teraz zrzucił je z siebie w każdym razie, teraz wchodzi w nowe życie, rozświetlone wielką prawdą, jaką jest śmierć! Chwycił za pióro i napisał zgłoszenie rezygnacji.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

1.

Ostatnia niedziela, pełna słońca i pogody! Choć jej wcale o to nie prosił, Gracja była tego dnia obecna na wszystkich nabożeństwach. Widok córki, siedzącej znowu, po tak długiej przerwie, w ich starej ławce, skąd niegdyś spoglądała ku niemu twarz żony, śląc mu poprzez kościół ożywcze spojrzenie, wzruszył go bardziej, niż cokolwiek innego. Nie opowiedział nikomu o swym bliskim wyjeździe, gdyż przykra mu była wszelka nieszczerłość, która musiała się kryć w wyrazach żalu lub aluzjach z powodu jego rezygnacji. Powie im w ostatnich słowach ostatniego kazania. Przez cały dzień chodził, jakby we śnie. Prawdziwie dumny i drażliwy, w chwili tej klęski towarzyskiej oddalił się od wszystkich jednakowo. Nie starał się bynajmniej wyróżnić zwolenników i przyjaciół z pośród tych, którzy mu się sprzeniewierzyli. Wiedział, że znajdzie się kilku, a może i wielu ludzi szczerze zmartwionych jego odejściem; było jednak przeciwne jego naturze, starać się sprawdzić, którzy to byli i mierzyć ich siłę przeciw reszcie. Albo wszyscy, albo nikt! Kiedy jednak ostatni raz po tylu tysiącach razy wstępował na schody, wiodące do czarnej kazalnicy, nie zdradzał w niczem, że to ma być koniec i może sam nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy. Jak na tak piękny letni wieczór zebranie było liczne. Mimo

całej powściągliwości Piersona krążyły ciągle plotki, pobudzające silnie ciekawość. Autorzy listów anonimowych nie wykorzystali wprawdzie ostatniego tygodnia, by się popisać swym czynem, starali się jednak przez ten czas usprawiedliwić przed sobą ze swego skrytego postępowania. A osiągnąć to można było najłatwiej omawiając z sąsiadami poważną, a niemiłą sytuację, w jakiej biedny proboszcz się znajduje. Rezultatem była żywsza frekwencja w kościele niż przez cały czas od początku lata. Pierson nie był nigdy wielkim mówcą, głos jego nie posiadał dość szerokiego brzmienia ani gibkości, myślom nie dostawało szerokiego zakroju ni polotu; popadał też czasem w monotonność, która jest tak często spotykaną wadą zawodowych mówców. Wywoływał jednak wrażenie dobroci i szczerości. W ten ostatni niedzielny wieczór wygłaszał znowu pierwsze kazanie, jakie wygłosił z tej kazalnicy świeżo po powrocie z podróży poślubnej ze swą młodą żoną. „Salomon w całej swej krasie nie był tak strojny, jak jeden z tych“. Brak było dziś kazaniu radosnego zapału, jaki bił z niego w owym najszcześniejszym dniu, a jednak znękany głos i oblicze Piersona nadawały kazaniu jakieś głębsze znaczenie. Grację, która wiedziała, że zakończy mowę pożegnaniem, ogarnęło już na długo przedtem silne wzruszenie. Siedziała, walcząc ze łzami i spojrzała na niego dopiero wtedy, gdy długa przerwa w kazaniu wzniciła w niej obawę, że może ojca opuściły siły. Pierson pochylony był nieco naprzód i zdawał się nie widzieć przed sobą niczego; ręce zaciśnięte na brzegu kazalnicy drżały. Głębokie milczenie panowało w kościele, gdyż oblicze jego i postać robiły nawet na Gracji niesamowite wrażenie. Kiedy rozchylił wargi, by mówić dalej, mgła przesłoniła jej wzrok i straciła go z oczu.

— Przyjaciele, opuszczam was; oto ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek wypowiem z tego miejsca. Idę do in-

nej pracy. Byliście bardzo dobrzy dla mnie. Bóg był bardzo dobry dla mnie. Modlę się z całego serca, by Jego błogosławieństwo spłynęło na was. Amen! Amen!

Mgła przesłaniająca oczy Gracji, spłynęła lżą i mogła go teraz znowu widzieć; patrzył na nią. Czy doprawdy na nią? Bezwątpienia widział coś — jakąś wizję słodszą, niż rzeczywistość, coś, co ukochał bardziej. Upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Klęczała przez cały czas trwania hymnu, klęczała, gdy mówił jasnym, powolnym głosem słowa błogosławieństwa: — Niechaj pokój Boży, wyższy nad wszelki rozum, zachowa wasze serca i umysły w wierze i miłości Boga i Jego Syna, Jezusa Chrystusa, Pana naszego; i niechaj błogosławieństwo Boga Wszechmogącego, Ojca, Syna i Ducha Świętego będzie z wami i pozostanie z wami na wieki. — Klęczała ciągle jeszcze, aż została sama w kościele. Wtedy wstała i poszła do domu. — Już po wszystkim — myślała ustawicznie; — po wszystkim. Och, mój ukochany tatuś! Teraz nie ma domu. To Nolli i moja robota. A przecież nie mogłam postąpić inaczej, a może i Nolli nie mogła. Biedna Nolli!...

2.

Pierson zatrzymał się w zakrystji na rozmowie ze swymi chórzystami i przełożonym; wszystko szło gładko, rezygnację jego przyjęto, a jeden z przyjaciół zgodził się zastąpić go aż do wyznaczenia nowego proboszcza.

Kiedy odeszli, wrócił do pustego kościoła i poszedł na górę. Jedno z małych okienek było otwarte; stanął, oparty o kamienne obramowanie i wyjrzał na świat; odpoczywał. Dopiero teraz, gdy było już po wszystkim, uświadomił sobie, jaki ciężar z siebie zrzucił. Wróble świergotały, ruch uliczny ucichł prawie zupełnie w tej spokojnej niedzielnej godzinie wieczornego posiłku.

Skończone! Nie do pojęcia, że nigdy już tu nie będzie stał, że nigdy nie zobaczy tych dachów, tego skrawka skweru, nie usłyszy swojskiego świergotu wróbla. Usiadł przy organach i zaczął grać. Po raz ostatni zabrzmiał ich dźwięk, po raz ostatni echo obieгло pusty Dom Boży. Grał długo; poza nim kościół zatapiał się zwolna w coraz gęstszym mroku. Ze wszystkiego, co tu pozostało, za tem tęsknić będzie najbardziej — za przywilejem, by przychodzić tu i wypowiadać swe uczucia w dźwiękach, rozplywających się w ciemnej pustej przestrzeni coraz to piękniejszym brzmieniem. Z każdym akordem zatapiał się coraz głębiej i głębiej w falującą melodię tonów, zatracając poczucie rzeczywistości, aż w końcu muzyka i ciemny budynek spłynęły w jeden hymn uroczystej ekstazy. Daleko poza nim coraz głębsza ciemność otulała kościół, aż w końcu ławki i ołtarz rozplynęły się w mroku i tylko kolumny i ściany jaśniały niewyraźnie. Zaczął grać swój ulubiony powolny ustęp z siódmej Symfonji Beethovena — zatrzymał się przy „Finale“, który wywoływał w nim zawsze błogie wizje. Kot, czyhający na wróble, wślizgnął się przez małe okienko i skulił się przestraszony. spoglądając na niego zielonemi oczyma. Zamknął organy, zeszedł szybko na dół i zamknął po raz ostatni swój kościół. Na ulicy cieplej było, niż w gmachu i jaśniej, gdyż światłość dnia nie zagasała jeszcze. Odszedł kilka kroków, przystanął i spojrzął w górę. Ściany, przypory i wieża otulone były mleczno-szarym cieniem. Szczyt wieży zdawał się dotykać gwiazd. — Żegnaj, mój kościele! — pomyślał. — Żegnaj, żegnaj! — Czuł, że twarz mu drga. Zaciśnął zęby i odwrócił się.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

I.

Kiedy Noel uciekła, Fort chciał pobiec za nią, by ją zatrzymać; uświadomił sobie jednak zaraz, że z powodu swej chromej nogi nigdy jej nie dogoni, zawrócił i wszedł do sypialni Leili.

Zdjęła suknię i stała nieruchomo przed lustrem, trzymając ciągle jeszcze w ustach papierosa, z którego wijąc się uchodził błękitny dymek. Mógł widzieć odbicie jej twarzy, bladej, z czerwonymi plamami na policzkach i płonącymi uszami. Nie słyszała widocznie, że wszedł, ale oczy jej zmieniły wyraz, kiedy ujrzała jego odbicie w lustrze. Przed chwilą jeszcze nieprzytomne i bez wyrazu, nabrały teraz życia i ognia.

— Noel odeszła! — rzekł.

Odpowiedziała tak, jakby mówiła do jego odbicia w lustrze.

— A tyś nie poszedł za nią? Ach! prawda — twoja noga. Uciekła zapewne? Obawiam się, że moje przyjście było przykrym dysonansem.

— Nie; to m o j e przyjście było dysonansem.

Leila odwróciła się:

— Jimmy! Dziwię się, jak mogłeś rozmawiać o mnie. Co do reszty... — wzruszyła ramionami. — Ale to!...

— Nie rozmawiałem o tobie. Powiedziałem tylko, że

nie warto ci zazdrościć tego, że mnie masz. Czy to nie prawda?

W tej samej chwili pożałował swych słów. Gniew, płonący w jej oczach, zmienił się momentalnie w pytanie, potem w wyraz rozpacz.

— Byłaś godna zazdrości; Och! Jimmy; byłaś! — rzuciła się na łóżko twarzą do poduszek.

Fortowi przebiegło przez myśl: — Niegodziwiec ze mnie! — Jak ją miał ukoić, jak jej dać odczuć, że ją kocha, kiedy jej nie kochał? — że jej pragnie, kiedy pragnął Noel? Podeszedł do łóżka i dotknął jej nieśmiało.

— Leilo, co ci? Jesteś przemęczona. O co ci chodzi? Nie jestem przecież winny, że to dziecko tu przyszło. Czemu się tem tak przejmujesz? Przecież poszła. Wszystko jest w porządku. Wszystko jest tak, jak było.

— Tak! — zabrzmiał zdławiony głos; — właśnie!

Ukląkł koło niej i pogłaskał jej ramię. Zadrżało pod jego dotknięciem, stężało znowu, jakby w oczekiwaniu pieczyoty i nadziei, że będzie może cieplejsza; i znowu zadrżało.

— Popatrz na mnie! — rzekł. — Czego właściwie chcesz? Jestem gotów zrobić wszystko.

Odwróciła się i usiadła podciągawszy nogi, na łóżku, oparta plecami o poduszkę, jakby szukając podpory. Zdziwił go wyraz siły bijącej w tej pozycji z jej twarzy i postaci.

— Mój drogi Jimmy! — rzekła. — Jedyłą rzeczą, o którą cię poproszę, to papieros. W moim wieku nikt nie oczekuje więcej, niż dostaje. — Wyciągnęła kciuk i wskazujący palec. — Czy mogę prosić o papierosa?

Fort odszedł, by go przynieść. Jakieś gorzkie opanowanie, jakiś nieodgadniony uśmiech towarzyszył jej słowom! Ale zaledwie tylko wyszedł z pokoju i zaczął na oślep szukać papierosa, ogarnął go bolesny niepokój

o Noel, która uciekła w takim wzburzeniu, urażona, nie mająca gdzie się udać.

Znalazł szkatułkę z politurowanego brązowego drzewa, w której leżały papierosy, i starał się z rozpaczliwym wysiłkiem wyrzucić ze swych myśli obraz dziewczęcia, zanim wróci do Leili. Siedziała ciągle jeszcze na łóżku z rękoma skrzyżowanymi, sztywna nieruchomością człowieka, którego każdy nerw i każdy mięsień napięty jest do ostateczności.

— Weź także, — rzekła. — Fajka pokoju.

Fort zapalił papierosa i usiadł na brzegu łóżka; myśli jego momentalnie wróciły do Noel.

— Tak — rzekła nagle. — Ciekawam, dokąd poszła. Czy to nie do niej podobne? Mogłaby zrobić coś szalonego po raz drugi. Biedny Jimmy. Szkodaby było. A więc ten mnich był tu i pił szampana. Dobry pomysł! Przynieś mi trochę, Jimmy!

Fort wyszedł znowu, a z nim razem obraz dziewczyny. Kiedy wrócił ponownie, miała na sobie ciemny jedwabny strój, w którym ukazała się tak nagle w całym blasku swej urody owego nieszczęsnego wieczoru po koncercie w Queen's Hall. Odebrała od niego kieliszek i, mijając go, weszła do bawialni.

— Chodź i usiądź, — rzekła. — Czy cię boli noga?

— Nie więcej, niż zwykle; — usiadł koło niej.

— Nie napijesz się? *In vino veritas*, mój przyjacielu.

Potrząsnął głową i rzekł pokornie:

— Podziwiam cię, Leilo.

— To się doprawdy szczęśliwie składa. Nie znam nikogo innego, ktoby podzielał twe uczucie. — Wychyliła szampana jednym haustem.

— Czy nie życzyłbyś sobie, — rzekła nagle, — żebym była raczej jedną z tych wspaniałych kobiet, które całe składają się z mózgu i dobroczynności? Omówiłabym

z tobą przy szklance herbaty wszystkie zagadnienia wszechświata i wojnę i jej przyczyny, i nie byłabym cię nigdy męczyła, żądając, byś starał się mnie kochać. Co za szkoda!

Ale Fortowi przyszły na myśl słowa Noel: — To wszystko jest strasznie zabawne, prawda?

— Leilo, — rzekł nagle — coś trzeba zrobić. Przyrzekam ci, że jak długo będziesz tego żądała, nie zobaczę się więcej z tem dzieckiem.

— Mój drogi chłopcze, ona nie jest dzieckiem. Jest dojrzała do miłości; a ja jestem zbyt dojrzała do miłości. Tu leży haczyk, a ja muszę go połknąć. — Wyrwała rękę z jego dłoni, upuściła kieliszek na podłogę i zakryła twarz rękoma.

Strasliwe uczucie, jakie nawiedza prawdziwego Anglika, gdy czuje zbliżającą się scenę, ogarnęło Forta. Czy miał chwycić jej rękę, oderwać ją od twarzy i pocałować? Czy powinien wstać i zostawić ją samą? Mówić, czy siedzieć cicho; starać się pocieszać; starać się udawać? Nie uczynił absolutnie nic. Rozumiał ją może tak dalece, jak mężczyzna może zrozumieć tę chwilę w życiu kobiety, kiedy musi przyjąć porażkę z rąk Młodości i Piękności.

Wszystko to jednak było dla niego bardzo niejasne. Rozumiał o wiele lepiej, że Leila zdaje sobie w tej chwili ostatecznie sprawę z tego, że ten, którego kocha, nie darzy jej miłością.

— A ja nie mogę na to nic poradzić — myślał w ciichości; — poprostu nie mogę! — Nic, coby powiedział, czy uczynił, nie mogłoby tu niczego zmienić. Żadne słowo nie przekona kobiety, kiedy pocałunki straciły swą wymowę. Wkońcu ku jego nieskończonej uldze odjęła ręce od twarzy i rzekła:

— To wszystko jest bardzo nudne. Lepiej poszedłbyś do domu, Jimmy.

Chciał coś powiedzieć, ale bał się, by głos jego nie zabrzmiał fałszywie.

— O mało, a byłaby scena! — rzekła Leila. — Mój Boże! Jakże mężczyźni nienawidzą scen! Ja również. Miałam ich zbyt wiele swego czasu; jedynym ich skutkiem jest ból głowy następnego dnia. Zaoszczędziłam ci tego, Jimmy. Daj mi za to całusa.

Pochylił się i przycisnął wargi do ust Leili. Z całego serca starał się odpowiedzieć na namiętność jej pocałunku. Odsunęła go nagle od siebie i rzekła cicho:

— Dziękuję ci; robiłeś, co mogłeś.

Fort przetaił sobie ręką oczy. Wyraz jej twarzy wzruszył go w tej chwili ogromnie. Czuł się straszliwie podły! Ujął jej bezwolną rękę. Podniósł do ust i szepnął:

— Przyjdę jutro. Pójdziemy do teatru, dobrze? Dobranoc, Leilo!

Ale, otwierając drzwi, ujrzał znów jej oczy, patrzące za nim, czekające najwidoczniej, żeby zawrócił; czaił się w nich przestrach. Nagle stały się łagodne, tak łagodne, że serce jego skurczyło się boleśnie.

Podniosła rękę, posłała mu pocałunek i uśmiechnęła się. Nie zdając sobie sprawy z tego, co odpowiedział, wyszedł. Nie mógł się zdecydować odejść; oparł się o sztachety ogrodu i patrzył w jej okna. Była dla niego przez cały czas bardzo dobra. Czuł się, jak człowiek, który wygrał w karty i ucieka chyłkiem, nie dając swemu partnerowi możliwości odegrania się. Gdyby go tylko nie była kochała, gdybyż to był tylko bezduszny stosunek, całkiem zwykła brudna sprawa! Wszystko raczej, nie to! Będąc Anglikiem do szpiku kości, nie mógł się wyzbyć poczucia winy. Nie mógł jej dać żadnego zadośćuczynienia, żadnego wynagrodzenia i przez to czuł się straszliwie podły. — Czy mam wrócić na górę?, — pomyślał. W tej chwili smugi światła w jej oknach zgasły. — Położyła się, — pomyślał. — Zdenerwował-

bym ją tylko jeszcze bardziej. Gdzie może być teraz Noel? Pewnie jej już nigdy w życiu nie zobaczę. Przykra sprawa! Mój Boże! Bardzo przykra sprawa!

Zaczął mozolnie kroczyć dalej; noga dokuczala mu bardzo.

2.

Leila zdawała sobie aż nazbyt dobrze sprawę, że ludzie stojący poza obrębem panującej moralności odczuwają tak samo szczerze, głęboko i z tem samym oddaniem, co ludzie, żyjący wedle jej praw. Kto wie, może uczucia jej były nawet bardziej szczerze i głębokie, tak samo, jak smak dzikiego owocu jest ostrzejszy, niż smak szlachetnego. Opinja — wiedziała o tem — powie, że skoro obrała stanowisko nieuświęcone, to nie ma nawet w połowie tego prawa do rozpacz, jakiego miała, gdyby Fort był jej mężem. Opinja — wiedziała o tem, — powie, że nie ma do niego żadnych praw, i że im prędzej nielegalny związek zostanie zerwany, tem lepiej! A mimo to czuła się tak samo nieszczęśliwa jak-gdyby była jego żoną. Nigdy nie chciała postępować niezgodnie z moralnością — nigdy w życiu nie chciała tego. Była jak ci ludzie, którzy przy spowiedzi oczyszczają się z grzechu, by zacząć grzeszyć na nowo z czystym sumieniem. Nigdy nie chciała grzeszyć, chciała jeno kochać, a gdy kochała. wszystko inne traciło dla niej znaczenie. Grała w hazardową grę, ale dotychczas zawsze spłacała długi. Tylko, że tym razem stawka była największa, na jaką się kobieta zdobyć może. Postawiła wszystko na jedną kartę; i wiedziała o tem. Jak długo kobieta wierzy w swój urok, tak długo może mieć nadzieję na przyszłość, choćby nawet jakiś romans się skończył i kurtyna zapadła. Dla Leili jednak światło wiary zagasło nagle i wiedziała, że, gdy tym razem kurtyna zapadnie, będzie musiała siedzieć w ciemności, dopóki nie zubożnieje

pod wpływem starości. A pomiędzy czterdziestym czwartym rokiem życia, a prawdziwą starością leży przepaść. Poraz pierwszy zdarzyło jej się, że się sprzykrzyła mężczyźnie. Mój Boże! Sprzykrzyła się, zanim się cokolwiek zaczęło, czuła to. Jak człowiek tonący, ujrzała w jednym ułamku chwili wszystkie stadja ich współżycia, i uświadomiła sobie jasno, że miłość jego do niej nie była nigdy prawdziwym płomieniem. Ogarnęło ją palące uczucie wstydu. Zagrzebała twarz w poduszkach. Serce jego należało przez cały czas do tamtej dziewczyny. Zasmiała się i pomyślała: — Postawiłam pieniądze na złego konia; powinnabym była grać na Edwarda. Byłabym zapewne umiała zawrócić temu biednemu mnichowi głowę. Gdybym się tylko nie była znowu spotkała z Jimmy'm; gdybym była podarła jego list, byłabym mogła rozkochać w sobie Edwarda! — Gdyby! Coż za szaleństwo! Wszystko dzieje się tak, jak się dzieć musi.

Wstała i zaczęła krążyć po małym pokoju. Będzie nieszczęśliwa bez niego, a z nim też będzie nieszczęśliwa! — Nie mogę znieść jego widoku, — pomyślała; — a żyć bez niego również nie mogę. Śmieszne doprawdy! — Myśl o szpitalu przepelniała ją wstrętem. Chodzić tam dzień w dzień z tą zgryzotą w sercu — niepodobieństwo! Przeliczyła w pamięci swoje zasoby. Miała więcej pieniędzy, niż przypuszczała; Jimmy dał jej na Boże Narodzenie pięćset funtów. Z początku miała ochotę podrzeć czek, albo zmusić Forta, by go wziął zpowrotem, nauczona jednak doświadczeniem ostatnich pięciu lat, wykupiła go. Była z tego teraz zadowolona. Nie musiała się liczyć z pieniędzmi. Szukała ucieczki w myślach o przeszłości. Wspomniała pierwszego męża, Ronny Fane'a; pokoje, zawieszane siatkami na moskity i nieludzki skwar w Madras. Biedny Ronny! Cóż za blady cyniczny upiór zjawił się przed jej oczyma, gdy wymawiała jego imię. Myślała o Lynch'u, o jego prozaicznej solidności. Ko-

chała ich kiedyś obydwu — przez jakiś czas. Myślała o afrykańskim stepie, o Constancy, o górach piętrzących się pod zasianem gwiazdami niebem; i — o chwili, kiedy poraz pierwszy ujrzała Fort'a, jego proste spojrzenie, sklepienie jego głowy, faliste włosy, miły rycerski i chłopięco szczery wyraz jego twarzy. Nawet i dziś, po wszystkich miesiącach ich współżycia wspomnienie dawno minionego wieczoru winobrania, kiedy śpiewała mu pod słodko pachnącem pnączem, było jej najbardziej żywe i najdroższe. W ten jeden wieczór przynajmniej, pragnął jej, jedenaście lat temu. kiedy była jeszcze w pełni rozkwitu. Wtedy byłaby go sobie mogła zatrzymać, wtedy Noel byłaby przyszła napróżno. Pomyśleć tylko, że ta dziewczyna miała przed sobą jeszcze piętnaście lat, zanim będzie w pełni rozkwitu! Piętnaście lat czarów; a potem jeszcze dziesięć, zanim ją życie usunie w ką. Mój Boże! Jeśli Noel wyjdzie za Jimmy'ego, to Fort będzie starym i ciągle jeszcze zakochanym w niej człowiekiem, zanim Nolli dojdzie do fatalnego wieku czterdziestu czterech lat. Zdawało jej się, że musi krzyżeć na głos, zapchała więc sobie usta chusteczką i zgasiła światło. Ciemność ochłodziła ją nieco. Rozsunęła firanki i wpuściła światło księżycy. Jimmy i ta dziewczyna błędzili gdzieś w tej ciemności, szukając się wzajem, jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w myślach. I niezadługo gdzieś, jakoś, odnajdą się, odnajdą się, gdyż tego chciał Los, Los, który dał Noel podobieństwo do niej samej, który postawił ją właśnie w takiej beznadziejnej sytuacji, że musiała rozbudzić rycerskość Jimmy'ego i zwiększyć jego szanse w stosunku do młodszych od niego mężczyzn. Widziała to wszystko z pełną goryczy jasnością. Dobrzy gracze umieją ponosić straty! Tak, a dumne kobiety nie trzymają przy sobie niechętnych kochanków! Gdyby miała choćby cień nadziei, powlokłaby swą dumę poprzez błota, poprzez ciernie!

Ale nie miała żadnej nadziei. Zaciśnęła pięści i zagroziła niemi nocy, tak, jakby była twarzą Losu, — nieosiągalną i bezwzględną twarzą nieuniknionego Losu, uśmiechniętą pogardliwie, pozbawioną wszelkiego ludzkiego uczucia. Nic na świecie nie przesunie wtył wskazówek zegara i nie da jej tego, co powiedziała ta dziewczyna. Czas „dał sobie z nią radę“, tak, jak „daje rady“ każdej kobiecie, jednej po drugiej. Widziała siebie starzejącą się z każdym rokiem, używającą z każdym rokiem trochę więcej pudru i szminki, farbującą trochę więcej włosy, aż wszystko zamieni się w sztukę; starająca się utrzymać na powierzchni zapomocą tysiąca małych zabiegów — i na co to wszystko? By wiedzieć, że twarz jego staje się coraz bardziej chłodna, by słyszeć w jego głosie coraz wyraźniej wymuszoną łagodność; by wiedzieć, że w głębi jego serca rośnie corazto silniejsza niechęć do niej i coraz częściej powraca myśl: — Stoisz między mną, a miłością! — by w końcu pewnego wieczoru stracić panowanie nad nerwami i powiedzieć albo zrobić coś okropnego, i wiedzieć, że teraz Jimmy już nigdy nie przyjdzie? — Nie, Jimmy, — pomyślała, — znajdź ją sobie i zostań z nią. Niewart jesteś całej tej udręki. — Zaciągnęła firanki, jakby zamykała tym gestem dostęp czyhającemu na nią losowi, zaświeciła światło i zasiadła do biurka. Przez kilka chwil trwała w bezruchu, z brodą wspartą na rękach; ciemny jedwab opadł z jej ramion. Małe lusterko, oprawne w dziwacznie rzeźbioną kość słoniową, zakupione przed dwudziestu pięciu laty w jakimś indyjskim bazarze, wisiało naprzeciw niej, na tej samej wysokości, co jej twarz. Ujrzała w niem swe odbicie. — Nie jestem brzydka, — pomyślała z pasją. — Z pewnością nie. Wyglądam jeszcze wcale nieźle. Gdyby się tylko ta dziewczyna nie była nawinęła! A wszystko moja wina. Och, czemuż napisałam do oby-

dwu, do Edwarda i do Jimmy'ego? — Odsunęła lustro i ujęła pióro.

„Mój drogi Jimmy“ pisała. „Będzie lepiej dla nas obojga, jeżeli udzielę Ci na jakiś czas urlopu. Nie przychodź do mnie, dopóki Ci nie napiszę. Bardzo mi przykro, że Ci dziś w nocy sprawiłam tyle kłopotu. Zabaw się i wypocznij porządnie; i nie mart się.

„Twoja“

Właśnie, gdy kończyła pisać „Twoja“, łza upadła na papier, musiała więc podrzeć arkusik i wszystko zacząć na nowo. Tym razem napisała do końca „Twoja Leila“.

— Muszę wysłać list odrazu — pomyślała, — w przeciwnym razie może go nie otrzymać jutro. Nie wytrzymałabym czegoś podobnego poraz drugi. — Pobiegnę śpiesznie na dół i wrzuciła list do skrzynki. Noc pachniała kwiatami; wróciła szybko do mieszkania i położyła się. Przez długie godziny nie mogła zasnąć; rzucała się w łóżku i patrzyła w ciemność szeroko otwartymi oczyma.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

I.

Leila była dzielna, ale mało cierpliwa. Miała teraz jedną myśl: uciec z Londynu; zajęła się więc odrazu porządkowaniem swoich spraw i staraniami o pozwolenie powrotu do południowej Afryki. Podniecenie, spowodowane zakupami i przygotowaniem do podróży, było dla niej możliwie najbardziej uśmierzającym lekarstwem. Przejazd przez morze połączony był w tym czasie z wielkiem niebezpieczeństwem i myśl o tem sprawiała jej przyjemność. — Jeżeli utonę — myślała, — tem lepiej; wolę szybki koniec, niż beznadziejne, powolne umieranie. — Ale kiedy miała pozwolenie w kieszeni i zamówioną kabinę, uświadomiła sobie z całą wyrazistością nieodwołalność swego kroku. Czy miała się z nim jeszcze raz zobaczyć? Jej okręt odjeżdżał za trzy dni, musiała się więc zdecydować. Wiedziała, że jeżeliby pod wpływem wyrzutów sumienia był czuły dla niej, nie wykona nigdy swego postanowienia i wtedy cała okropność zaczęnie się na nowo, póki ponownie nie będzie zmuszona do takiego samego kroku. Godzina za godziną mijała niewykorzystana; dopiero w przeddzień wyjazdu, tęsknota za nim i strach przed widzeniem się z nim stały się tak nieznośne, że załamała się. Późnym wieczorem — kiedy już wszystko, do najmniejszej drobnostki było

przygotowane — wyszła z domu, wciąż jeszcze niezdecydowana. Pragnienie, by rozdrapać swą ranę, by dowiedzieć się, co się stało z Noel, skierowało ją do domu Edwarda. Prawie że nie zdając sobie z tego sprawy, włożyła najpiękniejszą suknię i spędziła całą godzinę przed lustrem. Gorączka, trawiąca raczej jej duszę, niż ciało, a nie ustępująca od owej nocy, zabarwiła jej policzki rumieńcem. Wyglądała szczególnie pięknie; w kwaciarni na Baker Street kupiła gardenję i przypięła ją do sukni. Stanąwszy na starym placu, zdziwiła się na widok tabliczki z napisem „Do wynajęcia“, choć dom robił wrażenie zamieszkałego. Zadzwoeniła. Wprowadzono ją do salonu. Była już dwa razy poprzednio w tym domu; niewiadomo czemu, może z powodu, iż sama czuła się tak nieszczęśliwa, stary, zniszczony nieco pokój zrobił na niej przejmujące wrażenie, jakgdyby był przybytkiem przeszłości: — Ciekawam, jaka była jego żona — pomyślała. W tej chwili ujrzała zawieszony na tle kawałek czarnego aksamitu zblakły szkic pastelowy, przedstawiający smukłą, młodą kobietę, pochyloną naprzód, z rękoma splecionymi na kolanach. Koloryt obrazu utrzymany był w tonach bladoniebieskich i odcieniach starej słońiowej kości i ożywiony gdzieniegdzie blado-różowemi przebłyskami. Oczy, pełne życia, przypominały nieco oczy Gracji. — Tak, — pomyślała, — musiał cię bardzo kochać. Trudno mu zapewne przyszło rozstać się z tobą. — Stała ciągle jeszcze przed portretem, kiedy Pierson wszedł.

— To urocza twarzyczka, Edwardzie. Przyszłam pożegnać się z tobą. Odjeżdżam jutro do południowej Afryki. — A kiedy dotknęła jego ręki, pomyślała: — Byłam chyba szalona myśląc, że mogłabym go kiedykolwiek rozkochać w sobie.

— Czy, — czy odchodzisz od niego?

Leila skinęła twierdząco głową.

— To bardzo dzielnie i pięknie.

— O, nie. Mus, to wielki pan — oto i wszystko. Nie rezygnuję dobrowolnie ze szczęścia. To do mnie całkiem niepodobne. Nie wiem, co się ze mną stanie, ale możesz być pewny, że nic lepszego ze mnie nie będzie. Rezygnuję, bo mi nic innego nie pozostaje, a ty wiesz dlaczego. Gdzie jest Nolli?

— Nad morzem z Jerzym i z Gracją.

Patrzył na nią w zdziwieniu; bolesny, a zakłopotany wyraz jego oczu rozgniewał ją.

— Widzę, że dom jest do wynajęcia. Ktoby przypuścił, że taki dzieciak wyważy z posad dwa przedpotopowe głazy, jak my? Nie przejmuj się tem Edwardzie, ale w naszych żyłach płynie ta sama krew. Każde z nas będzie walczyło do ostatka na swój sposób. Dokąd ty idziesz?

— Przypuszczam, że dostanę posadę kapelana polowego na wschodzie.

Przez jedną chwilę przebiegł Leili przez myśl szaleńczy pomysł:

— Czy mam się zaofiarować, że pójdę z nim, że pójdziemy razem jak dwa bezdomne psy?

— Coby się było stało, Edwardzie, gdybyś mi się był oświadczył wtedy przed laty w maju, kiedy byliśmy — odrobinę zakochani? Dla którego z nas byłoby gorzej, dla ciebie, czy dla mnie?

— Nie byłabyś mnie przyjęła, Leilo.

— Niewiadomo. Ale wtedy nie byłbyś nigdy stał się ani kapłanem, ani świętym.

— Nie używaj tego głupiego wyrazu. Gdybyś wiedziała...

— Wiem; widzę przecież, żeś się napół spalił żywcem; napół spalony, napół pogrzebany! No, masz za to swoją nagrodę, jakakolwiek ona jest, a ja mam swoją.

Dowidzenia, Edwardzie! — Ujęła jego rękę. — Mógłbyś mi dać swoje błogosławieństwo; jest mi potrzebne.

Pierson położył rękę na jej ramieniu, pochylił się naprzód i pocałował ją w czoło.

Oczy Leili napełniły się łzami.

— Mój Boże, — rzekła, — smutny jest ten świat. — Ukryła drzenie warg opiętą w rękawiczkę dłonią i przeszła szybko mimo niego, kierując się ku drzwiom. Stamtąd obejrzała się. Stał całkiem spokojnie, ale wargi jego poruszały się. — Modli się za mnie! — pomyślała. — Jakież to zabawne!

2.

Ledwo wyszła na ulicę, już o nim zapomniała; pałaca tęsknota za Fortem ogarnęła ją ze wzmoczoną siłą, jak gdyby Pierson, ten symbol wieczystego wyrzeczenia, rozognił w niej umiłowanie życia i radości. Musi zobaczyć się z Jimmy'm, koniecznie, choćby nawet miała czekać na niego, czy szukać go przez całą noc! Dochodziła siódma, skończył więc już pracę w Ministerstwie Wojny; mógł być w swoim klubie lub w domu. Udała się do jego mieszkania.

Mała uliczka koło Buckingham Gate, gdzie żaden żartowniś już od roku nie wypisał słowa „Pokój“, wyprazona była docna całodziennem gorącym słońcem. Salon fryzjerski pod jego mieszkaniem nie był jeszcze zamknięty, a prywatne drzwi wejściowe obok otwarte były naościęz. — Nie zadzwonię — pomyślała. — Pójdę prosto na górę. — Podczas, gdy wchodziła na drugie piętro, musiała się dwa razy zatrzymać, gdyż ból w okolicy serca zapierał jej oddech. Ból ten dokuczał jej teraz często, tak, jakby tęsknota dręcząca jej serce nadwyręzała je fizycznie. Na górze przed jego mieszkaniem zatrzymała się na chwilę na małej platformie klatki schodowej i oparła się o ścianę pokrytą czerwoną tapetą. Przez otwarte w głębi okno dochodziły niewyraźne

dźwięki żołnierskiej piosenki, nuconej chórem: — Vive — la, vive — la, vive — la — Vive la compagnie — O Boże! — myślała. — Spraw, żeby był w domu, spraw żeby był dobry dla mnie. To ostatni raz. — Napół chora z niepokoju, otworzyła drzwi. Był w domu — leżał na wyplatanymszezlongu pod ścianą w najdalszym kącie pokoju z ramionami skrzyżowanemi w tyle głowy i z fajką w zębach; miał zamknięte oczy, nie poruszył się, ani nie otworzył ich, zapewne w przypuszczeniu, że weszła służąca. Cicho, jak kot, Leila przeszła przez pokój i stanęła nad nim. Czekaając aż się zbudzi z tego wyzywającego letargu, nasyciła się dowoli widokiem jego wąskiej kościstej twarzy, zdrowej, choć tak szczupłej. Zęby zaciśnięte na ustniku fajki nadawały jego rysom wyraz niezłomnej odporności, jak gdyby człowiek ten z głową wtył odrzuconą i skrępowanemi rękoma wyprężył się w obronie przed jakimś stworzeniem, które przywarło doń i wspinało się po nim, by go powalić. Fajka paliła się, sącząc cienkie pasemko dymu; poruszał bezustannie chorą nogą, jakby mu dokuczała. Pozatem jednak był tak zupełnie, tak uparcie nieruchomy, jakby spał. Gęste jego włosy układały się w miękkie fale, nie było w nich ani jednej srebrnej nitki, zdrowe zęby, ściskające fajkę, lśniły bielą. Miał twarz młodą — o tyle młodszą od niej! Czemuż ją kochała, tę twarz mężczyzny, który nie mógł jej kochać? Przez chwilę wydawało się jej, że mogłaby chwycić poduszkę, która ześlizgnęła się z szezlonga i zadusić go tak, jak tu leżał, wzbraniając się, jak jej się zdawało, wrócić do przytomności. Miłość wzgardzona! Upokorzenie! Omal nie zawróciła, by wykraść się z pokoju. Wtem, przez drzwi, które zostawiła otwarte, wpadł dźwięk chóru: „Vive — la, vive — la, vive — la, ve!“ i szarpnął nieznosnie jej nerwami. Zerwała

ze swej piersi gardenję i cisnęła nią w jego wzniesioną ku górze twarz.

— Jimmy!

Fort zerwał się i spojrzał na nią zdumiony. Zrobił w swem zdziwieniu wprost komiczną minę; zaśmiała się krótkim, nerwowym śmiechem.

— Nie śniłeś o mnie, drogi Jimmy, to pewne. Po jakim to ogrodzie wędrowałeś?

— Leila! Ty! Jak... jak pysznie!

— Jak... jak pysznie! Chciałam cię zobaczyć, więc przyszłam. I zobaczyłam cię, jaki jesteś, kiedy nie jesteś przy mnie. Zapamiętam to sobie dobrze; przydało mi się — ogromnie mi się przydało.

— Nie słyszałem, jakieś weszła.

— Byłeś bardzo, bardzo daleko. Włóż moją gardenję do butonierki. Zaczekaj, wepnę ją. Czy odpocząłeś sobie gruntownie przez ten tydzień? Czy podoba ci się moja suknia? Jest nowa. Nie byłbyś jej nawet zauważył, prawda?

— Byłbym zauważył z pewnością. Jest prześliczna.

— Jimmy, zdaje mi się, że nic — nic na świecie nie zachwieje nigdy twej rycerskości.

— Rycerskości? Nie jestem rycerski.

— Chciałabym zamknąć drzwi, czy masz co przeciw temu? — Podeszedł jednak sam do drzwi, zamknął je i wrócił do niej. Leila podniosła ku niemu wzrok.

— Jimmy, jeśli kiedykolwiek kochałeś mnie choć troszkę, bądź dziś dobry dla mnie. I jeżeli coś powiem — jeśli będę zgorzkniała — nie bierz mi tego za złe; nie zwracaj na to uwagi. Przyrzeknij!

— Przyrzekam!

Zdjęła kapelusz i usiadła na szezlongu oparta o niego tak, że nie mogła widzieć jego rysów. Czuła jego rękę okalającą jej kibić i dała się unieść daleko falom złudy, coraz dalej, starając się zapomnieć, że istnieje

je rzeczywistość, do której trzeba będzie powrócić; jak mała dziewczynka bawiła się „na niby“. — On mnie kocha — on mnie kocha — on mnie kocha! — Och, żeby się tak zapomnieć na godzinę, na jedną tylko godzinę; wiedziała, że za tę cenę odda resztę przeznaczonego jej czasu, że odda go z całą radością. Przytuliła jego rękę mocno do serca, odchyliła głowę wtył i przysunęła ją do jego twarzy, zamknawszy oczy, by go nie widzieć; zapach gardenji wpiętej w jego marynarkę przejął ją bólem, tak słodki był i mocny.

3.

Kiedy w kapeluszu stanęła gotowa do wyjścia, ściemniało się już. Zbudziła się ze snu, nie bawiła się już dłużej „na niby“. Stała w półmroku z kamiennym uśmiechem na ustach, spoglądając poprzez rzęsy ukradkiem na znękany wyraz jego rysów.

— Biedny Jimmy! — rzekła; — Nie będę cię dłużej wstrzymywała od kolacji. Nie, nie odprowadzaj mnie. Pójdę sama; i nie rób, na miłość Boską, światła.

Położyła rękę na klapie jego surduta.

— Ten kwiat zbronzował już na brzegach. Wyrzuć go; nie mogę znieść zwiędłych kwiatów. I ty także. Kup sobie jutro świeży.

Wyciągnęła kwiat z butonierki, zmięła go w ręce i podniosła ku niemu usta.

— No, pocałuj mnie raz jeszcze; nic ci się nie stanie.

Przez chwilę wargi jej przyłgnęły do jego warg z całą mocą. Potem oderwała się od niego. Poszukała po omacku klamki i otworzyła drzwi, zamknęła mu je przed nosem i zeszła powoli po schodach, słaniając się trochę. Wodziła jedną, opiętą w rękawiczkę ręką wzdłuż ściany, jakby szukała podpory. Na ostatniem półpiętrze zatrzymała się koło kotary, oddzielającej klatkę schodową od ubikacyj bocznych, i zaczęła nadśluchiwać. Żadnego odgłosu. — Jeżeli ukryję się za tą firanką — pomyślała, —

zobaczę go raz jeszcze. Wślizgnęła się za kotarę, w której była zaledwie mała szparka. Było tam tak ciemno, że nie mogła dojrzeć własnej ręki. Słyszała, jak się drzwi otwarły, słyszała jego powolne kroki po schodach. Zobaczyła jego stopy, kolana, całą postać, tylko rysów nie mogła dojrzeć wyraźnie. Minał ją, paląc papierosa. Zatkąła usta ręką, by nie wyrzec słowa; zgnieciona gardenja dotknęła jej nozdrzy zimnym, wonnym aksamitem swych płatków. Poszedł, drzwi wejściowe zamknęły się. Ogarnęło ją dziwne, napół szalone pragnienie, by wrócić na górę, czekać aż wróci; rzucić mu się w ramiona, powiedzieć, że odjeżdża, prosić, by jej pozwolił zostać przy sobie. Ach! pozwolilby! Spojrzałby na nią tym znękanym i pełnym litości wzrokiem, którego nie mogła znieść i powiedziałby: — Ależ naturalnie, Leilo, naturalnie. — Nie, na Boga, nie! — Pójdę spokojnie do domu, — szepnęła; — poprostu pójdę spokojnie do domu. Chodź, bądź dzielna; nie bądź głupia! Chodź! — Zeszła na dół na ulicę. Ujrzała go przy wejściu do parku o jakie pięćdziesiąt kroków przed sobą, posuwającego się mozolnie naprzód. Szła za nim, jakby była jego cieniem, wydłużonym na tak daleką odległość. Powoli, ciągle w tem samym oddaleniu szła za nim pod platanami wzdłuż ogrodzenia Parku, mijając St. James Palace, na Pall Mall. Wszedł kilka schodków w górę i zniknął w drzwiach swego klubu. A więc koniec: Spojrzała na burdynek — olbrzymi grobowiec z granitu, cały ciemny. Wolna dorożka odjeżdżała właśnie z przed drzwi. Wsiadła: — Camelot Mansions, St. John's Wood. — Sztywno oparta o poduszki powozu, dyszała ciężko, zaciskała kurczowo ręce i myślała: — No, widziałam go raz jeszcze. Lepszy rydz, jak nic. O, Boże! Wszystko skończone — nic już nie pozostało — nic, nie! Vive — la, vive — la, vive — la Vive — la compagnie!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Przed przyjsciem Leili, Fort lezał blisko godzinę śpiąc, nawpół na jawie. Śnił mu się dziwny i cudownie wzruszający sen. W niepewnym świetle ni to nocy ni to poranku widział długą szarą linię — całą długość francuskiego frontu. Tyraljera sunęła naprzód krótkimi skokami, następnie po chwilowej pauzie cofała się nieco, by znów przeć dalej naprzód, bez przerwy, bez ustanku; przy każdym posunięciu wszystkie głosy, a między niemi i jego własny krzyczały: — Hurra! Anglicy! Hurra! Anglicy! — Porywał go za sobą tłum tych niewyraźnych postaci, poruszających się w szarem świetle, pulsowanie i wrzawa, cudowna rytmiczność nieustających posunięć, równie niepowstrzymana, jak pęd wzbierającej fali; przepelniało go nawskroś wspaniałe, fascynujące uczucie; życie było niczem, śmierć niczem. — Hurra! Anglicy! — W tym swoim śnie czuł, że on i ojczyzna — to jedno, czuł się cząstką każdego z tych długich atakujących szeregów, prących naprzód w krótkich urywanych podrzutach, dalej i dalej. Z samego środka tego upojnego snu wyrwał go hałas uliczny, zamknął jednak znowu oczy w płonnej nadziei, że będzie śnił dalej do końca. Ale sen nie wrócił; zapalił więc fajkę i leżał dalej, rozmyślając nad płomiennym, fantastycznym realizmem sennego widziadła. Śmierć była niczem, byleby tylko ojczyzna żyła i odniosła zwy-

cięstwo. Na jawie nie dochodził nigdy do tak jasnego poznania samego siebie. A ile zadziwiającej prawdy wplotło się w fantastyczne senne mamidło, zupełnie, jakby ktoś starał się przekonać śpiącego wbrew jego własnym zapatrywaniom. Wtem delikatny kwiat uderzył go w czoło i usłyszał głos Leili:

— Jimmy!

Kiedy odeszła, myślał jedynie ze zmęczeniem: — Mój Boże, więc się znowu zaczęło! — I cóż zresztą za różnica, skoro poczucie lojalności i litości odgradzało go od tego, za czem jego serce tęskniło; pragnienie jego było niedorzeczne i równie nieosiągalne, jak księżyc. Więc cóż za różnica? Jeżeli sprawiało jej przyjemność kochać go, to niech ten stan rzeczy trwa dalej! A mimo to przez cały czas swej drogi pod platanami, zdawało mu się, że Noel idzie przed nim w takiej odległości, że nie zdoła jej dogonić, i myśl, że nie będzie mógł nigdy iść u jej boku bolała go okrutnie.

Dwa dni później, wróciwszy wieczorem do domu, zastał list pisany na papierze o zaokrąglonych brzegach, z marką pocztową w Plymouth:

„Bywaj zdrów, a gdy na wieki,

„To na wieki bywaj zdrów“

Leila“.

Przeczytał list i doznał prawdziwie okropnego uczucia, tak, jakby był oskarżony o zbrodnię i nie wiedział sam, czy ją popełnił, czy nie. Starał się opanować myśli, wziął dorożkę i pojechał do mieszkania Leili. Było zamknięte, ale podano mu jej adres; jakiś bank w Cape-Town. Był więc wolny. Oszołomiony i przejęty wyrzutami sumienia naprzemian z uczuciem ulgi, usłyszał, że woźnica pyta, dokąd ma dalej jechać: — Z powrotem. — Nim jednak ujechał milę, zmienił adres pod wpływem impulsu, którego już w następnej sekundzie szcze-

rze się wstydził. To, co czynił, było doprawdy tak samo nieprzyzwoite, jakby z pogrzebu swej żony jechał do buduaru innej kobiety. Kiedy stanął na starym placu i słowa „Do wynajęcia“ rzuciły mu się w oczy, uczuł dziwną ulgę; zrozumiał, że nie zobaczy tej, za której widok przed chwilą oddałby rok życia. Odesłał dorożkę i stanął przed bramą, zastanawiając się, czy ma zadzwonić. Ujrzał w oknie twarz służącej i zdecydował się. Pan Pierson wyszedł, panienki wyjechały. Poprosił o adres pani Laird, skierował się do powrotu i prawie że wpadł w ramiona Piersonowi. Powitanie było sztywne i obce. — Czy on wie, że Leila odjechała? — pomyślał. — A jeżeli tak, uważa mnie pewnie za ostatniego szubrawca. Ale czy nim jestem? Czy nim jestem?

Po powrocie do domu usiadł, aby napisać do Leili. Patrzył może przez godzinę na kartkę papieru i na trzy napisane przez siebie linijki:

„Moja droga Leilo,

„Nie potrafię Ci wyrazić uczuć z jakimi czytałem Twój list...“

W końcu podarł list. Nic nie mogło być dość odpowiednie, nic dość przyzwoite. Niech zmarła przeszłość pogrzebie swych zmarłych — zmarła przeszłość, która nigdy nie była żywą w jego sercu! Na co się zda udawać? Zrobił, co było w jego mocy, by się zachować przyzwoicie. Na co się zda udawać?

C Z Ę Ś Ć I V.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

1.

W pensjonacie, z którego Lairdowie się jeszcze nie wyprowadzili, stara pani z nieodstępną pończoszką siedziała przy kominku; blask zachodzącego słońca rzucał na ścianę jej cień, szary i pajęczy, poruszający się na tle żółtawej, zblakłej tapety w takt migocących drutów. Była to, według Noel, bardzo stara pani — chyba najstarsza pani na świecie, a pracowała bez przerwy, bez wytchnienia, tak że dziewczyna miała ochotę głośno krzyżeć. Wieczorami, kiedy Jerzego i Gracji nie było w domu, Noel często siadywała zapatrzona w druty, rozmyślając nad swą, jak dotąd niepewną, przyszłością. Od czasu do czasu stara pani obrzucała ją spojrzeniem z nad okularów, poruszała leciutko kącikami ust i spuszczała znowu wzrok. Noel doszła w końcu do przekonania, że stara pani zawzięła się przeciw Losowi: jak długo nie przerwie swojej roboty, tak długo musi trwać wojna. Ta stara pani wiązała w takt dźwięku drutów epos ludzkiej uległości; to ona właśnie podtrzymywała trwanie wojny — taka szczuplutka staruszczyzna! — Gdybym ją z tyłu chwyciła za łokcie — pomyślała dziewczyna — umarłaby chyba. A przecież powinienam

to zrobić. Wtedy wojnaby się skończyła. A kiedy wojna się skończy, będzie można znowu kochać i żyć. — Po chwili jednak srebrzyste podzwanianie drutów przerwało jej dalsze rozmyślanie. Tego wieczoru na kolanach jej leżał list od ojca.

„Najdroższa moja Nolli,

„Donoszę Ci z radością, że dostałem posadę kapelana i niedługo wyruszę do Egiptu. Wprawdzie pragnąłem pojechać do Francji, ale w moim wieku muszę zadowolić się tem, co mi dają. Obawiam się, że my starzy, jesteśmy już niezbyt chętnie widziani. Myśl, że Gracja jest przy Tobie, sprawia mi niezmierną ulgę. Nie wątpię, że wnet znajdziecie sobie jakiś mały domek, gdzie mój wnuczek będzie mógł razem z Wami zamieszkać. Właśnie otrzymałem list od Twojej Ciotki, w którym donosi, że malec ma się świetnie. Dziecko drogie, nie wolno Ci nigdy myśleć, że byłaś przyczyną mojego zrzeczenia się parafji. Nie jest tak. Wiesz, albo może nawet nie wiesz, że od samego początku wojny trapiła mnie myśl, że muszę zostać w domu, serce moje rwało się do naszych chłopców na front; wcześniej, czy później i tak doszłoby do tego, bez względu na wszystko inne. *Monsieur Lavendie* wpadł do mnie dwa razy wieczorem; to miły człowiek, bardzo go lubię mimo różnicy naszych zapatrywań. Chciał mi podarować szkic Twego portretu, który wtedy zrobił w Parku, ale cóż mam teraz począć z obrazem? Przytem, prawdę mówiąc, nie podoba mi się, tak samo, jak Twój olejny portret. Ta twarz nie jest do Ciebie podobna, ja przynajmniej widzę Cię inaczej. Mam nadzieję, że go nie dotknąłem moją odmową; artyści są tacy wrażliwi. Muszę Ci jedną rzecz powiedzieć: Leila wróciła do Południowej Afryki; przyszła dziesięć dni temu wieczorem, by się ze mną pożegnać. Zachowała się bardzo dzielnie, a obawiam się, że strasznie jej ciężko było wyjeżdżać. Modłę się o to i ufam, że

znajdzie tam pocieszenie i spokój. A teraz dziecko drogie, proszę Cię, byś mi przyrzekła, że nie zobaczysz się więcej z kapitanem Fortem. Wiem, że mu się podobasz. Ale pomijając już jego zachowanie się w stosunku do Leili, zrobił na mnie jaknajgorsze wrażenie, gdyż zaraz następnego wieczoru po jej odjeździe przyszedł do nas. Wnoszę z tego, że to nie jest człowiek, do którego mógłbym mieć jakiegokolwiek zaufanie. Nie przypuszczam ani na chwilę, że jesteś nim zajęta, a mimo to czuję, że muszę Cię ostrzec, zanim odjadę tak daleko. Cieszyłbym się, gdybyś wyszła za porządnego człowieka; nie mogę jednak uwierzyć, by kapitan Fort nim był, choć staram się nie osądzać nikogo zbyt surowo.

„Przed moim wyjazdem, który może już wkrótce nastąpi, przyjadę się do Was pożegnać.

„Całuję Ciebie i Grację, Jerzego serdecznie pozdrawiam

Twój zawsze Cię kochający

„Edward Pierson“.

Z ponad tego listu, leżącego na jej kolanach, Noel spoglądała na pajęczkę ruchy cienia na ścianie. Czy praca starej pani była wyrazem uległości, czy też przekory — wyzwaniem, rzuconem samej śmierci? Może to szary duch ludzkiego oporu przeciw Losowi tańczył na ścianie w takt migotania drutów? Ta najstarsza pani na świecie nie myślała ustąpić, postanowiła kręcić drutami, aż się zapadnie w grób. A więc Leila wyjechała! Bolała ją ta wiadomość, a jednak była jej miła. Uległość — przekora! Czemu tatuś usiłował zawsze sam obierać dla niej właściwą drogę postępowania? Jakież uparty był przy całej swej łagodności! I czemu wywoływał w niej stale uczucie, że powinna postąpić właśnie inaczej? — Potoki słońca zagasły, cień staruszki na ścianie zbladł i znikł, ale druty brząkały wciąż dalej swą małą piosenkę. Dziewczyna rzekła:

— Czy pani lubi tę robotę, Mrs. Adam?

Stara pani spojrzała na nią z nad okularów.

— Czy lubię, moja droga? Ot, czas szybciej mija.

— A czy pani chce, żeby czas szybko mijał?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. — Jakże mogłam się wyrwać z czemś podobnem! — pomyślała Noel.

— Eh? — rzekła starowinka.

— Chciałam zapytać, czy to nie zbyt męczące?

— O ile nie myślę o tem, to nie, moja droga.

— A o czem pani myśli?

Stara pani zachichotała cichutko.

— No, mój Boże! — rzekła.

A Noel pomyślała: — Jakie to okropne być starym i zabijać czas!

Wzięła w rękę list ojca i oparła go w zamyśleniu o brodę. Ojciec chciał, by ona zabijała czas — zamiast żyć, zamiast bawić się! Zabijać czas. Cóż innego sam robił przez te wszystkie lata, od kiedy mogła sobie przypomnieć, od kiedy matka umarła? Zabijał czas. Zabijał czas, ponieważ nie wierzył w swe życie; nie żył przecież wcale, przygotowywał się tylko do przyszłego życia, w które wierzył. Odmawiał sobie wszystkiego, co podniecające i miłe, aby z chwilą śmierci przenieść czystą i świętą duszę w lepszy świat. Nie mógł uwierzyć, by kapitan Fort był porządnym człowiekiem, ponieważ nie wyrzekał się przyjemności i nie oparł się Leili; Leila odjechała! A teraz ojciec uważał za grzech, jeżeliby Fort kochał kogo innego; powinien do końca życia zabijać czas. — Tatuś nie wierzy w życie, — pomyślała; — Monsieur wyraził to w swym obrazie. Tatuś to święty, ale ja nie chcę być święta i nie chcę zabijać czasu. Tatuś nie robi sobie nic z tego, że ludzie są nieszczęśliwi, bo im bardziej cierpią, tem więcej szlachetnieją. Ale ja nie umiem być nieszczęśliwa i nie mogę się patrzeć na cierpienia innych. Ciekawam, czy umiałabym

być nieszczęśliwa, by komuś innemu ułatwić życie, tak jak Leila. Podziwiam ją! Ona nie czyni tego dla dobra swej duszy, tylko dlatego, że nie może znieść, by on był nieszczęśliwy. Musi go bardzo kochać. Biedna Leila! I wszystko to zrobiła sama, z własnej woli! — To samo miał na myśli Jerzy, kiedy mówił o żołnierzach; nie wiedzą, czemu są bohaterami, nie są nimi dlatego, że im ktoś kazał, ani dla wiary w przyszłe życie. Muszą nimi poprostu być z wewnętrznego nakazu, by ocalić innych. — A przytem kochają życie tak samo, jak ja, — pomyślała. — Boże! Jakże podłym się człowiek czuje w porównaniu z nimi! — Te druty! Przekora, uległość? A może obie te cechy równocześnie? Najstarsza pani na świecie, z wargami drgającemi lekko w kącikach ust, które tyle umiały przemilczeć, przeżyła już swe życie i wiedziała o tem. Jakież to okropne żyć dalej z chwilą, gdy człowiek już nie może nikogo zaciekawić i musi poprostu „zabijać czas“ i czekać na śmierć. Ale o ileż bardziej okropne „zabijać czas“, gdy się jest jeszcze pełnym sił, gdy wystarczy sięgnąć ręką, by posiadać pełnię życia i miłości! — Nie odpiszę tatusiowi, --- pomyślała.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Służąca, która pewnej soboty w lipcu otworzyła drzwi Jimmy Fortowi, nie słyszała nigdy nazwiska Laird, była bowiem tylko jednym ogniwiem w nieprzerwanej procesji służby, zmieniającej się ustawicznie w miejscowościach, narażonych na ataki powietrzne. Wprowadziła go do bawialni i powiedziała, że poszuka Miss Hallow. Czekał tam, przeglądając kartki ilustrowanego pisma. Podobizny arystokratycznych piękności, zagłodzonych Serbów, smukłonogich aktorek, nagrodzonych psów, tonących okrętów, członków królewskiej rodziny, pękających bomb i odprawiających nabożeństwa księży, przekonywały go wprawdzie o wszechstronności zainteresowań publiczności, nie uspokajały jednak bynajmniej jego nerwów. Co zrobi, jeżeli nie będą tu znali ich adresu? Czemuż ze strachu przed ostatecznym rozstrzygnięciem pozwolił, by upłynął cały miesiąc? Przy komiuku siedziała staruszka i robiła pończoszkę; druty dzwoniły na wyścigi z bzykaniem wielkiej pszczoły, tłukącej się o szybę. — Może ona będzie wiedziała, — pomyślał; — wygląda jakby tu była od wieków. — Zbliżył się do niej i rzekł:

— Mogę panią zapewnić, że te skarpetki zostaną należycie ocenione na froncie.

Stara pani spojrzała na niego z nad okularów.

— To zabija czas, — rzekła.

— O, nietylko; pomaga nam wygrać wojnę.

Wargi starej pani poruszyły się w kącikach; nie odpowiadała. — Głucha! — pomyślał.

— Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, czy pani zna moich przyjaciół, lekarza Laird'a, jego żonę i pannę Pierson?

Staruszka zachichotała cichutko.

— O, tak! Piękna panienska; samo życie. Siadywała tu ze mną. Prawdziwa przyjemność patrzeć na nią; miała takie olbrzymie oczy.

— Dokąd oni się przenieśli? Czy pani nie mogłaby mi powiedzieć?

— O, nie mam pojęcia.

Słowa te podziały na Forta, jak zimny tusz. Chciał zawołać: — Niech pani przerwie na chwilę! Muszę wiedzieć! Całe moje życie zależy od tego! — Ale brząkanie drutów odpowiedziało: — A moje życie zależy od tego, by nie przerywać roboty.

— Siadywała tam; zupełnie cicho, zupełnie cichutko.

Fort spojrział na ławkę pod oknem. A więc tam siadywała, zupełnie cicho.

— Cóż to za straszna wojna! — rzekła stara pani. — Czy pan był na froncie?

— Tak.

— Pomyśleć tylko o tych wszystkich młodych dziewczętach, które nigdy nie będą miały mężów! To do prawdy okropne.

— Tak, — rzekł Fort. — To okropne.

W tej chwili usłyszał głos ode drzwi:

— Czy pan pytał o doktora Lairda? Ich adres jest: East Bungalow, mały kawałek stąd na North Road. Każdy panu wskaże drogę.

Fort odetchnął z ulgą; spojrział z wdzięcznością na

staruszkę, która powiedziała o Noel, że wygląda, jak samo życie. — Dowidzenia pani.

— Dowidzenia. — Druty zadzwoniły, kąciki ust zadrzały. Fort wyszedł. Nie mógł znaleźć żadnego pojazdu i szedł dość długo piechotą. Dom był nieładny, zbudowany z żółtej cegły i wykończony czerwonym obramieniem. Stał mniejwięcej w trzech czwartych drogi, prowadzącej od głównej ulicy do wybrzeża w kamiennym ogródku i świecił w blaskach popołudniowego słońca jaskrawym połyskiem nowości. Fort otworzył furtkę, odmawiając w duchu jedną z tych modlitw, które tak łatwo wypływają z serc ludzi niewierzących, gdy czegoś pragną. W odpowiedzi usłyszał płacz dziecka i pomyślał z zachwytem: — Na Boga! J e s t t u! — Przechodząc przez kamienny ogródek, zauważył trawnik za domem i wózek dziecinny pod dębem i Noel — tak, Noel we własnej osobie! Starął się uspokoić bicie serca i poszedł naprzód. W lila czepeczku, chroniącym ją od słońca, pochylała się nad wózkiem. Kroczył cicho przez trawę i podszedł całkiem blisko, zanim go usłyszała. Nie przygotował sobie żadnych słów powitania, wyciągnął więc tylko rękę. Małeństwo, zaciekawione cieniem, padającym na wózek, przestało płakać. Noel uściśnęła dłoń Forta. W czepeczku, który krył jej włosy, robiła wrażenie bledszej i dojrzszej, jakby źle znosiła upał. Nie miał wrażenia, żeby się ucieszyła jego widokiem.

— Jak się pan ma? Czy widział pan Grację? — Powinna być w domu.

— Nie przyszedłem do niej; przyszedłem do pani.

Noel zwróciła się do dziecka.

— To mój mały.

Fort stał przed wózkiem i patrzył na dziecko tego drugiego mężczyzny. W cieniu budki wózka, pośród falbanek leżało dziecko. Fortowi się zdawało, że miało główkę umieszczoną zbyt nisko. Podrapało sobie za-

darty nosek i wypukłe czołko i patrzyło na matkę szeroko otwartymi, błękitnymi oczyma, które tonęły formalnie w tłustych policzkach.

— Ciekawym, o czem takie maleństwo myśli, — rzekł.

Noel włożyła palec w piąstkę dziecka.

— Myśli tylko wtedy, kiedy mu czegoś trzeba.

— To głębokie powiedzenie; ale przypatruje się pani mimo to z widocznym zainteresowaniem.

Noel uśmiechnęła się; w odpowiedzi pełne usteczka maleństwa rozchyliły się bardzo powoli ukazując bezzębne dziąsła.

— Jakie ono słodkie, — szepnęła.

— Ty także, — pomyślał. Och! żebym miał tylko odwagę ci to powiedzieć!

— Tatusz jest u nas, — rzekła nagle, nie podnosząc nań oczu. Odjeżdża pojutrze do Egiptu. Tatusz pana nie lubi.

Serce Forta zabiło niespokojnie. Czyżby mu to powiedziała, gdyby — gdyby nie była choć troszkę po jego stronie?

— Nie dziwi mnie to, — rzekł. — Jestem grzesznikiem, jak pani wie.

Noel spojrzała na niego. — Grzech! — rzekła i pochyliła się znowu nad dzieckiem. Słowa i ton, którym je wypowiedziała, pochyłona nad swem maleństwem, podsunęły mu myśl: — Gdyby nie to małe stworzonko, nie mógłbym mieć cienia nadziei!

— Pójdę się przywitać z ojcem pani. Czy jest w domu?

— Przypuszczam.

— Czy mogę przyjść jutro?

— Jutro niedziela. I ostatni dzień tatusia.

— Ach, naturalnie.

Nie miał odwagi obejrzeć się za siebie, by zobaczyć, czy odprowadza go spojrzeniem, ale pomyślał: — Z nadzieją, czy bez nadziei będę o nią walczył do ostatniej kropli krwi.

W mrocznym pokoju, chronionym przed wieczornem słońcem, Pierson siedział na kanapie, czytając gazetę. Widok tej postaci w mundurze wytrącił Forta nieco z równowagi; nie był przygotowany na tę zmianę. Szczupła twarz, teraz gładko ogolona, z głęboko osadzonymi oczyma i mocno zaciśniętymi wargami, zdawała się obecnie, mimo brązowego munduru, jeszcze bardziej uduchowiona, niż dawniej. Poczul nagle, że jego szanse są w istocie bardzo słabe. Zaczął więc z miejsca, bez wstępów:

— Przyszedłem, sir, by pana prosić o pozwolenie zaślubienia Noel, o ile zechce mnie przyjąć.

Myślał zawsze, że Pierson ma twarz łagodną; w tej chwili jednak nie było nic łagodnego w jego rysach.

— A zatem pan wiedział, że tu jestem, kapitanie Fort?

— Widziałem Noel w ogrodzie. Nie mówiłem z nią o tem naturalnie ani słowa. Powiedziała mi jednak, że pan pojutrze wyjeżdża do Egiptu, więc nie będę miał innej sposobności.

— Przykro mi bardzo, że pan przyszedł. Nie moją rzeczą jest wydawać tu sąd, ale nie przypuszczam, by pan mógł uszczęśliwić Noel.

— Czy mogę zapytać dlaczego, sir?

— Kapitanie Fort; nie solidaryzuję się w tych sprawach z sądem świata; skoro pan się pyta, odpowiem panu szczerze. Moja kuzynka Leila ma do pana prawo. To jej powinien się pan oświadczyć.

— Oświadczyłem się jej; nie przyjęła mnie.

— Wiem. Nie odmówiłaby panu po raz drugi, gdyby pan pojechał za nią.

— Nie mogę wyjechać; a zresztą, odmówiłaby mi po raz drugi. Wie, że jej nie kocham i że jej nigdy nie kochałem.

— Nigdy?

— Nie.

— Czemu więc...

— Zapewne dlatego, że jestem mężczyzną i głupcem.

— Jeżeli to było tylko dlatego, „że pan jesteś mężczyzną“, jak to pan nazywa, to jasnym jest, że nie ma pan żadnych zasad ani wiary. A mimo to prosi mnie pan, bym panu dał Noel; moją biedną Noel, która potrzebuje nie tylko opieki „mężczyzny“, ale prawego człowieka. Nie, kapitanie Fort, nie!

Fort zagryzł wargi.

— Nie jestem z pewnością prawym człowiekiem w pańskim rozumieniu tego słowa; ale kocham ją ogromnie i opiekowałbym się nią szczerze. Nie mam najslabszego pojęcia, czy mnie zechce. Ma się rozumieć, że się tego wcale nie spodziewałem. Ostrzegam pana jednak, że mam zamiar spytać się jej i czekać na nią. Kocham ją tak bardzo, że nic innego mi nie pozostaje.

— Człowiek, który kocha prawdziwie, postępuje tak, jak tego wymaga dobro ukochanej istoty.

Fort spuścił głowę; miał wrażenie, jakby był znowu w szkole i stał przed swym wychowawcą.

— To prawda, — rzekł. — Nie będę też nigdy starał się wykorzystać jej położenia. Jeżeli nie będzie dla mnie miała teraz, czy później żadnego uczucia, nie będę jej się naprzykrzał, może pan być zupełnie pewny. Ale gdybym jej jakimś cudownym trafem nie był obojętny, to wiem, że potrafię ją uszczęśliwić, sir.

— Ona jest dzieckiem.

— Nie, ona nie jest już dzieckiem, — rzekł Fort uparcie.

Pierson dotknął wyłogów swej nowej sutanny.

— Kapitanie Fort, odjeżdżam od niej bardzo daleko i pozostawiam ją bez opieki. Ufam pańskiej rycerskości, że jej pan nie zapyta, póki nie wrócę.

Fort odrzucił głowę wtył.

— Nie, nie, nie mogę przyjąć takiego stanowiska. Pańskie przyzwolenie czy odmowa nie wpłyną na zmianę stanu rzeczy. Albo może mnie kochać, albo nie. Jeżeli może, będzie ze mną szczęśliwa. Jeżeli nie, to niema o czem mówić.

Pierson podszedł powoli do niego.

— W mojem pojęciu jesteś pan tak samo związany z Leilą, jak gdyby pan był jej mężem.

— Nie może pan żądać odemnie, żebym patrzył na tę sprawę z punktu widzenia księdza.

Wargi Piersona drżały.

— Pan to nazywa poglądem księdza — według mnie to jedynie zapatrywanie człowieka honoru.

Fort poczerwieniał.

— To już musi pan pozostawić mojemu sumieniu, sir, — rzekł uparcie. — Nie mogę i nie chcę panu opowiadać, jak się wszystko zaczęło. Byłem szaleńcem, ale starałem się postępować jaknajlepiej i w i e m, że Leila nie uważa mnie za związanego z nią. W przeciwnym razie nie byłaby nigdy odjeżdżała. Gdy niema uczucia — a z mojej strony nie było nigdy prawdziwego uczucia — a gdy jednocześnie istnieje to rozpaczliwie pewne uczucie dla Noel, którego nigdy nie szukałem, które starałem się stłumić, od którego uciekałem...

— Rzeczywiście?

— Tak. Ciągnąć tamtą sprawę dalej było rzeczą wstrętną. Przypuszczałem, że pan to zrozumie, sir; a mimo to nie kończyłem jej. To Leila zrobiła koniec.

— Leila, według mnie, zachowała się szlachetnie.

— Leila jest nadzwyczajna; ale z tego jeszcze nie wynika, żebym ja był szubrawcem.

Pierson odwrócił się od okna, przez które mógł widzieć Noel.

— Ta myśl jest dla mnie odrażająca! — rzekł. — Czy nigdy nie będzie czystości w jej życiu?

— A czyż nigdy dla niej nie zaczniesz się zycie? Gdyby szło wedle pańskiej woli, to napewno nie. Nie jestem gorszy od innych mężczyzn, a kocham ją więcej, niżby mógł ktokolwiek inny.

Przez długą minutę Pierson stał w milczeniu, aż w końcu rzekł:

— Niech mi pan wybaczy, jeżeli użyłem ostrych słów. Nie było to moim zamiarem. Kocham moje dziecko; nie pragnę niczego innego, jak tylko jej dobra. Ale przez całe życie wierzyłem święcie, że dla mężczyzny powinna istnieć tylko jedna kobieta w życiu — dla kobiety tylko jeden mężczyzna.

— A więc, sir, — wybuchnął Fort, — pan chciałby, żeby ona...

Pierson podniósł rękę, jakby się chciał osłonić przed ciosem; Fort, choć rozgniewany, zamilkł.

— Jesteśmy wszyscy z krwi i ciała — ciągnął chłodno dalej, — a pan zdaje się, myśli, że jest inaczej.

— Mamy także dusze, kapitanie Fort. — Głos Piersona stał się nagle tak łagodny, że gniew Forta ulotnił się.

— Mam dla pana głęboki szacunek, sir; ale miłość moja dla Noel jest silniejsza i nic na tym świecie nie powstrzyma mnie, skoro postanowiłem zaofiarować jej swe życie.

Uśmiech zadrżał na wargach Piersona.

— Jeżeli tak, to nie pozostaje mi nic innego, jak modlić się, by się panu nie powiodło.

Fort nie odparł ani słowa i wyszedł z pokoju.

Oddalał się powolnym krokiem od żółtego domu, z głową pochyloną, dotknięty, pełen gniewu, a jednak

— z uczuciem ulgi. Teraz wiedział jasno, jak sprawa stoi, nie czuł się też bynajmniej zwyciężony. — Zarzuty Piersona nie trafiły go wcale. Jakkolwiek wytknięto mu niemoralność, czuł się sam przed sobą usprawiedliwiony, jak się to często zdarza u ludzi. Tylko jeden mały zakątek pamięci, niedostrzeżony i nieskrytykowany przez przeciwnika, dręczył go. Resztę mógł sobie wybaczyć; jedyna rzecz, której sobie nie wybaczał, to fakt, że znał Noel zanim jego stosunek z Leilą się zaczął; co więcej, że dał się porwać urokowi Leili w wieczór, spędzony w towarzystwie Noel. To napelniało go prawdziwym wstrętem do siebie. Przez całą powrotną drogę do stacji myślał ustawicznie: — Jakże mogłem? Zasługuję na to, żeby ją stracić. A jednak spróbuję; ale nie teraz jeszcze, nie teraz! — Pelen przygnębienia wsiadł do londyńskiego pociągu.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Obie siostry wstały wcześniej tego ostatniego dnia i poszły z ojcem do komunji. Gracja powiedziała do Jerzego: — Dla mnie to wprawdzie teraz nie ma najmniejszego znaczenia, ale dla niego będzie to pięknym wspomnieniem po nas, tam w polu. Dlatego muszę iść. — A Jerzy odparł: — Masz zupełną słuszość, moja droga. Starajcie się przebywać z nim dziś jaknajwięcej i bądźcie dobre dla niego. Ja nie będę wam wchodził w drogę i wrócę wieczorem jak najpóźniej.

Uśmiech ojca, którym powitał córki, gdy spostrzegł, że na niego czekają, ugodził je w samo serce. Dzień był rozkoszny, wilgotna świeżość poranku wisiała jeszcze w powietrzu, kiedy wracali do domu na śniadanie. Obie córki wsunęły rękę pod ramię ojca. — Tak jak Mojżesz, czy może Aron? — pomyślała Noel niedorzecznie. Owładnęły nią wspomnienia. Te wszystkie dawne dni! Godziny spędzone w dziecinnym pokoju po herbacie, przypowieści, które im czytał z wielkiej biblij, oprawnej w perłową masę, ze sztychami z Ziemi Świętej pełnemi palm, wzgórz, kóz i małych, wschodnich postaci i śmiesznych łodzi na falach Galilejskiego morza i wielbłądów — tyle wielbłądów. Książka leżała na jego kolanach, a one stały po obydwóch stronach krzesła, czekając z niecierpliwością, aż obróci następną kartkę i nowy obrazek się ukaże. Twarzyczkami

wyczuwały szorstkie dotknięcie jego policzków i rozkoszowały się czarodziejskim brzmieniem biblijnych imion. Gracja lubiła imiona Jozua, Daniel, Mordechaj i Piotr; Noel lubiła Absaloma, dla jego włosów i Hama-na, gdyż imię to brzmiało ładnie, i Ruth za jej piękność, i Jana, ponieważ spoczywał na piersi Chrystusa. Obie nie lubiły Hioba i Dawida, a Eljasza i Elissy nienawidziły, gdyż nie mogły znieść imienia Eliza. I te późniejsze dni, kiedy siedziały z ojcem w bawialni przy kominku, piekąc kasztany tuż przed wieczornem nabożeństwem, opowiadając historie o duchach i usiłując namówić tatusia, by zjadł swą porcję. I godziny spędzone z nim przy fortepianie, kiedy każda z nich prosiła o swe ulubione hymny — Gracja o „Naprzód Żołnierze Boscy“, „Prowadź nas Łagodne Światło“, „Boże, Ucieczko Nasza“, a Noel o „Blżej Mój Boże Do Ciebie“, „Modlitwę dla Rybaków na Morzu“, i o hymn, w którym powtarzały się słowa „zastępy Midjanitów“. A kolędy! Ach! a chórzyści! Jednego z nich kochała Noel głęboko — słowo „chórzysta“ było tak czarujące; a oprócz tego podobał jej się jego biały strój i nienatłuszczone włosy, miękkie i połyskliwe; nigdy nie przemówiła do niego — uwielbiała go zdaleka, jak gwiazdę. A tatuś był zawsze, zawsze łagodny; czasem zagniewany, ale zawsze łagodny; a one — czasem wcale nie były łagodne! Wplecione w to wszystko były wspomnienia o psach i kotach, które mieli, o papudze, i guwernantkach, i czerwonych płaszczkach, i wikarych i przedstawieniach, „Piotrusiu Panie“ i „Alicji w Krainie Cudów“ — tatuś siedział między nimi, tak że można się było każdej chwili do niego przytulić. A później szkolne czasy, gra w hockey'a, nagrody, powrót do domu na wakacje, rzucanie się ojcu na szyję i coroczne, cudowne, długie wyjazdy w dalekie okolice, łowienie ryb, kąpiele, spacery i przejażdżki; jazdy konne i wycieczki górskie — zawsze razem z nim.

I koncerty, i przedstawienia szekspirowskie, i święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc; i powrót do domu ulicami — wtedy jeszcze jasno oświetlonemi — obie uwieszone u jego ramion. Więc to był koniec! Obsługiwały go przy śniadaniu; przypatrywały mu się ukradkiem, jakby chciały utrwalić go sobie w pamięci. Gracja przyniosła swój aparat i sfotografowała go w rannem słońcu z Noel, bez Noel i z dzieckiem — mimo wszelkich zakazów fotografowania podczas wojny. Potem Noel zaproponowała: — Tatusiu, zabierzmy ze sobą obiad i pójdziemy na cały dzień we trójkę na skały; zapomnijmy, że istnieje wojna.

Jakże to łatwo powiedzieć, a jak trudno wykonać, gdy z oddali dochodzi grzmot armat, zlewając się z brzęczeniem owadów. A jednak te szmery lata, te niezliczone głosy drobnych istot, delikatnych, jak pajęczyna a tak samo żywych, jak oni, tak samo przekonanych o ważności swego kruchego istnienia; niezliczone białe chmury, sunące wolno po niebie i wzniosła czystość zarysów kredowych skał — cała ta biel i zieleń i błękit ziemi i morza tchnęły głębokim spokojem, który owionął dusze tych trojga, przebywających tu sam na sam z Naturą, po raz ostatni — któż zgadnie na jak długo? Jakby na mocy cichego porozumienia rozmawiali jedynie o rzeczach, które zdarzyły się przed wojną, podczas gdy puch ostromleczów unosił się w powietrzu. Pierson siedział ze skrzyżowanymi nogami na trawie, bez czapki; nie przyzwyczał się jeszcze do nowego sztywnego ubrania. Córki wyciągnęły się obok niego, każda po jednej stronie, przypatrując mu się napół krytycznie, napół z podziwem. Noel nie mogła znieść jego kołnierza.

— Gdybyś miał miękki kołnierz, wyglądałbyś ślicznie, tatusiu. Może tam na froncie pozwolą ci go zdjąć. Musi być strasznie gorąco w Egipcie. Och! Jakżebym

chciała jechać z tobą! Chciałabym objechać cały świat. Może kiedyś!

Później czytał im na głos „Hippolitusa“ Eurypidesa w przekładzie Murray'a. Od czasu do czasu dyskutował z Gracją nad jakimś ustępem. Ale Noel leżała cicho, zapatrzona w niebo. Ilekroć głos ojca milkł, słyhać było śpiew skowronków i bardzo słaby i daleki pomruk armat.

Było już po szóstej, kiedy wstali, by wrócić i napić się herbaty przed wieczornem nabożeństwem. Godziny spędzone w prażącym słońcu osłabiły ich; przez cały wieczór byli małowówni i melancholijni. Noel wstała pierwsza i udała się do swej sypialni. Wyszła, nie pożegnawszy się na dobranoc, — wiedziała, że ojciec przyjdzie do jej sypialni w ten ostatni wieczór. Jerzy nie wrócił jeszcze do domu; Gracja pozostała sama z Piersonem w bawialni, gdzie pomimo dokładnie zaciągniętych rolet ómy krążyły wokół jedynej lampy. Podeszła do niego i siadła przy nim na kanapie.

— Tatusiu, przyrzeknij mi, że się nie będziesz martwił o Nollę; będziemy na nią uważali.

— Tylko ona sama może na siebie uważać, Gracjo. A czy zechce? Czy wiesz, że kapitan Fort był tu wczoraj?

— Powiedziała mi.

— Czy ona żywi dla niego jakieś uczucie?

— Mam wrażenie, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Nollę chodzi po świecie zatopiona w snach, a potem nagle robi coś niespodziewanego.

— Życzyłbym sobie, żeby nie miała z tym człowiekiem nic do czynienia.

— Ależ dlaczego, tatusiu? Jerzy lubi go bardzo i ja także.

Wielka szara óma trzepotała się o lampę. Pierson wstał, chwycił ją i zamknął w dłoni.

— Biedactwo! Jesteś, jak moja Nolli; delikatna, rozmarzona, nieświadoma celu i nieopatrzna.

Podszedł do firanek, wystawił rękę za okno i oswobodził cinę.

— Tatusiu! — rzekła nagle Gracja. — Każde z nas musi sobie samo znaleźć drogę, choćby trzeba było opalić przy tem skrzydła. Czytałam niedawno „Pragmatyzm“ James'a. Jerzy twierdzi, że jednego ważnego rozdziału brak — rozdziału o etyce, któryby wykazał, że nasze postępowanie jest dopiero wtedy złe, jeżeli skutki okażą się złe. Zdaje się, że na takie twierdzenie nie starczyło mu odwagi.

Na twarzy Piersona ukazał się uśmiech, pojawiający się zawsze, kiedy rozprawiał się z Jerzym, — uśmiech, który mówił: — Ach, Jerzy, to bardzo mądrze brzmi; ale ja w i e m, że tak nie jest.

— Drogie dziecko — rzekł. — To najniebezpieczniejsza doktryna na świecie. Dziwię się Jerzemu.

— Nie mam wrażenia, żeby Jerzy był na złej drodze, tatusiu.

— Jerzy jest bardzo doświadczonym człowiekiem o zdecydowanym sądzie i silnym charakterze; ale pomyśl tylko, jak fatalny byłby taki pogląd dla Nolli, mojej biednej Nolli, w której najłżejszy podmuch roznieca gwałtowny ogień.

— A mimo to, — rzekła Gracja z uporem, — według mnie nikt nie może być prawdziwie dobrym i wartościowym człowiekiem, o ile nie wyrabia sobie własnego sądu i nie umie ryzykować na własną rękę.

Pierson podszedł blisko do córki; twarz jego drżała.

— Nie spierajmy się w ten ostatni wieczór; muszę pójść jeszcze na chwilkę do Nolli a potem do łóżka. Nie zobaczę się już jutro z wami; nie wstawajcie; łatwiej mi się tak rozstać. Mój pociąg odjeżdża o ósmej. Niech cię Bóg ma w opiece, Graci; pozdrów Jerzego. Wiem

i zawsze wiedziałem, że jest prawdziwie dobrym człowiekiem, choć stale tak walczymy ze sobą. Dowidzenia, kochanie.

Wyszedł z policzkami mokremi od łez Gracji i stanął na chwilę na progu, by odzyskać panowanie nad sobą. Niekształtny cień domu padał na kamienisty ogród aksamitną czernią. Jakiś ptak nocny krążył w powietrzu; łopotanie jego skrzydeł wzruszyło go dziwnie. Ostatni to raz słyszał szeleszczący odgłos lotu angielskiego ptaka! Anglja! Coż za noc — i w taką noc się żegnać! — Ojczyzno moja! — pomyślał; — o piękna moja ojczyzno! — Na małym skrawku trawnika leżała srebrzysta rosa — ostatnia rosa, ostatnia woń angielskiej nocy. Z oddali zabrzmiał głos rogu. — Angljo! — modlił się, — Bóg z tobą! — W odpowiedzi usłyszał cichy głos z drugiej strony trawnika, coś, jakby pokasywanie starego człowieka, i brzęk i skrobanie łańcucha. Z cienia, rzucanego przez dom, wyłonił się jakiś łeb; brodaty i rogaty, jak głowa bożka Pana; zdawał się patrzeć na niego. Ujrzał niewyraźny, szary zarys kozy ogrodowej, usłyszał, jak szarpie się niespokojnie na kolku, do którego była przywiązana, jakby zaniepokojona wtargnięciem obcego przybysza w jej siedzibę.

Poszedł na górę na półpiętro, gdzie obok dziecinnego pokoju mieścił się mały, wąski pokoik Noel. Żaden głos nie odpowiedział na jego pukanie. Było ciemno, ale mógł ją zobaczyć przy oknie, wychyloną daleko, z bródą opartą na dłoniach.

— Nolli!

Odparła nie odwracając głowy:

— Co za noc, tatusiu. Chodź i popatrz! Chciałabym puścić kozę wolno, ale zjadłaby wszystko w ogródku. Ale to przecież jej noc, nieprawdaż? Powinna gonić i skakać. Wstyd doprawdy uwiązywać zwierzęta. Czy

nigdy nie czuleś w sercu tęsknoty za dziką swobodą, tatusiu?

— Zdaje mi się, że zawsze, Nolli; zbyt wielką może. Bardzo trudno przyszło mi ją opanować.

Noel wsunęła mu rękę pod ramię:

— Chodźmy, tatusiu; odwiążmy kozę i skaczymy z nią razem po wzgórzach. Gdybyśmy tylko mieli fujarkę! Czy słyszałeś róg? Róg i koza!

Pierson przycisnął jej rękę do swego boku.

— Nolli, bądź dobra podczas mojej nieobecności. Wiesz, czego sobie nie życzę. Mówiłem ci o tem w moim liście. — Spojrzał na jej policzek i nie miał odwagi mówić więcej. Na twarzy jej pojawił się znów ten „opętany“ wyraz.

— Czy ty nie czujesz, — rzekła nagle, — że w taką noc wszystko, wszystko wkoło — gwiazdy żyją, tatusiu, i księżyc ma swe własne, wielkie życie i cienie, i ćmy, i ptaki, i kozy, i drzewa i kwiaty — wszyscy jesteśmy — wolni! O, tatusiu, pocóż trwa wojna? Czemu ludzie są tacy skrepowani i nieszczęśliwi? Nie mów mi: Bóg tak chce, nie mów!

Pierson nie mógł odpowiedzieć, gdyż przyszła mu na myśl pieśń grecka, którą tego dnia popołudniu czytał na głos.

O przyjdź upojna, wonna wiosno,
Orzeźw mnie wodą twych strumieni!
Na miękkiej łące, wśród zieleni
I kwiatów, w kole smukłych drzew,
Spocznię przy brzegu fali.
W góry przemożny gna mnie zew
Hen ponad sosny, ponad las,
Gdzie cicho pędzą smukłe psy,
Węsząc zwierzyny krew,
Gdzie jelen zmyka oszalały,

Hej, gdybyż za nim pognać w pęd
Polotem chybkich nóg,
I śmignąć za nim ostrzem strzały,
I cisnąć za nim dzidy pręt.
Och, gdybym mógł!

Wszystko, co mu w życiu pozostało obce, przygoda i awantura, wszystkie uczucia, które w sobie stłumił; chyży Pan, którego się zaparł; cierpkie owoce, prażące słońca, ciemne jeziora i nieziemskie światło księżycy, wszystko, co nie pochodziło od Boga — wszystko to wyczarował rytm starej pieśni i wyraz twarzy dziewczyny. Zakrył oczy ręką.

Noel pociągnęła go za rękaw.

— Piękno jest cudownie żywe, — szepnęła, — jest, jak czarujący człowiek; chciałoby się je ucałować.

Pierson czuł, że ma spieczone wargi.

— Istnieje piękno poza tem wszystkim, — rzekł z uporem.

— Gdzie?

— Świętość, obowiązek, wiara. O, Nollu, kochanie! — Ale ręka Noel zacisnęła się wokół jego ramienia.

— Czy mam ci powiedzieć, cobym chciała uczynić? — szepnęła. — Chciałabym wziąć Boga za rękę i pokazać Mu różne rzeczy. Jestem pewna, że wielu z nich nie widzi.

Dreszcz wstrząsnął Piersonem, dziwny, nagły dreszcz, jaki przejmuje nas, gdy w znajomym głosie usłyszymy obcą nutę, gdy poczujemy nieznaną, ostry zapach, lub zobaczymy coś niezwykłego.

— Drogie dziecko, cóż ty za rzeczy mówisz!

— Ależ On ich z pewnością nie widział i czas najwyższy, by je zobaczył. Zakradlibyśmy się cichutko i zajrzelibyśmy wszędzie ukradkiem i zobaczyłby raz wszystko, czego nie może widzieć w Swych kościołach. Tatusiu! Ach, tatusiu! Nie mogę tego dłużej znieść! Po-

myśleć, że w taką noc zabija się ludzi; zabija się ich i zabija i nigdy już nie będą mogli patrzeć na ten świat nigdy, nigdy, nigdy! — Osunęła się na ziemię i zakryła twarz dłońmi.

— Nie mogę! Nie mogę! Ach! Żebyż już raz był koniec temu okrucieństwu! I na co to wszystko, na co te gwiazdy i kwiaty, jeżeli Pan Bóg nie troszczy się więcej o świat?

Pierson stał pochylony nad nią w głębokim wzruszeniu i głaskał jej główkę. Potem pomogła mu rutyna, zaczerpnięta przy niezliczonych łóżach konających.

— Nolli! Życie to chwila tylko. Wszyscy musimy umrzeć.

— Ale ci chłopcy, tacy młodzi! — Przytuliła się do jego kolan i podniosła ku niemu wzrok. — Tatusiu, ja nie chcę, żebyś odszedł; przyrzeknij mi, że wrócisz!

Dziecinność tych słów przywróciła mu panowanie nad sobą.

— Pewnie, że wrócę, moje słodkie kochanie. Wstań, Nolli! Słońce zdenerwowało cię zanadto.

Noel wstała i położyła ręce na ramionach ojca.

— Przebacz mi, tatusiu, wszystko zło, które popełniałam i wszystko zło, które jeszcze popełnię, szczególnie to mi wybacz, tatusiu!

Pierson uśmiechnął się.

— Zawsze ci przebaczę, Nolli; ale nie będzie, nie wolno, aby jeszcze było jakieś zło w twojem życiu. Modlę się do Boga, by cię miał w Swojej opiece i uczynił cię taką, jaką była twoja matka.

— Mama nie miała w sobie nigdy djabła, tak jak ty i ja.

Zamilkł ze zdziwienia. Skąd ten dzieciak wiedział o djable, o nieokiełznanych uczuciach, które zwalczał w sobie rok po roku, aż z biegiem lat osłabły w nim!

Ciągnęła dalej szeptem:

— Ja nie czuję nienawiści do mojego diabła. Czemu-
bym miała go nienawidzić — przecież on jest częścią
mojej istoty. Co dzień o zachodzie słońca będę myślała
o tobie, tatusiu; a ty uczynić to samo. To mnie uchroni
od złego. Nie pójdę jutro na stację. Płakałabym tylko.
I nie powiem ci teraz dowidzenia. To przynosi nie-
szczęście.

Zarzuciła mu ramiona na szyję; napół uduszony tym
namiętnym uściskiem ucałował jej policzki i włosy. Kie-
dy się wkońcu oderwali od siebie, stanął i spoglądał
przez chwilę na jej zalaną księżycowym blaskiem twa-
rzączkę.

— Nie było nigdy na świecie bardziej kochającego
serca, niż twoje, Nolli! — rzekł spokojnie. — Pamiętaj
o moim liście. Dobranoc, kochanie! — Potem, obawia-
jąc się, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą,
wyszedł szybko z pokoju...

Kiedy Jerzy Laird powracał pół godziny później do
domu, usłyszał ciche wołanie:

— Jerzy, Jerzy!

Spojrzał w górę; ujrzał białą, niewyraźną plamę w
oknie i ledwo dostrzegalne rysy Noel.

— Jerzy, odwiąż kozę. Tylko na dzisiejszą noc. Zrób
to dla mnie!

Było coś w głosie Noel i w geście jej wyciągniętego
ramienia, co dziwnie wzruszyło Jerzego, choć, jak
twierdził Pierson, nie było muzyki w jego duszy. Od-
wiązał kozę.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

1.

W pierwszych tygodniach po odjeździe Piersona Gracja i Jerzy często roztrząsali postępowanie i położenie Noel w świetle teorii pragmatycznej. Jerzy miał naturalnie czysto naukowy pogląd na tę sprawę. Tak samo — tłumaczył żonie — jak w świecie fizycznym stworzenia, które odbiegają od normy, muszą usprawiedliwić odchylenie zwyciężeniem współzawodnictwem ze swem otoczeniem, gdyż w przeciwnym razie zginą, tak samo w świecie etycznym wszystko zależy od tego, czy Nolli potrafi obrócić swój wybryk ku dobremu. Jeżeli potrafi i wzmocni w ten sposób swe siły i charakter, to tem samem wszystko jest w porządku i wybryk jej okaże się korzyścią, która wzbogaci świat. Jeżeli nie, to świat zubożeje przez jej nieudalą wysiłek i wtedy jej wybryk okaże się błędem. Ludzie myślący ortodoksyjnie i po akademicku — twierdził — zapominają zawsze o zdolności przystosowywania się wszelkich żyjących organizmów; że każdy, odbiegający od normy czyn wpływa podświadomie na wszystkie inne postęпки, na cały światopogląd i filozofję danej osoby.

— Nie ulega wątpliwości, że Noel postąpiła, jak szalona, — rzekł, — ale kiedy zrobiła, co zrobiła, zaczęła zaraz patrzeć inaczej na świat i na moralność. Najgłę-

biej wpojony jest nam instynkt wiary w to, że musimy postępować tak, jak postępujemy, i że to, cośmy zrobili, było słuszne; jest to instynkt samozachowawczy. Jesteśmy wszyscy wojowniczymi zwierzętami i czujemy dokładnie, że z chwilą, kiedy uznamy się za pobitych — jesteśmy pobici; i że każda wygrana bitwa, a w szczególności, gdy siły są nierówne, hartuje nas i wzmacnia. Jednak moje osobiste zdanie jest, że Nolli w samotności nie da temu rady.

Gracja, której pragmatyzm niezupełnie jeszcze dojrzał, odparła z wahaniem:

— Mnie się też zdaje, że nie. A gdyby nawet umiała, nie jestem pewna, czy to byłoby dobrze. Ale czy nie uważasz, że „pragmatyzm“ to obrzydliwe słowo? Niema w niem żadnego poczucia humoru.

— Prawda, jest nieco ciężko strawne i często u młodych przeradza się w egoizm i arogancję; ale Nolli to nie grozi.

Obserwowali ofiarę swych dyskusyj ze szczerem z troskaniem. Świadomość, że — przynajmniej dopóki nie wyjdzie zamąż — nie będzie nigdy lepiej chroniona, niż teraz u nich, utrudniała w wielkiej mierze ich sąd o tem, czy Nolli będzie umiała naprawić swój błąd. Od czasu do czasu niepokoiła Grację — która mimo wszystko znała siostrę lepiej, niż Jerzy — myśl, że Nolli zmusi ich do zarzucenia każdej konkluzji, do jakiejby w końcu dojść mogli.

Trzy dni po odjeździe ojca Noel oświadczyła, że pragnie pracować na roli. Ale Jerzy założył gwałtowne veto.

— Nie jesteś jeszcze dostatecznie silna, moja droga. Zaczekaj, aż się zaczną żniwa. Wtedy będziesz mogła pomagać na tutejszej farmie. Jeżeli podolasz temu bez szkody dla twego zdrowia, pomyślimy, co robić dalej.

Pogoda była jednak deszczowa, żniwa spóźnione, a Noel nie miała żadnego zajęcia; doglądała swego dzie-

ciątka, którem się i tak zajmowała bardzo sumiennie niania, marzyła i rozmyślała, a od czasu do czasu smażyła omlet albo zajmowała się jakąś domową robotą dla uspokojenia sumienia. Ponieważ Gracja i Jerzy spędzali cały dzień za domem w szpitalu, więc też nic nie przerywało jej samotności. Kilka razy wieczorem Gracja usiłowała zgłębić myśli Nolli. Dwa razy wspomniała o Leili. Za pierwszym razem Noel odpowiedziała jedynie:

— Tak, to wspaniała kobieta. — A drugim razem rzekła: — Nie chcę o niej myśleć.

Gracja zebrała się jednak na odwagę i ciągnęła dalej:

— Czy nie wydaje ci się dziwne, że od ostatniej bytności kapitana Forta nie słyszeliśmy o nim ani razu?

Noel odparła najspokojniejszym w świecie głosem:

— Po cóżby miał przyjeżdżać, skoro mu dano do zrozumienia, że nie jest mile widziany?

— Kto mu to powiedział?

— Ja mu powiedziałam, że go tatuś nie lubi; przypuszczam jednak, że tatuś osobiście powiedział mu to o wiele ostrzej. — Zaśmiała się cichutko i dodała miękim głosem; — Tatuś jest nadzwyczajny, prawda?

— Jak to rozumiesz?

— Pobudza nas do robienia rzeczy, których sobie nie życzy. Gdyby się nie był sprzeciwiał memu małżeństwu z Cyrylem, nigdyby się t a m t o nie było stało. Jego upór tak mnie straszliwie wzburzył.

Gracja spojrzała na nią, zdziwiona, że Nolli zna się tak dobrze. Z końcem sierpnia otrzymała list od Forta.

„Droga pani Laird,

„Zna Pani niezawodnie cały stan rzeczy; nie wie Pani jednak o jednym, a dla mnie najważniejszym: Nie mogę tak żyć dłużej; muszę się przekonać, czy mogę żywić jakąś nadzieję wobec siostry Pani. Dzieje się to wbrew wyraźnemu życzeniu Ojca Pani, który domagał się, by

Noel nie miała ze mną nic do czynienia, ale powiedziałem Mu, że nie mogę i nie chcę Mu przyrzec, że się Jej nie zapytam. Z końcem miesiąca dostanę urlop i przyjadę do Państwa, by otrzymać ostateczną odpowiedź. Znaczy to dla mnie więcej, niż sobie Pani wogóle wyobrazić może.

„Pozostaję z serdecznem pozdrowieniem

„szczerze oddany

James Fort“.

Przedyskutowała ten list z Jerzym, który radził:

— Odpowiedz uprzejmie, ale nic ponadto, a Nolli o tem ani słowa. Mojem zdaniem byłoby to bardzo dobre rozwiązanie kwestji. Zapewne, Fort nie jest wspaniałą partją — dwa razy starszy od niej; ale jest prawdziwym mężczyzną, choć może nie czarującą osobistością.

Gracja odparła prawie że niechętnie:

— Życzyłam sobie dla Nolli zawsze *n a j l e p s z e g o*.

Jerzy ściągnął brwi nad stalowemi oczyma i spojrzął na nią, jakby może spojrzął na człowieka, którego ma operować.

— Zapewne, — rzekł. — Nie wolno ci jednak zapominać, Graci, że Nolli przemieniła się z łabędzia, którym była, w brzydkie kaczątko. Z towarzyskiego punktu widzenia straciła przynajmniej pięćdziesiąt procent swej wartości. Musimy widzieć rzeczy takimi, jakimi są w istocie.

— Tatuś jest zdecydowanie przeciwny.

Jerzy uśmiechnął się, cisnęły mu się na usta słowa: — To mnie tylko upewnia w przeświadczeniu, że tak należy postąpić. — Powściągnął się jednak.

— Przyznaję, że nieobecność jego obowiązuje nas o tyle, byśmy nie przykładali ręki do tej sprawy. Nolli zna jednak równie dobrze życzenie ojca, a decyzja należy jedynie do niej. Wkońcu nie jest przecie dzieckiem.

Gracja usłuchała jego rady. Ale napisanie tego uprzejmego, a nic niemówiącego listu, kosztowało ją bezsenną noc i dwie, czy trzy godziny pisarskiego wysiłku. Była bardzo sumienna. Świadomość bliskiej wizyty Forta wzmagała jeszcze jej obawę, z jaką śledziła Noel; raz jednak tylko udało jej się wejrzeć na chwilkę w myśli siostry, a mianowicie, gdy pokazała jej list od Thirzy, zapraszający Noel do Kestrel. Dopisek wuja Bob'a brzmiał następująco:

„Śniedzijemy tu zupełnie. Ewa odjechała i zostawiła nas znowu samych. Tęsknimy strasznie za Tobą i za malcem. Bądź dobra, Nolli, i przyjeźdź do nas!“

— Oni są kochani, — rzekła Noel, — ale nie pojedę do nich. Jestem zbyt niespokojna od czasu, kiedy tatuś odjechał; nie wiesz nawet, jak dalece niespokojna. Ten deszcz budzi we mnie poprostu samobójcze myśli.

2.

Pogoda polepszyła się następnego dnia i z końcem tygodnia rozpoczęły się żniwa. Szczęśliwym dla Noel zbiegiem okoliczności właścicielowi farmy popsuła się maszyna do wiązania snopów; nie można jej było naprawić, to też potrzebował jak najwięcej rąk do pracy. Po pierwszym dniu, spędzonym w polu, ręce jej pokryte były pęcherzykami, twarz i szyja spalona od słońca, każdy nerw i mięsień w całym ciele obolały; a mimo to był to dla niej najszcześniejszy dzień od wielu, wielu tygodni, kto wie, może najszcześniejszy od owej chwili, kiedy ją Cyryl Morland opuścił, przeszło rok temu. Zaledwie wróciła do domu, wykąpała się i poszła do łóżka.

Leżała, chrupiąc czekoladę i paląc papierosa i rozkoszowała się uczuciem zmęczenia, które uciszyło jej niepokój. Przyglądała się pasemkom dymu, zwijającym się w spirale na tle okna, zalanego blaskiem zachodzącego

słońca, i myślała: — Gdybym tylko mogła być codzien-
nie taka zmęczona. — Wtedy czułaby się całkiem do-
brze, przestałaby ją gnębić nieokreślona tęsknota i owo
uczucie, że znajduje się w dużym pudle z wiekiem zam-
kniętem, że krąży w niem, jak oszołomiona pszczoła,
chora z tęsknoty za ułem w szklance wywróconej dnem
do góry; opuściłoby ją wrażenie, że jest tylko napół ży-
wa, że ma jedno skrzydło złamane, że może wzlecieć
tylko mały kawałek w górę, a potem musi znowu opaść
na ziemię.

Spała tej nocy, jak zabita. Praca następnego dnia by-
ła jednak prawdziwą męką, a trzeciego dnia wiodło jej
się niewiele lepiej. Za to z końcem tygodnia opuściło ją
zupełnie uczucie zeszywnienia.

W sobotę pogoda była wspaniała, niebo bez chmurki.
Pole, na którem pracowała, leżało na zboczu wzgórza.
Było to ostatnie pole, jakie pozostało do zżęcia, zarosłe
jeszcze najpiękniejszą pszenicą; ciężkie, złote, zwisające
kłosy miały rdzawy odcień. Ramiona Noel przywykły
już do ciężaru snopów, dłonie do powrósła, przesuwa-
jącego się przez nie, póki nie objęło całego snopa tuż
poniżej kłosów; następnie trzeba je było związać w wę-
zeł. Nie doznawała już teraz przy tem żadnych nowych
uczuc, była to poprostu miarowa, trochę monotonna
praca, z ścisłym zachowaniem wyznaczonego jej miejsca
w szeregu; z oddali dolatywał suchy chrzęst kosiarki
i głos woźnicy, nawołującego konie na skrętach; co pe-
wien czas przerywała pracę na chwilę, by wyprostować
plecy i dać im na chwilę odpocząć, wstrząsem głowy od-
pędzić muchy, lub ssać palec, obolały od ciągłego zrów-
nywania kłosów. Tak mijały godziny upalne wprawdzie
i męczące, napełniające ją jednak miłym uczuciem, że
przyczynia się do spełnienia dobrego zadania i że praca
zbliża się pewnym krokiem ku końcowi. Niezżęty obszar

na środku pola zmniejszał się miarowo, podczas gdy słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

Podczas przerwy podwieczorkowej nie pobiegła, jak zwykle, do domu; napiła się herbaty z flaszki, którą ze sobą przyniosła, zjadła kawałek babki i trochę czekolady, i położyła się na ziemi, oparta plecami o płot. Unikała zawsze grona współpracowników, zebranych wokół dzbana z herbatą, który im przyniosła gospodyni. Unikanie ludzi, o ile się tylko dało, stało się teraz jej przyzwyczajeniem. Pewnie wiedzą wszystko o niej, lub dowiedzieliby się szybko, gdyby im dała sposobność ku temu. Musiała ciągle myśleć o palcu, na którym powinnyby błyszczeć obrączka, i wyczekiwała stale, jako rzeczy całkiem naturalnej, że każde oko będzie jej szukało. Położyła się teraz twarzą do ziemi; puszczała wielkie kłęby dymu w trawę i przyglądała się jakiemuś chrząszczykowi; jeden z wielkich psów owczarskich podbiegł ku niej szukając odpadków jedzenia; Noel nakarmiła go drugim kawałkiem babki. Ukończywszy babkę, pies usiłował zjeść chrząszcza, kiedy go jednak Noel ocaliła, nabrał przekonania, że nie dostanie od niej niczego więcej, kichnął i poszedł dalej. Noel zagasiła papierosa o ziemię i odwróciła się. Woźnica siedział już pochylony naprzód na swej małej ławeczce, a obok szedł jego towarzysz, którego zadaniem było odgarniać zżęte kłosa z drogi. Ss — Sss! Robota zaczęła się na nowo. Wstała, wyprostowała się i powróciła na swoje miejsce w szeregu. Jutro pole będzie skończone; będzie miała rozkoszny odpoczynek — całą niedzielę! Około siódmej pozostał jedynie wąski pas niezżętej pszenicy, szerokości jakichś dwudziestu stóp. Tej właśnie pół godziny obawiała się Noel. Dziś sprawy miały się gorzej, niż zwykle, gdyż gospodarzowi zabrakło patronów, więc szczerzo króliki krzykiem, kijami i psami. Króliki były szkodnikami, to prawda, niszczyły zbiory, powinny być tępione; prócz

tego były smacznym kąskiem, można było dostać dwa szylingi za sztukę; wiedziała o tem wszystkim — ale zawsze robiło jej się słabo, gdy musiała patrzeć, jak się rzucano na te biedne, zastraszone, skradające się niepewnie stworzonka, jak je wywracano, oszołamiano krzykiem, goniono; jak szybkie psy chwyciły je w zęby, jak chłopcy dopadali ich i zabijali i jak odnoszono ich szare, bezwolne ciała, z główkami zwisającymi na dół, martwe, miękkie i bezradne. Stała bardzo spokojnie, starając się nie widzieć i nie słyszeć; naprzeciw niej w zbożu skradł się królik, przytulił się do ziemi i rozglądał się ostrożnie. — Och! — pomyślała. — Przeleć tędy, malutki! Przepuszczę cię — czy nie widzisz, że cię przepuszczę? To twoja jedyna ucieczka! Prędko! — Ale królik nie ruszał się i rozglądał się dalej, wysuwając zastraszony pyszczek z gładko przylegającymi uszami; starał się najwidoczniej zdecydować, czy to nieruchome stworzenie, stojące przed nim, było takie samo, jak inne podobne. — Nie wyjdzie ze zboża, dopóki się będę na niego patrzyła, — pomyślała i odwróciła głowę. Ujrzała niewyraźnie mężczyznę, stojącego w odległości kilku kroków. Królik wyskoczył ze zboża. Teraz mężczyzna krzyknie pewnie i oszołomi go. Ale człowiek stał cicho, królik pomknął obok niego i zniknął za płotem. Usłyszała krzyk z końca szeregu, ujrzała galopującego psa. Za późno! Hurra! Klasnęła w dłonie i spojrzała na obcego. Był nim Fort! Ogarnięta najdziwniejszym uczuciem — zdumieniem, radością, podnieceniem wspólnego spisku — widziała, że zdąża ku niej.

— Tak strasznie chciałam, żeby królik uciekł, — rzekła z westchnieniem. — Widziałam wszystko. Dziękuję panu!

Spojrzał na nią.

— Boże mój! — powiedział jedynie.

Noel podniosła ręce do policzków.

— Tak, wiem; czy mam bardzo czerwony nos?

— Nie; jest pani piękna, jak Ruth, o ile Ruth była piękna.

Sss — sss! Kosiarka przejechała obok. Noel pobiegła do swego miejsca w szeregu; ale Fort przytrzymał ją za rękę, i rzekł:

— Niech mi pani pozwoli popracować troszkę. Od czasu wybuchu wojny nie spędziłem jeszcze ani jednego dnia w polu. Niech pani mi coś opowie, podczas kiedy będę wiązał.

Stała i przyglądała mu się. Robił inne, silniejsze węzły, niż ona i wiązał większe snopy; uczuła coś, jakby zazdrość.

— Nie wiedziałam, że pan się zna na takiej pracy.

— O, tak. Miałem raz farmę na Zachodzie. Nic nie daje człowiekowi takiego zadowolenia, jak praca na roli. Przyglądałem się pani; wiąże pani bardzo dobrze.

Noel westchnęła, zadowolona.

— Skąd pan przychodzi?

— Prosto z kolei. Mam urlop. — Spojrzał na nią i zamilkli oboje.

Ss — sss! Kosiarka znów przetoczyła się koło nich. Noel stała na jednym końcu wyznaczonego jej odcinka, Fort na drugim. Pracowali, zbliżając się ku sobie i spotkali się, zanim kosiarka minęła ich po raz trzeci.

— Czy przyjdzie pan na kolację?

— Z największą przyjemnością.

— A więc chodźmy teraz; nie mam ochoty patrzeć dłużej, jak zabijają króliki.

W drodze do domu mówili bardzo niewiele, ale Noel czuła na sobie ustawicznie jego wzrok. Zostawiła go z Jerzym i Gracją, którzy właśnie wrócili, i poszła na górę, by się wykapać i przebrać.

Nakryto stół na werandzie; było już prawie zupełnie ciemno, gdy kończyli kolację. Równoległe z gasnącem

światłem Noel cichła coraz bardziej. Kiedy weszli zpowrotem do pokoju, pobiegła na górę do dziecka. Nie wróciła nadół; stanęła tylko przy oknie, wychylona tak, jak owej nocy w przeddzień odjazdu ojca. Noc była czarna, bezksiężycowa; przy świetle gwiazd mogła dojrzeć jedynie zamglony ogród, gdzie dziś nie pasła się żadna koza. Teraz, gdy pierwsze podniecenie minęło, nagle odwiedziny Forta napęłniły ją melancholijnym rozdrażnieniem. Wiedziała najdokładniej, poco przyjechał, wiedziała przecież zawsze. Z własnego stanu duszy nie zdawała sobie jasno sprawy; ale wiedziała, że przez ostatnie tygodnie wahała się między jego wpływem, a wpływem ojca, słuchając jakby kolejno zaklęć obojga. Dziwnym trafem, prośby każdego z nich, zamiast zdobyć ją dla proszącego, pchały ją w ramiona przeciwnika. Czuła, że musi się w końcu udać pod opiekę jednego, lub drugiego; myśl, że na całym świecie nie było dla niej innego schronienia, upokarzała ją. Szaleństwo tej jednej nocy w starem Opactwie miało najwidoczniej władzę kierowania całym jej przyszłym życiem. Czemuż ta jedna noc, ten jeden czyn miał mieć tę niesamowitą moc pędzenia jej w tę lub tamtą stronę, w te lub tamte ramiona? Czy będzie rzeczywiście zawsze potrzebowała opieki? Kiedy tak stała pociemku, miała wprost uczucie, że podeszli do niej i są oboje za nią i zaczynają swe zaklęcia. Pragnęła odwrócić się i zawołać do nich: — Odejdźcie! Odejdźcie nareszcie! Nie potrzebuję żadnego z was; zostawcie mnie tylko w spokoju! — W tej chwili coś dotknęło jej szyi — może ćma? Przez chwilę nie mogła złapać tchu; przebiegło ją drzenie. Co za głupota!

Słyszała, jak otwierano tylne drzwi domu; męski, ściszony głos rzekł w ciemności:

— Kto jest ta młoda pani, co przychodzi na pole?

Inny głos, głos jednej ze służących odparł:

- To siostra naszej pani.
- Mówią, że ona ma dziecko.
- Co cię to obchodzi, co ona ma.

Noel usłyszała śmiech mężczyzny. Wydawał jej się najohydniejszym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszała. Pomyślała szybko i nedorzecznie: — Odejdę od tego wszystkiego. — Okno wznosiło się tylko o kilka stóp nad ziemią. Stała na gzymsie, spuściła się nadół i skoczyła. Pod oknem była grzęda kwiatów zupełnie miękka, pachnąca liśćmi geranium i ziemią. Oczyszczyła się i poszła na palcach przez żwir i mały trawnik przed domem aż do bramy. Dom był całkiem ciemny, całkiem cichy. Poszła dalej wdół drogi. — Pysznie! — pomyślała. — Noc w noc śpimy i nigdy właściwie nie widzimy nocy: śpimy, aż na nas zawołają i nigdy niczego nie widzimy. Jeżeli mnie zechcą złapać, będą musieli gonić. — Zaczęła biec drogą w wieczorowej sukni i pantofelkach, z gołą głową. Uszedłszy jakie trzysta kroków, zatrzymała się na brzegu lasu. Było tam cudownie ciemno; szukała poomacku drogi od pnia do pnia, napół zachwycona, napół zalekniona niezwykłością i tajemniczością tej przygody. Zatrzymała się wkońcu przy smukłym pnium, którego kora lśniła blado w mroku. Dotknęła jej policzkiem — zupełnie gładka — a więc brzoza. Zarzuciła ramiona wokół drzewa i stanęła bez ruchu. Cudnie, czarownie cicho, ciemność, przepojona świeżością i słodką wonią! Małe drzewko zdrząło nagle w jej ramionach, i usłyszała owo ciche, odległe dudnienie, do którego się teraz już tak przyzwyczaiła — armaty, wiecznie czynne, mordujące — mordujące ludzi i mordujące drzewa, małe drzewka, może takie same, jak to, które trzymała w ramionach, małe, drzące drzewka! Tam, na froncie nie będzie w tę czarną noc ani jednego nieuszkodzonego drzewa, ani jednego takiego, jak to gładkie i drzące, ani jednego pola kłosów, ani krzaka, ani źdźbła trawy

nawet, żadnych szepczących, słodko pachnących liści, żadnego ptaka, żadnego małego, cicho stąpającego nocnego zwierzątka, z wyjątkiem szczurów; przebiegł ją dreszcz: wspomniała belgijskiego żołnierza - malarza. Objęła mocno drzewko i przycisnęła do siebie jego gładki pień. Opadła ją fala tego samego beznadziejnego i bezsilnego buntu, który spowodował jej namiętny wybuch wobec ojca, w przeddzień jego odjazdu. Zabijani, rozdzierani na kawałki, miażdżeni; paleni i zabijani, jak Cyryl. Same młode stworzenia, jak to maleńkie drzewko.

Bum! Bum! Ziemia drży! A wszystko wkoło takie ciche, takie słodkie i ciche, poprzez sieć liści niebo lśni gwiazdami... — Nie zniosę tego! — pomyślała. Przycisnęła wargi, które słońce grzało przez cały dzień, do jedwabistej gładkiej kory. Ale drzewko w jej ramionach zdawało się nieczułe, drżało tylko podczas przydługich grzmotów armat. Przy każdym takim głuchem dudnieniu życie i miłość gasły, jak płomyki świeczek na wigilijnej choince, zdmuchiwane jedna po drugiej. Oczom jej, przyzwyczajonym już teraz do panującej tu ciemności, zdawało się, że las nabiera powoli życia, jakby był jakąś wielką istotą, przyglądającą jej się bacznie; wielką istotą, o tysiącach ramion i oczu i o potężnym technieniu. Małe drzewko, które zdawało się takie przyjazne, przestało być dla niej źródłem pocieszenia, straciło swój indywidualny charakter i stopiło się z istotą ożywionego lasu, który patrzył na nią nieprzystępnie i chłodno; wszak była intruzem, pochodzącym z pleminia złośliwych stworzeń, które wyzwalaly te wstrząsające grzmoty. Noel rozplotła ramiona i cofnęła się. Jakaś gałąź drasnęła jej szyję, kilka liści uderzyło o jej oczy; uczyniła krok nabok, potknęła się o korzeń i upadła. Trafilo ją też uderzenie gałęzi, więc leżała oszołomiona nieco i drżąca z trwogi przed tą czarną, wrogą ciem-

nością. Podniosła ręce do oczu, prosto, aby zobaczyć coś trochę mniej czarnego; było to dziecinne i niedorzeczne, ale bała się. Las zdawał się mieć tyle oczu, tyle ramion, a wszystkie wrogie; czekał najwidoczniej na to, by wymierzyć jej dalsze ciosy, wywrócić ją znowu i trzymać ją uwięzioną w ciemności, póki... Wstała, zrobiła kilka kroków i stanęła; zapomniała, skąd przyszła. Obawiając się wejść głębiej w las, obróciła się zwolna wkoło, starając się odgadnąć, jaki kierunek ma obrać. Wszystko wkoło było jedną czarną istotą z członkami pełzającymi po ziemi i rozpostartymi w powietrzu. — Każda droga, — pomyślała, — każda droga wyprowadzi mnie stąd. — Szła poomacku naprzód, trzymając ręce wzniesione, by osłonić twarz. To było głupie, ale nie mogła stłumić w sobie zrozpaczonego, beznadziejnego uczucia, jakie napada ludzi zablakanych w gęstwinie, czy mgle. Gdyby tylko las nie był taki ciemny, taki — żywy! Przez chwilę opanowała ją nedorzeczna, zastraszająca myśl dziecka: — Co będzie, jeśli się stąd nigdy nie wydostanę? — Potem zaśmiała się z tej myśli i stanęła znów cicho, nad słuchując. Nie usłyszała żadnego dźwięku, któryby ją mógł wyprowadzić stąd, krom tego dalekiego, tępego łomotu, który zdawał się teraz dochodzić zewsząd. A drzewa patrzyły na nią. — Uf! — pomyślała, — nienawidzę tego lasu! — Jego węzowe konary, jego ciemność i olbrzymie kształty robiły na niej teraz wrażenie siedziby olbrzymów i wiedźm. Szła dalej poomacku, torując sobie mozolnie drogę; potknęła się znowu i upadła, uderzając głową o pień. Uderzenie oszołomiło i otrzeźwiło ją. — To idiotyczne, — pomyślała. — Zachowuję się, jak małe dziecko. Pójdę prosto powoli naprzód, aż dojdę do brzegu lasu. Wiem przecież, że to nie jest duży las! — Jeszcze raz zbadła z determinacją wszystkie kierunki, wybrała poważnie ten, z którego dudnienie armat dawało się najwyraźniej

słyszeć i zaczęła znowu iść przed siebie bardzo powoli, z rękoma wyciągniętymi. Tuż koło niej coś zaszeleściło w gęstwini. Ujrzała parę zielonych błyszczących oczu. Serce jej zatrzymało się. Stworzonko skoczyło — paprocie i gałązki zaszumiały i — cisza. Noel przycisnęła rękę do piersi. Zdziczały kot! I znów szła dalej. Ale teraz straciła kierunek. — Kręcę się pewnie wkółko. — pomyślała, — to się zawsze tak dzieje. — I znów szarpnęło nią rozpaczliwe, beznadziejne uczucie ludzi zbłąkanych. — Czy mam wołać? — pomyślała. — Muszę być pewnie blisko drogi. Ale to takie dziecinne! — Szła dalej. Trąciła nogą o coś miękkiego. Jakiś głos zaklął siarczyście, czyjaś ręka chwyciła ją za kostkę. Skoczyła, szarpnęła się i uwolniła nogę; oszalała ze strachu krzyknęła i zaczęła pędzić naólep przed siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Nikt z pewnością nie mógł być bardziej przeświadczonym o tem, że Jimmy Fort nie jest dla Noel wspaniałą partją, niż on sam. W ciągu tygodnia po rozmowie z jej ojcem, obraz dziewczęcia nie schodził mu z oczu. Mówił sobie ciągle: — To się nie uda, to wprost nieprzyzwoite z mojej strony, że usiłuję zdobyć to dziecko, kiedy wiem dobrze, że gdyby nie nieszczęście, jakie ją spotkało, nie miałbym u niej nigdy żadnych szans. — Nigdy nie miał zbyt wysokiego mniemania o swym wyglądzie, teraz jednak czuł się śmiesznie stary i zasuszony pośród tej pustyni, jaką dla niego był Londyn. Nienawidził pracy biurowej, jaką mu wyznaczono i całej atmosfery biurokratycznej. Jeszcze rok w takim środowisku, a pokurczy się, jak stare jabłko! Teraz, kiedy marzył o pięknie i młodości, zaczął przyglądać się sobie z niepokojem, by stwierdzić, co mu jeszcze pozostało z fizycznych walorów. W przyszłym miesiącu skończy czterdzieści lat, a ona ma dziewiętnaście! Ale bywały także chwile, kiedy czuł, że u jej boku umiałby być takim samym „żółtodziobem“, jak młody chłopiec, którego kochała. Myśl zdobycia jej wydawała mu się tak mało prawdopodobna, że nie przywiązywał żadnej wagi do jej przeszłości. Czy nie przeszłość właśnie dawała mu tę nikłą nadzieję, jaką miał? Co do dwóch rzeczy był zdecydowany: Nigdy nie będzie usiłował wykorzystać jej poło-

zenia, i, jeśliby go jakimś cudem przyjęła, nie da jej nigdy do poznania, że pamięta o jej przeszłości.

Po napisaniu listu do Gracji spędził ostatni tydzień przed urlopem na usiłowaniach przywrócenia sobie młodocianego wyglądu; dzięki czemu czuł się starszy, chudszy, bardziej kościsty i brązowy, niż kiedykolwiek. Wstawał wcześniej, jeździł konno nawet podczas deszczu, chodził do łaźni parowej i gimnastykował się na różne sposoby; nie pił ani nie palił i kładł się spać wcześniej, słowem, zachowywał się, jakby się przygotowywał do wyścigów konnych. Kiedy jednak ostatniego popołudnia przed wyruszeniem na ową ciężką przeprawę spojrzął w lustro, ogarnęła go rozpacz; twarz jego wydała mu się tak straszliwie chuda, koloru skóry; naliczył też prawie że tuzin siwych włosów.

Kiedy odnalazł dom Lairdów i dowiedział się, że Noel pracuje w polu, doznał po raz pierwszy uczucia, że Los mu sprzyja. Takie spotkanie będzie łatwiejsze, niż jakiegokolwiek inne. Przypatrywał jej się przez kilka minut, zanim go spostrzegła, a serce jego biło gwałtowniej, niż kiedykolwiek w okopach. To nowe uczucie nadziei nie opuszczało go przy powitaniu, podczas kolacji i nawet później, kiedy odeszła na górę. Potem znikło tak nagle, jakby ktoś spuścił gwałtownie roletę. Siedział dalej, starał się rozmawiać i stawał się powoli coraz bardziej małowówny i niespokojny.

— Nolli tak się męczy pracą w polu, — rzekła Gracja. Wiedział, że życzliwość podyktowała jej te słowa, ale sam fakt, że to powiedziała, był złowróżbny. Wstał wkońcu, straciwszy nadzieję ujrzenia Noel, świadom zarazem, że na ostatnie trzy pytania odpowiedział z roz-targnieniem.

Przy bramie Jerzy rzekł:

— Niech pan jutro przyjdzie na obiad, dobrze?

— Och, dziękuję, ale obawiam się, że wynudzę tylko wszystkich państwa.

— Ani trochę. Nolli nie będzie też taka zmęczona.

Znów — tak dobrze pomyślane! Byli bardzo mili. Stał przy furtce i obejrzał się na dom; starał się odgadnąć, które mogły być jej okna, ale wszystko spowite było w ciemności. Uszedł kawałek drogi i przystanął, by zapalić papierosa; oparł się o jakąś furtkę i wciągał głęboko dym w płuca, starając się ukoić ból serca. A więc nie powinien mieć nadziei! Wykorzystała pierwszą nadarżającą się sposobność, by się uwolnić od jego towarzystwa! Wiedziała, że ją kocha, musiała przecież wiedzieć, gdyż oczy jego i głos zdradzały go zawsze. Gdyby miała dla niego choćby odrobinę sympatji, nie byłaby go unikała w ten pierwszy wieczór. — Wróć do tej pustyni, — pomyślał. — Nie będę się łąsił, ani skomlał. Wróć i przebrnę jakoś przez to; człowiek musi mieć trochę dumy. Czemuż do licha nie mogę ruszyć gdzie w świat! Ach gdybym mógł tylko znowu wrócić na front, do Francji! — Zamajaczyła mu przed oczyma postać Noel, pochylona nad zżętym zbożem. — Spróbuję raz jeszcze — pomyślał, — raz jedyny, jutro muszę w jakiś sposób zdobyć ostateczną pewność. A jeżeli spotka mnie to, co Leilę, to, zdaje mi się, zasłużyłem na to. Biedna Leila! Gdzież ona? Z powrotem w High Constanca? — Cóż to było? Krzyk — krzyk przerażenia w lesie! Podeszedł na brzeg lasu, zawołał: — Hop, hop! — i stał, starając się dojrzeć coś w ciemności. Usłyszał, że ktoś przedziera się przez krzaki i zagwizdał. Jakaś postać wybiegła z lasu prawie że w jego ramiona.

— Hallo! — zawołał, — cóż się dzieje?

Zdyszany głos odparł:

— O, to nic!

Poznał Noel. Cofnęła się i stała oddalona od niego o krok. Dostrzegł niewyraźnie, że ukryła twarz w ra-

mionach. Czując instynktownie, że pragnie ukryć swe przerażenie, rzekł spokojnie:

— Co za szczęście! Właśnie tędy przechodziłem. Okropnie tu ciemno.

— Ja... ja... zgubiłam drogę; jakiś człowiek... złapał mnie za nogę, tam w lesie.

Wyprowadzony z równowagi jej urywanym, zdławionym oddechem, zbliżył się do niej i położył ręce na jej ramionach. Trzymał ją lekko, nie mówiąc słowa w obawie, by nie urazić jej dumy.

— We... weszłam tam, — wykrztusiła, — i drzewa... i potknęłam się o śpiącego człowieka, a on...

— Tak, tak, już wiem, — szepnął, jakby mówił do dziecka. Spuściła teraz ramiona, mógł więc widzieć jej twarz z oczyma nienaturalnie rozwartymi i drżącymi wargami. Stracił znów panowanie nad sobą i przyciągnął ją tak blisko, że mógł wyczuć łomotanie jej serca; przyłożył wargi do jej wilgotnego, gorącego czoła. Zamknęła oczy, westchnęła krótko i ukryła twarz w jego marynarce.

— Spokojnie, spokojnie, kochanie, — powtarzał ciągle na nowo. — Spokojnie, spokojnie. — Czuł, jak przytula policzek do jego ramienia. A więc zdobył ją, zdobył! Miał niezachwianą pewność, że już teraz od niego nie odejdzie. Był tak olśniony i oczarowany tą myślą, że cały świat nad ich głowami, gwiazdy w swym biegu, las, który ją przestraszył — wszystko wokół wydało mu się uosobieniem piękna i harmonji. Spotkało go szczęście, jakie nigdy jeszcze nie było udziałem żadnego człowieka — zdobył ją! Szeptał ciągle i ciągle na nowo:

— Kocham cię! — Spoczywała bez ruchu, oparta o niego, podczas gdy bicie jej serca uspokajało się stopniowo. Czuł, że ociera się policzkiem o szorstki tweed jego marynarki. Powąchała ją nagle i szepnęła:

— Pachnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Kiedy słońce lata pali Egipt spiekotą, biały człowiek wyczekuje codzien z utęsknieniem wieczoru, którego różane opary zlewają się, opalizując, z ciemno brunatnym pasmem gór i lśniąc nad niemi, wsiąkają powoli w ciemniejący błękit nieba. Pierson stał pod małą grupą palm, składających się na szpitalny ogród, i przyglądał się tajemniczemu pięknu pustyni. Żadnego tonu nie brakło w pieśni wieczoru: w odległym skrzydle domu skrzeczący gramofon wygrywał jakiś modny szlagier; dwa aeroplany, szybując nad pustynią, niczem drapieżne ptaki, słały na ziemię odległy warkot swych śmigieł; z arabskiego miasteczka dolatywały metaliczne odgłosy; u studzien skrzypiały koła; a wiatr pustynny przelatywał co chwila z suchym szelestem przez liście palm. Ogródek leżał przy drodze, która biegła w dal na prawo i lewo, naznaczona basztami wartowniczymi z odległych stuleci. Przez ileż to tysięcy lat ludzkie życie szło tą drogą na Wschód i Zachód; od niepamiętnych czasów ludzie o cerze brunatnej pędzili swe wielbłądy przez ten szlak wśród pustyni, która ciągle na nowo wzbudzała jego podziw, tak cicha była, tak olbrzymia, tak opuszczona i co wieczór tak piękna! Miał czasem wrażenie, że mógłby tak stać i zachwycać się jej czarem przez całe życie, jakby jej okrutna, tajemnicza piękność była — pięknnością Anglii. A jednak ilekroć na nią

spojrzał, czuł w sercu bolesny skurcz tęsknoty za ojczyzną.

Jak dotąd, nowa praca nie zbliżyła go do serc ludzkich. Tak mu się przynajmniej zdawało. Zarówno w bazie pułku, jak i tu w szpitalu — gdzie został przydzielony tylko czasowo, czekał bowiem na nowe oddziały, z którymi miał się udać do Palestyny — spotykał się wszędzie z uprzejmością i z przyjaznym pobłażaniem; odnoszono się do niego tak, jak czasem uczniowie do dobrotliwego a rozmarzonego nauczyciela, lub businessmani do nieszkodliwych wynalazców-idealistów, którzy nawiedzają ich biura. Miał nawet wrażenie, że patrzą na niego chętnym okiem, tak samo, jak na amulety i chorągwie pułkowe; co się jednak tyczyło szczerego, serdecznego koleżeństwa — najwidocznie ani nie pragnęli, ani nie oczekiwali od Piersona niczego podobnego, miał więc wrażenie, że byłoby natręctwem i bezczelnością narzucać się. Co więcej, nie wiedział już, jak się ma do tego zabrać. Czuł się bardzo samotny. — W obliczu śmierci, — myślał często, — wszystko będzie inaczej. Śmierć czyni nas braćmi. Wtedy będę się im mógł naprawdę na coś przydać.

Kiedy tak stał, zasluchany w pieśń wieczoru i zaparty w stary szlak pustynny, przyniesiono mu list.

„East Bungalow.

„Najdroższy Tatusiu,

„Mam nadzieję, że list ten dojdzie Cię, zanim wyjedziesz do Palestyny. W ostatnim liście pisałeś, że to nastąpi dopiero z początkiem września, więc mam nadzieję, że go jeszcze otrzymasz. Muszę Ci donieść wielką nowinę, która, obawiam się, dotknie Cię i zmartwi; Nolli wyszła za Jimmy Fort'a. Pobrali się tu dziś popołudniu i właśnie odjechali do miasta. Muszą sobie naturalnie znaleźć mieszkanie. Od czasu Twego wyjazdu Nolli była bardzo niespokojna, samotna i nieszczęśliwa; mam prze-

świadczenie, że wszystko stało się jaknajlepiej. Jest teraz zupełnie odmieniona i zakochana po uszy. Wszystko to bardzo do Nolli podobne. Twierdzi, że aż do ostatniej chwili nie wiedziała, czego chce. Ale teraz robi wrażenie, jakby nigdy w życiu nie pragnęła niczego innego. Tatusiu drogi, Nolli s a m a nigdyby sobie nie dała rady w życiu. Taka już jej natura, jestem więc pewna, że wszystko stało się jak najlepiej i Jerzy też jest tego zdania. Zapewne — to rozwiązanie odbiega daleko od ideału — nikt sobie czegoś podobnego dla niej nie życzył; ale Nolli z w i c h n ę ł a sobie skrzydła, a Jimmy jest taki dobry i tak ją strasznie kocha, choć w to nie chciałeś uwierzyć i pewnie nawet teraz nie będziesz wierzył. Najważniejsze, że Nolli jest znowu szczęśliwa i bezpieczna. Nolli jest zdolna do głębokich uczuć, ale musi być uwiązana do mocnej kotwicy. Ostatnio dała się unosić bezwolnie fali życia i wcale niewiedomo, coby mogła uczynić, gdyby ją napadł jeden z jej nastrojów. Mam nadzieję, że się nie będziesz tem trapił. Nolli strasznie się o to boi. Wiem, że będzie to okropne dla Ciebie, teraz, kiedy jesteś daleko; staraj się jednak uwierzyć, że stało się dla niej jak najlepiej... Nie grozi jej już teraz żadne niebezpieczeństwo; a była bezsprzecznie w straszliwym położeniu. Przytem to się tak dobrze składa dla dziecka, a jemu się przecież też należą jakieś względy. Myślę, że trzeba brać rzeczy takimi, jakimi są, Tatusiu drogi. Było niepodobieństwem naprawić zwichnięte skrzydła Nolli. Gdyby miała usposobienie bojownika i gdyby walka dawała jej zadośćuczynienie, lub gdyby była z tych, co idą do klasztoru — ale Nolli nie jest ani jednym, ani drugim. A zatem wszystko j e s t w porządku, Tatusiu. Nolli pisze do Ciebie osobno. Jestem pewna, że Leila nie życzyła sobie, by Jimmy Fort był nieszczęśliwy, tylko dlatego, że jej nie mógł kochać; w przeciwnym razie nie byłaby nigdy wyjeżdża-

ła. Jerzy zasyła Ci serdeczne pozdrowienia; mamy się oboje bardzo dobrze. A Nolli wygląda ciągle jeszcze świetnie po robocie przy zniwach. Pozdrawiam Cię tyśiąckrotnie, Tatusiu drogi. Czy moglibyśmy Ci tam coś posłać? Uważaj na siebie, Kochany, i nie martw się z powodu Nolli.

„Gracja“.

Ćwiartka papieru wypadła na ziemię. Podniósł ją z pomiędzy zasuszonych włókien palmowych liści.

„Najdroższy Tatusiu,

„Zrobiłam to przecież. Przebacz mi — jestem taka szczęśliwa“.

„Twoja Nolli“.

Pustynia lśniła, liście palm szemrały, a Pierson stał i starał się opanować uczucie, wywołane temi dwoma listami. Nie był zagniewany — nie był nawet urażony, ani zmartwiony — czuł się tylko tak straszliwie, tak bezgranicznie samotny, że nie wiedział poprostu, jak to zniesie. Miał wrażenie jakby ostatnie ogniwo, wiążące go z życiem, prysło. — Moje córki są szczęśliwe, — pomyślał. — Cóż więc szkodzi, jeżeli mnie jest źle na świecie? Jeżeli moja wiara i moje przekonania są dla nich niczem, to dlaczegożby się miały do nich stosować? Nie wolno mi się czuć samotnym i nie będę. Powiniennem czuć przy sobie obecność Boga, powiniennem czuć Jego rękę w mojej. Jeżeli tego nie umiem — to na cóż się mogę przydać tym biednym chłopcom w szpitalu, na cóż, na Boga?

Stary tubylec przejechał koło niego na osiołku, wygrywając sudańską piosenkę na drewnianej, arabskiej fujarce. Pierson powrócił do szpitala nucać tę melodję. Siostra miłosierdzia przystąpiła do niego.

— Ten biedny chłopiec na końcu sali A dogorywa, sir; przypuszczam, że chętnieby pana zobaczył.

Pierson wszedł na salę A; minął podwójny rząd łóżek i skierował się ku wschodniemu oknu, gdzie stało łóżko, osłonięte dwoma parawanami. Druga pielęgniarka, która siedziała przy łóżku, wstała natychmiast.

— Jest zupełnie przytomny, — szepnęła; — jeszcze trochę mówi. Jest taki kochany. — Łza stoczyła się po jej policzku; zniknęła za parawanem.

Pierson spojrzał na chłopca; mógł mieć może dwadzieścia lat, ale niegolony puszek na jego policzkach był miękki i prawie całkiem bezbarwny. Oczy miał zamknięte. Oddychał równo i zdawał się nie cierpieć; a mimo to miał wygląd człowieka, który odchodzi; jakiś wyraz rezygnacji już jakby grobowej. Okno, opatrzone siatką na moskity, otwarte było naościęz; mały promyk słońca padał skośnie w nogach łóżka i skradał się powoli ku górze poprzez kołdrę i ciało chłopca, malejąc coraz bardziej. Przy szarej bieli ścian, łóżka i twarzy chłopca to jedno blado-żółte pasemko światła i jedna czerwono-niebieska plama małej chorągiewki na ścianie odbijały jaskrawo. W tej chłodnej, wieczornej godzinie sala za parawanem była prawie pusta i żadne niemal odgłosy nie mąciły ciszy; tylko zza okna dolatywał od czasu do czasu szelest suchych palmowych liści. Pierson czekał w milczeniu, patrząc na gasnące słońce. Jeżeli chłopak umrze w tym śnie, będzie to dowodem łaski Bożej. Ale w tej właśnie chwili ujrzał, że otwiera oczy, jedno z tych jasno szarych źrenic, które mają czarną oprawę. Wargi chłopca poruszyły się; Pierson nachylił się nad nim.

— Idę na zachód, sir, — szept jego brzmiał cicho i niewyraźnie, wargi drżały; twarz skrzywiła się przez chwilę, jak u dziecka, i wypogodziła się znowu.

Piersonowi przebiegło przez myśl: — O Boże! Spraw, bym mu był pomocą!

— Idziesz do Boga, synu drogi!

Na twarzy chłopca zabłysł ironiczny, pytający uśmiech.

Straszliwie wzruszony Pierson ukląkł przy łóżku i zaczął się cicho, żarliwie modlić. Szept jego zlewał się z szelestem liści palmowych, podczas gdy pasmo słońca wędrowało coraz wyżej po ciele umierającego. Całe stoickie powątpiewanie, cała stoicka obojętność zawarta była w uśmiechu tego chłopca. Uśmiech ten trafił go, jak podświadome wyznanie; zdawał się taki wiedzący. Pierson ujął rękę chłopca, leżącą na kołdrze. Wargi umierającego poruszyły się, jakby w podzięcie; wciągnął powietrze długim, słabym oddechem, jakby chciał wessać słoneczny promień; zamknął oczy. Pierson pochylił się nad jego ręką. Kiedy podniósł wzrok, chłopiec już nie żył. Ucałował jego czoło i wyszedł cicho z sali.

Słońce zaszło. Oddalił się od szpitala i wszedł na wzgórze, leżące po drugiej stronie drogi, na brzegu pustyni; stał tam zapatrzony w czerwoną poświatę zachodu. Słońce i chłopak — odeszli oboje razem na zachód w tę olbrzymią, rozżarzoną nicość.

Podczas gdy tak siedział, niewypowiedzianie samotny, usłyszał dochodzące z arabskiej wioski ostre i wyraźne nawoływanie muezzina do wieczornej modlitwy. Czemu ten uśmiech poruszył nim do głębi? Inne uśmiechy przedśmiertne, jak uśmiech tego wieczoru na wzgórzach pustynnych — przynosiły płomienisty spokój — zapowiedź nieba. Ale uśmiech tego chłopca mówił: — Szkoda twoich słów — nie możesz mi pomóc. Kto wie — kto wie? Nie mam nadziei, nie mam wiary; ale idę dzielnie w nieznanne. Żegnaj! — Biedny chłopak! Stawił dzielnie czoło wszystkiemu i wyruszył w daleką drogę niepewny, ale

bez strachu! A może to właśnie było najwyższą prawdą, może wiara była mniej doniosłą rzeczą? Jednak w tej samej chwili odrzucił z przerażeniem tę niepojętą myśl. — W wierze wzrosłem, i w wierze umrę! — pomyślał. — Z pomocą Bożą! — A lekki powiew wiatru, marszcząc piasek pustyni, rzucał drobnymi ziarnkami o jego wyciągnięte ponad ciepłą ziemią dłonie...

KONIEC.



J. Lutosławski
Kraków, 10.5.79
- 100 zł

XV-5

173



**BIBLIOTEKA
ANGIELSKA**

TOM

5

1927

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY

W DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

